

JEAN RASPAIL

Pierścień Rybaka

(L'anneau du pecheur)

tłum. Marian Miszalski

JEAN RASPAIL

Pierścień Rybaka

(L'anneau dupecheur)

tłum. Marian Miszalski

Od autora

Książka ta jest rezultatem badań przedsięwziętych bardzo dawno temu.

Wszystkie postacie należące do przeszłości występują pod prawdziwymi nazwiskami. Co do postaci współczesnych – niektóre, oczywiście, noszą swe prawdziwe nazwiska, niektórym je zmieniłem albo użyłem tylko inicjałów.

Przytoczone fakty historyczne są zgodne z rzeczywistością.

W tym względzie wyrażam wdzięczność dwóm francuskim pisarzom: Georges'owi Pillementowi i Christianowi Murciaux; oni wiedzieli wszystko o Piotrze de Lunie, któremu każdy z nich poświęcił wspaniałą książkę.

Co zaś się tyczy wielkiej schizmy zachodniej – całą swą wdzięczność kieruję do ojca Louisa Maimbourga SJ. Jego wspaniała praca, opublikowana w 1681 roku – której wydanie oryginalne mogłem zdobyć dzięki nieocenionemu Pierre'owi Joannonowi – nie ma sobie równej aż do dziś.

Wreszcie winien jestem przyjacielskie podziękowania ojcu C. P. Ch. za jego wielką erudycję oraz cudowną i gościnną bibliotekę.

Rodez, 1993

Wieczorem, w Boże Narodzenie, niełatwo dostać talerz zupy i kawałek chleba.

Mężczyzna doświadczył już odmowy w kilku barach przy placu Broni, udekorowanych girlandami lampek elektrycznych. Siadał przy najbardziej odosobnionym, najmniej rzucającym się w oczy stoliku, kładł przy nogach swój plecak i mówił do podchodzącego kelnera: „Poproszę talerz zupy z chlebem” – otwierając prawą dłoń z samotną dziesięciofrankówką.

Chleb był, ale tylko w postaci sandwicza i na pewno nie za dziesięć franków.

Mężczyzna upierał się łagodnym tonem, chciałby jednak zjeść coś na gorąco, noc będzie długa. Może więc kawę?

Nie, kawą głodu się nie zaspokoi... Rogalik? Hot-dog? Za dziesięć franków? Kelner wzruszał ramionami. Albo szedł do kasy naradzić się szeptem z grubą kasjerką o farbowanych na niebiesko

włosach i fioletowych paznokciach, która rzuciła szybkie spojrzenie w stronę przybysza i potrząsała przecząco głową, z oburzoną miną. Kelner wracał: „Nie obsługujemy...”. Co chciał dopowiedzieć? Że nie obsługują włóczęgów, żebraków?

Jego wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem mężczyzny, który słuchał go w milczeniu.

„Przykro mi, proszę pana, to niemożliwe” mówił dalej kelner, sam zdziwiony swym tonem, teraz prawie pełnym szacunku. „Dziękuję panu” odpowiadał mężczyzna przy stoliku. I zabierając swój plecak, kierował się ku wyjściu, a gruba kasjerka ożywiła się nagle, niezadowolona, wściekła, że poczuła wyrzuty sumienia, których przedtem nie znała.

Mężczyzna na ogół unikał miast, idąc z wioski do wioski, przez Causses i Cevennes, Levezou, Aubrac i Albigeois, ufając swej pamięci i zatrzymując się w miejscach, których nazwy znał na pamięć, nauczywszy się ich od tego, który szedł przed nim.

Czasem odnajdywał znak na starych domach lub budynkach gospodarczych, wyrzeźbiony w kamieniu w zwyczajowym miejscu, nadgryziony wpływem wieków.

Rozgarniał wtedy palcami bluszcz i rozpoznawał dotykiem, równie pewnie jak niewidomy, ów znak, o którego obecności właściciele domostwa zwykle nie mieli pojęcia i który nie odnosił się już do niczego ani do nikogo, kto rozumiałby jeszcze jego znaczenie. Tak bardzo zmieniły się czasy.

Wioski się wyludniały, tracąc swych najstarszych mieszkańców.

Drzwi się już nie otwierały, a spoza zamkniętych żaluzji zamieszkałych jeszcze domów dobiegał metaliczny dźwięk wszechobecnej telewizji, zacierający przeszłość i pamięć wspomnień. Trzydzieści lat wcześniej mężczyzna z plecakiem łatwo jeszcze znajdował pracę w gospodarstwie albo w lesie, na dzień, tydzień, miesiąc, zadowolając się siennikiem w ciepłym kącie i talerzem w końcu stołu, ale już wtedy się nie zdarzało, by powstawano z miejsca na powitanie i nakrywano stół białym obrusem, jak to czyniono dla innego Benedykta, przed nim, kiedyś, choć i w tamtej epoce było to jeszcze – czy może już – czymś wyjątkowym.

Z czasem o pracę było coraz trudniej. Ziemia zdradzała wieśniaków, którzy umierali, nie pozostawiając następców i zabierając pamięć do grobu. Stodoły i szałas pasterskie, gdzie znajdował schronienie, pozawalały się, a gdy nawet się zdarzało, że jakiś dom znowu ożywał – to już za sprawą obcych przybyszów, ignorantów bez duszy i przeszłości. Zamykały się ostatnie oberże, gdzie na piecu, w rogu, zawsze stała gęsta, dymiąca zupa dla sezonowych robotników, którzy wędrowali od wsi do wsi, najmując się na dniówki; pełna miska takiej zupy z chlebem, który można było jeść do sytości, nie kosztowała aż dziesięciu franków. Obecnie mężczyzna z podróznym workiem na plecach coraz częściej był skazany na żebractwo. Nie żeby uważał je za coś niegodnego, wszak biedaczyna z Asyżu czynił tak przez całe życie, ale cierpiał, nie mogąc wyjaśnić –

ponieważ nikt by mu nie uwierzył – że właśnie w imię Boże i w Jego służbie wyciąga prośzalnie dłoń. Pewnego dnia, gdy był bardzo zmęczony, prawie u kresu sił, droga zawiodła go do opactwa Sainte-Tarcisse, w wapiennych górach Lanhac: był tęgi mróz tego wieczoru, sam środek zimy. Ten znak wykuto tam bardzo dawno temu, może przed pięciuset lub sześciuset laty, z czasem jednak się

zatarł i teraz nikt już o nim nie pamiętał

poza tym ostatnim depozytariuszem starych szlaków. Brat furtian zaprowadził

mężczyznę do kominka w pomieszczeniach gościnnych. Był jedynym gościem. Kolację spożył razem z zakonnikami. Gdy wchodził do refektarza, opat, zgodnie z dawnym obyczajem, chcąc uhonorować gościa, polał mu palce wodą i podał biały ręcznik. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Nazajutrz, zaraz po laudesach, w których uczestniczył, łącząc swój głos ze śpiewem zakonników, brat furtian zapytał, czy – zanim wyruszy w dalszą drogę – nie chciałby się spotkać z najczcigodniejszym ojcem przełożonym, a pytanie zabrzmiało mocniej niż zwykła sugestia. Mężczyzna zawahał się przez chwilę.

Rozmawiać, zwierzać się, tłumaczyć, przerwać tę okropną samotność, wyznać wreszcie prawdę, wypowiedzieć ją z otwartym sercem... Mimo serdecznego przyjęcia, nie była to jeszcze ani ta chwila, ani to miejsce, ani ten rozmówca. Później. W innym miejscu. Musi odbyć daleką podróż. Poza tym nie sięgnął jeszcze dna rozpacz. Podziękował

furtianowi, który pożegnał go, zaciekawiony, składając dłonie przy ustach i lekko pochylając głowę.

Przygotowano dla niego nowy plecak, ten właśnie, który teraz miał ze sobą, śpiwór, spory bochenek świeżo upieczonego chleba, czekoladę, książeczkę do nabożeństwa (mimo wszystko wywołała jego uśmiech) i kopertę, oznaczoną krzyżem, z podpisem opata i odręcznym zapewnieniem o jego modlitwach, która zawierała dziesięć banknotów stufrankowych. Gdy zakręt drogi miał mu już ostatecznie przesłonić widok klasztoru, mężczyzna przystanął na chwilę. Miał łzy w oczach. Po chwili, opanowując wzruszenie i upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje ani że nie nadjeżdża drogą żaden pojazd, pobłogosławił klasztor, trzykrotnie kreśląc ręką w powietrzu znak krzyża. Od tamtego czasu minęło kilka miesięcy...

Za katedrą, przy ulicy Touat, mężczyzna znalazł wreszcie mały bar o biednej prezencji i dumnej nazwie „Wieża Anglików”, do której faktycznie przylegał tylną ścianą. Kobieta w szarej sukni i o nieokreślonym wieku bez słowa wzięła jego dziesięciofrankówkę i przyniosła talerz rosółu z mięsem i kwaterkę wina.

Trzech starszych jegomościów, grających w belotkę przy sąsiednim stole, ledwo podniosło wzrok znad kart. W barze nie było innych klientów, a ciszę przerywały tylko krótkie uwagi rzucane przez graczy w miejscowym dialekcie oraz tykanie dużego zegara, który wraz z wiejskim kredensem, poczerniałymi od sadzy belkami stropowymi i upstrzoną przez muchy reprodukcją Pańskiego Milleta stanowił jedyną ozdobę tego lokalu. Położone w centrum starego Rodez, dawnego lenna miejscowych biskupów, wśród których, przed wiekami, był kardynał Jan Carrier, późniejszy papież – miejsce to wydawało się tkwić poza czasem, jakby pogrążone w pośmiertnej ciszy. Mężczyzna wreszcie poczuł się swobodnie. Spojrzał na zegar i zorientował się, że ma jeszcze dobrą godzinę, zanim będzie musiał stanąć w kruchcie katedry, wyciągając proszalną dłoń do wiernych, którzy jeszcze nie zapomnieli, że tej nocy świętuje się narodziny Chrystusa w Betlejem.

Zaczął jeść. Przeżuwał powoli, maczając obficie chleb w rosole, myślami był daleko.

Betlejem... Betlejem, jego najstarszy druh. Od jak dawna, ileż to już lat go nie widział?

W ostatnim umówionym miejscu, w Aleth, nie doczekał się go. Rok później, w Maguelone, czy może to było dwa lata później, zjawiał się tylko posłaniec: Betlejem nie przybędzie. Nie może chodzić. Nie ma z czego żyć. Od tamtej pory – cisza. Żadnej wiadomości. Mężczyzna pomyślał, że w ich samotności i nędzy ani on, ani żaden z jego błakających się druhów nie ma już dziś do dyspozycji tych spontanicznych posłańców, którzy niegdyś zapewniali jego poprzednikom choćby symboliczne poczucie więzi.

Zapewne Jakub z Betlejem od dawna nie żył i już dane mu było poznać, jak w świetle wiecznej sprawiedliwości został osądzony ich upór.

A tymczasem obraz jego szlachetnej twarzy okolonej krzaczastą brodą powoli zacierał się w pamięci; mężczyzna usiłował wydobyć ją z otchłani zapomnienia, ale zdołał ocalić tylko blask tego ostatniego spojrzenia, z którego biła cała ufność, jaką Betlejem w nim pokładał. Mężczyzna ze wzruszenia przestał jeść, potem zaczął

machinalnie liczyć na palcach.

Tyberiada i Hebron opuścili go na zawsze. Pierwszemu zamknął oczy w pewien zimowy, śnieżny wieczór w Glandeves, obecnie Entrevaux, gdzie wśród ledwo widocznych ruin katedry Notre-Dame-de-la-Sedz miał to gorzkie szczęście odmówić nad jego ciałem modlitwy za zmarłych. Drugi jego towarzysz, podczas powrotu z Aleth, w pobliżu Carcassonne, oświadczył nagle: „Wybaczcie mi. Już nie mogę. Pozwólcie mi powrócić między żywych”. I Łukasz z Hebronu poszedł w stronę miasta, nie oglądając się za siebie. Nikt go nie zastąpił. Z upływem czasu łańcuch się kruszył, zostało już tylko ostatnie ogniwo. Cezarea żył pośród swych owiec na płaskowyżu Riez, w Górnej Prowansji. Od niego także od dawna nie miał żadnych wieści. Mężczyzna pomyślał, że Riez i Senez, położone blisko siebie, nie wymagałyby zbyt wielkiego nadłożenia drogi wobec tej długiej, ostatecznej podróży, którą postanowił odbyć. W Senez odnalazłby Gibeleta. Piotr z Gibelet, najwierniejszy i najmłodszy. Co do Iony Szkota, któż wie, czy ktokolwiek nosi jeszcze to imię na tej dalekiej, smaganej przez wiatry wyspie? Poza tymi ludźmi, żywymi czy martwymi, nie było już nikogo na tym świecie, kto wiedziałby, kim jest ten mężczyzna z plecakiem i co uosabia na tej ziemi...

Minęła godzina. Mężczyzna starannie wytarł talerz reszką chleba, który łamał

w palcach, zastanawiając się, ile czeka go jeszcze dni marszu, zanim dotrze do celu swej podróży. Licząc po dwadzieścia kilometrów dziennie, może sześćdziesiąt, może osiemdziesiąt dni. Nawet nie przyszło mu na myśl, żeby podróżować koleją czy samolotem, zresztą i tak nie stać go było na bilet, nie szukał też szczęścia na poboczach głównych dróg, podnosząc w górę kciuk, jak, widywał nieraz, robili to inni. Po co przyśpieszać bieg spraw? Wybierając wedle swego upodobania szlaki oddalone od głównych dróg, wędrował zawsze w rytmie własnego istnienia, które było niczym innym, jak anachronicznym przedłużeniem tyłu wcześniejszych wędrówek.

Odległość nie przerażała go. Poza tym nie widział siebie w roli zwykłego pasażera.

To nie odpowiadało jego stanowi, który sytuował go poza społeczeństwem. Nie było w nim jednak cienia pychy, przeciwnie, to właśnie pokora i poczucie własnej znikomości nakazywały mu unikać, w miarę możliwości, kontaktów ze światem. Kobieta w szarej sukni zabrała talerz i postawiła przed

nim filiżankę kawy. Kiedy sięgnął ręką do kieszeni, potrząsnęła tylko przecząco głową. Podziękował. Użebrane grosze powinny wystarczyć mu do granicy, potem skorzysta z tych dziesięciu banknotów stufrankowych z klasztoru Sainte-Tarcisse, które, nietknięte, złożone we czworo, spoczywały w jego portmonetce.

A potem, jak Bóg zdarzy...

Wybiła jedenasta. Mężczyzna zapiął sprzączki plecaka i wyszedł z baru. Idąc pod górę ulicą Bose, minął gotycki budynek, który w Rodez powszechnie nazywano Domem Benedykta, choć nikt już nie pamiętał, skąd się wzięła ta potoczna nazwa. Rodez zapomniało o Janie Carrierze, swym kardynale, legacie papieża Benedykta XIII, dla Rouergue i Armagnac pod rządami króla Karola VII i Jana IV, suwerennego księcia d'Armagnac, zanim i on nie wkroczył w tę długą noc wygnańców. Z ostrożności mężczyzna postanowił nawet nie spojrzeć na zatarty, nieczytelny już kartusz, widniejący na frontonie gotyckiej bramy Domu Benedykta, gdzie przed sześciuset laty wyrzeźbione zostały dwa skrzyżowane klucze, które przybyli z Rzymu inkwizytorzy Marcina V kazali rozbić młotami, rzuciwszy najpierw anatemę na ostatnie sługi tego domu. Mężczyzna przechodził tędy już poprzedniego dnia, ale wtedy przystanął, rozmyślając z głębokim smutkiem o tym miejscu, gdzie wszystko się skończyło i wszystko zaczęło. To wtedy właśnie odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje, ktoś, kto go śledzi, ponieważ słyszał za sobą czyjeś kroki. Odwróciwszy się jednak, nie spostrzegł nikogo. Musiał się pomylić.

Pośród tych, którzy go poprzedzali, zwłaszcza na początku, było wielu uciekinierów, ściganych naprawdę lub tylko w swej wyobraźni, skazanych na tajemnicę i podejrzliwość. Potem utrwaliła się jakby pewna tradycja, coś na kształt liturgii tej tajemnicy, która po upływie lat i stuleci wyrażała już tylko ich upartą wolę odsunięcia się od rzeczywistości. Wszystko jednak minęło i mężczyzna z plecakiem to rozumiał. Dla świata był zwykłym, acz zadbanym włóczęgą, którym – odkąd rozpoczął swą wędrówkę

– nie interesował się nikt, poza żandarmami, którzy tu i ówdzie, od czasu do czasu sprawdzali jego dokumenty. A tymczasem wczoraj znów poczuł, że jest ścigany, jakby historia miała się powtórzyć.

Na próżno wmawiał sobie, że to tylko złudzenie, i tego wieczora przyśpieszył kroku, nawet nie spoglądając na Dom Benedykta.

Pod katedrę z wolna zjeżdżały się samochody. Ciągnęli pierwsi wierni, witani w wielkiej kruchcie przez co najmniej dziesięciu żebraków. Byli to współcześni żebracy, często młodzi, którzy władczo wyciągali dłoń, jakby żądając opłaty wejściowej.

Niektórzy mieli psy. Mężczyzna zdobył się na całą swą odwagę i spróbował zająć miejsce pośród nich, mruczając pod nosem: „Boże, jeśli trzeba, abyś nakładał na mnie ten wstyd, to przynajmniej mi pomóż...”.

Ktoś gwałtownie wypchnął go z przedsiionka kruchty, tak że omal nie upadł.

„Zjeżdżaj, stary pierdoło!” – syknął jeden z żebraków. Mężczyzna odszedł zrezygnowany i stanął w drzwiach bocznej nawy, przez które też wchodziłi ludzie, mijając go z obojętnymi twarzami. Czasem, gdy zahaczył wzrokiem o czyjeś spojrzenie, wpadała mu do ręki moneta albo nawet banknot. Z

czasem wchodzących było coraz mniej.

Zaczynała się msza. „Zdaje się, że miałeś farta, dziadku!” odezwał się jakiś młody, nieprzyjemny głos, ten sam, który zrugął go wcześniej. „Zrzutka do mnie albo spuszczę psa!”. Pies warknął, obnażając zęby i szarpiąc smycz, gotów do skoku. Mężczyzna spojrzał na chłopaka, spodziewając się dostrzec rozpacz w jego oczach.

Znajdując tylko wrogość i zimną determinację, podniósł rękę i powiedział po prostu:

„Świątokradztwo...”. Młody żebrak, osłupiały, spoglądał już tylko na swego psa, który przywarł do posadzki i drżał na całym ciele. Mężczyzna wszedł do świątyni.

Otwierając drzwi, zauważył jakąś postać oddalającą się w mroku, trzymającą się nieco z tyłu za chłopakiem, którego pies rozpaczliwie drapał posadzkę, jakby chciał się pod nią zagrzebać. Tym razem mężczyzna nie miał wątpliwości: ta scena miała świadka, który nie znalazł się tam przypadkowo.

Główna nawa była tylko w połowie wypełniona. Starsi ludzie, nieliczne dzieci w towarzystwie rodziców, ale niewielu wiernych w średnim wieku. Młodzież, sklonowana w tysiącach podobnych egzemplarzy, tłoczyła się w innych świątyniach.

Poganie – chociaż słowo to już utraciło swoje dawne znaczenie. Ten stary chrześcijański kraj powoli tracił swą substancję. Inni zawłaszczyli Ewangelię, obracając ją przeciw Kościołowi rzymskiemu. Czy tych wiernych, zgromadzonych tego wieczoru, sprowadziła tutaj wiara, czy raczej strach przed jutrem i lęk przed beznadzieją? Przy ołtarzu trzej starzy księża o siwych już włosach odprawiali mszę.

Mieli zmęczone twarze, ich gesty i głosy naznaczone były wiekiem, a może zwątpieniem lub przynajmniej zniechęceniem; poruszali się niezbyt zręcznie drobnymi, starczymi kroczkami. „Oni też nie mają następców” – pomyślał mężczyzna. Na pasterce nie było biskupa. Mężczyzna słyszał, jak ktoś mówił, że biskup Rodez jest w szpitalu, umierający. Usiadł w ostatnim rzędzie, postawił plecak między kolanami, przymknął

oczy i wyciągnął z kieszeni różaniec. Jego sąsiadka pomyślała, że śpi, lecz paciorki różańca miarowo przesuwają się między palcami.

W czasie podniesienia mężczyzna powstał, jak wszyscy, ale nie przyjął komunii.

Siedział podczas błogosławieństwa i pozostał w ławce, gdy gromadka wiernych zaczęła topnieć przy finalnych akordach organów. W końcu i on ruszył do wyjścia, ale w ostatniej chwili wślizgnął się za filar i niezauważony, przeszedł do bocznej kaplicy, gdzie ukrył się w mrocznym kącie. Usłyszał zgrzyt zamykanych drzwi. Jedno po drugim gasły światła. By upewnić się, że jest sam, mężczyzna odczekał dłuższą chwilę, stojąc bez ruchu i nasłuchując szmerów nocy. Oczy z wolna przyzwyczajały się do ciemności.

Wysokie witraże rozświetlił światłem zimowego księżycyca, a sklepienia z łukami z czerwonego

piaskowca przypominały wielkie skrzydła, rozpostarte, aby go chronić.

Owładnęło nim poczucie pokoju. Opuściwszy swoją kryjówkę, ruszył środkiem głównej nawy. Ze złożonymi dłońmi szedł w stronę ołtarza.

Rzym, 1378

Gnijąca, nieczysta kloaka, jaskinia zbójców, oto czym stał się Rzym. Kościoły popadły w ruinę, a stada wychudzonych wołów pogryzały trawę rosnącą u stóp ołtarzy.

Opustoszał Lateran, dawna siedziba papieża, co się dało, rozkradziono. Lud rzymski nie szanował już niczego, co stanowiło niegdyś o jego chwale. Tamten starożytny Rzym służył teraz jedynie za kamieniołom, z którego każdy mógł brać do woli: sprzedawano marmury ze świątyń, płaskorzeźby, pomniki. Bardziej z namiętności niż dla zysku.

Chrześcijański Rzym też nie został oszczędzony i z wolna miasto przybierało wygląd rozległej, niespokojnej wsi, usłanej ruinami, nieuprawianymi polami, z zachowanymi jeszcze gdzieś niegdzie liniami regularnej zabudowy domostw, gdzieś tylko samotne świątynie na wzgórzach wynurzały się z tego spustoszenia. Jediną pamiątką po tym rozpadającym się świecie wydawały się okalające miasto mury Aureliana.

W całym mieście toczyły się walki: gwelfowie walczyli z gibelinami, ród Orsinich z rodem Colonnów, Andegawęńczycy z Aragończykami, najemnicy papiescy z najemnikami florenckimi. Z szacunku dla dnia Pańskiego nie mordowano w niedzielę, zadawałając się grabieżą i gwałtem, ale te straty odbijano sobie w pozostałe dni tygodnia.

Żadna z tych frakcji, które wyrzynały się wzajemnie w nadziei zdobycia władzy, nie była zdolna jej sprawować. Rzym pogrążał się w anarchii. Ulicą władały dzikie bandy, napływające z gór Abruzji i zaciągające się w służbę tego czy innego kondotiera.

Załatwiały krwawo swe porachunki, a potem rozbiegały się po mieście, grabiąc wszystkich nieszczęśników, jacy nawinęli się pod rękę, sojuszników czy wrogów, nie oszczędzając nikogo. Mieszkańcy Rzymu uciekali w przerażeniu, często wzięci w dwa ognie: u bram także obozowały grabieżcze zgraje, całe kompanie znienawidzonych najemników bretońskich pozostających na papieskim żołdzie. Szlachta opuściła pałace, uciekając na prowincję, pod osłonę warownych baszt swoich zamków. Tylko najpotężniejsi z potężnych trwali jeszcze w świętym mieście: ród Colonnów na Kapitolu, Orsinich na Zamku św. Anioła, Pierleoni na wyspie na Tybrze i Caetani w mauzoleum Cecyliusza Metellusa. Pozostał też plebs, który nie miał powodów do obaw, gdyż nie miał nic do stracenia, a wszystko do zyskania, gdyby papież powrócił do Rzymu, pod warunkiem, że byłby to Włoch, a najlepiej rzymianin...

Tak naprawdę nic tu nie zmieniło się od 1305 roku, kiedy to papież Klemens V osiadł w Awinionie. Sześciu papieżów francuskich, którzy panowali po nim, też tutaj obrało siedzibę, porzucając Rzym, gdzie trudno było zachować życie i papieską władzę, wystawione na wszelki gwałt i chciwość.

Jednak papież był również biskupem Rzymu, te jego dwie funkcje były nierozdzielne. Przed Awinionem stu dziewięćdziesięciu papieży zasiadało na tronie Piotra, a jego grób przetrwał w fundamentach antycznej watykańskiej bazyliki z czasów Konstantyna. Nawet w łagodnym klimacie Prowansji i pośród kochającej ich ludności, papieże nie mogli o tym zapomnieć. Dokładano starań, by im o tym przypominać. Dwaj Włosi, Dante, a potem Petrarca, porównując to dobrowolne wygnanie z niewolą babilońską, nadawali ton głośnym nawoływaniom (równie niegodnym, co interesownym), by papież powrócił do Rzymu. Urban V, pobożny benedyktyn udręczony wątpliwościami, u schyłku życia podjął więc decyzję o powrocie. Jednak Rzym w 1368

roku nie przypominał Rzymu Apostołów, który obiecywali mu poeci: zastał miasto nękane zimą przez watahy wilków, pustoszone przez epidemie, plądrowane podczas regularnych zamieszek i łupione przez kondotierów. Przerażony wycofał się do Awinionu, aby przynajmniej umrzeć w spokoju. Wtedy to na jego następcę, Grzegorza XI, natarł ów batalion świętych niewiast zaślubionych Chrystusowi, zbrojnych w niezachwiane przekonania i oświeconych wizjami: Katarzyna, surowa ascetka ze Sieny, i Brygida Szwedzka, której objawienia czyniły z niej niekwestionowaną interpretatorkę spraw nadprzyrodzonych, oraz kilka pomniejszych mistyczek. Zaczęły zasypywać papieża sążnistymi epistołami dostarczonymi przez posłańców bezustannie krążących między Italią a Francją.

Te zarliwe listy dotyczyły wszystkiego: autorytetu papieża, jego władzy doczesnej, ducha ubóstwa, reformy świętego Kościoła, duchowieństwa, miłosierdzia i powszechnej szczęśliwości całego świata. Wszystko to miało zresztą pewne uzasadnienie, jako że Wiklef i jego lollardowie przędli już nad Europą pierwsze nici herezji. Papież odpowiadał na te listy, grał na zwłokę.

Katarzyna Sieneńska stawiała się osobiście w pałacu des Doms w Awinionie. Została przyjęta. Co za chłosta! Kardynałowie nazbyt bogaci, papież zbyt słaby, świętokupstwo, przepych dworu w Awinionie – w obecności przygnębionych doradców trudno było kazać jej milczeć! Niełatwo zamknąć usta niewieście, która podnosi głos w imię Chrystusa i Jego świętych. Wizje dyktowały jej słowa: „Aby Kościół odnalazł właściwą drogę, trzeba, żeby papież jak najszybciej powrócił do Rzymu, bo jeśli tak się nie stanie, śmierć i nieszczęście spadną na całe chrześcijaństwo, na zawsze...”.

Grzegorz XI był pod wrażeniem jej słów, zastosował się do rozkazu. W wieku czterdziestu sześciu lat był człowiekiem chorym i zmęczonym.

Pociągając za sobą dwunastu kardynałów – czterech było już w Rzymie, siedmiu pozostało dobrowolnie w Awinionie, z ostrożności, na wypadek odwrotu – Grzegorz XI ruszył do Marsylii, gdzie załadował się na galery kardynała z Aragonii i przybył do Rzymu 17 września 1377 roku. Widywano go na mostku admirałkiej galery, zatroskanego i zamyślonego, odczytującego kardynałowi z Aragonii, Piotrowi de Lunie (przyszłemu papieżowi Benedyktowi XIII) list, który kilka dni przed podróżą otrzymał

od króla Francji, Karola V: „Udajecie się do kraju, gdzie wcale was nie kochają. Jeśli zginiecie tam, co jest dość prawdopodobne, rzymianie zniewolą kardynałów i żeby przeszkodzić w powrocie dworu rzymskiego do Awinionu, zmuszą ich sztyletem przyłożonym do gardła, aby wybrali włoskiego papieża...”.

Wiedząc, że idzie do jaskini zbójców, ale chcąc potwierdzić swą doczesną władzę, niezbędną do zarządzania Kościołem w tych czasach, Grzegorz XI kazał iść przodem swym bretońskim najemnikom, dowodzonym przez człowieka silnej ręki, kardynała Roberta z Genewy. Polała się krew z tej i tamtej strony. To nie przyczyniło się do uporządkowania spraw i tylko rozjuszyło te zbrojne bandy szakali, które plądrowały okolice. Trzeba było twardo negocjować ze zbuntowanymi rzymskimi frakcjami i wydawać olbrzymie sumy na przekupywanie ludności w osobach jej głównych podżegaczy – ciągle tych samych, prawdziwej rzymskiej plagi – a także chciwych, sprzedajnych ksiąząt oraz kapitanów-kondotierów, ludzi wyzutyk z honoru. Wreszcie jednak Rzym go uznał. Czy był to jednak powrót radośnie fetowanego papieża? Czy raczej powrót papieskiego złota, słynnego skarbu św. Piotra, po którym każdy spodziewał

się własnej korzyści?

Euforia nie trwała długo. Francuscy kardynałowie poukrywali się. Wszędzie szerzyła się nienawiść. W murach Watykanu – gdzie zainstalował się Grzegorz XI, przedkładając to miejsce nad Lateran, który stał się jedną wielką kloaką – papież umierał

z wyczerpania, chorób i zgryzoty. Wielka nadzieja, wzbudzona zaklinaniami nieustraszonej dziewicy ze Sieny, nie spełniła się.

Rzym odrzucił francuskiego papieża i papież płakał z rozpacz, myśląc o tym Rzymie, którego stał się więźniem, bezsilnym i rozczarowanym władcą. Kto go zwiódł?

Bóg? Czy on sam? Czy jego doradcy? A może szalona Katarzyna i jej wizje? Albo atmosfera tych czasów, ten ruch idei, rozdzierający powłokę pozorów? Na łożu śmierci przywołał nadwornego skrybę i – powracając do motywów, które go skłoniły do opuszczenia Awinionu i zaplątania się w te sidła – podyktował swą ostatnią wolę.

Wskazując na Katarzynę i Brygidę oraz na inne „zaślubione Chrystusowi”, uroczyście przestrzegał kurie i wszystkich, którzy piastowali jakąś władzę „przed tymi osobami, co pod pozorem mniemanych objawień, głoszą swoje własne wizje, jako regułę postępowania dla papiestwa w zarządzaniu Kościołem”.

Był papieżem. Miał prawo i obowiązek to napisać. Reprezentował Chrystusa na ziemi. Oświecała go łaska. Czując, że wkrótce umrze, i przewidując, że papiestwo będzie wydane na grę ludzkich interesów, zalecał w sekretnej bulli, aby przystąpiono do wyboru nowego papieża zaraz po jego śmierci, nie czekając na nieobecnych kardynałów, a nawet

– gdyby to było konieczne – bez zwoływania regularnego konklawe. Obawiając się tego, co może stać się z godnością pontyfikalną i prawidłowością wyboru, nakazał ponadto Piotrowi Gandelinowi, papieskiemu prefektowi na Zamku św. Anioła (odebranych Orsinim i obsadzonym bretońską milicją), aby nie wydawał nikomu kluczy do twierdzy bez pisemnego rozkazu i pieczęci kardynałów pozostałych w Awinionie.

Potem, gdy przyszedł jego czas, odwrócił się do ściany w swej celi i wyzionął ducha; Bóg, który go zwiódł, przyjął go do wieczności. Był ostatnim papieżem francuskim w oficjalnej chronologii

watykańskiej. Zanim nastał wielki papież polski, było jeszcze sześćdziesięciu trzech papieży, w tym sześćdziesięciu Włochów, nie licząc tych nazywanych antypapieżami, których sukcesja jest spowita tajemnicą, a legalność spoczywa w rękach Boga.

Z chwilą śmierci Grzegorza XI papieństwo ogarnęły chaos i trwoga.

Grzegorz XI oddał ducha 27 marca 1378 roku. Pierwsze zamieszki wybuchły już nazajutrz. Bernard Lagier, kardynał z Glandeves, wychodząc z kościoła św. Cecylii, dokąd przybył odprawić mszę, został nagle otoczony przez trzy setki osiłków z ubogiego Zatybrza, którzy zaczęli mu ubliżać w swym dzielnicowym dialekcie. Temu kardynałowi nie brakowało odwagi. Zdołał się oswobodzić i stawiał czoło napastnikom. Odziany w purpurę i gronostaje, księżę Kościoła, zmierzył surowym spojrzeniem gromadę łajdaków i zapytał:

– W imię Boże, czego chcecie ode mnie?

Jakiś olbrzym śmiało wystąpił naprzód. Miał miecz i kolczugę i był zapewne jednym z owych caprione, przywódców dzielnicy.

Przemówił z szacunkiem podszytym zuchwalstwem, podpierając się pod boki:

– Przychodzimy jako twoja dziatwa, prosić ciebie i twoich kardynałów, byście wybrali papieża z Rzymu lub z Italii. Mija sześćdziesiąt osiem lat, odkąd owdowiało to miasto. Od śmierci papieża Bonifacego Francja napycha się rzymskim złotem. Teraz nasza kolej. Chcemy pokosztować złota Francuzów.

Przynajmniej jasno wyłożył sprawę. Nie wdawał się w subtelności wyższej natury.

Księżę w szkarłacie odpowiedział gniewnie:

– Gdy się ciebie słucha, można by pomyśleć, że chodzi o wybór szynkarza.

Wygwizdano go.

Takie sceny powtarzały się w całym Rzymie. Gdziekolwiek pojawiał się jakiś kardynał, natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zbierał się wokół

niego rozwścieczony tłum.

Pachniało to buntem, podsycanym i kierowanym przez prowodyrów przy pomocy umyślnych posłańców. Na ulicach dało się słyszeć groźne pogłoski. Jan de Gros, kardynał z Limoges, został zrzucony z konia, pochwycono go za szaty. Oddechy napastników cuchnęły winem – niektórzy biskupi celowo dostarczali je ludności ogarniętych wrzeniem dzielnic. Ktoś podsunął kardynałowi pięść pod nos, rozległ się złowrogi okrzyk, a potem ten okrzyk podchwycił już cały tłum:

– Romano lo rolemo o almeno italiano! Chcemy papieża rzymianina! Chcemy włoskiego papieża! Dajcie go nam, Monsignori delle ultramonti, bo jak nie, to poleje się krew! Rozgromimy wszystkich kardynałów zza gór!

„Rozgromimy”, czyli rozsiekamy białą bronią. Nie były to czeze słowa w tych czasach, gdy byle obwieś nosił przy pasie sztylet lub miecz. Ktoś inny uzupełnił

pogrózkę wymownym gestem, przeciągając przed oczami przerażonego prałata palcem po gardle. Słowo ultramonti oznaczało kardynałów z Francji, Limousin i Prowansji. Od tych jedenastu kardynałów francuskich, przebywających właśnie w Rzymie – jedenastu spośród dwudziestu trzech członków kolegium – zależał wybór nowego papieża.

Kardynał z Limoges miał tchórzliwą naturę. Z twarzą białą jak gronostaje przy jego pelerynie obiecał wszystko, czego od niego żądano.

Ciało Grzegorza XI złożono w prezbiterium kościoła św. Marii Dobrej Nowiny (obecnie św. Franciszki Rzymianki), gdzie do dzisiaj znajduje się jego grób).

Kardynałowie zbierali się tam codziennie na długich nabożeństwach żałobnych za duszę zmarłego. Miejsce wybrano niefortunne. Położone między Forum Romanum a Koloseum, wśród ruin i gruzowiska, sprzyjało gromadzeniu się uzbrojonych band.

Z pewnością nie stało się to przez przypadek.

Słaby kordon gwardii papieskiej wokół kościoła wraz z posiłkami rzymskiej milicji dzielnicowej z trudem powstrzymywał napierający tłum, który napływał coraz większymi falami i coraz głośniejszymi domagał się papieża rzymianina.

– Posłuchajcie, wielmożni panowie – przemówił do skonsternowanych kardynałów odziany w kolczugę dowódca milicji, przy wzmagającej się z minuty na minutę wrzawie.

– Ci, tutaj zgromadzeni, to nie są źli ludzie. Ich jedyną winą jest to, że za bardzo kochają papieża. Wprost nie wyobrażają sobie, by mógł przebywać poza Rzymem, a kto inny jak nie papież rzymianin może zaspokoić to żarliwe pragnienie? Zbyt długo byli jako te sieroty. Z całym szacunkiem oznajmiam wam to, co krzyczy dusza tego ludu.

Dzielnicowe milicje jeszcze panują nad sytuacją, jednak, wielmożni panowie, jestem pełen obaw. Przyjdzie chwila, że lud przerwie kordon.

Aby pokazać, że mówi to, co dyktuje mu sumienie, jedną dłoń położył na piersi, ale drugą zaciskał na rękojeści miecza. Ochrona zatem... – czy groźba? Jego lisi wzrok nie wyjaśniał niczego.

I tak każdego dnia stawał przed Świętym Kolegium jakiś wpływowy przedstawiciel tej czy tamtej dzielnicy, który w jej imieniu przemawiał w podobny sposób. W szeregi kardynałów wkradał się strach i tylko najbardziej dumni spośród nich doświadczały jeszcze innego uczucia, jakby świętej zgrozy, że oto wskutek tchórzostwa i braku charakteru dokonają wyboru bezprawnego lub wręcz świętokradczego.

Uszanowali jednak wolę zmarłego, by działać szybko. Otwarcie konklawe naznaczono na 6 kwietnia, w Bazylice św. Piotra.

Do dziś nie wiadomo, kto wydał rozkaz otwarcia bram Rzymu i gdzie się wtedy podziwiali najemnicy bretońscy, którzy mieli ich strzec. Tak czy owak, to właśnie wtedy wdarły się do miasta wyjące hordy z Kampanii i Gór Sabińskich i rozpanoszyły się po Rzymie, nawet w Borgo, u samych stóp Watykanu, koczując na ulicach i placach, ogłuszając całe miasto przeraźliwymi dźwiękami piszczałek i bębnow. Do dziś także nie wiadomo, kto nakazał opuścić Rzym gwardii szlacheckiej, nie czyniąc nawet wyjątku dla księcia de Fondi i księcia de Nole, papieskich oficerów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo konklawe. Tę funkcję powierzono jakiemuś caprione, naprędce mianowanemu kapitanem.

Gdy zabrakło innego sposobu, próbowano więc wpuścić wilki między kardynałów.

Najbardziej przytomni zaproponowali wtedy, by przenieść obrady konklawe do Zamku św. Anioła, strzeżonego przez wierny garnizon. Rozważając tę możliwość, traktowano ją jako ostateczność: trzeba było uważać, by tymi środkami ostrożności nie sprowokować rzymskiego motłochu. W tym czasie wszyscy uczciwi i przezorni obywatele uciekali z miasta.

Przez cały dzień 5 kwietnia przez most św. Anioła ciągnął niekończący się korowód mieszczan, kupców i papieskich notabli, wraz z urzędnikami kurii, poprzedzany karawanami juczych mułów w eskorcie zbrojnej czeladzi.

Pomieszczenia dla konklawe przygotowano na pierwszym piętrze Watykanu. Wedle zwyczaju, składały się z sieni, dwóch kaplic oraz cel dla kardynałów i ich służby. Na dziedziniec pałacu prowadziły schody. Wejście, zgodnie z regułami odbywania konklawe, miało być zamurowane. Sąsiadująca z pałacem Bazylika św. Piotra, nie przypominała późniejszej, renesansowej świątyni z czasów papieży Mikołaja V i Juliusza II; była to dawna bazylika konstantyńska z atrium i loggią na trzypiętrowych arkadach, opasującą pałac o surowym kształcie fortecy: z blankami na murach i kwadratowymi, romańskimi wieżami, na których powiewały papieskie sztandary.

W dniu zaplanowanego otwarcia konklawe rozpętała się straszna burza, omiatając miasto czarnymi chmurami i błyskawicami. W pałac watykański uderzył piorun, wzniesając pożar w jednej z cel, jak się okazało właśnie tej, którą przeznaczono dla kardynała z Aragonii. Niektórzy, żegnając się znakiem krzyża, wyrażali opinię, że w ten sposób Piotr de Luna został naznaczony przez niebiosa, opinię nie bezzasadną, zważywszy na dalszy bieg wydarzeń, które rozdarły świat chrześcijański. Pośpiesznie naprawiono szkody. Konklawe odroczone o jeden dzień i rozpoczęto je w środę, 7

kwietnia, po niesporach. Między czwartą a wpół do szóstej szesnastu obecnych w Rzymie kardynałów wkroczyło do pałacu. Na placu św. Piotra i nawet na stopniach bazyliki kłębił się podekscytowany, dwudziestotysięczny tłum: zwykłych gapiów i zbrojnych osiłków ledwo trzymany w ryzach przez swych caprioni, podżegaczy...

Inni tłoczyli się w oknach, na dachach pobliskich domów, nawet w przylegającej do pałacu winnicy. Z samego rana, zgodnie z zasadami, kapitan dzielnicy, w której odbywało się konklawe, mianował czterech konetabli, którzy wraz z nim zaprzysięgli na Ewangelię ochraniać Święte Kolegium przed wszelkimi aktami przemocy lub nacisku.

Przysięgę złożyli także strażnicy tajności obrad, biskupi Todi, Tivoli i Marsylii.

Wreszcie, aby jeszcze wyraźniej zaznaczyć wolę niedopuszczenia do zakłócenia konklawe przez jakichkolwiek intruzów, ów kapitan wysłał na plac św. Piotra herolda w eskorcie trzech rycerzy, który uroczyście obwieścił, że wszelkie naruszenie porządku publicznego będzie karane śmiercią. Kat stał nieopodal. Aby wzmocnić to obwieszczenie, na oczach tłumu rozłożył na marmurowym podeście narzędzia tortur, ustawił pień i oparł o niego topór. Ta demonstracja nie wywarła jednak wrażenia na zebranych motłochu, który potraktował to jako zwykłą formalność. I zaczął krzyczeć jeszcze głośniej: Romano lo volemo o almeno italiano!

Kardynałowie przybywali na konklawe, z trudem przedzierając się przez tę ciżbę, nieudolnie chronieni przez strażę. To odpowiednia chwila, by przedstawić tych szesnaście postaci: mają przecież w swych rękach przyszłość Świętego Kościoła katolickiego, apostolskiego i rzymskiego. Katarzyna ze Sieny określała ich pogardliwie jako „światowców”, co w języku tamtej epoki pozbawiało ich nimbu pobożności i świętości. W przypadku niektórych całkiem słusznie, zwłaszcza jeśli chodzi o kilku awiniończyków, chociaż – w przeciwieństwie do Włochów, kardynałów i arystokratów, by tak rzec, z urodzenia – prawie wszyscy pochodzili z ludu, co kazałoby przypuszczać, że jednak mieli mocną wiarę i autentyczne powołanie. Wszyscy pokładali ufność w łaskę Bożą. Bez wątpienia, tego wieczora odwoływali się do niej ze zdwojoną gorliwością.

Tylko niektórzy mieli nieczyste sumienie; w większości byli po prostu wystraszeni, sytuacja ich przerastała. Byli pośród nich wielcy mistycy, jak Piotr de Luna, Wilhelm d’Aigrefeuille czy Bernard Lagier... – ten wiek nie skąpił mistyków. Ale w chwili przystępowania do konklawe nikt spośród tych szesnastu, choćby najodważniejszy, nie był całkowicie pewien swego losu. Kardynał z Aragonii dzień wcześniej podyktował

swój testament. Kardynał z Viviers, Bernard Lagier, zabrał ze sobą spowiednika, aby być gotowym na ostateczność.

Kardynał Robert z Genewy założył pod komżę kolczugę, którą nosił w czasach, gdy dowodził armią papieską. Kardynałowie d’Aigrefeuille i Wilhelm Noellet z Poitiers tak serdecznie pożegnali się z przyjaciółmi i służbą, jakby mieli się już nigdy nie zobaczyć.

Czterej Włosi: Corsini, kardynał z Florencji, Borsano, kardynał z Mediolanu, a zwłaszcza dwaj rzymianie – stary Tibaldeschi, kardynał ze św. Piotra, i Orsini, kardynał ze św.

Anioła – nie miało powodów do obaw o swe życie. Byli u siebie.

Tłum się rozstał przed kardynałami, tworząc wąski szpaler; strażę z trudem utrzymywały jako taki porządek. Piotra de Lunę powitał istny tumult, ale wyniosła postawa kardynała zaimponowała motłochowi. Natomiast nieszczęsny kardynał z Poitiers skulił się pod deszczem obelg. „Rozsiekamy was wszystkich” – wrzeszczał tłum. Nie był

to szpaler honorowy – raczej ścieżka pohańbienia. Kardynała Gerauda du Puy dwóch osiłków odciągnęło na bok i zaczęło szarpać go za szaty, wrzeszcząc: „Pamiętaj, że chcemy papieża

rzymianina, wy już za długo trzymacie papiestwo!” Kardynałowie Piotr de Vergne, Piotr Flandrin, Wilhelm de Malleset, Piotr de Sortenac, Hugon de Montalais raczej biegli, niż szli przez ten szpaler, bladzi z upokorzenia. Tłum napierał ze wszystkich stron. Kardynał Franciszek Tibaldeschi przybył ostatni. Bardzo już wiekowy, podagryk, był niesiony przez służbę. Jako kardynałowi ze św. Piotra i rzymianinowi –

zgotowano mu owację, on jednak nie wydawał się nią uszczęśliwiony; gestykulował

chudymi rękami i drżącym głosem wołał: „Basta!”. W szeregach służby porządkowej nastąpiła wtedy bardzo dziwna zmiana. Nie wiadomo, na czyj rozkaz i wbrew dotychczasowym zwyczajom, nagle gdzieś zniknęła gwardia papieska, a zastąpiła ją zbrojna milicja dzielnicowa. W ten sposób Święte Kolegium wydane zostało na pastwę miejskich frakcji. Od tej chwili nie była już przestrzegana żadna z reguł, obowiązujących podczas konklawe.

Te reguły były powszechnie znane. Chodziło o odcięcie uczestników konklawe od wszelkich możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym, aby zapewnić im swobodę głosowania i zapobiec wywieraniu na nich jakiegokolwiek nacisku. Wszystkie drzwi należało najpierw pozamykać na kłódki, potem zamurować – za co odpowiadał kapitan straży i biskupi strażnicy – a okienko, przez które podawano żywność i napoje, musiało być pilnie strzeżone. Mogło to trwać dzień, tydzień, miesiąc... Nie otwierano drzwi dopóty, dopóki z przewodu kominowego sali obrad nie popłynął w niebo biały dym. Ale teraz, zanim zamurowano wszystkie drzwi, za kardynałami wtargnęła co najmniej setka uzbrojonych osobników, wśród których przeważali caprioni...

Wszyscy krzyczeli: Romano lo volemo, se non che tutti li occideremo! Grożono śmiercią w pomieszczeniach konklawe!

– Moje dzieci – pośród nieopisanego zamieszania próbował łagodzić sytuację kardynał Orsini – chyba nie chcecie doprowadzić do schizmy?

Trzeba było godziny modlitw i błagań, by ledwo żywy ze strachu strażnik konklawe, biskup Marsylii, usunął tych ludzi. Gdy przyszło wreszcie do zamykania na kłódki pierwszych z dwojga drzwi, które pozostawały nadal otwarte, wyrwano mu klucze z rąk.

Jakoś je odzyskał, ale w tym potwornym zamieszaniu zapomniał zamknąć drugich drzwi; przerażony uciekł do swej komnaty i tam ukrywał się przez cały wieczór. Około godziny ósmej, gdy dzwonek obwieszczał prałatom, że powinni udać się do swoich cel na nocny odpoczynek, przez te same drzwi znów wdarło się ze dwudziestu caprioni, krzyząc i potrząsając bronią, a wraz z nimi kapitan i czterech konetabli, za którymi postępował

tłum rzymian. Wszyscy mówili naraz, podniesionymi głosami. Po dłuższej chwili caprioni zażądali, by wszyscy kardynałowie zebrali się w jednej z kaplic. Tam wreszcie zapadła cisza, wszyscy uklęknęli.

– Słuchamy was – powiedział stary Tibaldeschi, dziekan Świętego Kolegium.

– Panowie – odezwał się kapitan dzielnicowej milicji, zachowując wszelkie formy szacunku – to

prawdziwy cud Opatrzności, że papieżowi Grzegorzowi przyszło umrzeć w tym świętym mieście i że znaleźliście się tu, aby wybrać nowego papieża.

Ale aż dotąd składacie wymijające oświadczenia, a my chcemy jasnej odpowiedzi.

Panowie, naznaczcie nam papieża rzymianina lub innego z Italii, bo jeśli nie, wasze i nasze życie będzie zagrożone – tak bardzo ten lud wbił sobie do głowy uzyskać to, czego się domaga. Unikniecie w ten sposób wielkiego, nieodwracalnego zgorzenia.

Odpowiedział Corsini, kardynał z Florencji, przełożony kardynałów-biskupów.

Bredził coś rozpaczliwie o niebezpieczeństwie zaistniałej sytuacji. Żalił się, że naruszane są procedury, a potem długo rozwodził nad dobrymi intencjami kardynałów, którzy chcą usatysfakcjonować lud rzymski, na ile tylko pozwoli im sumienie.

Pilnował się jednak, by niczego nie obiecywać. Balansował na cienkiej linie i chyba celowo mówił tak, by nic nie powiedzieć.

Przełożony kardynałów-kapłanów, kardynał d'Aigrefeuille, wykazał się większą stanowczością. Prawdę mówiąc, był wściekły.

Opanował się jednak.

– Panowie rzymianie – powiedział – wywieracie na nas niesłychaną presję.

Zrozumcie zatem, że na przykład ja nie mogę do niczego zobowiązywać tu obecnych kardynałów ani oni, ze swej strony, nie mogliby dysponować moim głosem. Wskóracie tylko tyle, że wybór będzie nieważny.

Nie było już nic do dodania. Caprioni, niezadowoleni z takiej odpowiedzi, ale zarazem widząc, że innej już tego wieczora nie otrzymają, po naradzie, z posępnymi minami wycofali się razem z całą hałastrą.

Wyczerpani kardynałowie sądzili, że wreszcie spokojnie pójdą spać. Mylili się. To był prawdziwy sabat czarownic! Bo oto caprioni zjawili się ponownie, tym razem wlokąc ze sobą biskupa Marsylii, którego wyciągnęli z jego kryjówki, żądając pęku watykańskich kluczy. Zamierzali przeszukać cały pałac, aby upewnić się, czy Święte Kolegium nie ukryło gdzieś wiernych sobie straży. Biskup ustąpił. Później jakoś wybrnął

z tej sytuacji i około dziesiątej przystąpił do zamurowywania ostatnich drzwi, dających dostęp do konklawe. Brakowało jednak narzędzi i materiałów, a robotnicy się pochowali.

Wszystko, co udało mu się zrobić, to umocnić drzwi poprzecznymi, drewnianymi belkami i podwoić zamki. Tymczasem dzielnicowa milicja rozpalila na pałacowym dziedzińcu wielkie ognisko, co groziło pożarem. Dobiegały stamtąd dzikie wrzaski, pijackie śmiechy, sprośne piosenki i radosne okrzyki, którymi witano każdą kolejną, odszpuntowaną beczkę wina. Na zewnątrz pałacu, w szynkach i knajpach dzielnic Trastevere i Borgo, aż po plac św. Piotra, pijany motłoch tańczył i świętował, co

chwila wznosząc ów okrzyk, powtarzany tysiące razy, którego echo docierało do uszu kardynałów niespokojnie przewracających się na swych siennikach: Romano! Romanol Romano lo volemo!

Pijacy zasypiają o świcie. Nazajutrz, tuż przed wschodem słońca, dzwonek konklawe rozległ się w zupełnej ciszy. Wrzawa ustała. Szesnastu kardynałów, współprzytomnych po tej koszmarnej nocy, zebrawszy resztki wiary, nadziei i ufności, przystąpiło do porannych modlitw, a potem wysłuchali mszy, celebrowanej przez starego kardynała Tibaldeschi, który słał się na nogach i niemal padał ze zmęczenia. Ledwo podniósł swą chudą rękę, by udzielić końcowego błogosławieństwa, gdy na zewnątrz znów podniosła się wrzawa.

Chwilę później odezwały się dzwony u św. Piotra, którym odpowiedziały jeszcze wścieklejsze wrzaski. Kardynał Geraud du Puy polecił jednemu ze służących, by wszedł

na dach i zobaczył, co się dzieje: plac wypełniony był tłumem, a nowy tłum nadciągał ze wszystkich stron.

Rozpoczął się decydujący dzień. Mężczyzna z Rodez, mimo upływu sześciu wieków, pielęgnował jego niezatarte przez czas wspomnienie.

Wszyscy kardynałowie zebrali się w sieni, posłuszni wezwaniu kardynała z Florencji, który usiłował im coś powiedzieć. Przerażony narastającym hałasem nieszczęsny prałat nie mógł znaleźć właściwych słów. Nagle ktoś przyniósł wiadomość, że biskup Marsylii żąda przez niezamurowane okienko rozmowy z trzema przeorami Świętego Kolegium, co z kolei oburzyło kardynała Orsiniego, przełożonego kardynałów-diaconów.

– Co wy sobie wyobrażacie, przekłęci? – krzyknął przez okienko. – To w taki sposób chcecie dostać papieża? Zobaczcie: wznieciecie w Rzymie ogień i ten ogień nie zgaśnie, dopóki wszystkiego nie pochłonie!

Na zewnątrz wycie i krzyki zgromadzonego ludu podniosły się ze zdwojoną siłą.

Biskup Marsylii najwyraźniej stracił już panowanie nad sobą, po drugiej stronie okienka cały trząsł się ze strachu. Wołał do kardynałów:

– Panowie, śpieszcie się! Rozsiekają was na kawałki, jeśli zaraz nie wybieriecie rzymianina lub Włocha. Po tej stronie lepiej widzimy zagrożenie!

Orsini zatrasnął mu przed nosem klapę okienka.

– Zmuszą nas do wyboru samego diabła – powiedział do kardynała d’Aigrefeuille.

Później, zwracając się do pozostałych, teraz zgromadzonych w kaplicy służącej za salę obrad, powtórzył słowa biskupa Marsylii i zakończył”.

– Widzicie, co nam grozi. Co robić?

Nawet najodważniejsi, d’Aigrefeuille, Bernard Lagier, Orsini, Robert z Gandawy, Piotr de Luna

pojęli wreszcie ze zgrozą, że naprawdę ryzykują życie. Czemu posłużyłaby ta ofiara? Jeśli dadzą się zmasakrować w tych okolicznościach – czyż nie doprowadzi to tylko do anarchii i schizmy? Co zyskałaby na tym wiara? Jakie dobro wyniknęłoby z tego dla Kościoła rzymskiego?

Jakimż dopiero stałby się „statkiem pijanym”... Rozumieli to wszyscy i po zaledwie półgodzinnej konsultacji uznali, że trzeba wybierać spośród tych kandydatów, którzy spełniają warunek stawiany przez tłum. W ten sposób wykluczono Francuzów.

Wówczas kardynał d’Aigrefeuille, zwracając się do Corsiniego, przełożonego kardynałów-biskupów, oświadczył:

– To kardynał z Florencji powinien złożyć ludowi tę obietnicę.

Jego odpowiedź sprawiła, że zaniemówili.

– Nie – odparł tchórz Corsini. – To gwałt na naszej wolności.

Czyżby kardynał z Florencji nagle przemienił się w lwa? W rzeczywistości umierał ze strachu. Stało się to całkiem jasne, gdy dodał:

– Przypuśćmy, że w wyniku głosowania ta obietnica nie zostanie dotrzymana...

Ryzykuję, że mnie zabiją.

Wtedy d’Aigrefeuille i Orsini chwycili go pod ręce i prawie siłą powlekli ku okienku.

Pod Corsinim uginały się nogi. W decydującej chwili odebrało mu mowę. Wtedy Orsini otworzył okienko i krzyknął:

– Uspokójcie się! Obiecuję wam, że jutro, przed tercją, będziecie mieli papieża rzymianina lub Włocha.

Wiadomość szybko obiegnęła tłum, który przyjął ją pomrukami niezadowolenia: chciał papieża natychmiast.

D’Aigrefeuille przejął pałeczkę:

– Zachowajcie spokój. Obiecuję wam, że przed końcem dnia będziecie mieli papieża rzymianina lub Włocha.

Zamknięto okienko i kardynałowie wrócili do kaplicy, gdzie czekali pozostali, przechadzając się gorączkowo wzdłuż i wszerz, poszukując rozwiązania. Ponieważ było jasne, że trzeba rzucić ludowi papieża tak, jak psu rzuca się kość, i że tak czy inaczej wszystko jest wbrew zasadom, Orsini zaproponował fikcyjny wybór. Jakiś braciszek zakonny odegrałby przed tłumem rolę papieża. W ten

sposób zyskano by na czasie.

– To pewne, że nie wyjdziemy z tego cało – powiedział Borsano, kardynał z Mediolanu.

Postanowiono zatem nie odgrywać komedii. Właśnie wtedy zaczęto wymieniać nazwisko Bartłomieja Prignano, arcybiskupa Bari.

Nie był kardynałem, ale cieszył się dobrą opinią. Chwalono surowość jego obyczajów, prostotę i umiarkowanie. Powiadano, że pod komżą nosi włosienicę i ściśle przestrzega postów nakazanych przez Kościół. Poza tym, że był Włochem, miał jeszcze i tę zaletę, że pochodził z Królestwa „Neapolu, które cieszyło się sympatią Francuzów.

Wreszcie, dziwnym zbiegiem okoliczności, który może wcale nie był przypadkiem – akurat przebywał w Rzymie i często pokazywał się publicznie, ze wszystkich sił

zabiegając o popularność wśród ludu. Skoro więc już się znaleźli w stanie wyższej konieczności, Prignano przynajmniej stanowił pewne wyjście z sytuacji i gwarantował im ocalenie życia. Jednak zamiast od razu głosować, przystąpiono do wstępnego obliczania rozkładu głosów: okazało się, że dwie trzecie z nich padłoby na arcybiskupa Bari.

– Cóż, obradujmy – powiedział d’Aigrefeuille.

Na zewnątrz motłoch nieustannie wył i wrzeszczał. W tym zamieszaniu i panice żaden z kardynałów nie spostrzegł, że zapomniano o modlitwach i o tej regule konklawe, która nakazywała modlić się o łaskę Boską przed każdą turą głosowania. Piotr de Luna powiedział później, że głosowali bez Boga.

Kardynałowie usiedli.

– Eminencjo, śpieszmy się, proszę kogoś wymienić – d’Aigrefeuille zwrócił się do kardynała z Florencji. – Nie ma już na co czekać.

Kardynał Corsini zadziwił wszystkich, tak że omal mu zapomniano wcześniejsze tchórzostwo. Podał, niechętnie, nazwisko Tibaldeschiego, nie zapominając však dodać, że gdyby nie obietnica poczyniona już rzymianom i trwoga, jaką w nim wzbudzali, oddałby swój głos na kardynała ultramontano.

Przyszła kolej na kardynała z Limoges. Jan de Gros odrzucił kandydatury czterech Włochów ze Świętego Kolegium: Tibaldeschi jest za stary i schorowany, Orsini – za młody, kardynałów z Mediolanu i Rzymu odrzucił z powodów politycznych; ostatecznie wskazał na arcybiskupa Bari.

Po nim zabrał głos d’Aigrefeuille, który oświadczył:

– Jako papieża i biskupa rzymskiego wskazuję arcybiskupa Bari, Bartłomieja Prignano.

Może dziwić ta zmiana stanowiska, dokonana przez Jana d'Aigrefeuille, prymasa Bretanii, pochodzącego z krainy klanów i plemion tak różnych od potomków prowansalskich i rzymskich niewolników, pierwszych nawróconych na Ewangelię. Od początku konklawe stale dawał odpór groźbom i naciskom, a teraz właśnie on zmienił

zdanie, dołączając niespodziewanie do grupy ostrożnych. Musiał chyba uznać tę partię za przegraną, „bezwładnie przegraną”, i myślał już o następnej, sądząc, że obecnie nie ma innego sposobu, by zachowując pozory, wydostać się z zastawionej pułapki. Spośród głosujących po nim kardynałów większość podzieliła to stanowisko; większość wskazała na Prignano. W Orsiniego jakby piorun strzelił; był bardziej dumny od tamtych, a przez to również mniej elastyczny.

– Powstrzymam się, panowie, od głosowania, dopóki nie będę mógł cieszyć się pełną wolnością. Ten wybór nie jest ważny. W tych warunkach nie zaakceptowałbym wyboru, nawet gdyby to na mnie oddano większość głosów.

Potem powiódł lodowatym wzrokiem po opuszczonych, siwych głowach kardynałów. I on miał swój zamysł. Ostatni przemówił kardynał z Poitiers. Zwracając się do elektorów, powiedział zmęczonym głosem:

– Jeśli tego chcecie, panowie, wskażę arcybiskupa Bari. Ale czy tego chcecie?

I tu tkwiło sedno sprawy. Nikt nie odpowiedział. Żaden z kardynałów, przybitych powagą i niepewnością chwili, nie miał odwagi spytać, kto właściwie w sposób wolny i nieprzymuszony głosował za Bartłojem Prignano, a kto zrezygnował z wolnego wyboru, czując się przymuszony okolicznościami. Dla wszystkich był to wybór mniejszego zła.

Wbrew presji tłumu odłożono ogłoszenie wyników głosowania. Niejasne poczucie uchybienia formie, więc i nieważności całej procedury, nie dawało spokoju kardynałom.

Należało się też upewnić co do zgody wybranego, który gdzieś w Rzymie bawił właśnie w licznym towarzystwie, ostentacyjnie odmawiając kosztowania wykwintnych dań, które bez przerwy mu podsuwano.

Około dziewiątej rano, naglony przez tłum, który niszczył wszystko, co spotkał na swojej drodze, zjawił się po raz ostatni biskup Marsylii: błagał kardynałów, by jak najszybciej ujawnili rzymianom imię nowego papieża. W ostatnim przebłysku godności Święte Kolegium jeszcze zwlekało. Zgodzili się ustąpić, ale przynajmniej w wyznaczonym przez siebie momencie... Trzeba było niemal siłą powstrzymać Orsiniego, gotowego stawić czoło motłochowi.

– Wynoście się, rzymskie świny! – krzyczał przez okienko. – Dajcie nam święty spokój. Wy, reszta, nakażcie wycofać się tym łajdakom. Gdybym tylko miał kij pod ręką, już ja bym was stąd popędził!
...

Błagano go, przez miłość do Boga, żeby przestał, bo jak nic motłoch go zamorduje.

Wdał się w to kapitan milicji. Orsini wziął go za ramię.

– Jeśli kłamię, poćwiartujcie mnie, zgadzam się. Panowie rzymianie, jeszcze przed nieszporama dostaniecie to imię, którego pragniecie.

Potem wręczył biskupowi Marsylii kartkę, na której były wypisane nazwiska siedmiu włoskich prałatów, obecnych wtedy w Rzymie, i polecił mu, by ich sprowadził do pałacu.

Wśród nich był nowo wybrany papież.

Ponownie zamknięto okienko. Zanim jednak to uczyniono, przez to właśnie okienko, a także przez otwór, który ktoś wybił maczugą w skrzydłach drzwi, strażnicy i caprioni zdążyli jeszcze zauważyć panujące wewnątrz nerwowe poruszenie. Sekretarze konklawe zdejmowali w pośpiechu urzędowe szaty, ornaty. Kardynałowie krzatali się wokół

wielkich kufrów, pakując przedmioty kultu, złote krucyfiksy, cyboria oprawne w drogocenne kamienie. Potem wiele mówiono o ich pazerności i przywiązaniu do dóbr doczesnych, podczas gdy oni, przewidująco, chcieli po prostu ustrzec od rabunku skarbiec św. Piotra. Wiedział o tym mężczyzna z Rodez, on, który przechowywał na dnie swojego plecaka mały kielich i patenę pochodzące z tamtych czasów.

Nieco później tego samego dnia, gdy kardynałowie posilali się zimnym mięsem i winem rozcieńczonym wodą, kardynał Bernard Lagier powiedział:

– Panowie, chcę, żebyście to wiedzieli. Działiałem pod groźbą śmierci.

Tak oto przypieczętowano losy nowego papieża.

Wieczorem trzeba było przecież sprawę zakończyć. W jednej z pałacowych sal oczekiwało siedmiu wezwanych prałatów, wśród nich Prignano, który nie wątpił w swój wybór i już odbierał od wszystkich zapewnienia o szacunku i najwyższym uznaniu.

W tych rachubach zapomniano o rzymskim motłochu, który obecnie żądał już wyłącznie papieża rzymianina. Kardynałowie pojęli, że nowa przepaść rozwiera się im pod stopami: wszak mogli zaproponować tylko Włocha z Królestwa Neapolu! Kiedy biskupowi Marsylii przyłożono sztylet do gardła, po prostu rzucił klucze i uciekł.

Tłum zewsząd wdzierał się do pałacu, przez mury, okna, latryny...

Raniono w głowę jakiegoś kapelana, zaczęto grabić co się da. Kardynałowie próbowali uciec, ale gromada rabusiów zastąpiła im drogę. Najzważsi ominęli tę zaporę: czmychnęli przez właz na dach i zeszli po drabinie, ale na dole także ich zatrzymano.

Pozostali kardynałowie uciekli do drugiej sali konklawe.

– Jeśli już mam umrzeć, to tutaj – powiedział Piotr de Luna.

– Romano! Romano! – wył tłum...

Wtedy właśnie jeden z uczestników konklawe wpadł na pomysł, by uspokoić rozszalały motłoch, przedstawiając mu jako nowego papieża starego Tibaldeschiego, znanego wszystkim kardynała rzymianina. Ktoś krzyknął:

– Oto nowy papież!

Tymczasem kardynał Montalais usiłował nakłonić starca, by zgodził się na tę fikcyjną intronizację. W końcu go pochwyciono i zawleczono na tron papieski, wciśnięto mu na głowę białą mitrę i narzucono na plecy pontyfikalną kapę z trenem. Kardynałowie uwijali się jak w ukropie wokół paleniska, aż wreszcie z kaplicznego komina wydobył się biały dym. Uderzono w dzwon zwany papieskim i zaintonowano Te Deum.

Przytrzymywany na tronie biedny Tibaldeschi protestował i oganiał się jak diabeł od święconej wody.

– To farsa! Nie jestem papieżem i nie chcę być! To biskup Bari!

Potrząsając gwałtownie głową, osiągnął tyle, że spadła mu mitra. Kardynał Montalais gwałtownym ruchem nasadził mu ją z powrotem na głowę, przytrzymując go za ramiona, aby pozostał na tronie. Starzec miotał przekleństwa. Była to zaiste okrutna farsa.

Powleczono go do sali papieskiej, bardziej już martwego niż żywego. Zmarł kilka dni później.

Tłum nie dał się oszukać.

– No lo volemo! Zdrada!

Inni rzucili się na poszukiwanie Prignano, aby go zatwierdzić albo wymóc rezygnację. Prignano, niemal już się czując papieżem, oświadczył:

– Jeszcze mnie nie znają! Choćby wymierzono we mnie tysiąc mieczy, nie ustąpię!

Później schronił się w sekretnej komnacie, a kardynał Tibaldeschi, pozbawiony swego fikcyjnego papiestwa, znalazł jeszcze dość sił, by dowlec się tam i uznać jego wybór. Przez całą noc czuwała przy nim straż.

W tym czasie pakowali manatki pozostali kardynałowie: Montalais, kardynał

z Mediolanu i inni. Kardynał z Florencji, Piotr Corsini, postawiwszy na złego konia, powrócił bez przeszkód do siebie. Na kardynała z Glandeves ktoś się zamachnął

obosiecznym toporem, ale przy pomocy eskorty swych parafian ze św. Cecylii udało mu się wydostać z opresji; cały i zdrow dotarł do jednego z klasztorów w dzielnicy Trastevere. Piotr de Luna został napadnięty tuż przy Zamku św. Anioła i tylko brawurowy wypad garnizonu fortecy uratował mu życie. Schroniło się tutaj także sześciu innych kardynałów: ocaleli tylko dlatego, że w porę zdążyli się przebrać. Kardynał

z Bretanii miał mniej szczęścia. Przy wyjściu z papieskiego pałacu zaatakowała go banda pijanych rzymian; grożąc nożami, pozrywali mu z palców pierścienie; wyrwał się, dopadł

jakiegoś domu, a potem uciekał po dachach. Nigdy tego nie zapomni.

W ten sposób Bartłomiej Prignano, arcybiskup Bari, został wybrany pośród zamętu i zgorszenia sto dziewięćdziesiątym ósmym papieżem, wedle oficjalnej chronologii watykańskiej.

Nazajutrz, 8 kwietnia przyjął imię Urbana VI; kardynałowie – w samych komżach, gdyż podczas ucieczki pogubili swe purpurowe peleryny, schodzili się niechętnie na intronizację, by złożyć mu hołd. Wielu zapewniało go o swej szczerości w trakcie głosowania. Kłamali. Byli wówczas zbyt przerażeni i wciąż nie doszli do siebie. Inni, bardziej odważni kardynałowie, powstrzymali się od uczestnictwa w tej ceremonii.

Potem wszyscy stwierdzili, że stali się igraszką w rękach diabła.

Przez pierwsze tygodnie wszystko przebiegało prawie zwyczajnie. Uroczystości z okazji intronizacji Urbana VI odbyły się w głównych kościołach Rzymu bez zakłóceń.

Z Awinionu, gdzie przebywało sześciu kardynałów, przybył posłaniec, który w ich imieniu uklęknął przed nowym papieżem, a następnie przekazał Piotrowi Gandelinowi, prefektowi stolicy apostolskiej na Zamku św. Anioła, rozkaz otwarcia bram fortecy.

Wydawało się, że sytuacja się uspokoiła, ale był to tylko pozorny spokój. Wszyscy skrywali swe prawdziwe myśli. Aż do dnia, gdy stało się jawne, że Urban VI – wbrew swej rzekomej łagodności, umiarkowaniu, prostocie, włosienicy i surowym obyczajom

– nienawidzi serdecznie wszystkich tych kardynałów, większości arcybiskupów, a na dodatek obecnych w Rzymie biskupów. Straże papieskie rozbiegły się po całym mieście, tłukąc pięściami w bramy pałaców, willi i klasztorów, gdzie mieszkali ci wszyscy dostojnicy, a doręczyciele krótkiego papieskiego bileciku nakazywali im w obraźliwych słowach wynosić się z miasta i wracać natychmiast do swych szacownych diecezji, zamiast obnosić się po Rzymie z bogactwem sprzecznym z ewangelicznym ubóstwem –

co, nawiasem mówiąc, nie było całkiem fałszywym zarzutem. Ale ton ranił. Toteż wszyscy odebrali to tak samo: papież Prignano postanowił wydalić wszystkich świadków swej elekcji, wszystkich, którzy pamiętali, w jakich okolicznościach się dokonała, i którzy stwarzali ryzyko, że – któregoś dnia – wypomną mu to wszystko. Poważne uchybienia formalne, nieważność wyboru – te słowa prześladowały papieża. Przeczuwał, że lada chwila powróci pamięć i przemówią usta. Ta przeczuwana zdrada czaiła się w każdym spojrzeniu, w każdej twarzy. Postanowił więc ich zastraszyć i dał im to do zrozumienia.

Kryzys objawił się podczas konsystorza, w czerwcu. Z tiarą na głowie, z wysokości swego tronu Jego Świątobliwość wyrzucił z siebie:

– Jesteście wiarołomcami! Czytam to w waszych szpetnych duszach!

Do Orsiniego, który chciał coś odpowiedzieć, zakrzyknął:

– Milcz! Jesteś szaleńcem! Durniem!

Kardynał Piotr de Vergne, człowiek raczej ugodowy, który podniósł trochę głos, został potraktowany nie lepiej. Papież tupał z wściekłości.

– Skończ z tym głupim gładzeniem!

Przyszła kolej na kardynała z Limoges, Jana de Grosa, szambelana papieskiego, a z tego tytułu depozytariusza watykańskich kufrów.

– Podejź tu! Na kolanach Każę poderznąć ci gardło! Złodziej!...

I papież schylił się, podniósł upierścienioną dłoń i wymierzył mu policzek, kalecząc szambelana. Pozostali kardynałowie milczeli, poniżeni Komendant papieskich oddziałów za Grzegorza XI, legat Robert z Genewy, był człowiekiem innego pokroju. Wyprostował

swą wysoką sylwetkę, ale jego głos utonął w istnej powodzi papieskich impertynencji.

– Rozpustniku! Najemny żołdaku! Precz mi z oczu! Jesteś człowiekiem skąpanym we krwi!

Nie dowierzając oczom ani uszom, osłupiały, ale wciąż odważny, zbliżył się do tronu Jan de La Grange, kardynał z Amiens. Nie uczestniczył w konklawe. Wiadomo było, że cieszył się zaufaniem króla Francji, Karola V, co powinno skłaniać Urbana VI przynajmniej do większego pomiarkowania. Ale błąd z wściekłości papież Il' rignano postąpił dokładnie na odwrót:

Przychodzi ostatni, ale do zdrady – pierwszy! Są w mieście buntownicy i to od ciebie odbierają rozkazy!

Tyś teraz papieżem i nie mogę ci odpowiedzieć – odparł dumnie Jan de La Grange. –

Gdybyś był jeszcze tym małym arcybiskupem Bari, odpowiedziałbym temu małemu arcybiskupowi, że splamił usta łgarstwem.

Potem kardynał odwrócił się na pięcie i odszedł, aby zaszyć się w swoim domu w dzielnicy Trastevere. Oskarżono go fałszywie. Ale teraz byłyby już powody. Zwołał

kapitanów oddziałów bretońskich, które były w służbie zmarłego Grzegorza Xi, nawiązał

długie, tajne rozmowy z pozostałymi kardynałami francuskimi i podjął przygotowania do opuszczenia Rzymu, wyznaczwszy im spotkanie w Anagni, w Lacjum, piętnaście mil od miasta.

Niestrudzona Katarzyna ze Sieny widziała nadciągające niebezpieczeństwo. Jej zdrowie się pogarszało. Nie mogła już chodzić, ale walczyła z piórem w dłoni i pulpitem na kolanach. Z czeluści

klasztoru św. Dominika słała do zaślepionego gniewem papieża liczne przestrogi: „Sprawiedliwość bez miłosierdzia byłaby raczej niesprawiedliwością niż sprawiedliwością. Proszę wypełniać swe zadanie z umiarem, gdyż brak miary raczej szkodzi sprawie, niż pomaga. Proszę postępować z dobrą wolą i spokojnym sercem.

Przez wzgląd na miłość do ukrzyżowanego Chrystusa, proszę powściągać nieco te odruchy, do których skłania cię twa natura”...

W przejmujących listach błagała kardynałów, jednego po drugim, by „dla cennej krwi Chrystusa nie zrywali z najwyższym kapłanem i prawdą”. To nic nie dało.

W papieża zaś jakby coś wstąpiło. Na jego rozkaz wtrącono do więzienia kilku pomniejszych prałatów. Nawet trzech włoskich kardynałów z jego kurii nie było już w stanie przywołać go do opamiętania. Jego poplecznicy podburzali ludność w dzielnicach Borgo i Trastevere. Kto popełnił tę nieostrożność, że odezwał się w miejscu publicznym po francusku, ryzykował życie. Płynęła krew z podrzynanych gardel, porzucane na bruku zwłoki cuchnęły, rozkładając się w lipcowym słońcu. Jeden po drugim kardynałowie wymykali się chyłkiem z Rzymu, dołączając w Anagni do Jana de la Grange.

Piotr de Luna, kardynał z Aragonii, opuścił Rzym ostatni.

Długo się wahał; odwoływał do najgłębszych pokładów swego sumienia, studiował

prawnicze teksty, zasięgał rady wszystkich stronictw, wysłuchując wszystkich opinii; a zwłaszcza raz jeszcze przeżywając wywoływany z pamięci – a pamięć miał dobrą –

słowo po słowie, szczegół po szczególe ten godny pożałowania łańcuch wydarzeń, które doprowadziły do wyboru Urbana VI.

Warto pamiętać o tych wahaniach Piotra de Luny, który, gdy sam zostanie papieżem i przybierze imię Benedykta XIII, obwieści całemu światu swą niezachwianą pewnością, że jest jedynym i prawdziwym papieżem i pozostanie przy tym do swego ostatniego tchnienia – a echo jego głosu odbijać się będzie z wieku na wiek i dotrze aż do nas, aczkolwiek z upływem czasu coraz słabsze, coraz bardziej zniekształcone, prawie już niesłyszalne...

W tamtej epoce papież, władcy tak świeccy, jak i duchowi, byli również wodzami wojsk. Pięć tysięcy papieskich najemników, z góry już rozgrzeszonych, pobłogosławionych i upewnionych obietnicą bezkarnego rabunku, ruszyło na Anagni; rozkaz brzmiał: siłą czy po dobroci, sprowadzić Święte Kolegium z powrotem do Rzymu.

Anagni broniło tysiąc żołnierzy z oddziałów bretońskich oraz dwustu wojaków z Langwedocji, dowodzonych przez słynnego kapitana Bernardyna de la Salle, starego druha Du Guesclina. Tego dnia Bóg wybrał jego obóz. Po krótkiej bitwie, która pochłonęła tysiąc zabitych i rannych po stronie przeciwnej, armia papieska w beładzie rzuciła się do ucieczki, ścigana aż do warownych murów Rzymu. Należało spodziewać się kontrataku.

Kardynałowie, powodowani ostrożnością, postanowili wycofać się do Fondi, piętnaście mil na

południe, gdzie władze Kampanii mające swoje powody, by uskarżać się na papieża, zaofiarowały im ochronę. Królowa Joanna Neapolitańska posłała swego męża, księcia Ottona Brunszwickiego z dwustoma rycerzami i setką pieszych łuczników.

Z Francji pędził co koń wyskoczy posłaniec od króla Karola V, wioząc obietnicę wsparcia militarnego i finansowego. Karol V długo się wahał, podobnie jak wcześniej Piotr de Luna, zasięgając opinii doradców. I on nie zwykł podejmować pochopnych decyzji. Dopiero teraz polityka wkraczała na scenę wielkiej schizmy zachodniej, ale była jej skutkiem, nie przyczyną. Żaden chrześcijanin w tamtych czasach nie zdawał sobie sprawy, że oto następuje, spowodowane lekkomyślnością lub cynizmem, to nieuniknione rozdziarcie.

Przyparty do muru, Urban VI próbował negocjować. Po śmierci starego Tibaldeschiego, wskutek tamtej maskarady z 8 kwietnia, papieżowi Prignano pozostało już tylko trzech wiernych włoskich kardynałów: rzymianin Orsini, mediolańczyk Borsano i florentyńczyk Corsini, ale i oni mieli pewne obiekcje. Wszyscy trzej ruszyli w drogę do Fondi z tą tylko misją, by zaproponować zwołanie w Rzymie rady generalnej.

Misja się nie powiodła. Dnia 9 września trzynastu kardynałów „zza gór” głosem szambelana Jana de Grosa podało do publicznej wiadomości encyklikę uznającą wybór Urbana VI za nieważny, gdyż narzucony przez nacisk i przemoc ludu oraz ogłaszającą wakat na Stolicy Apostolskiej. Następne konklawe zwołano do Fondi, na 18 września.

To właśnie wtedy miał miejsce ten dziwny epizod, który odsłonił to, co dzisiaj nazywamy „wyborczym bagnem”. Chodziło ni mniej, ni więcej jak tylko o to, by papież Prignano zmienił układ większości w Świętym Kolegium, mianując szybko grupę nowych, sobie oddanych kardynałów. W zamieszaniu towarzyszącym tamtym wydarzeniom pomysł ten podpowiedziała mu Katarzyna ze Sieny. Fakt, że ta niezwykła święta dziewica na ostatek zaproponowała tak nikczemną metodę, musiał poważnie osłabić wpływ jej protestów, którymi zasypywała potem możnych tego świata.

Kardynałowie rozpoczęli konklawe w siedzibie władz Fondi.

Wejścia zostały zamurowane, zakazana łączność z otoczeniem, tłum trzymany był

w należytej odległości. Jan de Gros, kardynał z Limoges, pierwszy zabrał głos:

– Włosi życzą sobie papieża włoskiego, Francuzi chcieliby kogoś z ich narodu.

Jestem zdania, panowie, by nie zadawałać ani jednych, ani drugich, i wybieram na papieża kardynała Roberta z Genewy. Jako Niemiec będzie do przyjęcia dla wszystkich i nie wzbudzi zazdrości.

Wszyscy kardynałowie wypowiedzieli się w tym samym duchu. Trzej kardynałowie włoscy, którzy byli pośród obecnych, oświadczyli, że wstrzymają się od głosowania, ale w każdym wypadku uznają wybór za kanoniczny.

Przeprowadzono głosowanie.

Dnia 20 września rano wybrano kardynała Roberta z Genewy. Otrzymał prawie komplet głosów – za wyjątkiem jednego.

Miał trzydzieści sześć lat. Był synem księcia Cesarstwa, ze strony matki, księżnej de Boulogne, młodszym kuzynem króla Francji i młodszym bratem księcia Genewy. Do swych krewnych zaliczał także cesarza i króla Węgier. Był potężnie zbudowany i miał

miłą powierzchowność (choć trochę zezował i lekko utykał), dzwięczny głos i życzliwy wyraz twarzy. Mówił i pisał w kilku językach. Łatwo zjednywał sobie szlachtę, wojskowych i artystów. Był papieżem na miarę epoki. Był także człowiekiem energicznym.

Został koronowany tegoż dnia w katedrze w Fondi, w obecności Ottona Brunszwickiego i ambasadorów królowej Joanny, przyjął imię Klemensa VII i odebrał

hołd od wszystkich kardynałów, zarówno francuskich, jak włoskich.

Ale dziewczica ze Sieny nie składała broni. W swej samotni na Watykanie papież Urban VI otrzymał od niej takie oto płomienne posłanie: „Dowiedziałam się, że diabły w ludzkiej skórze doprowadziły do elekcji. Lecz nie namiestnik Chrystusa został

wybrany, to Antychryst! Nigdy nie przestanę widzieć w Tobie, mój kochany Ojcze, Wikariusza Chrystusowego na tej ziemi. Odwagi zatem, Wasza Świątobliwość, przyjmij tę walkę bez trwogi, gdyż aby walczyć, trzeba być odzianym w zbroję Boskiej miłości, która jest niezawodną obroną”...

W tym samym czasie kardynałowie zgromadzeni w Fondi poczęstowani zostali iście furiackimi listami. Święta nie liczyła się ze słowami: „O, głupcy, głupcy, tysiąc razy zasługujący na śmierć! Jak ślepcy nie dostrzegacie własnego zła... Chcielibyście, byśmy uwierzyli, że wybraliście papieża tylko ze strachu? Ten, kto to mówi, kłamie. Być może powiecie nam: Dlaczego nam nie wierzysz? My, którzy byliśmy przecież tymi elektorami, znamy lepiej prawdę, niż ty... Ale ja odpowiadam, że sami pokazaliście, jak obchodzicie się z prawdą”... To była istota problemu.

„Zbroja Boskiej miłości” przywróciła odwagę złożonemu z urzędu papieżowi.

Desygnował więc dwunastu nowych kardynałów, by zastąpić nimi swą nieobecną kurię, a potem posłał najemników rzymskich do Zamku św. Anioła, który Jan Gandelin dzierżył

nadal w imieniu papieża Klemensa VII. Z braku żywności i zasobów forteca skapitulowała po sześciu miesiącach okrutnego oblężenia. Wszędzie wokół Rzymu

„ludzie Klemensa” i „ludzie Urbana” ścierali się w krwawych walkach, a rywalizujący papież ekskomunikowali się wzajemnie, obkładając anatemami. Jakież świadectwo wielkości chrześcijaństwa! Jak wspaniały był Kościół katolicki, apostołski i rzymski! Jak walczono o niego, siłami armii, papieży, a nawet świętych – św. Katarzyna ze Sieny, św.

Brygida ze Szwecji, bł. Gerard Groote po stronie Urbana; św. Wincenty Ferreriusz, bł.

Piotr z Luksemburga, św. Koleta z Corbie – Klemensa!

Gwałtowność tych sporów świadczyła przynajmniej, że Kościół był żywy i że na tej ziemi nie było innej takiej siły duchowej.

Wobec faktu, że ludność Rzymu i państw papieskich opowiedziała się za papieżem Prignano, którego oddziały były znacznie liczniejsze od oddziałów przeciwnika, Klemens VII wsiadł na okręt i popłynął do Neapolu, gdzie jednak został źle przyjęty mimo poparcia udzielanego mu przez królową Joannę. Wówczas udał się do Marsylii, gdzie tłum zgotował mu tryumfalne powitanie. Eskortowany przez Prowansalczyków i Aragończyków, 20 czerwca 1379 roku wraz ze swymi jedenastoma kardynałami wkroczył uroczyście do Awinionu. Była piękna pogoda, biły dzwony, nikt spośród tych, którzy tak tłumnie go przyjmowali, nie skrywał sztyletu w rękawie, kobiety rzuciły mu kwiaty, a na drodze przejazdu nawet Żydzi uchylali swe czarne kapelusze. Ukochane miasto odzyskiwało swojego papieża. Tu miał samych przyjaciół.

Pierwszym liczącym się władcą, który go poparł, był król Francji Karol V. Nie chodziło mu o tę wygodę, iż, w pewnym sensie, ma papieża pod ręką, chociaż, oczywiście, wydawał się z tego zadowolony; była to decyzja przemyślana, natury religijnej, nie politycznej. Zanim oficjalnie poparł Klemensa, zasięgnął wielu opinii, spotkał się z większością francuskich biskupów i zwołał do Vincennes swą Wielką Radę złożoną z prałatów, teologów, baronów, uczonych i rycerzy. Za wyjątkiem niektórych ciasnych umysłów z Uniwersytetu Paryskiego, spiskujących przeciw władzy królewskiej i autorytetowi biskupów – wszyscy opowiedzieli się za Klemensem VII. Tak samo postąpiła Szkocja, Sabaudia, Kastylia, Aragonia, Nawarra, Portugalia, Prowansja, Langwedocja, Bretania, Piemont, Sycylia, Królestwo Neapolu i Bawaria. Państwa niemieckie się podzieliły: największa część dołączyła do obediencji Urbana VI, wraz z Cesarzem i królem Węgier (wbrew więzom pokrewieństwa, jakie powinny zbliżać go do Klemensa VII), oraz Anglią, Flandrią, Holandią, Szwecją, Danią, Czechami, Polską i połową Italii. Ciekawe, że – za wyjątkiem dwóch ostatnich – w większości tych państw rozpanoszyła się prędzej czy później herezja lub schizma, podczas gdy narody wierne Klemensowi VII pozostały uparcie katolickie nawet po zalewie reformacji, zapowiadanej już wówczas działalnością Husa i Wiklefa.

Nie wszędzie tak popękało. Początkowo liczni biskupi uważali się za podwójnych nominatów: i Klemensa, i Urbana. Dwaj papieże wysyłali swych legatów do wszystkich władców, którzy jeszcze się wahali. Później, bardzo szybko, granice się ustaliły.

Chrześcijaństwo miało dwóch papieży!

A raczej papieża i antypapieża.

Ale kto był tym pierwszym? Kto tym drugim?

Limoia, 1973

Limoux, Aleth, Quillan, na południe od Carcassonne, to stare karolińskie księstwo Razes. Trzeba było twardej ręki Karola Wielkiego, aby nauczyć żyć tych dzikusów, mających oparcie w górach i skalistych szczytach krainy, która wydała później tak wielu nawiedzonych, bożych szaleńców, heretyków, namiętnych kaznodziejów, najgorliwszych mnichów. W promieniu trzydziestu kilometrów wznoszą się tu apokaliptyczne ruiny zamków katarów: Queribus, Peyrepertuse, Termes, Puylaurens, Montsegur, Aguilar.

Ledwo pogasły stopy, „doskonali” przeobrazili się w waldensów, potem w hugenotów i za Ludwika XIV, za przykładem biskupa Aleth, Mikołaja Pavillona –

w jansenistów. Zawsze zbuntowani, zawsze potępieni, zawsze gotowi zaczynać od nowa

– aż do czasów III Republiki, gdy radykalny socjalizm i intensywna produkcja miło uderzającej do głowy graszkówki oderwały ich ostatecznie od wielkich porywów wiary.

Jeśli ten ogień jeszcze się w nich tlił, to bardzo słabym żarem, niezdolnym się rozplomienić. Diecezję tę, założoną przez drugiego awiniońskiego papieża, Jana XXII, wykreślono z mapy w roku 1791, wraz z czterdziestoma biskupstwami czasów monarchii, wśród których było Glandeves, Riez i Senez, Vabres – ofiary nowego podziału administracyjnego i systematycznego niszczenia lokalnych odrębności. Katedra w Aleth, już wówczas mocno zdewastowana przez hugenotów, zakończyła swój żywot w ten sposób, że się po prostu pewnego dnia zawałiła wśród powszechnej obojętności, jak owe siedziby biskupów in partibus infidelium, z upływem wieków zamienione w kamienne kikuty, zagubione w afrykańskich piaskach.

Tam właśnie, w Aleth, w nocy z 24 na 25 kwietnia 1973 roku, gdy prezydentem Republiki był Pompidou, a premierem – Messmer, niejaki chorąży Plassard, komendant brygady żandarmerii z Limoux, dokonując rutynowego patrolu na drodze nr 118, zauważył w ruinach katedry jakieś migoczące światełka, co, zważywszy na porę – była godzina trzecia minut piętnaście w nocy – było dość zastanawiające. Hiszpania generała Franco nie była daleko, pienił się terrorizm baskijski, więc chociaż okręg należał do spokojnych, a sześciuset mieszkańców Aleth trudno było podejrzewać o nocne przygody

– Plassard wyciągnął z kabury pistolet, pozostawił na miejscu brygadiera Durano jako łącznika i zaczął się skradać w stronę ruin, skąd teraz zaczęły go dobiegać jakieś przytłumione śpiewy w melodyjnym, miłym dla ucha języku, który od razu skojarzył mu się z jego pierwszą komunią, i w którym, natężając ucha, rozpoznał starą, dobrą łacinę Kościoła z czasów swego dzieciństwa. Były to dwa, może trzy głosy, wszystkie męskie, niewiele głośniejsze od szeptu i wyraźnie dbające, by nie zwrócić niczyjej uwagi i nie obudzić mieszkańców sąsiednich domów. Plassard schował broń, bo nagle wydał się sobie śmieszny z tym pistoletem w dłoni. Dachem katedry było już tylko wygwieżdżone sklepienie nieba. Z murów zachowały się tylko niektóre kolumny, wspomnienie po ziejących pustką arkadach. Najwyraźniej Urząd Ochrony Zabytków spisał tę budowlę na straty, zadowolając się postawieniem ochronnych płotków wysokości człowieka w miejscach, gdzie budowla groziła zawaleniem. Jedynie prezbiterium z trzema łukami sklepienia, wedle starego obyczaju zwrócone tyłem do wschodu, pozostało nienaruszone, ale mury kończyły się na wysokości głównego ołtarza, z którego pozostał tylko samotny cokół.

Właśnie przez szparę w płocie chorąży Plassard spostrzegł postaci trzech mężczyzn, którzy tworzyli w świetle księżycy jakby żywy obraz. Jeden z nich klęczał tyłem do Plassarda. Dwaj inni stali twarzą do niego, jeden nieco z tyłu, jakby z szacunku dla swego towarzysza, który trwał nieruchomo z ramionami wyciągniętymi nad głową klęczącego mężczyzny. Na ile Plassard zdołał dojrzeć, w tym półmroku i z tej odległości, nikt z tej trójki nie był ubrany w jakiś szczególny sposób. Główna postać tego zdumiewającego trio wyróżniała się jednak jakąś czerwoną szarfą na szyi. Głosy umilkły.

Jeśli odbywała się tu jakaś ceremonia, to właśnie dobiegła końca. Rozstając się, trzej mężczyźni objęli się i uścisnęli, a czerwona szarfa gdzieś zniknęła, zapewne w kieszeni tego, który miał ją wcześniej na szyi. Zgasły dwie świece, które oświetlały te scenę.

Plassard wahał się. Była to chwila, by wkroczyć, sprawdzić tożsamość, zażądać wyjaśnień względem ich dziwnej obecności w tym miejscu, o tej porze. A przynajmniej przyjrzeć się im z bliska, by zapamiętać ich wygląd i twarze. Nie popełnili żadnego przestępstwa, nie wydawało się też, by zagrażali porządkowi publicznemu, ale robota żandarmerii polega przede wszystkim na tym, żeby wiedzieć. Nic nie powinno ujść jej uwadze. Mogła to być jakaś sekta religijna. Sekty zaczęły rozprzestrzeniać się jak wysypka na ciele chorego. Najnowsza instrukcja Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nakazywała policji i żandarmerii wzmożoną czujność. Ale coś powstrzymywało Plassarda, jakieś przeczucie niestosowności tej interwencji. Przesłuchiwanie tych nieznanomych w nakazanej prawem formie, wciąganie ich w te tryby formalnego dochodzenia z zadawaniem rutynowych pytań i sporządzaniem raportu dla przełożonych... – to wszystko wydało mu się czymś niegodnym, jakby zdradą.

Zdradą... – ale kogo? Lub czego? Przypomniały mu się obrazki, o niemodnej dziś naiwności, wsuwane kiedyś między stronice książeczki do nabożeństwa. Plassard rzadko bywał w kościele, ale czasem jeszcze wspomnienia uwalniały się z niepamięci.

Plassard zaklął pod nosem. To nie czas na dywagacje, nie za to mu płacą! Postać z czerwoną szarfą gdzieś zniknęła, także ten drugi. Słyszał ich oddalające się kroki za prezbiterium, potem umilkły w mrokach nocy. Pozostał trzeci mężczyzna, który ponownie uklęknął i tak trwał bez ruchu. Teraz chorąży już się nie wahał. Przecisnąwszy się przez szparę w płocie podszedł do niego, a że klęczący nie poruszył się na odgłos kroków, obszedł go dookoła, jak obchodzi się pomnik. W świetle latarki ujrzał człowieka lat około sześćdziesięciu, wychudzonego, o zapadłych policzkach, ubranego w wytarty chłopski surdut z pasterską kapą narzuconą na ramiona; obok na ziemi leżał plecak.

Mężczyzna chyba się modlił, miał zamknięte oczy, rozłożone ramiona...

– Spodziewałem się pana – powiedział.

Otworzył oczy i uśmiechnął się. Potem dźwignął się z wysiłkiem: niezręcznie, najpierw z jednego kolana, potem z drugiego. Był wycieńczony.

– Co pan tu robi? – zapytał Plassard.

Mężczyzna znów uśmiechnął się:

– Jestem u siebie.

Plassard zdziwił się:

– W tych ruinach?

– A czyż to nie katedra? Katedra naszego Aleth...

– A ten mężczyzna z szarfą... Co z nim?

– Nie mogę odpowiedzieć. Nikt panu nie odpowie.

– Dlaczego nie poszliście razem?

– Bo nasze drogi muszą się rozejść.

Zachwiał się. Plassard pomyślał, że zaraz upadnie.

– Coś panu dolega?

– Nic takiego. Jestem tylko trochę zmęczony.

Choraży przyjrzał mu się uważnie: miał zapadłe policzki, wystające kości policzkowe, ziemistą cerę, ale spojrzenie żywe, wolne od skargi.

– Jest pan głodny. To z głodu, prawda?

– Bardzo możliwe. Przywykłem.

– Kim pan jest?

– Ci, którzy mnie znają, a jest ich niewielu, mówią do mnie Jakub.

Plassard podjął decyzję.

– Proszę pójść ze mną.

– Jestem aresztowany?

– Ależ skąd. Musi pan coś zjeść. Potem pomówimy, bez świadków.

– Nie mam nic szczególnego do powiedzenia.

– W porządku, nie musi pan nic mówić...

I tak to się odbyło.

Teraz mężczyzna siedział w biurze szefa brygady żandarmerii, na parterze posterunku w Limoux.

Choraży przygotował mu szybko pajdę chleba z szynką i filiżankę gorącego rosółu.

Okiennice były zamknięte.

Plassard posłuchał odruchu. Zdejmując szary pokrowiec z maszyny do pisania, na której zwykle wystukiwał dwoma palcami swe raporty, obserwował kątem oka mężczyznę, który zabierał się do jedzenia. Jeśli zaszłaby taka potrzeba, zawsze będzie jeszcze czas na formalności – pomyślał. Była czwarta rano. Mężczyzna nie wyglądał na kogoś, kto się gdzieś śpieszy. Uczynił znak krzyża nad chlebem, wymówił jakieś łacińskie słowa, bez żadnej ostentacji, najwyraźniej nieświadomy dziwaczności swego gestu, potem bez skrępowania zaczął jeść, ale zjadł tylko połowę chleba; wypił całą filiżankę rosółu, nie odmówił szklaneczki wina, potem powiedział po prostu:

– Dziękuję panu.

Plassard nie wytrzymał:

– Jest pan... Jest pan księdzem?

Mężczyzna skinął głową.

– Katolickim?

Mężczyzna znów przytaknął.

– Ma pan coś na sumieniu?

Mimo coraz mniejszej popularności Kościoła wciąż jeszcze nie brakowało naiwnych.

Nie tak dawno Plassard capnął fałszywego księdza, który głosił kazania i bardzo przekonująco kwestował na rzecz misji. Ale ten głodny człowiek, który siedział

naprzeciwko, z pewnością nikogo nie okradł.

– Nie – odpowiedział mężczyzna.

I jakby odgadując myśli Plassarda, dodał:

– Kiedyś byliśmy prześladowani, ale z powodów, które nijak się mają do moralności czy do prawa. To było bardzo dawno.

Potem o nas zapomniano.

– To dlaczego się ukrywacie?

– My się wcale nie ukrywamy. Po prostu nie żyjemy w tym świecie, tutaj... Nasze życie nie pozostawia śladów... – poprawił się. – Nasz ślad widać tylko z Góry. Jesteśmy już tylko zagubioną pamięcią.

– Mówi pan „my”. Jest was wielu?

– Wielu?... – mężczyzna się uśmiechnął. – Z tego, co wiem, obecnie jest nas siedmiu.

Ale niektórzy już jedną nogą w grobie i nikt ich nie zastąpi. Kiedyś, gdy umierał jeden, znajdował się inny. Dziś nikt nas już nie zastąpi.

– Ale w czyim imieniu pan mówi?

Mężczyzna przymknął na chwilę oczy, a chorążego Plassarda uderzyła pogoda jego wychudzonej twarzy, promieniującej niezwykłym spokojem.

– I na to nie mogę odpowiedzieć, a nawet, gdybym mimo wszystko odpowiedział, ta odpowiedź nie miałaby sensu ani dla pana, ani dla nikogo na tej ziemi, z wyjątkiem... –

urwał. Po chwili dodał: – Zresztą, kto by mi uwierzył? Pan jest dobrym człowiekiem.

Nakarmił mnie pan, pozwolił się ogrzać. Nie użył pan swej władzy. Dlatego powiedziałem panu o niektórych sprawach. To zdarzało się innym, przede mną. Trzy, cztery razy w stuleciu, ale zdarzało się. Zapewne jest wolą Boga, byśmy przekazywali sobie te znaki...

Chorąży Plassard usiłował zebrać myśli. Mężczyzna przyznał, że jest księdzem katolickim. W ruinach katedry Aleth, jak się wyraził, był u siebie, a w katedrze „u siebie”

jest biskup... Ale w Aleth od dawna nie było biskupa.

W samym środku nocy ktoś położył temu mężczyźnie ręce na głowie. Ten ktoś pozostawał tajemnicą, a korzenie tej tajemnicy grzęzły w odległej przeszłości, o której ten mężczyzna najwyraźniej nie miał ochoty opowiadać. Wszystko to pasowało do siebie, układało się w jakąś całość, ale brakowało klucza. W podenerwowanym Plassardzie znów odezwał się żandarm:

– Ma pan jakieś dokumenty? – zapytał szorstko.

Mężczyzna nie okazał zdziwienia. Sięgnął do plecaka i wyjął mocno sfatygowany portfel.

– Oczywiście. Czyż można żyć bez dokumentów? Czasem nawet ja muszę się kontaktować z tym światem. Jakub z Betlejem nie jest imieniem, które tu zapisano, które noszę po ojcu. Nazywam się...

Wystarczyłby jeden ruch, otwarcie portfela, by ta rozmowa przekształciła się w zwykłe policyjne przesłuchanie. Cztery kalki, cztery podwójne. Tak-tak-tak, tak-tak-tak-tak... Nazwisko?

Imię? Data i miejsce urodzenia? Zawód? Źródła utrzymania?...

Zatrzymany o trzeciej piętnaście nad ranem w towarzystwie dwóch nieznanymi osobników, z którymi uczestniczył w jakimś rytuale przypominającym obrzędy religijne, w ruinach katedry w Aleth, do której dostali się wskutek włamania i bez wcześniejszego zezwolenia konserwatora zabytków. Wyżej

wymieniony, który podaje się za katolickiego księdza, ale nie nosi żadnych zewnętrznych oznak stanu kapłańskiego, twierdzi, że się nie ukrywa, nie złamał prawa ani zasad moralności. Wyżej wymieniony odmówił podania tożsamości towarzyszących mu osobników, którzy uciekli na początku podjętej interwencji. Pytany o powód swej obecności i znaczenie sceny, której byłem świadkiem (patrz załącznik 1 niniejszego protokołu) wyżej wymieniony dał odpowiedź wymijającą, twierdząc, że był kiedyś prześladowany, bez wskazania wszakże daty, miejsca i powodów, oraz że w ruinach katedry Aleth jest u siebie, ale nie wyjaśnił, co to znaczy...

Cztery duplikaty, cztery kopie, dwie dla przełożonych, jedna dla Informacji Ogólnej w Audes, jedna dla Wydziału Wyznań Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, z prośbą o ewentualne informacje. Tak przedzie się ta nić. Potem czekałoby go przekazanie do siedziby okręgu, pod strażą, a tam zdjęcia, pobranie odcisków palców i test psychiatryczny, bo bez wątplenia od tej strony sprawdzano by go przede wszystkim, z góry uznając za nie zrównoważonego psychicznie, choć prawdopodobnie niegroźnego.

W najlepszym wypadku zwolniono by go po badaniach, ale już notowanego, upokorzonego...

– Nazywam się Jakub Dolonne – spokojnie kontynuował mężczyzna. – Narodowość francuska. Urodzony w Caylar, departament Herault...

Tak-tak-tak, tak-tak-tak-tak. Od tego należało zacząć. Nazwisko: Dolonne. Imię: Jakub. Mówi o sobie: Jakub z Betlejem...

– Dlaczego z Betlejem? – spytał Plassard.

– Było takie biskupstwo w Ziemi Świętej, obok Tyberiady, Hebronu, Cezarei, Gibelet.

Mężczyzna wyglądał na rozmarzonego. Trzymał ciągle w ręku portfel z dokumentami. Jak przełożyć tę odpowiedź na język protokołu z przesłuchania? Wyżej wymieniony oświadczył, że jego pseudonim ma związek z Ziemią Świętą... To tym zajmuje się żandarmeria w Limoux? Co za historia, co on sobie wyobraża, ten Plassard?

Jakiś kłoszard nagadał mu głupot... Śmiano by się na całego. Zalecenie: niech idzie do psychiatry. A jednak nie było się z czego śmiać. Czy chorąży Plassard potrafiłby wyjaśnić swym zaintrygowanym przełożonym, dlaczego ten siedzący przed nim mężczyzna tak go onieśmiał? Dlaczego jego spojrzenie narzucało szacunek i budziło zarazem głębokie współczucie, a każde jego słowo brzmiało prawdziwie z powodu tego, co zostało powiedziane, ale zwłaszcza z uwagi na to, co powiedziane nie zostało?

– Niech pan schowa te papiery. Nie chcę ich oglądać.

Jednocześnie nałożył z powrotem pokrowiec na maszynę.

– Co pan zamierza ze mną zrobić? – zapytał mężczyzna.

– Jest pan wolny. Ale powinien pan się trochę przespać. Ja zresztą też. Ma pan jeszcze całe trzy godziny. Tu będzie pan miał spokój. Nikt nie wchodzi do mojego biura.

Drzwi zamykają się od wewnątrz.

Wyjął z szafy kołdrę, rozłożył połówkę, której używał podczas dyżurów. Potem otworzył usta, chcąc coś powiedzieć. Mężczyzna przecząco pokręcił głową. Rozstali się więc w milczeniu, a Plassard zabrał tacę z naczyniami.

Nazajutrz rano, o siódmej połowe łóżko było złożone, kołdra starannie poskładana.

Na biurku szefa brygady żandarmerii leżała zamknięta koperta, a w niej kartka papieru wyrwana z zeszytu, z tymi słowami: Niech panu Bóg błogosławi. Jakub, kard. z Betl.

Przed podpisem widniał znak krzyża.

Plassard schował list, zasiadłszy za biurkiem, rozpoczął nowy dzień.

Ta historia prześladowała go jeszcze przez pewien czas. Kiedyś, ogarnięty zawodowymi skrupułami, zwierzył się podprefektowi z Limoux, do którego miał

zaufanie, a następnie przekazał mu, na jego prośbę, poufną, jednostronicową notatkę oraz tę wyrwaną z zeszytu kartkę, zawierającą cztery słowa i podpis, i nigdy już więcej o tym nie mówił. O natchnionym włóczędze nie było żadnej wiadomości, a przecież, zanim zniknął, człowiek ten dobrowolnie, w tym pozostawionym bileciku (czy może: powierzonym?) przekazał mu ostatnią informację. Życie toczyło się dalej.

Zapomniał o niej.

Nocera, Królestwo Neapolu, 1384

Oblężona forteca, między Salerno a Neapolem. Okolica roi się od najemników na rozkazach Karola de Duras, króla Neapolu.

Zamknięte w fortecy oddziały rzymskiego papieża pozostają mu lojalne tylko dlatego, że je opłaca, ale żołdacy gotowi są do zdrady na pierwszy sygnał obniżki wytargowanego żołdu. Urban VI sam nakazał rabować kościoły diecezji neapolitańskiej, grabić kapituły i klasztory, by napęłnić kieszenie najemnych kompanii morderców – i tak jest od dwóch lat, odkąd zaczęła się ta krwawa i okrutna eskapada.

W twierdzy Nocera dzwony biją cztery razy dziennie, by tak rzec, nadprogramowo, bo prócz tego wydzwanianą wszystkie godziny kanoniczne i msze, za każdym razem płosząc stada kruków, zaniepokojonych natężeniem dźwięku. Mury obronne zapełniają się ludźmi, niosącymi zapalone świece, klerykami, żwawo wywijającymi kadzielnicami, wpółżywymy księżmi oraz przerażonymi kardynałami; szczęściu z nich siedzi już w lochach papieskiej twierdzy, z łańcuchami na rękach, nogach i szyi. Kto będzie siódmy, wydany na męki, spośród tej liczącej czternastu kardynałów kurii, którą

Ojciec Święty przywłókł z Rzymu aż tutaj na wozach, jak bydło? Od rana ci nieszczęśnicy zadają sobie to pytanie, podczas gdy z okienka lochu dobiegają bolesne jęki.

Pojawia się papież Prignano, Jego Świątobliwość Urban VI, w rękawiczkach, upierścieniony, z tiarą na głowie, zgrzybiały i okrutny starzec, zatwardziały w swych obsesjach. Porusza się sztywnym, nerwowym krokiem, jak zepsuty automat. Po jego twarzy przebiegają nerwowe tiki. Towarzyszy mu jak cień gburowaty młodzieniec o ponurym obliczu, Angelo Prignano, jego siostrzeniec, pan fortecy Nocera i innych lenn neapolitańskich z woli swego wuja, który wybrał tę czarną i szpetną duszę jako jedynie godną swego przywiązania. Ten Angelo – jego imię znaczy: Anioł! – przybył z Rzymu z gromadą swych utrzymanków i ladacznic. Ma maniery szakala, obyczaje wieprza, chciwość sępa. Na szyi ma powieszony klucz od papieskich kufców. Przebiega oczami po członkach kolegium kardynalskiego, jakby wypatrując ofiary. Jest jedynym doradcą, którego Jego Świątobliwość raczy słuchać.

Pojawia się ksiądz, otwiera przed nim księgę z ekskomunikami. Można powiedzieć, że papież znajduje w nich upodobanie.

Głos mu drży złośliwą radością. I w ten sposób, cztery razy dziennie, z wysokości murów obronnych twierdzy Nocera rzymski papież obrzuca anatemą Karola III i jego armię, która oblega fortecę.

Że pozbawieni są sakramentów, wydani na wieczne płomienie, że zamknięte są dla ich szczątków doczesnych cmentarze, a ich kapłani suspens a divinis, ich kościoły zamknięte, kościelne dzwony skazane na milczenie, per Christum Dominum nostrum qui vivit et regnat cum Deo Patre in unitate Spiritus Sancti Dei, per omnia saecula saeculorum... Wojacy na murach, przy strzelnicach, trącają się łokciami i rechoczą bez żenady. Ani ta powaga ekskomunik, ani te wymowne „ojczenasze” nie sprawią, że Duras odstąpi od oblężenia. Jeszcze na początku można było w to wierzyć, ale gdy tak cztery razy na dzień, od tygodni!... Stary Prignano robi się żaloszny. Tak samo myślą kardynałowie i całe obecne tu duchowieństwo, ale im akurat wcale nie jest do śmiechu.

Chodzi o godność rzymskiego Kościoła. Skonsternowani milczą. Zachowują kamienne twarze, ich oczy nie wyrażają nic. To cena życia.

Jak papież Prignano do tego doprowadził? Co go do tego pchnęło?

Nienawiść. Zwyczajna nienawiść.

Neapol nie jest bardzo oddalony od Rzymu: na południu Italii, tam, gdzie kończą się kraje papieskie, zaczyna się Królestwo Neapolu. Właśnie przy poparciu królowej Neapolu, pod opieką jej rycerzy i jej męża, Ottona Brunszwickiego, sześć lat wcześniej, w Fondi, zdradzieccy kardynałowie wybrali tego Antychrysta z Awinionu, tego, którego imienia nie wolno przy papieżu wymawiać, bo zadławiłby się z wściekłości. Wobec króla Francji Urban VI jest bezsilny, bezsilny jest także wobec królów Kastylji, Aragonii, Nawarry, elektora bawarskiego, księcia Sabaudii... Ale królowa Neapolu! Ona jest w jego zasięgu! Zapłaci za pozostałych. Zapłaci swoim życiem, swymi posiadłościami. Oto już sześć lat, jak papież syci się zemstą. To jedyna idea jego pontyfikatu. Tak jak podszeptała mu Święta ze Sieny – Urban VI przywdział „zbroję „Boskiej miłości”. Tak przyodziany, goreje nienawiścią.

Zaczął od obłożenia królowej Joanny ekskomuniką. Obwieścił jej detronizację.

Wezwał do krucjaty przeciw niej i zebrało się wszelkiego rodzaju bezrobotne żołdactwo, w które obfitował półwysep. Joanna miała przybranego syna, Karola de Duras, awanturnika bez skrupułów, któremu obca była miłość synowska. To właśnie jego wybrał Prignano, by poprowadził armię krucjaty. Targ został szybko dobity, chociaż wszyscy wiedzą, że oskarżenia wobec Joanny to tylko stek pomówień. Syn ograbi matkę, której zawdzięcza wszystko, i nasadzi sobie na głowę koronę Neapolu, a papież nada mu inwestyturę. Ile to będzie kosztowało Durasa? Łącuszek miast, które odda w lenno temu okropnemu papieskiemu siostrzeńcowi – Kapua, Caserta, Aversa, Amalfi, Nocera... Ale jak opłacić armię? We wszystkich państwach kościelnych papież nakazał przejąć beneficja diecezjalne, klasztorne i lenna kardynalskie. Kardynałowie zaprotestowali.

Panowie kardynałowie, cóż za odwaga! Znalezione więc zwłoki zasztyletowanego patriarchy z Aquili, dziekana Świętego Kolegium. Żywcem wyłupiono mu oczy.

Wyrwano mu wszystkie paznokcie. Przesłanie zostało zrozumiane. Kardynałowie się ukorzyli.

Ubity interes zaczynał przynosić owoce. Najpierw zabójstwo królowej, uduszonej przez Durasa podczas wzruszającej sceny rodzinnej. Te Deum u św. Piotra w Rzymie.

Papież jest usatysfakcjonowany, ale nie na długo. Karol de Duras, teraz już Karol III, król Neapolu, nie chce spłacać swoich długów, które zaciągnął jako Duras. Ukochany siostrzeniec papieża niech się każe powiesić. Obiecane miasta? O, król dobrze ich teraz pilnuje, a drogi Angelo wypłakuje się w przeczysty gronostaj Ojca Świętego. Nowy atak furii Jego Świątobliwości. Nowa krucjata, ale tym razem poprowadzi ją sam papież.

Z braku innej możliwości najął pod swe sztandary resztki dawnych oddziałów Klemensa VII, skazane na bezczynność po wycofaniu się awiniońskiego Antychrysta nad Rodan.

Kardynałowie też muszą ruszyć na tę wyprawę: w Rzymie mogliby zdradzić, uciec do Awinionu, dokąd udał się niedawno sam król Francji, Karol V, z wielkim ceremoniałem, aby pozdrowić jedyne i prawdziwego papieża. Kardynał z Anglii, Adam Easton, zwraca uwagę Urbanowi VI, że ta neapolitańska wyprawa ma dość luźny związek z dobrem chrześcijaństwa. To święty człowiek. Zwiążą go więc i wsadzą na konia, jak pakunek, z kilkoma jeszcze innymi, dla przykładu. Całe papiestwo opuszcza tedy wyludniony Watykan, rusza w drogę, z kurią w komplecie, z dworzanami, ze służbą i z całym skarbcem lub raczej tym, co z niego jeszcze pozostało.

Cóż za upadek!

Król Neapolu szybko uwinął się z nędznymi oddziałami papieskimi. I oto, u kresu ekspedycji, wokół twierdzy Nocera, gdzie chroni się Urban VI, zamyka się pierścień oblężenia. Po uwięzieniu kardynała z Anglii zbuntował się kolejny, ale już w tajemnicy –

kardynał Bartolino z Plaisance, znawca prawa kanonicznego.

Zredagował pewien dokument. Wierzy, że można jeszcze uratować chrześcijaństwo.

Trzeba tylko wziąć papieża Prignano pod kuratelę. Zobowiązać go, by przed podjęciem każdej poważniejszej decyzji uzyskiwał zgodę wszystkich kardynałów. Sześciu z nich podpisało ten dokument. Pozostali będą obserwować rozwój sytuacji. Wszystko to rozegrało się jednej nocy. Już nad ranem zostali zdradzeni.

I dlatego od świtu dobiegają przez piwniczne okienko ich jęki i skowyt. Cisnąwszy z wysokości murów swą czwartą w tym dniu ekskomunikę, Ojciec Święty schodzi do tych czeluści, by zapoznać się z przebiegiem śledztwa.

– Cóż to, Rufio – pyta papież – ciągle jeszcze kochasz tych księży?

Rufio ich z całego serca nienawidzi. To właśnie go łączy z Jego Świątobliwością i dlatego został papieskim katem, wykonawcą dzieł wzniosłych i przyziemnych. To były genueński pirat, wcześniej ksiądz, który porzucił sutannę dla łajdactwa. Nienawiść udziiesięciokrotnia jego wyobraźnię: garota miażdży skronie, zaostrome trzciny wbijają się pod paznokcie, ocet lub wapno wżerają się w nozdrza, kołowrót i liny powoli rozciągają członki... W lochu unosi się nieznośny odór moczu, potu, strachu, krwi i przypalanego ciała.

– Mówili?

– Nawet śpiewali, Wasza Świątobliwość – odpowiada Rufio.

Obnażone do połowy ciało kardynała Bartolino wisi na belce, przywiązane za ręce.

Po nogach spływa krew i kapie na ubitą ziemię. Bartolino z trudem łapie oddech.

Pozostałych pięciu spiskowców, z ranami po biczowaniu, teraz zakutych w łańcuchy, jest w nie lepszym stanie.

– No dobrze, ucisz ich teraz – mówi z werwą Jego Świątobliwość, czyniąc zaciśniętą pięścią gest zaciskania garoty.

Przez wybite zęby, ze strzaskanymi szczękami, nieszczęsny kardynał Bartolino bełkocze:

– Jesteśmy kardynałami świętego Kościoła katolickiego...

– W istocie – powiada papież Prignano. – To ja zrobiłem was kardynałami.

I wychodząc z tego straszego lochu, dodaje:

– Rufio, nie zapomnij ich kapeluszy.

Nigdy nie znaleziono ich ciał. W Neapolu jednak długo jeszcze opowiadano, że je posolono, zasuszono w piecu i zamknięto w osobnych kufrach, a na każdym kufrze papież Urban VI kazał przymocować czerwony, kardynalski kapelusz; kufry te, uciekając, zabrał ze sobą. Co wieczór wystawiano je w papieskiej komnacie dla

„zbudowania” kardynałów, którzy przeżyli.

Historia Świętego Kolegium Urbana VI to niemal historia dziesięciu małych Murzynków. Spośród czternastu mianowanych przez siebie kardynałów kazał

zamordować siedmiu, wliczając w to patriarchę z Aquili, zasztyletowanego rok wcześniej.

Dwaj uciekli, przerażeni, nazajutrz po tym zabójstwie: kardynał z Rawenny i kardynał z Pietramala; schronili się do Awinionu, gdzie z otwartymi ramionami przyjął

ich Klemens VII. Pozostałych pięciu, Anglik Easton i czterech Włochów, stłoczyło się jak stado przerażonych baranów wokół kardynała z Neapolu, Tomacelliego, którego Urban VI zmuszony był oszczędzić. Tylko tych pięciu powróciło do Rzymu.

Bo też papieżowi Prignano mimo wszystko udało się wydostać z oblężenia Nocery.

Wykorzystał chwilową nieobecność Karola III i pewne rozprężenie w szeregach oblegającej armii; niektórzy jej dowódcy zostali przekupieni złotem, uzyskanym z przetopienia ostatnich naczyń liturgicznych. Pewnej bezksiężycowej nocy opuścił

fortecę cały kondukt: w ślad za Jego Świątobliwością postępował ukochany kuzyn, jego utrzymankowie i kochanki, kat Rufio i jego pomocnicy, pięciu kardynałów, związanych na koniach jak manekiny, gromada ogłupiałych księży i mnichów, służba, kamerdynerzy, może setka spitych winem żołnierzy, którzy podziurawili wcześniej beczki, nie mogąc ich zabrać ze sobą, i wreszcie muły objuczone sześcioma skórzanymi kufkami ozdobionymi czerwonymi kapelusami.

Taki był ten tabor sto dziewięćdziesiątego siódmego następcy św. Piotra według oficjalnej nomenklatury watykańskiej. Wszystkich zabrała na pokład galera z Genui.

W Rzymie Urban VI zastał paskudną sytuację. Gdy cała Europa poznała już jego prawdziwą naturę, obediencja papieża Prignano skurczyła się jak wyciśnięta gąbka.

Nawet bardzo wierni Niemcy zdawali się przechylać na stronę Klemensa VII. We Wrocławiu, Moguncji, Trewirze, Liege, Bazylei, Metz, Konstancji, Augsburgu, Lubece i wielu innych diecezjach niemieckich rywalizujący biskupi wydzielali sobie siedziby episkopalne, niekiedy z bronią w ręku. Opactwa zmieniały tytulaturę, opaci z mitrą

„klemensową” przepędzali uzurpatorów „urbanowych”. Wędrowni kaznodzieje, najczęściej dominikanie wysyłani przez Wincentego Ferreriusza, rozbiegli się po całym świecie chrześcijańskim i występowali publicznie, denuncjując antypapieża, a w ich kazaniach był nim, oczywiście, Prignano. Wkrótce zaczęło brakować pieniędzy. Klemens VII był bardzo złym finansistą – to jego główna wada. Ale niemal wszędzie jego poborcy podatkowi zajmowali miejsce poborców Urbana i nie gardzili nawet najdrobniejszą kwotą. Zanosilo się więc na koniec schizmy. Każdy oczekiwał zapowiadanej śmierci Urbana VI, a suwerenowie w Europie szczerze sobie życzyli, by nie miał on następcy.

Urban VI zachował jednak pewien ważny atut: Rzym. Choć nie miał do tego prawa, to on zajmował

siedzibę św. Piotra, gdzie do czasów wygnania awiniońskiego zasiadało stu dziewięćdziesięciu jeden papieży. Prignano był stary, chory i obłąkany nienawiścią, ale ponieważ dzierżył Rzym, to nim umarł, sprawił jeszcze Kościołowi katolickiemu, którego był tak niegodnym sługą, ostatni śmiertelny podarunek: dziewięciu nowo mianowanych kardynałów! Decyzja spadła jak grom z jasnego nieba. Znając los poprzednich nominatów, zadawano sobie pytanie: w jaki sposób papież znalazł kolejnych prałatów, dostatecznie tchórzliwych i nieostrożnych zarazem, by przyjąć czerwony kapelusz z rąk mordercy?... Tak czy owak, uczyniwszy to, Urban VI oddał swą czarną duszę diabłu 15 października 1389 roku, i nikt go nie żałował.

Dziewięć plus pięć – czternaście. Tworzyło to reprezentatywne kolegium.

Zrozumiano wtedy, dlaczego wszystkie te eminencje świeżej daty nie odmówiły tak godnego pożałowania zaszczytu: z powodu ambicji. Kardynałowie wybierają papieża i każdy z nich ma szansę nim zostać, jedną na czternaście, a nawet jeśli nie tym razem, to może następnym? A ponieważ znaleźli się w Rzymie, nie było czymś niedorzecznym wierzyć w realność tej szansy. Nie mieli zresztą innego sposobu zabezpieczenia własnych interesów.

A zatem nie zwlekano. Nie było żadnych konsultacji, narad, zasięgania opinii biskupów ani innej próby wyczucia bijącego pulsu chrześcijaństwa. Wiedzano, że odpowiedzi byłyby w zdecydowanej większości negatywne.

Nie należało zwłaszcza dać najmniejszej nawet szansy wysłannikom różnych europejskich dworów – którzy galopowali już co koń wyskoczy, wioząc listy odradzające tę elekcję – aby na czas zdążyli do Rzymu. Dnia 2 listopada 1389 roku biały dym obwieścił wybór papieża, który przyjął imię Bonifacego IX.

Pouczeni bolesnym doświadczeniem, kardynałowie wybrali spośród siebie najbardziej łagodnego i najmniej wyrazistego, Piotra Tomacellego, kardynała z Neapolu, który przeżył oblężenie Nocery. Co więcej, był to dobry człowiek. Jego dobroć sprawiała, że trochę zapomniano o zbrodniach Prignano.

Rozegrano to więc całkiem zręcznie także w tym aspekcie.

Między dwoma papieżami ustaliła się prawie równowaga. Dla ludzkich sumień znów zaczęła się tortura, a duchowieństwo rwało sobie włosy z głów. Z ust do ust, poprzez Europę, biegła skarga niemieckiego trubadura, Piotra Suchenwirta: Mamy papieża w Rzymie,,

Drugiego w Awinionie.

Każdy chce być prawdziwym...

Świat jest już zmęczony...

Byłoby lepiej nie mieć żadnego,

Niż mieć ich aż dwóch...

Dwóch papieży, to nie tak ma być,

Sam Bóg chciał mieć jednego.

Objawił to w osobie Piotra,

Co opłakiwał swój grzech,

O czym mówią księgi, Raz i drugi, i wiele razy.

Chrystus dał Piotrowi Moc wiązania i rozwiązywania.

Teraz wiążą i tu, i tam.

Rozwiąż ten węzeł, Panie...

Paryż, 1994

Kapitan Plassard, szef żandarmerii w Vannes, był zaskoczony. Został wezwany bez żadnego wyjaśnienia, bez najmniejszej choćby wzmianki o powodach tego wezwania, do stawienia się w ciągu dwudziestu czterech godzin w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na placu Beauvau. List był podpisany przez dyrektora gabinetu i poprzedzony krótkim telefonem. W pociągu Plassard przebiegł w myślach wszystkie sprawy, którymi się ostatnio zajmował. Pełniąc tak odpowiedzialną funkcję, często stąpa się po polu minowym i zawsze jest się narażonym na skutki błędów popełnianych przez podwładnych. Spotkanie wyznaczono na szesnastą...

Gabinet ministra, pierwsze piętro, nad ogrodem. Strażnik obejrzał przepustkę.

„Proszę za mną, panie komendancie”.

Wytlumiony korytarz, nowy dywan, wszędzie tapicerowane, pikowane drzwi... –

piętro ważniaków. Przy ósmych drzwiach strażnik zadzwonił, poczekał, aż zapali się zielone światelko, otworzył drzwi i wycofał się. Była tu mała sala konferencyjna; sądząc po jej wyposażeniu, nie służyła pionkom. Podniosło to Plassarda na duchu.

– Oczekiwaliśmy pana, komendancie – powitał go mężczyzna o powierzchowności wyższego urzędnika i przedstawił się: Z., dyrektor Wydziału Wyznań.

Alzacja i Lotaryngia, odzyskane przez Francję w 1918 roku, nie zostały objęte rozdziałem państwa i Kościoła z 1905 roku, a że Republika nie ośmieliła się narzucić tego prawa z mocą wsteczną, obowiązywał tam nadal konkordat. Stąd ta całkowita bezużyteczność Ministerstwa Spraw Wewnętrznych „i Wyznań” oraz utrzymywania przy placu Beauvau osobnej dyrekcji ad hoc, która wykorzystywała to, by wtrącać się w sprawy księży, pastorów i rabinów na terenie całej Francji. Plassard był mimo wszystko zdziwiony. Nieliczni bretońscy katolicy, którzy mieszkali w jego departamencie, Morbihan, skupili się wokół bladego biskupa Vannes, ten zaś trzymał się aktualnych wiatrów. Nic nie uzasadniało nagłego wezwania przez dyrektora „Wyznań”...

Drugi cywil załatywał RG, bezpieką. Plassard się nie mylił.

– Komisarz X. – przedstawił się. Zdecydowanie szło o coś ważnego.

Trzeci mężczyzna był szczupłym, starszym księdzem: siwe włosy ostrzyżone najeża, koloratka, czarny garnitur clergymana.

Plassard zauważył na jego piersiach krzyż na łańcuszku i srebrny pierścień na serdecznym palcu prawej dłoni: więc biskup. Dyrektor Z. przedstawił gościa:

– Jego ekscelencja biskup Cassini, który reprezentuje nuncjaturę...

Było to celowe niedookreślenie. W rzeczywistości bowiem biskup Cassini reprezentował tutaj przede wszystkim siebie, a oficjalnie Watykan, gdzie kierował pewną służbą, niefigurującą jednak w żadnych w papieskich spisach i księgach adresowych.

Tego ranka przyleciał samolotem z Rzymu, a jego podróż w żaden sposób nie wiązała się z pracą nuncjatury.

– Ma pan dobrą pamięć, panie komendancie? – zapytał Z.

– Raczej tak, panie dyrektorze. Przynajmniej tak sędzę.

– To, co jest powodem naszego spotkania, wydarzyło się dwadzieścia lat temu.

Plassard zastanowił się.

– Dwadzieścia lat temu? Dowodziłem wtedy brygadą w Limoux.

– Właśnie.

Z. wyciągnął jakiś papier z akt i podał mu przez stół. Plassard rozpoznał swoje pismo. Była to jego odręczna notatka, datowana na 5 maja 1973 roku, przeznaczona dla podprefekta w Limoux i relacjonująca w policyjnym żargonie, bez zbędnych ozdobników, przebieg zatrzymania w dniu 24 kwietnia 1973 o godzinie trzeciej piętnaście nad ranem w ruinach katedry Aleth jakiegoś osobnika podającego się za Jakuba Dolonne'a, zwanego Jakubem z Betlejem, oraz przebieg rozmowy, która miała następnie miejsce w biurze żandarmerii. Do akt była załączona też kartka z notesu, a Plassard nie musiał już jej nawet oglądać, bo od razu przypomniały mu się te słowa:

„Niech Bóg panu błogosławi... Jakub, kard. z Betl.”.

Obydwa dokumenty opieczętowano jako „Poufne B”, co oznaczało zakaz udostępniania dossier bez zgody ministra.

– Przy pierwszej lekturze – kontynuował Z. – można by pomyśleć, że trafił pan na trzech niegroźnych maniaków, z których jeden podawał się za księdza katolickiego, modlących się przy księżycu w ruinach Aleth, co nie było przestępstwem, a najwyżej jakimś dziwactwem albo zaburzeniem

umysłowym, ale na ten temat już nie wypowiada pan opinii w swej notatce. Można jednak wyczytać między wierszami, że zrobiło to na panu pewne wrażenie?

Przebiegając wspomnienia, Plassard przypomniał sobie tę scenę.

– Rzeczywiście – przyznał. – Wcześniej prowadziłem już śledztwa w sprawie sekt.

Chodziło o zakonników, którzy w sześćdziesiątym ósmym wystąpili z zakonu, tacy tam, tandetni katarowie. Sądzę, że potrafię odróżniać prawdę od fałszu. Ci z sekt zawsze przesadzają, w jedną albo w drugą stronę: albo za bardzo się wywnętrzają, albo znów są za bardzo na pokaz. Mają przesadne gesty, mechaniczne, nienaturalne. Ci trzej mężczyźni w ruinach, jeden na kolanach, drugi z wyciągniętymi ramionami... – to nie wyglądało na teatr. Nie wyglądali na takich, którzy udają. To trudno wyjaśnić. Na tyle, na ile byłem w stanie wówczas to ocenić, chodziło raczej o jakiś obrzęd religijny, niewątpliwie katolicki i dla nich całkiem naturalny. Dodałbym jeszcze...

Zawahał się.

– Proszę mówić – powiedział Z. – Nic stąd nie wyjdzie na zewnątrz i nic nie będzie protokołowane.

– Więc tak: na ile znam Kościół katolicki, to wbrew chłopskim ubraniom tej trójki mężczyzn, było w ich postawie, w ich sposobie zachowania coś, co stawiało ich... Jakby to powiedzieć?... Na wyższym poziomie.

– Powiedzmy – rzekł Z. – W każdym razie tak to odebrał ówczesny minister. Jak dokument o tak niewielkim znaczeniu zawędrował aż do niego, nie mam pojęcia, i dziwne jest, że poświęcono mu tyle uwagi, ale to on własnoręcznym podpisem zakwalifikował go jako „Poufne B” i przekazał tutaj.

Dyrektor Wydziału Wyznań nie dodał, bo wcale mu się to nie podobało, że biskup Cassini zapoznał się już wcześniej z tym dokumentem, o czym mu sam powiedział.

Zamiast tego zapytał:

– Pan jest katolikiem, panie komendancie?.

– A czy to ma znaczenie? – zachnął się Plassard.

Odpowiedział mu, o dziwo, milczący dotąd biskup Cassini.

– Bez wątplenia, komendancie. Dla pańskiej opinii o tej sprawie.

Rzucił mu zachęcające spojrzenie, w którym można było wyczytać sympatię.

– Byłem w młodości – powiedział Plassard. – Jak wiele dzieci z praktykujących rodzin. Potem się oddaliłem od Kościoła. Czasem jednak zadawałem sobie pytanie, czy mi czegoś nie brakuje... To chyba wszystko.

Włoch uczynił gest, że rozumie.

– Czy mogę zadać jeszcze kilka pytań panu komendantowi? – zapytał.

– Bardzo proszę, ekscelencjo – odparł Z., czyniąc zadość prośbie swego ministra, by w miarę możliwości pomóc gościowi z Rzymu.

Cassini podziękował skinieniem głowy.

– Przed chwilą, panie komendancie – zwrócił się do Plassarda – poruszył pan kwestię wyglądu, który przystoi albo nie przystoi... Czy można to tak rozumieć, że w przypadku tego Jakuba Dolonne'a, zwanego Jakubem z Betlejem, bo przecież przesłuchiwał go pan twarzą w twarz, więc że jego wygląd pasował do księdza katolickiego, za którego się podawał? To, oczywiście, bardzo subiektywna kwestia... Ale proszę spróbować to wyjaśnić.

Plassard musiał się zastanowić, zanim odpowiedział. Rzeczywiście, i on stawiał

sobie to pytanie przed dwudziestoma laty. Postanowił powiedzieć prawdę, ale zastanawiał się, co też Z. sobie o nim pomyśli i jaki to może zostawić ślad w jego aktach.

Dyrektor obserwował go kątem oka. Stanowczo nie wyglądał na kogoś, kto zaprzętałby sobie głowę uczuciami religijnymi.

– Gdy byłem dzieciakiem, tak wyglądał proboszcz w mojej wsi. Wszyscyśmy go kochali. Gdy mówił nam o Bogu, było jasne, że nie kłamie. Wszystko było jasne, proste, piękne. Wystarczyło czytać w jego oczach...

Mówiąc to, poczuł, że się czerwieni. Czyż nie brzmiało to śmiesznie w ustach kapitana żandarmerii wezwanego do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych? Z. bawił się nożyczkami.

Milczący gość z Bezpieki spuścił wzrok, jakby chcąc miłosiernie ukryć swoje zdziwienie taką dziecinadą.

Biskup Cassini spojrział na niego przyjaźnie i pytał dalej:

– Czy chce pan przez to powiedzieć, panie komendancie, unikając nazywania rzeczy po imieniu z powodów, które rozumiem, a więc, czy chce pan przez to powiedzieć, że ten proboszcz z pańskiej wioski, gdy miał pan jeszcze duszę dziecka, i wspomniany Jakub z Betlejem, w pańskim biurze, dwadzieścia lat temu, przejawiali obydwaj jakby tę samą Bożą łaskę?

Tym razem Plassard zaprotestował.

– Niczego takiego nie twierdzę, ekscelencjo. Ekscelencja interpretuje to po swoimemu.

– I ta moja interpretacja wydaje się panu fałszywa?

Plassard nie odpowiedział. Dyrektor Wydziału Wyznań i komisarz nie skrywali zażenowania. Biskup

rzucił na nich zadowolone spojrzenie, bez cienia litości.

– Bo wie pan, komendancie, łaska Boża... Czasem jest widoczna.

Dyrektor Z. nie zaryzykował komentarza. Komisarz z bezpieki też się powstrzymał.

Włoch był wpływowym człowiekiem i rekomendowanym przez wpływowe osoby.

Prawie potulnie oczekiwali dalszego ciągu.

– Idźmy dalej – powiedział Cassini. – Przed chwilą, mówiąc o tych trzech mężczyznach modlących się w ruinach Aleth, przywołał pan ich postawę, sposób zachowania się, które – to są pańskie własne słowa – stawiały ich jakby na wyższym poziomie. Jak pan to dokładnie rozumie?

Plassard nie zamierzał dać się złapać po raz drugi.

– Widziałem ich z daleka. Oświetlały ich tylko dwie świece.

Ale cała ta scena nie przypominała zwykłej ceremonii. Tak właśnie pomyślałem wtedy, bez zastanowienia. Potem... Potem była krótka rozmowa z Jakubem Dolonne, w moim biurze, z której nic się nie dowiedziałem, a później, rano, ta kartka...

– Ten liścik z jego podpisem, czy tak?

Plassard potwierdził skinieniem głowy, w milczeniu, dając w ten sposób do zrozumienia, że ze swej strony dalej już nie będzie ryzykował.

– Przed tym podpisem był krzyż – powiedział pojednawczym tonem Cassini. –

Jakub, kardynał z Betlejem...

– Tak – potwierdził Plassard. – Można to odczytać w ten sposób.

Dyrektor Z. zaczynał się niecierpliwić.

– To nie ma sensu. Jakiś uzurpator, oszust...

– Bez wątplenia – powiedział łagodnie Włoch. – Ale on nie znał nikogo i nikt nie znał jego, poza tymi dwoma, którzy byli razem z nim. Kogo więc chciałby oszukać, poza samym sobą?

– Uzurpator, postrzeleniec – upierał się dyrektor Wydziału Wyznań, jednocześnie zachodząc w głowę, dlaczego biskup Cassini osobiście fatygował się aż z Rzymu dla sprawy zamkniętej przed dwudziestoma laty...

– Z pewnością – sucho uciął Cassini – ale we Francji od 1905 roku to Kościół

zajmuje się tymi sprawami. W tym wypadku do mnie należy ocena.

– Oczywiście – odpowiedział poirytowany Z. – Mamy tu coś, co może pomóc ekscelencji... Panie komisarzu, proszę. Teraz pana kolej.

Kliknął zatrzask teczki, przypinanej do przegubu dłoni. Akta.

Wyciągając jakiś dokument, komisarz X. założył okulary i zaczął mówić:

– Dwa tygodnie temu, ekscelencjo, gdy powiadomiono nas o tej wizycie i jej celu, pan dyrektor poprosił mnie, bym zebrał informacje o Jakubie Dolonne, urodzonym w Caylar, w departamencie Herault, wedle notatki kapitana Plassarda. Merostwo w Caylar powiadomiło mnie, że wyżej wymieniony – urodzony 3 czerwca 1916 roku i zaraz oddany do przytułku z powodu śmierci przy połogu jego matki i biedy ojca, Jana Dolonne’a – był robotnikiem sezonowym, bez rodziny, a jego zgon został stwierdzony po doniesieniu złożonym żandarmerii w Frontignan, także w departamencie Herault, 17

października 1988 roku, to znaczy pięć lat temu. Raport, który otrzymałem od żandarmerii w Frontignan, podaje, że znaleziono martwego mężczyznę w namiocie na campingu w Grau-du-Prevost, na brzegu stawu o tej samej nazwie, między Maguelone a Palavas-les-Flots. Oględziny wykazały, że zmarł podczas snu z powodu ostrego zapalenia dróg oddechowych, wywołanego ogólnym stanem wycieńczenia i wyniszczenia organizmu. Nikt nie mógł mu pomóc, o tej porze roku camping był pusty.

Wywiad przeprowadzony w okolicy nie dał rezultatów, poza oświadczeniem strażnika z katedry w Maguelone, według którego dwukrotnie zauważono mężczyznę o wyglądzie odpowiadającym rysopisowi zmarłego, kręcącego się w katedrze tuż przed godziną zamknięcia. Po uzyskaniu aktu zgonu pochowano go na koszt gminy Frontignan...

Komisarz X. podniósł nos znad papierów i obrzucił biskupa wzrokiem, który mówił:

„Skoro umarł i go pochowali, to czy to nie kończy sprawy?”.

Cassini myślał o katedrze w Maguelone, samotnej, kamiennej nawie osiadłej na mieliźnie między morzem a stawami. Wizytował ją niegdyś. Jako weneccjanin, bo pochodził z Wenecji, z bólem przypominał sobie Torcello, umarłe miasto, które zniknęło z weneckiej laguny, gdzie w czasach mrocznego barbarzyństwa wybrano pierwszego dożę. Nic już nie zostało ze starożytnej świetności Torcello, pałaców, klasztorów, magazynów, nie pozostał nawet obrys jego resztek odcisnięty na płaskiej powierzchni wyspy, tylko czcigodna katedra Santa-Maria, jedna z najstarszych we Włoszech, bez biskupa, bez wiernych. Maguelone było bliźniaczą siostrą Torcello. To samo odczucie przygnębienia, pustki, nieuchronnego upływu czasu, to samo religijne zdumienie wobec tej dziwnej siły nieobecności. Maguelone, pałac biskupi ufortyfikowany w czasach Wizygotów, w centrum zagubionego miasta, lenno pontyfikalne i schronienie licznych papieży, było także świadkiem, jak zapadało się i znikało wszystko wokół: wieże, mury warowne, port, nabrzeża, ulice, domy, nie pozostawiając już żadnego śladu na ziemi.

I wreszcie ci ludzie, z biskupem na czele, bez żalu odwracający się plecami do morza, by osiedlić się w Montpellier. I w Maguelone nie było już biskupa od 1536 roku... Ale nad portalem katedry przetrwał ten znak, papieski herb, skrzyżowane klucze św. Piotra.

Maguelone było jednym z ostatnich biskupstw wiernych papieżowi Benedyktowi XIII, Piotrowi de Lunie, w XV wieku... Cassini doskonale pamięta to miejsce. Trzeba przejść wzdłuż pól namiotowych, by tam dotrzeć – latem panuje tam straszny tłok – nieubita, źle utrzymana droga. Zabrakło mu dwustu, może trzystu metrów, by tam umrzeć – biednemu Jakubowi z Betlejem, błędnemu biskupowi, pośmiertnemu kardynałowi upartej pamięci o Maguelone i Aleth.

Śmierć zaskoczyła go pod lichym płótnem namiotu, zamiast ogarnąć go w pełnej chwale i wierności, leżącego na kamiennej posadzce swej katedry pomiędzy płytami nagrobnymi dwudziestu biskupów: HIC OSSA IONNIS DE VIRIDISCO, EPI, OB

XXVIII AUG, AN D MCCCXXXIV... HIC OSSA GAUCELINI DE GARDA, EPI, AN

D MCCCIII... HIC OSSA ANDREA FREDOL, EPI, AN D MCCCXXVII... HIC OSSA JACOBUS DE BETHLEHEM, EPI, AN D MCMDXXXVIII Tego bez wątpienia by sobie życzył...

Biskup Cassini powrócił na ziemię.

– Proszę kontynuować, panie komisarzu. Czy jest coś jeszcze?

X. rzucił okiem na Z. i uzyskał jego milczące przyzwolenie, poparte ledwo dostrzegalnym wzruszeniem ramion. Atmosfera się zagęszczała.

– Jest jeszcze plecak, ekscelencjo. Dolonne miał przy sobie plecak. Żandarmi go przeszukali. – Zerknął w papiery. – Same rzeczy osobiste. Lniane koszule, skarpetki, pocerowany podkoszulek, przybory toaletowe. Zmarły był czysty na ciele. Jedna para butów. Zniszczony portfel z trzema banknotami stufrankowymi i jednym pięćdziesięciofrankowym, karta meldunkowa, nieważna od piętnastu lat, stwierdzająca pobyt Dolonne'a w gospodarstwie małżeństwa Escarbins z Rodello w kantonie Espalion, gdzie był pasterzem. Na moją prośbę żandarmi z Espalion sprawdzili to. Właściciele gospodarstwa nie żyją od dziesięciu lat, nie mają spadkobierców. Zabudowania popadły w ruinę. W wiosce nikt nie pamięta pasterza o takim imieniu.

Cassini uśmiechnął się, jakby te wszystkie fałszywe tropy go bawiły.

– Na dnie plecaka – kontynuował X. – książeczka do nabożeństwa, gruba, staroświecka, z łaciną i nutami, kolorowe inicjały, kolorowe zakładki...

Cassini pochwalił techniczno-religijną precyzję służb specjalnych.

– ...mały srebrny kielich; został dokładnie zbadany przez ekspertów: pochodzi z XIV

wieku. Rozumując logicznie, najprawdopodobniej skradziony. W oczekiwaniu na zgłoszenie się właścicieli przedmiot ten, po dokładnym sfotografowaniu, złożono w depozycie w Muzeum Skarbu i Giełdy w Montpellier. Do dziś jednak nikt się nie zgłosił.

– Mogę was poinformować, panowie – przerwał mu Cassini. – że ten kielich należał

do papieskiego zakrystianina z Awinionu, w czasach papieży Klemensa VII i Benedykta XIII. Nie został skradziony. Wraca do Rzymu za porozumieniem władz..

X. zdjął okulary i odsunął akta znużonym gestem.

– W co my się właściwie bawimy, ekscelencjo? Jeśli ekscelencja wie o tej sprawie więcej od nas, po co to spotkanie? I z czego ekscelencja się śmieje?

Ten wybuch X. zdenerwował dyrektora Wydziału Wyznań.

Miał polecenie, żeby załatwić sprawę w rękawiczkach. Ale Włoch nie wyglądał na dotkniętego.

– Panowie pozwolą? – spytał biskup.

Wyciągnął z kieszeni elegancką fajkę, nabił ją starannie... Co miał im powiedzieć?

Prawdę? Że przede wszystkim śmieszyła go ta nędzna, doczesna władza, to mrowienie się owadów poza granicami nadnaturalnego? Że ze stulecia na stulecie, wymykając się historii, ludzie wiary przekazywali sobie płomień, kruchy i chwiejny płomyczek, zapalony sześćset pięćdziesiąt lat temu w Fondi, we Włoszech, i że to właśnie tych ludzi miał teraz szukać i odnaleźć?

Odbył tę podróż do Paryża, by poznać sytuację, dowiedzieć się, co tutaj o niej wiedzano, ocenić interpretację, jaką jej nadawano, samemu nie wyjawiając niczego istotnego – a następnie się upewnić, że nic nie wydostanie się na zewnątrz, że żadna z tych informacji nie ujrzy światła dziennego; to ostatnie było najłatwiejsze: informacji Watykan ma więcej niż inni. Nigdy mu nie brakuje waluty wymiennej. Jak ty komu, tak on tobie. Rząd francuski ustami swego premiera, katolika zresztą, udzielił wszelkich potrzebnych gwarancji.

– Proszę się nie gniewać, panie komisarzu – odezwał się znów Cassini. – Jest wręcz przeciwnie, bardzo mi się przydały pańskie informacje i jestem panu bardzo wdzięczny.

Ta sprawa to rzeczywiście nic wielkiego, ale po prostu chciałem mieć czyste sumienie.

I podobnie jak wy, panowie, sądzę, że z uwagi na śmierć biednego Dolonne'a, możemy ją uznać za zamkniętą.

– Jak ekscelencja sobie życzy – odparł Z. – A więc zamknięta, ba, zabetonowana!

Otrzymałem instrukcje od ministra w tym względzie.

– Dziękuję. Aha, jeszcze jedna prośba... – Cassini jakby się zawahał. – Czy mógłbym chwilę porozmawiać z komendantem Plassardem?

Dyrektor Wydziału Wyznań zgodził się rad nie rad. Bywały, doprawdy, takie chwile, że nienawidził tych księży...

Gdy zostali sami, biskup pociągnął Plassarda do drzwi balkonu. Otworzył je i wyszedł, jakby podziwiając wiosenną zieleń w ogrodzie.

– Nie sądzę, aby mnie podsłuchiowano – powiedział półgłosem – ale ostrożności nigdy nie za wiele. Chciałbym, aby powiedział mi pan coś o tym trzecim mężczyźnie, z czerwoną szarfą. Nic o nim nie ma w pańskiej notatce.

– Był dość daleko i szybko odszedł. Ledwo go widziałem.

– Może pan opisać tę szarfę? Była owinięta wokół szyi, jak szalik?

– Nie. Tylko narzucona na ramiona, a dwa końce opadały na piersi.

– Równo opadały, czy jeden koniec był dłuższy?

– Wydaje mi się, że równo.

– A ich długość?

Po dwudziestu latach obraz był zatarty. Plassard zamknął oczy, usiłując się skupić.

Postać mężczyzny zarysowała się powoli, wciąż jakby zza mgłą.

– Prawie do kolan – powiedział.

– Czy była skręcona, czy, przeciwnie, rozprostowana?

– Rozprostowana. Tego akurat jestem całkiem pewny. Jak dwie części krawata, związane razem tasiemką. W nocy było to dobrze widoczne.

– A przypomina pan sobie, komendancie, czy końce tej szarfy rozszerzały się ku dołowi?

– Nie potrafię tego powiedzieć z całą pewnością. Ale to możliwe.

– Powiedział pan, że w nocy ta szarfa była bardzo widoczna. Czy błyszczała? Czy dawała jakiś odbłask?

– Bardzo możliwe. Rzucała się w oczy, to prawda.

– Zwykła wełna nie daje takiego efektu – zauważył Cassini. – Raczej jakiś inny materiał, gęściej tkany...

– Co ekscelencja ma na myśli?

Biskup zawahał się na chwilę, ale potem powiedział.

– Nie domyśla się pan? Stulą. Myślę o czerwonej stule, takiej, jaką noszą, w szczególnych

okolicznościach, papież i kardynałowie.

– Ten włóczęga? – zdziwił się Plassard.

– Właśnie, wróćmy do niego. Byłby pan w stanie go rozpoznać?

Plassard sięgnął do pamięci, ale mgła się nie rozproszyła. Pokręcił głową.

– Oczywiście postarzał się przez te dwadzieścia lat, ale już wtedy nie był to młody człowiek. To chyba jedyne, co mogę powiedzieć. Gdy oddalał się, był odwrócony do mnie plecami. Jednak zauważyłem, że był wysoki i trzymał się prosto. Szedł dość żwawym krokiem... Kto to był, ekscelencjo?

Biskup postukał o balustradę balkonu główką fajki i schował ją do kieszeni.

– Zadał pan to pytanie Jakubowi Dolonne'owi?

Plassard przytaknął.

– Ale nie wspomina pan o tym w pańskiej notatce. Celowo?

Czy przez zapomnienie?

– Celowo. Miałem obowiązek złożyć sprawozdanie przełożonym, ale także poczucie, że nie wszystko musi być raportowane, a przynajmniej, że nie należy kierować uwagi na człowieka w szarfi. Nie zastanawiałem się nad tym. To był odruch. Zresztą miałem wrażenie, jakby ten Jakub Dolonne właśnie dlatego zaczekał na mnie, gdy tamci dwaj się oddalali, żeby ich osłonić.

– Też tak myślę – mruknął Cassini. – A jaka była jego odpowiedź?

– Odmowna. Powiedział tylko: „Nie mogę panu odpowiedzieć. Nikt panu nie odpowie”.

– No cóż, panie komendancie, skoro postawił mi pan to samo pytanie, ja dam panu tę samą odpowiedź. Z usilną prośbą, co więcej, by zachował pan w absolutnej tajemnicy tę naszą rozmowę i szczególnie obrót, jaki przybrała. Niech pan pamięta: szarfa była zwykłą wełnianą szarfą, niczym więcej. I czy rzeczywiście była czerwona? Nie jest pan tego całkiem pewny.

– Muszę pożegnać się z dyrektorem. A jak mnie zapyta?

– Ode mnie niczego się nie dowie, obiecuję to panu – powiedział Cassini, zamykając okno...

Trzy godziny później wsiadł na Orly do ostatniego tego wieczoru samolotu do Rodez, gdzie u wyjścia z lotniska czekał na niego wiekowy szary citroen. Za kierownicą siedział młody zakonnik z klasztoru Sainte-Tarcisse.

– To daleko? – zapytał biskup Cassini..

– Niecałe trzy kwadranse. Ojciec przeor oczekuje ekscelencji.

Lac de Pareloup, Aveyron, 1994

Zimny wiatr od strony Levezou pędził śnieżne chmury. Na ławeczce na skraju drogi, niedaleko wioski Puech-Arnal, nieco poniżej tamy, siedział mężczyzna z kolanami owiniętymi połami płaszcza i z wciśniętym na uszy wełnianym beretem. Spoglądał na gładką, mroczną toń jeziora.

Opuścił Rodez i już tam nie wróci. Rozpoczął swą długą podróż. Dzień wcześniej doszedł aż do Pont-de-Salars, dwadzieścia kilometrów z okładem, bez specjalnego zmęczenia, z pewną żwawością nawet, chociaż obecnie lata robiły już swoje i spowolniały kroki. Odpocznie sobie, to wszystko. W pobliżu Pont-de-Salars przespał się w owczarni, gdzie jakiś pasterz podzielił się z nim posiłkiem. O poranku ruszył w dalszą drogę i uszedł ze dwanaście kilometrów, docierając aż tutaj, nad jezioro. Wioska Puech-Arnal była prawie wyludniona. Latem miejscowe campingi jeszcze zapełniały się turystami, ale zima odcinała ją od świata. Mężczyzna zjawiał się tu tylko zimą. Zimą w wapiennych górach Levezou czuł się jak u siebie. Wiele okolicznych domów i szałasów pasterskich, dziś już popadłych w ruinę, kiedyś było oznaczonych tym znakiem przez domowników, którzy teraz w większości odeszli w przeszłość. W Puech-Arnal pchnął drzwi znanej mu rudery z poczerńiałego kamienia, pokrytej dachem z wapiennych łupków. Dom był pusty, w jedynej izbie z klepiskiem znajdował się tylko stół i wielka ława przy kominku. Upewniwszy się, że jest jeszcze drewno w drewnutni, że zatem spędzi noc w cieple, mężczyzna poszedł w kierunku jeziora.

– Znowu wróciliście? Dostaniecie zupę wieczorem – powitał go napotkany po drodze staruszek, który chwilę potem oznajmił swojej żonie:

– Wrócił.

Byli to jedyni mieszkańcy tej wioski.

Siedząc teraz na ławeczce, twarzą do jeziora, mężczyzna wyciągnął z plecaka klucz.

Był to bardzo stary klucz, ciężki i długi na dłoń. Otrzymał go prawie trzydzieści lat temu, w dniu swego naznaczenia, od papieskiego szambelana, którego rola od dawna już polegała jedynie na przekazywaniu tego klucza i pieczęci z rąk martwego – w ręce żywego. Tak otrzymał go jego poprzednik i ten przed nim, i ten, co był jeszcze wcześniej, i w ten sposób ów łańcuch depozytariuszy starego klucza liczył już trzydzieści dwa ogniwa, a mężczyzna znał imię każdego z poprzedników, powtarzał je często w pamięci, przesuwając w myślach jak paciorki różańca, żeby nie zapomnieć, bo w przeciwnym razie całe jego życie straciłoby sens, bo ta litania imion, pieczęć ukryta na dnie plecaka i klucz, który trzymał w ręku – zastępowały mu przeszłość. Mężczyzna był

ostatnim ogniwem tego łańcucha.

W głębi jeziora, pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią wody, znajdowała się zatopiona kaplica. Ten

klucz otwierał jej jedyne drzwi. Nie był więc już do niczego potrzebny.

Zaporę w Pareloup postawiono dwadzieścia osiem lat wcześniej, zatapiając dzikie i niedostępne przełomy rzeki Vioulou; to właśnie na jej brzegu, na płaskiej, lekko wzniesionej skale miejscowi wieśniacy i pasterze, pod kierunkiem swych ubogo odzianych kapłanów zbudowali kiedyś własnymi rękami tę kaplicę. Byli to prości ludzie.

Zbudowali ją tak, jak potrafili. Przypominała szałas pasterski, z niewielką kwadratową wieżą, którą z daleka brano za komin; to podobieństwo było zamierzone, by zmylić prześladowców. Kamienny ołtarz, trzy wąskie, ostrołukowate okienka i drzwi, też w kształcie łuku, całość grubo ciosana, gdyż trzeba było postępować szybko, aby nie ściągnąć uwagi straży księcia-biskupa z Rodez, która zapuszczała się niekiedy aż tu, na ten płaskowyż. Nie minęło znów tak wiele czasu, odkąd pogasły stosy na rynku w Rodez, gdzie 25 maja 1467 roku zginęli Piotr Trahinier, kowal z wioski Montou, a zarazem zakrystianin ukrywającego się papieża Benedykta XV, jego synowie Piotr i Baptysta, jego córka Joanna. W imię tego papieża, który był w Rzymie, stosy mogły zapłonąć ponownie...

Kaplica poświęcona została Benedyktowi XV, a w kamieniu ołtarza wykuto klucze św. Piotra.

Mężczyzna pogrążał się we wspomnieniach. Woda się podnosiła. Tamtego dnia przybyli z Rodez jacyś długowłosi z transparentami, które głosiły, że dokonano gwałtu na rzece Vioulou.

Obserwowano długowłosych z sympatią, mówiąc między sobą, że może kiedyś odkryją nieświadomione jeszcze znaczenie swego protestu. Woda przybierała zbyt wolno. Długowłosi szybko się znudzili. Ich głosy cichły, wreszcie odeszli drogą, zniechęceni, przekonani o bezużyteczności swego protestu, podczas gdy płynna, ciemna masa wypełniała powoli dolinę rzeki. Mężczyzna został sam. Kończyło się lato. Gdy woda cicho sięgnęła kamiennej podmurówki kaplicy, opadały już liście z drzew. Woda podmywała pamięć. W jej odmętach ginęło jego własne życie, gdyż to właśnie tutaj został naznaczony przez swych towarzyszy.

Wskazywali na niego jeden po drugim, po kolei, tak jak to odbywało się od czasów Fondi, Awinionu, Peniscoli w Aragonii, a potem już w schronieniu tej kaplicy, dokąd wywędrowała Boża łaska poza wiek i poza czas, z dala od ludzi, którzy mniemali, że zwyciężają czas, podczas gdy on przepływał nadaremnie między ich bezsilnymi dłońmi.

Podniósł się Hebron. Powiedział: „Obieram naszego pana z Aleth”. Potem pożegnał się i odszedł. Niewiele później opuścił ich na zawsze, pozostawiając im ten ciężar. Tyberiada także powiedział: „Naznaczam naszego pana z Aleth”.

Tak stary, tak zniechęcony, jedną nogą w grobie. Umarł w Glandeves, w swojej katedrze. Potem wskazał go Cezarea, przybyły z Riez, skąd obecnie nie nadchodziły żadne wiadomości. Betlejem także go wskazał, a wtedy nie był Jakubem, ale Maciejem.

I Gibelet, przybyły z Senez, jedyny, który może jeszcze żyje.

Zgodnie z regułą wezwano Ionę Szkota, aby i on ogłosił swój wybór. Jego imię odbijało się echem pod sklepieniem tej kaplicy, ale po tylu latach nawet echo przestało odpowiadać. Było ich pięciu, on

był szósty. Tych pięciu wskazało jego, a potem rozstali się wiedząc, że nic nigdy już nie połączy ich ponownie.

Woda podnosiła się, podmywając ołtarz, wślizgując się potokami poprzez jamy okien. Mężczyzna czekał, obserwując przybór wody. Gdy zniknęła dzwonnica, poczuł się zupełnie opuszczony, jakby był sam na świecie, przygnieciony tymi pięćdziesięcioma metrami wody. Zatopiony...

Podniósł się z ławki, wziął klucz i wrzucił go do wody.

Kiedy wrócił, czekała już na niego para staruszków, oboje ubrani na czarno. Na kominku palił się ogień. Zupa stała na stole, obok szynka, jabłka i chleb. W milczeniu patrzyli, jak je. Po posiłku kobieta zapytała:

– Pobłogosławisz nas, Benedykcie?

Mężczyzna położył palec na ustach. Kiedyś to imię posyłało na stos.

Dziś nie ryzykowali już niczym. Czas się wypełnił. Pamięć pamięci. Wspomnienie wspomnienia. Gwiazda, która zgasła przed milionami lat. Co zachowała z przeszłości ta para bezzębnych starców, przegnana nowymi wiatrami, które wiały burzami po tej ziemi?

Jakieś bardzo stare poczucie czci, której sens już się ztracał, i czyjeś imię, które niosło się i zapadało w noc.

Mężczyzna wyjął z plecaka czerwoną stułę, nałożył na szyję i pobłogosławił ich.

Potem się pożegnali, a kiedy staruszkowie już wyszli, mężczyzna długo modlił się przy ogniu, wreszcie położył się i zasnął.

Starzy ludzie, wróciwszy do siebie, uznali, że go już nie zobaczą, i włączyli telewizor, który zaraz nappełnił ich kuchnię feerią barw i dźwięków.

Nazajutrz rano mężczyzna ruszył w drogę.

Paryż i Awinion, Pięknoduchy niczego bardziej nie pragną niż tego, by odgrywać jakąś rolę na proscenium świata. Gdy tylko otwiera się gdzieś żywa rana, zlatują się i roją. To ich sposób, by się pokazać.

Ich autorytet moralny pyszni się i karmi dezorganizacją i słabością ustanowionej władzy, w tym przypadku, w tamtym czasie, rywalizacją dwóch papieży i jednego króla, nieszczęsnego króla Francji Karola VI, który rządzi już tylko w krótkich przebłyskach świadomości pomiędzy kolejnymi napadami szaleństwa. Najwyższym szczęściem pięknoduchów jest zajęcie miejsca ustanowionej władzy i narzucenie jej własnej prawdy, olśniewającej i nieomyłnej. Każdy z tych pięknoduchów, jakkolwiek byłby mierny, może wtedy upajać się swą chwałą, byle tylko śpiewał w chórze. Nad otwartą ranę wielkiej schizmy pięknoduchy zleciały z wszystkich stron i wkrótce już roiły się nad nią jak muchy, z bezustannym, natrętnym brzęczeniem. W ten sposób wkracza na scenę Uniwersytet Paryski.

W tamtych czasach Uniwersytet Paryski stanowi najbardziej reprezentatywne skupisko pięknoduchów, jakie można znaleźć na Zachodzie. Jego siedziba mieści się na wzgórzu św. Genowefy, które na długo przesiąknie jego atmosferą. Jako spadkobierca wielkiej Sorbony, zdominowany przez rządzącą ówczesną myślą teologię, uznawany był

podówczas za najwyższy po papieżu autorytet religijny chrześcijańskiego świata. Gdy dwaj papieże wzajemnie się nie uznają, on wysuwa się na pierwszy plan, przynajmniej we własnych oczach, pochlebny i chełpliwy. Ponad przeciętność tych wszystkich uczonych, nadętych pychą doktorów, wybijają się nieliczni naprawdę wybitni, nieskazitelni ludzie, na wysokim poziomie intelektualnym i moralnym, którzy wprost cieleśnie odczuwają to pęknięcie w łonie Kościoła rzymskiego; są to: kanclerz Uniwersytetu, Piotr d'Ailly, przyszły kardynał papieża z Awinionu; Jan Gerson, który nastąpi po nim, zwany „doktorem arcychrześcijańskim”, Idzi des Champs i jeszcze paru innych. Co do reszty – sami przeciętniacy, a mówiąc dokładniej – rozgadani nudziarze, obnosiciele tog, biretów, gronostajowych pelerynek i rozmaitych świecidełek, będących oznaką ich konformizmu, zgodnego uginania się pod dominującymi akurat podmuchami wiatru. A dominujący podmuch wiatru to kompromis. I w tych jakże poważnych okolicznościach Uniwersytet Paryski reprezentuje głos kompromisu, czyli domaga się

„postępowania cesyjnego”. Mniejsza o to, kto jest prawdziwym papieżem! Powinni ustąpić obydwaj, obydwaj zrzec się godności, aby umożliwić wybór kogoś trzeciego, do którego wszyscy dołączą. Uniwersytet Paryski już nie popuści. Wielka schizma będzie mu zawdzięczać jeszcze przynajmniej trzydzieści lat istnienia jawnego i drugie trzydzieści lat istnienia ukrytego, i dalsze sześć wieków, gdy ta tajemnica będzie wciąż pokutować...

A więc „cesja”... Wszyscy za nią głosowali, prawie jednomyślnie, oprócz karmelity Jana Goleina, byłego dziekana, doktora teologii; jego tytuły zostały skrupulatnie zbadane.

Miał czelność, ten mnich! Sam przeciw wszystkim. Zaczął od tego, że z zawojów habitu wyciągnął stary dokument sprzed czterestu lat, o którym pozostali woleliby zapomnieć, ale figurujący pod nim podpis sprawił, że słuchali karmelity w ciszy i z szacunkiem.

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział na łożu śmierci król Francji Karol V Mądry, wobec notariusza i obecnych książąt.

Karmelita czytał silnym głosem: „Chcąc sobie wyrobić własny sąd w tej sprawie, zasięgnąłem rady książąt, hrabiów, baronów, rycerzy, prałatów. Wszyscy, z wyjątkiem jednego, powiedzieli mi w szczerości serca i sumienia, że jeśli raporty kardynałów nie są kłamliwe, to zapobiec schizmie można jedynie, opowiadając się szybko po jednej ze stron, i dodawali, że prawa Klemensa ważą więcej niż te, na które może powoływać się Bartłomiej Prignano. Poszedłem za ich radą; chciałem, za przykładem moich poprzedników, którzy zawsze byli prawdziwymi katolikami i obrońcami Kościoła, kroczyć po ścieżkach wiary; w tym celu wybrałem, na ile potrafiłem, drogę najpewniejszą: uznałem przeto i jestem mocno przekonany, że Klemens VII jest prawdziwym pasterzem Kościoła”...

Jakaż konsternacja pośród uczonego duchowieństwa! Pospuszczali oczy, przełykając gniew, a niektórzy, być może i wstyd, ryzykując niemal, że się zadławią. To kanclerz d'Ailly, który przewodniczył, dopuścił do głosu tego mnicha. Poza wszystkim, czy to nie ten sam Piotr d'Ailly,

który niedawno, podobnie jak św. Wincenty Ferreriusz, św. Koleta z Corbie, bł. Piotr z Luksemburga, doradzał mądrym królowi Karolowi V poddać królestwo Francji obediencji papieża Klemensa VII? I czy to nie za jego radą król Karol VI, jeszcze w pełni władz umysłowych, złożył papieżowi uroczystą wizytę w Awinionie, a nawet padł do stóp? I był jeszcze zdrowy, gdy po schizmatycznej elekcji Bonifacego, następcy Prignano w Rzymie, w 1389 roku, opowiedział się głośno za Klemensem, podobnie jak Piotr d'Ailly, Gerson, Wincenty Ferreriusz i tylu innych... Prawdziwy papież jest w Awinionie, fałszywy w Rzymie. Cóż więc się zmieniło? To, że teraz było jednocześnie dwóch papieży, miało nagle dowodzić, że ten prawdziwy nie jest prawdziwy i usprawiedliwiać jego odwołanie razem z uzurpatorem? Czy uczeni nie wiedzą, co to wierność? Słuchając ostrego wystąpienia Jana Goleina, skierowanego do zwolenników „cesji”, kanclerz d'Ailly nie ma złudzeń: „Niewierność leży w ich naturze...”.

A co mówi ten karmelita? Jemu nie chodzi o prawo martwej ręki.

W swej najbardziej kwiecistej łacinie oskarża ich bez ogródek o wiarołomstwo, tchórzostwo, wybujałe ambicje. Rzuca im w twarz kilka jątrzących prawd. I odkąd to jest dwóch papieży?

Zawsze był jeden, Jego Świątobliwość Klemens VII! Oni sami przecież potwierdzali to jeszcze wczoraj. Kompromis, cesja, abdykacja, usunięcie z urzędu – jak nazywają się głupoty po łacinie? Ten drugi, ten Tomacelli, który uważa się w Rzymie za papieża Bonifacego – kto go wybrał? Fałszywi kardynałowie, mianowani przez fałszywego papieża Prignano, który obwołał się Urbanem VI przy poparciu rzymskiego motłochu.

Nie ma żadnej potrzeby, aby wysyłać poselstwa do Bonifacego, gdyż byłby to pretekst do snucia intryg, obiecywania złota za ustąpienie. A on jest nikim! Nie istnieje jako papież!

Niech książęta chrześcijańscy połączą siły, niech ruszą na Rzym, niech przepędzą go z zawłaszczonej siedziby i wtrącą do ciemnicy na resztę dni.

Niech poskromią rzymski motłoch i niech przywrócą na Stolicy Piotrowej jedyne Wikariusza Chrystusowego na tej ziemi, Jego Świątobliwość papieża Klemensa VII, przed którym padną na kolana, a Bóg, ich jedyny sędzia, im pobłogosławi. Niech roześlą wszędzie tam, gdzie rzekomy papież oszukał wiernych i gdzie jeszcze go uznają –

dominikanów, kaznodziejów, świętych zakonników od Wincentego Ferreriusza, niech otworzą oczy ludowi. Taka jest jedyna możliwa droga, droga prawdy i czynu!

Obrzucają go wyzwiskami, zakrzykują. Wzgórze św. Genowefy rozbrzmiewa wściekłym wrzaskiem. Pięknoduchy niczego nie nienawidzą bardziej, niż gdy pozbawia się ich sposobności wygłaszania długich tyrad, popisów elokwencji, emfazy i argumentów, które usprawiedliwiają ich egzystencję, potwierdzają ich ważność, dzięki którym mogą łowić ryby w mętnej wodzie i wzrastać w siłę. Kto oczekiwałby od nich oświeconych pouczeń, jeśli jutro, postępując wedle wskazań karmelity, byłby już tylko jeden prawdziwy papież? Pięknoduchy z Uniwersytetu Paryskiego mają w tym swój interes, rzadką okazję stanięcia w pierwszym rzędzie, na pierwszym planie, i to na długo.

Dwóch papieży! Udają zasmucenie, ale radzą – nie wybierać! Nie dokonywać wyboru!

To byłoby zbyt proste, zbyt pośpieszne. To by pozbawiło ich zbyt wielu możliwości.

Tymczasem przy dwóch upartych papieżach, o!, to całkiem inna sprawa: jednego i drugiego można przekonywać, trzeba wybrać trzeciego, a czemu by nie powołać jakiegoś konsylium, gdy już przy tym jesteśmy, tego wszystkiego nie załatwi się przecież w jeden dzień... Trzeba lat, to musi trwać... Działając na rzecz jedności świata chrześcijańskiego, nie będzie już można się obejść bez Uniwersytetu Paryskiego, który włączy się w to dzieło z całkowitą bezinteresownością, ma się rozumieć, jakżeby inaczej... Książęta chłoną ich słowa. Takiej okazji nie przepuszczą!

I to mniej więcej powiedział w swym wystąpieniu, pośród nieopisanego wrzasku, ów karmelita, Jan Golein, doktor teologii.

Zakpił z nich. Osądził ich.

– Kochani bracia, nie wątpię w waszą skromność. Nie wątpię w waszą uczciwość.

Pozwólcie przemówić waszemu sumieniu. Nikt z nas nie ma władzy rozłączania tego, co Bóg złączył, przez Ojca i Syna, i Ducha Świętego; Bóg, w którego imię wybrany został

papieżem nasz arcykapłan Klemens VII.

Rozległy się wściekłe wycia. Kanclerz d'Ailly milczał. Mając bardziej umiarkowany temperament, powiedziałby to inaczej, ale powiedziałby to samo. Wobec tej zajadłości był teraz bezradny.

Ze wszystkich ław żądano głowy karmelity, to znaczy natychmiastowego wykluczenia go z Uniwersytetu Paryskiego. Nie mogąc zmusić go do milczenia, należało go przepędzić! Uwinięto się z tym w godzinę, po czym, jak notuje kronikarz:

„pozbywszy się karmelity, uniwersytet mógł prowadzić dalej swe święte zamierzenie”.

Należało jednak wszystko zreferować królowi i przedstawić mu memoriał z tego, co postanowiono. Zabrali się do tego najlepsi łacinnicy w Paryżu. Sporządziwszy ów dokument, co zabrało im wiele tygodni, poproszono o audiencję u króla. Biedny król.

Jego lucidia intervalla były coraz rzadsze, a pomiędzy nimi rządili w jego imieniu dwaj wujowie, książę Berri i książę Bourgoigne. Książę Berri opowiadał się za Klemensem VII. Gdy zapoznał się z tym dokumentem, wpadł w szal, chwycił za kołnierz nowego kanclerza Uniwersytetu Paryskiego, Arnauda de Corbie, sklął ledwo żywą ze strachu delegację, którą wyzwał od „zgrai buntowników i wichrzycieli” i nawet od

„teologów”, co w ustach księcia było nadzwyczaj interesującą obelgą:

– Precz mi z oczu, teologowie! – krzyczał.

Na koniec wezwał straż, aby wrzuciła ich do Sekwany. Przytomniejąc, kazał ich tylko zrzucić ze

schodów.

Książę Burgundii, Filip Śmiały, opowiadał się raczej za cesją.

Był bardziej wytrawnym dyplomata, a jego dobra sąsiadowały z Cesarstwem, które wybrało obóz Bonifacego. Uniwersytet Paryski, najadłszy się wstydu, poszedł wypłakać się na jego łono. Wyraził swe oburzenie. Został znieważony. Upokorzony. Filip Śmiały słucha. Uważa, że memoriał jest dość rozsądny. Obiecuje protekcję.

W rzeczywistości rozgrywa swoją partię. Zbliży się ta chwila, gdy królestwo Francji spadnie jak dojrzały owoc. Będzie interweniował u króla.

Naznaczono audiencję. Ostatniego dnia czerwca w królewskiej komnacie, w obecności książąt, urzędników korony i mnóstwa prałatów zbliża się do stóp Jego Majestatu czarna armia teologów. Zadbali o tę delegację: same gwiazdy. Najbardziej pyszne i pokrętne umysły Uniwersytetu Paryskiego. Pycha opakowana w pokorę, a między tymi „gwiazdami” kilku „dobrze rokujących młodych”, aby pokazać władcy –

który sam ma ledwo dwadzieścia sześć lat – że nie chodzi o żaden konflikt pokoleń. Tak właśnie znalazł się w składzie delegacji Piotr Cauchon, przyszedł biskup i oskarżyciel Joanny d’Arc. Aby wyrobić sobie opinię o tych ludziach, ich ambicjach, skrywanych zamysłach i nieczystych metodach, wystarczy przypomnieć, że trzydzieści lat później, pod kancelariatem tegoż Piotra Cauchona, Uniwersytet Paryski, zaprzędany Anglikom i Burgundczykom, po sfingowanym procesie jednomyślnie pośle na stos Joannę d’Arc.

Tacy więc byli ci, co tego dnia, 30 czerwca 1394 roku, opowiedzieli się przeciwko Klemensowi VII.

Król Karol VI ma jeden ze swych dobrych dni. Wydaje się żywo zainteresowany tym, co wygłasza przed nim najżałośniejszy orator Uniwersytetu, rzecznik delegacji, Wilhelm Barraut, wielki przeor z Saint-Denis. Wielki przeor uzasadnia. Jest tam wszystko, łącznie z argumentami ad kominem przeciwko osobie Klemensa VII.

Konkluzja: obydwaj papieże powinni abdykować, a ten, który odmówi, zostanie uznany za schizmatyka i pojmany.

W tym memoriale jest wszystko: ma on postać spójnej książeczki, napisanej po łacinie, którą wielki przeor, na kolanach, pokazuje Jego Wysokości. Król każe ją sobie całą przeczytać. Potrząsa głową, zadowolony: „Bardzo jasno, bardzo dobitnie, bardzo wymownie”. Nakazuje, aby przetłumaczono ją na francuski ku pouczeniu rady królewskiej, książąt, urzędników. Niedługo da odpowiedź. Dziękuję, panowie. Partia wygrana.

A jednak przegrana. Arnaud de Corbie dowie się później, że w odpowiedzi król zabronił mu mieszać się odtąd do tej sprawy, że nie może on pisać ani przyjmować listów jej dotyczących bez uprzedniego przedstawienia ich Jego Królewskiej Wysokości, przed otwarciem lub wysłaniem. Uniwersytet Paryski nie wybacza upokorzeń. Król zapłaci.

Podczas tryumfalnego wjazdu króla angielskiego Henryka V Uniwersytet będzie szedł w pierwszym szeregu tych, którzy już uznali w nim przyszłego króla Francji, ale to inna historia...

Co teraz robi Uniwersytet? Tłumi wściekłość. Brnie dalej.

Kałamarze ociekają jadem. Macza w nich mściwe pióra. Tym razem zabiera się za papieża. W mig posyła do Awinionu pewnego grzecznego kawalera, teologa – rzadki to rodzaj – który wiezie ów słynny memoriał wraz z pospolitym listem, ociekającym wprost szacunkiem dla złagodzenia szoku. W sali tronowej pałacu, w tiarze na głowie – to tiara papieża Klemensa VI, arcydzieło złotników awiniońskich – papież Klemens VII wysłuchuje wszechstronnie uargumentowanych bezczelności panów z Uniwersytetu.

Początkowo wydaje się spokojny. Tę historię przecież zna, od Rzymu, od Fondi. Dwóch papieży to za dużo, naturalnie, ale to temu drugiemu, temu w Rzymie trzeba przedstawić te zarzuty, nie jemu, wybranemu kanonicznie i zgodnie z regułami.

Nagle papież marszczy brew, podrywa się, prostuje swą wysoką postać i, stojąc, tupie z wściekłością nogą. Jakże to słowa ośmiela się wymawiać wysłannik tych panów z Paryża? Cesja? Abdykacja? Złożenie urzędu? Gdzie on się znajduje? W czyjej obecności? Za kogo uważają się ci, którzy go posłali? Niech go stąd wyrzucą! Niech go galopem odstawią do granic, z mieczem przy plecach! I niech się cieszy, że cało z tego wyszedł. Co jeszcze?

Niektórzy z kardynałów przychylają się do tego posłania? Stoją obok, zaniepokojeni.

Jeden mamrocze pod nosem: „Pokój Kościoła...”. Lecz któż jest sędzią Kościoła, jeśli nie on sam, Wikariusz Chrystusowy? Stanowczo, to zbyt wiele. Odchodzi wielkimi krokami, powłócząc za sobą, jak warkoczem komety, połami swej długiej kapy.

Jest czerwony z gniewu jak czerwona lamówka na jego pelerynie. Potem robi mu się słabo. Prosi o szklankę wina, aby dojść do siebie, tego mocnego wina z winnic Chateauneuf, założonych przez papieża Jana XXII. Wypija. Ale ten wspaniały bukiet odnajduje w niebiosach, gdyż przeszedł już z życia do śmierci i leży na dywanie swej komnaty z rozkrzyżowanymi rękami.

Tak umarł z gniewu Jego Świątobliwość papież Klemens VII, rankiem 16 września 1394 roku.

Pierwsze bić zaczęły dzwony katedry Notre-Dame-des-Doms, na skale wznoszącej się nad Rodanem. Brzmienie niosło się, biegło po rzecznej toni, po murach.

Odpowiedziały mu kolegialne dzwonnice, Saint-Agricol, Saint-Pierre, Saint-Didier, głosami brązu, donośnie i nieustannie, ich głosy mieszały się z głosami tylu innych dzwonów z nieprzeliczonych klasztorów i kaplic dominikanów, augustianów, franciszkanów, celestynów, rodyjczyków, penitentów czarnych, szarych, białych i setki innych bractw... Awinion rozbrzmiewał niczym wyspa dzwonów, a żałobne podzwonne umilkło dopiero przed nastaniem nocy. Dziekan Świętego Kolegium kazał podwoić strażę u bram miasta i na zwodzonych mostach papieskiego pałacu. Wtrącono do

lochu śmiertelności wysłannika Uniwersytetu Paryskiego. Przyszły papież postanowi o jego losie. Zapełniają się ulice. Ludzka fala płynie w stronę nadrodańskiej skały. Złotnicy, siodlarze, kołodzieje, malarze, stolarze, tkacze, kowale – zatrzymują drewniane okiennice swych warsztatów i ruszają pod katedrę, gdzie wystawione jest w całym majestacie ciało zmarłego papieża. Marynarze na rzece dmą w przeciwniegielne rogi.

W podmuchach mistralu, który właśnie zaczyna wiać, powiewają czarne draperie na wieżach kardynalskich pałaców, niczym wzlatujące kruki. Awinion jest w żałobie.

– Przejście! Przejście! – woła uzbrojony strażnik na moście Saint-Benezet.

Matki zagarniają dzieci, ludzie przyciskają się do ścian, woźnice usuwają na boki swe ciężkie zaprzęgi. Drewniany most drży pod kopytami dwóch jeźdźców, którzy przed chwilą przegalopowali po zwodzonym moście pałacu. W tłumie wszyscy ich rozpoznają.

Na podróżne kaftany nałożyli obszerne narzuty ze złotożółtego jedwabiu okolone herbami papieskimi: tiarą i dwoma skrzyżowanymi kluczami. Gdy wkładają te kapy, tylko dla nich przeznaczone, ich osoby stają się święte, jak osoba samego papieża, nikt nie może podnieść na nich ręki, aby nie został ipso facto ekskomunikowany. Wszędzie trzeba im zapewnić opiekę, pomoc, zmianę koni. Wie o tym cała Francja, cała Europa, aż po najdalsze granice świata chrześcijańskiego. Tak pędzą do Paryża i do króla Adhemar Avril, koniuszy papieża, i jego stajenny.

W razie konieczności jeździec, zajeżdżając konia, może dotrzeć z pałacu des Doms w Awinionie do Luwru w Paryżu w ciągu trzech dni. Adhemar Avril już nie raz tego dokonał, spędzając w siodle trzy dni i trzy noce. Ale jest on także dyplomata. Tym razem otrzymał rozkaz przeciągania sprawy, miał jednak to uczynić w taki sposób, by opóźnienie można było przypisać obiektywnym przeszkodom, za które nie ponosił

odpowiedzialności.

Zaufano mu. Brody nieprzejezdne, popas niepewny, mosty zerwane, wokół wiosek morowe powietrze, roztopy, niebezpieczne pochyłości (już on będzie interweniował

u króla!). W sześć dni z Awinionu do Paryża to i tak nieźle! Kto dał mu ten rozkaz?

Kardynał z Aragonii, Piotr de Luna, dziekan Świętego Kolegium, którego Francuzi nazywali „Księżycowym Piotrem”.

Wiadomość spada na Paryż jak grom z jasnego nieba, jakby kto kij wetknął

w mrowisko. Król ma akurat jeden z tych lucida intervalla, przeblysków jasności umysłu.

Nakazuje odprawić uroczystą mszę za spokój duszy zmarłego papieża i natychmiast zwołuje radę. Uniwersytet Paryski, podniesiony na duchu śmiercią swego wroga, znów rozpoczyna wojnę pośród natłoku rozsyłanych kurierów, ożywionej korespondencji, wezbranej gadaniny teologicznych dysput. Znalazł sobie nowego championa, Szymona de Cramauda, doradcę królewskiego, dworskiego prałata, urzędnika skrzętnie gromadzącego kościelne beneficja, patriarchę in partibus Aleksandrii.

Cramaud nie znosił

Klemensa z całego serca. Była między nimi ta historia kapelusza: papież uparcie odmawiał mu kardynalskiego kapelusza, który król mu przyobiecał. Skłócony z Awinionem, ale niepogodzony z Rzymem, nieskazitelny Cramaud radzi królowi, by wstrzymał nową elekcję w Awinionie. Wkrótce papież w Rzymie zrzeknie się urzędu...

To w istocie sposób, by odłożyć na później to, co nie może być uregulowane dzisiaj. Król słucha i rozważa. Były kanclerz Piotr d'Ailly bardziej dba o konwenanse.

– Moja wierność Klemensowi – oświadczam – nie powinna uchybiać jego następcy.

Ale wcześniej powinniśmy starać się poszukiwać dróg do polubownego rozstrzygnięcia sporu. Sire, trzeba odroczyć tę elekcję.

Jan Gerson wypowiada się w tym samym duchu. Wszyscy doradcy się zgadzają, z wyjątkiem jednego – to Piotr Fresnel, biskup z Meaux, związany z księciem Orleanu, bratem króla. Fresnel zwraca uwagę królewskiej radzie, że przełożenie elekcji mogłoby sugerować, iż rada nie jest całkiem pewna praw zmarłego papieża Klemensa, legalnego papieża. D'Ailly się waha. Argument ma swą wagę, wagę prawdy. Spojrzenia kierują się w stronę Ludwika Orleańskiego. Ma pewne ambicje w Italii i każdy wie, że Klemens VII je aprobował. Ale dołączając do d'Ailly'ego i Gersona, on także skłania się ku powszechnej opinii.

Uniwersytet Paryski wygrał pierwszą gonitwę.

Czas nagli.

Mija sześć dni od śmierci papieża Klemensa. Uroczysta żałoba, oficjalny pogrzeb, przygotowania do konklawe, zwłoka w przybyciu nieobecnych w Awinionie kardynałów

– może nie jest za późno, by uniknąć tego, czego już potem naprawić się nie da.

Łacinnicy się mobilizują. Wychwalają kardynałów. Przysięgają, że nikt nie próbuje dokonać zamachu na ich niezależność.

Proszą tylko, z najgłębszym synowskim szacunkiem, by zawiesili elekcję aż do przybycia królewskiego poselstwa, które niebawem dotrze do Awinionu. Król Karol VI sam podpisuje ten list.

Jeśli kardynałowie mają odrobinę rozumu, poczekają. W obediencji papieża z Awinionu królestwo Francji to spory kęs. A nie można lekceważyć swego suwerena.

Dnia 22 września po południu, gdy utrudzony koniuszy papieża Adhemar Avril, przekazawszy rankiem swój list, śpi kamiennym snem w królewskich stajniach – w drogę rusza Piotr Le Verrier, królewski posłaniec, w towarzystwie swego stajennego, i pędzą od bram Luwru co koń wyskoczy, ledwo zdążą im podnieść zamkowe kraty, gnani okrzykami strzegących murów łuczników: „Przejdźcie! Przejdźcie dla królewskiego kuriera!”.

Le Verrier jest słynnym rycerzem. Niebieski kasak Francji ozdobiony złotymi liliami królewskimi ponagła dowódców stacji pocztowych, rzuca na kolana mijanych wieśniaków; opryszkowie rozbiegają się na jego widok w popłochu, a baronowie w swych siedzibach są do jego dyspozycji. Nie galopuje, wprost leci na koniu!... Dobrze zna tę drogę, z Paryża do Awinionu.

– Wystarczą mi trzy dni, Sire! – obiecuje królowi, który wręcza mu pergamin w zapieczętowanej kopercie, owinięty w woskowane płótno. Zawiesza sobie list na szyi, pod kaftanem, wprost na gołym ciele..

Będzie jechał cztery dni.

Nikt nie zna powodów opóźnienia. Okoliczności, przeznaczenie... Może sekretna kontrwskazówka króla lub ciężka sakiewka obiecana przez księcia de Berri albo przez Ludwika Orleańskiego? A czemu nie zrządenie Boskie? Minęły cztery dni i trzy godziny, gdy wysłannik króla, Piotr Le Verrier, przejechał bramę papieskiego pałacu w Awinionie. Kardynałowie zdążyli rozpocząć konklawe.

Wedle zwyczaju zamurowano wszystkie wejścia. Od czasu burzliwej, fałszywej elekcji Urbana VI w Rzymie, w 1378 roku, bardzo dokładnie przestrzega się tej reguły.

Jedne drzwi są jeszcze otwarte, murarze właśnie przystępują do pracy. Nad ostatnimi robotami czuwa kardynał z Florencji, Piotr Corsini, który był przy tamtym konklawe i dobrze je zapamiętał. Błąd się już nie powtórzy. Żadna presja, nawet królewska, nie będzie tolerowana.

Odmawia przyjęcia listu. Le Verrier się upiera i siłą wciska mu go do ręki.

Ostatecznie kardynał go przyjmuje, ale uprzedza, że list nie zostanie otwarty przed końcem konklawe, a przynajmniej dopóki dwudziestu jeden kardynałów nie postanowi inaczej.

Wysłannikowi królewskiemu niczego nie będzie można zarzucić: przybył za późno, ale nie całkiem za późno... Drzwi zamykają się za kardynałem Corsini, który znika z listem w pałacowych pomieszczeniach, podczas gdy murarze, na zewnątrz, kończą ostatnimi ruchami kielni zamurowywać drzwi konklawe.

Opieczętowany herbami Francji, czerwoną pieczęcią z niebieską wstęgą, leży na stole w pałacowej kaplicy, gdzie dwudziestu jeden kardynałów w mitrach na głowach przygotowuje się do wysłuchania mszy błagalnej do Ducha Świętego, która zaczyna konklawe – leży i wszystkich hipnotyzuje. Czy wypali im w twarz, jak te miny z lontem, których od niedawna używa artyleria co bogatszych książąt? Skoro to Uniwersytet Paryski przygotował grunt, nikt nie wątpi, co zawiera ten list. Jeśli kardynałowie nie ulegną królewskiej woli i jeśli król, w ramach represji, wyjmie Francję spod obediencji awiniońskiej, przepadną tłuste beneficja, prebendy, soczysta dziesięcina, umożliwiająca wystawne życie panów kardynałów. Może więc go otworzyć? Tak radzi kardynał

z Saluces. Proponuje przełożyć elekcję, a nawet, czemu nie, skoro już się tutaj zebrali, wybrać Piotra Tomacelliego, który zasiada w Rzymie od pięciu lat pod imieniem Bonifacego IX!

Wówczas powstaje Piotr de Luna, kardynał z Aragonii, dziekan Świętego Kolegium.

Kardynał jeszcze sprzed czasu schizmy, teraz w wieku sześćdziesięciu sześciu lat; obawiają się jego ambicji, ale go słuchają. Najpierw musi rozprawić się z de Saluces i jego strasznym pomysłem.

– Nawet zakładając, że zechcemy głosować za antypapieżem, Bonifacy nie mógłby zostać wybrany, zanim nie zostałyby z niego zdjęte wszystkie kary kościelne i ekskomuniki, którymi obłożył go Jego Świątobliwość Klemens VII. Tymczasem nikt nie ma tej mocy, tylko następca Klemensa VII. Oto dlaczego, panowie, musimy przystąpić do wyboru.

Nikt nie oponuje. Kwestia załatwiona. Przechodzą więc do następnej: odłożyć czy nie odkładać?

Powstaje zamieszanie. Z dwudziestu jeden kardynałów jedenastu jest Francuzami.

Ten królewski list na stole paraliżuje niezdecydowanych, to znaczy – większość. Te same słowa biegną z ust do ust: „Jedność Kościoła, pokój Kościoła, jedność Kościoła”...

Kardynał z Aragonii korzysta z okazji:

– Ta jedność, panowie, to dla nas wszystkich najdroższe życzenie, przedmiot naszych nieustannych modlitw, naszych myśli.

Żeby kardynałowie z Rzymu i Awinionu zgromadzili się, aby wybrać nowego papieża władającego całym światem chrześcijańskim... Ale aby za obopólną zgodą dwaj papieże złożyli urząd, najpierw musi być ich dwóch! Kardynałowie z Rzymu reprezentują Bonifacego. Kogóż to jednak reprezentowalibyście wy, panowie, gdybyśmy teraz nie wybrali papieża?

Kardynałowie są zbici z tropu. Jak on ich zna, ten Piotr de Luna! Ma ich w garści.

Jego palce wkrótce się zacisną. Więc dobrze, głosujmy! Zabierają królewski list i zamykają go w skrzyni.

Na list odpowie nowy papież.

– Przed głosowaniem należałoby złożyć przysięgę na Ewangelię...

Kto to powiedział? Saluces. Kardynał z Aragonii piorunuje go wzrokiem. Czego jeszcze chce ten tchórz? Jakiej przysięgi?

– ... złożyć przysięgę na Ewangelię – ciągnie kardynał de Saluces – że ze wszystkich sił będziemy działać na rzecz jedności, że nie zrobimy nic, nie powiemy niczego, co mogłoby tej jedności przeszkodzić lub ją opóźnić. Powinniśmy złożyć przysięgę na Ewangelię, że, jeśli zostaniemy wybrani, będziemy wszelkimi sposobami dążyć do zjednoczenia, nie wyłączając nawet cesji, jeżeli większość tu obecnych kardynałów uzna to za właściwe.

Dobry sposób, żeby w odpowiednim momencie zablokować sprawę. Kardynałowie są zachwyceni.

Ich dwadzieścia mitr wykonuje coś na kształt wesołego baletu, podczas którego wymieniają opinie. Ten dwudziesty pierwszy, kardynał z Aragonii, stoi nieruchomo. Jego pobladła twarz przybiera barwę jego mitry, z gniewu, z oburzenia. Cóż oni mają w głowie? Jakież mają wyobrażenie o papieskiej godności? Elekcja „pod warunkiem”? Patrzy na nich z pogardą. Czyż papieństwo jest tylko przebraniem, które zakłada się zgodnie z wolą tej czy innej frakcji? Rzuca im to wszystko w twarz, wyniosły, szorstki. Czyż przed chwilą nie przedstawił im wszystkiego, co mu leży na sercu: że jest tylko jeden legalny papież; był nim Klemens i legalny będzie, bez względu na to, co mówią, myślą i co następnie uczynią, tylko tutaj wybrany następca!

Niektórzy pochylają głowy. Siła argumentów wywiera wrażenie. Niektórzy przytakują, to ci najstarsi, Corsini, d' Aigrefeuille, Saint-Martial. Inni otwarcie szydzą:

„Zdaje mu się, że już został wybrany!” – mówią między sobą. Piotr de Luna opanowuje się.

Z tymi załatwi się szybko.

– Nie zamierzam – oświadczam, siląc się na spokój – obarczać się brzemieniem, które uważam za przerastające moje siły.

Ale żeby zdementować pogłoski, które są tu rozpuszczane, ja także złożę tę przysięgę.

I rzeczywiście, składa tę przysięgę wraz z wszystkimi pozostałymi.

– Teraz głosujmy – mówi Corsini.

Saluces pierwszy zabiera głos:

– Wskazuję jako papieża i biskupa Rzymu Dom Krzysztofa, przeora z Grande-Chartreuse.

Cóż znowu? Zawsze ten Saluces! Czy ten przeor kartuzów jest teraz w Awinionie?

Oczywiście, nie. Kardynał z Aragonii rozbraja tę ostatnią petardę.

– Ci odludkowie bywają niekiedy bardzo uparci – tłumaczy łagodnie. – Grzeszą nadmiarem skrupułów. Nie możecie wiedzieć, panowie, co ten święty mnich myśli o postępowaniu cesyjnym i czy zgodziłby się abdykować...

Genialne posunięcie! Coś na kształt tej mszy Henryka IV, później, pod murami Paryża. Zapomniano mu, zapomniano mu ten krzyk serca, to zdanie o godności papieskiej: „nie jest tylko przebraniem, które zakłada się zgodnie z wolą tej czy innej frakcji”!

Dwudziestu kardynałów wypowiada swe zdanie, wytrącił im z ręki ostatnie argumenty. Wszyscy oni są przekonani, że kardynał z Aragonii, poza swymi zaletami, talentami, naturalnym autorytetem jest twardo zdecydowany zaangażować się w postępowanie cesyjne, nawet za cenę własnego zrzeczenia się z ewentualnej godności papieskiej. Jest człowiekiem na miarę tej trudnej sytuacji. Rozdarty Kościół będzie mu zawdzięczał swą odzyskaną powszechność. Nikt w to nie wątpi. Saluces koryguje swój głos:

– Wskazuję jako papieża i biskupa Rzymu naszego brata, kardynała z Aragonii, Piotra de Lunę.

Dwadzieścia głosów za, jeden wstrzymujący. Kardynał z Aragonii nakazuje modlitwę. Modlą się. Zanoszą błagania do Boga.

Kolejny balecik mitr; jeden po drugim podchodzą, obejmują Piotra de Lunę we wzruszającej jedności. O czym on wówczas myśli? Że dobrze to rozegrał? Że ma ich w garści? Że niczego nie rozumieją? Zapewne myśli po trochu o tym wszystkim, ale zwłaszcza o tym, że uratował papieństwo, że wbrew wszelkim przeciwnościom utrzyma je, w swej osobie, w porządku legalnej sukcesji apostolskiej, płynącej od Piotra, którego wskazał sam Chrystus: Tu es Petrus...

Piotr de Luna przyjmuje sto dziewięćdziesiąty dziewiąty tytuł papieża, pod imieniem Benedykta XIII. Ma siedemdziesiąt lat.

Śmierć zabierze go dopiero dwadzieścia dziewięć lat później, w wieku dziewięćdziesięciu dziewięciu lat. W tym czasie ten nieugięty starzec stawia czoło dwóm soborom i sześciu rywalizującym ze sobą papieżom w Rzymie, Pizie i Konstancji, którzy wyskakiwać będą jak króliki z kapelusza kardynałów wątpliwych obediencji. Później, po jego śmierci, inni powoływać się będą na jego imię...

Sprawy toczą się szybko. W wieczór swojej elekcji Piotr de Luna obejmuje w posiadanie, w pałacu des Doms, papieski apartament, zwany „Rzymem”, urządzony wcześniej przez Urbana V.

Koronowany 11 października 1394 roku, przyjął bez złudzeń hołd swych dwudziestu trzech kardynałów.

Przyjął także zapowiedziane poselstwo królewskie, które wreszcie przybyło, płynąc Rodanem i uczując po drodze na galarach udekorowanych proporcami łopoczącymi w podmuchach mistralu. I to jakie poselstwo! Aby pigułka była strawniejsza, król Karol VI, zanim znów popadł w mrok szaleństwa, posłał mu sam kwiat swego rycerstwa, swego brata księcia Orleanu, dwóch wujów: Berriego i Bourgoigne'a, siedmiu członków rady królewskiej, furę biskupów i opatów, w sprawach teologicznych trzymanyh twardą ręką przez dziesięciu czarno odzianych doktorów z Uniwersytetu Paryskiego, tych najbardziej nieustępliwych, najbardziej wrogo nastawionych, z wyjątkiem poczciwego d'Ailly'ego; przewodzi im ten głupiec, Szymon de Cramaud, który ma tylko jedną ideę w głowie: obalić papieża z Awinionu.

Ledwo galary przycumowały do brzegów, naprzeciw pałacu, na francuskim brzegu, kardynałowie zwawo tam pobiegli. Na moście Saint-Benezet trwa nieprzerwana krzątanina zdrajców.

Na królewskich galarach przyjmują ich wystawnie. Cesja? Ależ oczywiście! Przecież tylko po to wybrali tego papieża, a zresztą Jego Świątobliwość jest do niej przygotowany.

Trzeba go tylko teraz poprosić w odpowiedniej formie. Nawet książęta przychylnie usposobieni wobec Benedykta, Berri i Orleańczyk, nawet stary kanclerz Piotr d'Ailly ostatecznie opowiedzieli się za cesją.

W kończącym się XIV wieku tryumfujący Uniwersytet Paryski skutecznie narzuca swoją ideologię.

Sprawę przedstawiono papieżowi podczas uroczystej audiencji. Papież słucha, nieprzenikniony. Przytaczają mu ten tekst przysięgi sprzed elekcji.

– Czy to rada? Czy nakaz? – pyta łagodnie papież Luna, przypominając, że król obiecał dostarczyć mu tylko „synowską” opinię.

Bo przecież nakazu nie mógłby przyjąć! Jest papieżem, zwierzchnikiem Kościoła, postawionym przez Boga ponad ziemskimi suwerenami!

Mówi coraz mocniejszym głosem. Z wyjątkiem dwóch czy trzech, kardynałowie ustępują na wyprzódki. Ale odkąd to kardynałowie dyktują postępowanie papieżowi?

Błagają go. On się unosi. I odpowiada szorstko:

– Wolałbym raczej spłonąć na stosie, niż przystać na zrzeczenie się urzędu, co tylko wzmocniłoby uzurpatora w Rzymie!

To powiedziawszy, oddała się do swej komnaty, zwanej „Rzymem”, z tiarą na głowie. Nie przyjmuje już nikogo, a zwłaszcza tych francuskich kardynałów, którzy przedłożyli swe beneficja we Francji nad wierność jego osobie. Przemawiając w kościele franciszkanów, panowie z Uniwersytetu usiłują podburzać lud.

Zostają przepędzeni. Upokorzone poselstwo rusza w drogę powrotną. Książęta są wściekli. Ludzie w czerni obmyślają zemstę.

Papież jest sam.

Trzystu aragońskich łuczników, dowodzonych przez papieskiego siostrzeńca, Rodryga de Lunę, wkracza do Awinionu, obejmując garnizon pałacowy i strażę przy głównych bramach.

Za tym cienkim murem wiernych Jego Świątobliwość papież Benedykt XIII zaprawia się do samotności.

To jego przeznaczenie.

Wzgórza Lanhac w pobliżu Rodez, 1994

Noc nie całkiem jeszcze zapadła, gdy stary klasztorny citroen dojechał do miejsca, skąd widać już było opactwo Sainte-Tarcisse.

Po drodze nie spotkali nikogo. Gdy minęli przełęcz i ślady ostatnich wiosennych śniegów, wąska droga ostrymi zakrętami sprowadziła ich w dół, do zamkniętej górą doliny. Młody zakonnik kierował z wprawą, może tylko trochę za szybko. Chyba się cieszył, że prowadzi, jak każdy chłopak

w jego wieku, któremu powierzono kierownicę.

Na zboczu porośłym niewysoką ciemnozieloną trawą pasły się barany, a jakiś zakonnik z kapturem na głowie, podpierając się długim kijem, pędził je, z pomocą rudego psa, na noc do owczarni. Ten widok wywołał uśmiech na twarzy biskupa Cassiniego. Brakowało tylko podpisu na odwrocie tego obrazka: „Pamiętka mojej Pierwszej Komunii”.

Kierowca zatrąbił, zakonnik pomachał mu wesoło ręką. Wjeżdżając w ten pejzaż, raczej posępny, miało się wrażenie przekraczania niewidzialnej granicy, poza którą ludzi i rzeczy przenikał duch dzieciństwa, w Watykanie niewyczuwalny, przynajmniej od sztormów ostatniego soboru i wzburzonych fal, które jeszcze się rozchodziły.

Atmosferę psuły kurialne intrygi. Cassini cieszył się, że choć na krótko mógł się z niej wyrwać.

Całe dno doliny wyściełały pola uprawne. Czarna ziemia niedawno zorana.

Nieustanne następstwo wyorywanych bruzd narzucało temu jałowemu krajobrazowi bez drzew pewną wolę, jakby rodzaj estetycznego rygoru. Opactwo wyrastało wysokimi murami pośród pól, w samym środku doliny, nieustannie omiatane ciemnymi chmurami.

Była to bardzo stara budowla w klasycznym stylu cystersów, bez żadnych zdobień, jakby zebrana w sobie w szczelny kwadrat, o murach z czarnego andezytu, prawie ślepych; budynki klasztorne tworzyły trzy boki tego kwadratu, czwarty stanowił kościół, którego bryłę wyróżniała niewysoka dzwonnica; jej szczyt miał z wszystkich czterech stron łukowate nisze przewiewane wiatrem, z dzwonem w każdej z nich. Co dziwne – z tej mrocznej i surowej budowli emanowała jakaś łagodność i spokój. Cassini wzruszył się tym widokiem; wiedział, że wyjaśnieniem tej zadziwiającej harmonii są owe setki mnichów, którzy następowali tu jedni po drugich, od dziesięciu wieków i odprawiali setki tysięcy mszy, tworzących wokół tego miejsca jakby wieniec łask Bożych o wprost namacalnej gęstości.

Przeor, Dom Jansen, przyjął go na furcie. Wysoki, tęgi poczciwiec, około pięćdziesiątki, oschły i anielski zarazem, jak przystało na benedyktyna.

– Ekscelencja życzy sobie zjeść z nami kolację? – zapytał.

– Jest jeszcze czas.

W klasztorным refektarzu nie prowadzi się rozmów. Refektarz jest miejscem świętym, jak kościół. Na ścianie, ponad stołem najczcigodniejszego ojca przeora wisiał

duży krzyż. Na wejście biskupa Cassiniego czterdziestu zakonników podniosło się i pochyliło z szacunkiem, na sposób benedyktyński, zginając się prawie pod kątem prostym. Cassini docenił doskonałość tej ciszy: wózeczek obsługi krążył bez szmeru na kauczukowych kółeczkach, popychany przez braciszka w długim kuchennym fartuchu, drewniane miski nie czyniły nawet najmniejszego niestosownego hałasu na drewnianych, brązowych stołach, wzdłuż których, jeden obok drugiego – ale

nie naprzeciwko siebie –

posilali się zakonnicy, zwinnymi, lecz powściągliwymi ruchami podnosząc do ust grochówkę i warzywa, czasem sięgając po ser i zagryzając chlebem, a potem krojąc i obierając jabłko jako zwieńczenie tej uczty. Na podwyższonym nieco krześle jeden z zakonników monotonnym głosem, recto tono, czytał żywot św. Bernarda ponad tonsurami pochyłonymi nad drewnianymi miskami. „Dlaczego odsunęli się od świata? –

zastanawiał się Cassini. – Ci najlepsi z najlepszych... Jaki jest ukryty sens takiego życia?

Emigracja wewnętrzna? Takie obieranie jabłka pod tym krucyfiksem, w tej ciszy, przed wyśpiewaniem komplety, a potem układanie się do snu w swej celi, z nieziemskim uśmiechem na ustach – czy to nie byłaby jednak swoista zdrada wobec tych, którzy wojowali, jak on, w tylnej straży widzialnego chrześcijaństwa?

Dokończył obierać swoje jabłko. Nadal był głodny jak wilk.

W kieszeni marynarki równie daremnie, jak uporczywie kusila go fajeczka i wonny tytoń klasy „navy”. Na podwyższeniu lektor zmienił ton. Cassini nadstawił ucha. Czytał

ciągle recto tono, ale weselej, co przyciągnęło uwagę wszystkich, jakby na koniec zachowano dla nich jakąś niespodziankę.

– Przypowieść o Benedyckie, pieśń pierwsza – niósł się czysty i donośny głos lektora pod łukowatym sklepieniem refektarza...

„Tedy uciekł Benedykt z Rodez, nocą, w Boże Narodzenie Roku Pańskiego tysiąc czterysta trzydziestego siódmego. Uciekał ścigany jak Jezus, górami i dolinami, od chałup i pałaców, przed herodowymi łucznikami, co ścigali go jak zgraja psów. W Rodez zapalone stosy zgubiły wielu dobrych chrześcijan, niewinnych jak nowo narodzeni.

Uciekał Benedykt zrozpaczony, tracąc wiele krwi, po trzykroć upadając na swej drodze, jak nasz Pan...”

Zaintrygowany Cassini kątem oka obserwował swego towarzysza przy stole, ojca przeora, i ruchy jego rąk: sięgnął on po dzbanuszek z wodą, ulał jej trochę na miskę, którą oczyścił trzema palcami, potem, nieco zmętniałą, wypił, wreszcie starannie wytarł

miskę białą serwetą i powtórnie postawił ją na stole, na swoim miejscu, przed sobą, przygotowaną do następnego posiłku, a wszystko to robił z ręcznie i z zadziwiającą dystynkcją.

Pozostali mnisi uczynili podobnie, jeszcze zanim braciszek na podwyższeniu skończył czytać: „Wtedy zajaśniała gwiazda na niebie, a głos spoza chmur zawołał: »Idź

za tym światłem, Benedyckie, a światło to cię wybawi«. Panowie wilcy byli orszakiem Benedykta, jak również ptaki nocne, ze swym przepięknym upierzeniem i pohukiwaniem, które przepędziły łuczników Heroda, uciekających z wielką chyżością.

Po drugiej stronie góry, gdzie rozciągała się szeroka, żyzna dolina, zatrzymała się litościwa gwiazda, zalewając jasnym światłem dzwonnice ubogiego klasztoru, wzniesionego dla św. Tarsycji”...

Mnich skończył czytać i Cassini pomyślał z rozbawieniem: „Ciąg dalszy w następnym numerze, jak w powieści w odcinkach”. Ale zadziwiająca to opowieść. Kto był tym Herodem?

Karol VII? Przeor odmówił modlitwę dziękczynną, a następnie zakonnicy, nałożywszy kaptury, poszli parami ku budynkowi kościoła, na kompletę, ostatnią wspólną modlitwę, która rozpościerała pokój ponad nocą. Ustało bicie dzwonu: bił tylko jeden, o delikatnym i świeżym dźwięku. Pozostałe nocą milczały. I rozległ się pierwszy śpiew. Cassini nie stawiał już sobie pytań o ukryty sens życia klasztornego. Porwany gregoriańską inkantacją modlitwy, podjął także swój wzlot ku niepoznawalnemu Bogu, zapominając o wszystkim, także o celu swej podróży.

To Dom Jansen przypomniał mu o nim, szepcząc do ucha pod koniec nabożeństwa, aby poczekał, aż zakonnicy wyjdą z kościoła, gdyż chciałby mu coś pokazać, właśnie tu, w kościele.

Gdy zostali sami, przeor powiedział:

– Proszę za mną, ekscelencjo – i skierował się w głąb kościoła, w półmrok, przechodząc przed starożytnym baptysterium i wzdłuż bocznych ołtarzy o charakterystycznej dla cystersów prostocie. Idąc za nim, Cassini spostrzegł, że tylko jego własne kroki słyhać było w tej ciszy. Przed nim czarny habit Dom Jansena zdawał

się płynąć po posadzce, a sandały nie czyniły najmniejszego hałasu. Przeor zatrzymał się pod ostatnią parą kolumn.

– To tutaj, ekscelencjo, pod stopami.

Sięgnął po świecznik stojący na bocznym ołtarzu, zapalił zapałkę i gdy zapłonęła świeca, Cassini ujrzał starą płytę nagrobną z szarego andezytu, prawie już czarną, wmurowaną w posadzkę za filarem, w najciemniejszym miejscu. Płytko wykute litery były ledwo czytelne, nie tyle zatarte upływem czasu, ile raczej celowo tak sporządzone, by nie zwracać uwagi; jakby braciszek kamieniarz celowo powstrzymywał dłuto i ledwo muskał kamień.

– Nic tu nie mogę przeczytać – stwierdził biskup, nałożywszy okulary i pochyliwszy się nad kamienną płytą.

– W istocie – rzekł Dom Jansen. – Mógłbym zapalić światło elektryczne, ale wtedy w ogóle już nic nie byłoby widać.

To dziwne, ale tylko światło świecy, trzymanej w odpowiednim miejscu, pozwala, i to z trudem, odczytać ten napis. Ta osobliwość była niewątpliwie zamierzona. Zwiodła niejednego, poczynając od inkwizytorów. Proszę trzymać, o, w ten sposób...

Obniżył świecznik na wysokość biodra, postąpił nieco do przodu, zrobił krok w bok i dopiero wówczas wykute w dwóch rzędach litery odsłoniły swój sens, jakby wyciągnął

je z mroku, w którym ukryto je przed wiekami: BENEDICTUS MCDXXXVII –

Benedykt – mruknął Cassini. – Tysiąc czterysta trzydzieści siedem.

– Czy ekscelencja zauważył te ślady młota nad datą, jakby wykuto tam jeszcze coś, co później chciano usunąć? Jak widać, uczyniono to skutecznie.

– A co to było, ojca zdaniem? – zapytał biskup.

– Dwa skrzyżowane klucze, ekscelencjo. Niewiele brakowało, a w 1437 roku wszyscy mnisi z tego opactwa powędrowaliby na stos za uporczywe trwanie w posłuszeństwie antypapieżowi...

– Kogo ojciec tak nazywa? – przerwał mu Cassini, jakby raziło go to słowo.

– Tego, który tu spoczywa, pod tą płytą. Nie wymawiano jego imienia. Podczas wszystkich mszy w tym klasztorze uświęcona kanonem modlitwa za papieża rozpoczynała się od słów: *Pro illo qui est verus papa.* [* Za tego, który jest prawdziwym papieżem.]

Cassini nie podjął kwestii. Powiedział tylko:

– Postępowano rozważnie.

– Rzeczywiście, tak było lepiej – przytaknęła Dom Jansen.

– Jeszcze wiele lat po wielkiej schizmie inkwizycja węszyła wokół klasztoru. Trzeba było wielkiej zręczności, zaangażowania szlachty i wpływów ówczesnego przeora, Dom Celestusa de Boigne, aby nawiązać znów stosunki z Rzymem. To on kazał skuć te klucze papieskie, które wykuł jakiś wierny mnich. Grobów się nie rusza, a pomiędzy tymi, którzy byli wtajemniczeni, w Rzymie i w radzie królewskiej, nikt zresztą tego nie wymagał.

Człowiek ten zasługiwał na więcej niż szacunek. Pozwolono mu odpoczywać w pokoju...

– Jan Carrier – powiedział łagodnie Cassini – kardynał z Rodez i Saint-Etienne, papież, który przyjął imię Benedykta XIV.

To był cel jego podróży. Liczne poszlaki zawarte w dossier, określanego w tajnych archiwach Watykanu jako „MCDXXXVII”, a które Cassini na swój własny użytek nazwał „dossier Benedykta”, wskazywały właśnie na opactwo Sainte-Tarcisse.

Mikrofilmy były zamknięte w jego biurze, w szafie pancерnej, w Rzymie, jak również kilka dokumentów świeższej daty.

I dodał, z poweselałymi oczami, jakby ta myśl go rozbawiła:

– Inkwizycja ma długą pamięć, ojczcze. Czy to jako Święte Oficjum, czy to jako Kongregacja Nauki Wiary, nie przestaje węszyć...

Mroźna wilgotność nocy wślizgiwała się powoli w klasztorne mury. Cassini, drżąc lekko z zimna, pomyślał o zakonnikach, którzy mieli wstać o trzeciej rano, jeszcze przed świtem i zebrać się tutaj na jutrznię, podczas gdy on sam będzie się wysypiać w ciepłe.

W ciepłe? To się okaże...

– Gorąca kawa dobrze zrobi ekscelencji – powiedział Dom Jansen. – A co ekscelencja powie na dobrze rozpalony kominek? Mamy jeszcze dużo spraw do omówienia.

Przeor odstawił lichtarz na miejsce, a litery na płycie zaraz się zatarły i rozpląnęły w mroku, jak pośmiertne przesłanie martwej gwiazdy, która rozbłysła i zgasła: *Illo qui est veruspapa...*

Pomieszczenie, do którego Dom Jansen zaprowadził biskupa Cassiniego, znajdowało się obok rozmównicy i poza klauzurą; nazywano je jadalnią. Tam przeor przyjmował

ważnych gości, aby móc porozmawiać w luźniejszej atmosferze, nieskrępowany obowiązkami benedyktyńskiej reguły, i służyć im przy okazji mniej spartańskim jadłem.

Ogień huczał w kominku, a ekspres stojący na małym kredensie roztaczał wokół mocny zapach dobrej kawy. Dom Jansen postawił dwie filiżanki, a biskup, wyciągając fajkę, zapytał:

– Mogę zapalić?

– Bardzo proszę.

Przez chwilę słychać było tylko trzaskanie ognia.

– Od jak dawna się nie widzieliśmy, ojcze? – przerwał milczenie Cassini.

– Od intronizacji Jana Pawła II. Pamiętam radość ekscelencji.

– Rzeczywiście. A wcześniej?

– Wcześniej? O, to dawno. Dwadzieścia osiem lat temu, jak sądzę. Także w Rzymie.

Moje małe schronienie (słowo to wyraźnie go rozbawiło) na Ovido, w Domu św.

Atanazego, którym ekscelencja wtedy kierował.

– Ciągle nim kieruję. Trochę z dala, ale kieruję nim. Ojciec stanowił cenny narybek.

Coraz mniej takich ludzi. Spotyka się już tylko teologów.

– Nie takie było moje powołanie, ekscelencjo.

– Też tak uważam. Ale wróćmy do sprawy. Kto spośród zakonników zna tajemnicę tego grobu?

– Wszyscy, ekscelencjo, ale jak daleko sięga państwo tego klasztoru, nic nigdy nie wyszło poza te mury. To część naszej historii. W latach trzydziestych XV wieku mnisi z Sainte-Tarcisse byli pośród tych ostatnich, którzy dochowywali wierności Benedyktowi XIII, potem Benedyktowi XIV, naśladując w tym swego księcia, Jana d’Armagnaca, który przyłączył się do papieża z Rzymu dopiero pod groźbą popadnięcia w herezję i wyzucia ze swych państweczek. To dlatego Jan Carrier zmarł właśnie tutaj.

– Ojciec jest pewien? – zapytał Cassini. – Kazałem szukać, oczywiście. To nie było łatwe. Jan Carrier miał być zatrzymany w Levezou, w 1433 roku, blisko Millau, gdzie schronił się w asyście kilku pasterzy tworzących jego ostatnią świątynię, ledwo trzy lata po swej elekcji. Zamknięty w zamku Foix, w lochu, w wielkiej tajemnicy, miał tam umrzeć w 1437 roku.

– Daty się zgadzają – potwierdził Dom Jansen. – Ale on uciekł. Słyszał ekscelencja przed chwilą Przepowiednię o Benedyktach. Wybrałem tę lekturę dla ekscelencji. Wszyscy nasi bracia znają ją na pamięć i zawsze słuchają jej z tym samym wzruszeniem, jak pięknej baśni przed zaśnięciem. Została napisana przez jednego z tutejszych mnichów, w trzydzieści lat po tych wydarzeniach.

Poza poetyckimi upiększeniami, reszta jest chyba prawdziwa.

– A ta „eskorta wilków”? Ci łucznicy, którzy rzucili się do ucieczki, słysząc pohukiwanie puszczyków? Gwiazda? Cała ta baśniowość...

Przeor uczynił wymijający gest, jakby się wahał między dręczącymi i jego wątpliwościami a przekonaniem o prawdziwości tej opowieści.

– W dniu śmierci Benedykta zaszło tutaj coś dziwnego – powiedział. – Nie mam podstaw, by podejrzewać zmyślenie. Mówi o tym pewien list, który znaleźliśmy w klasztorze, napisany przez Dom Celestusa de Boigne do papieża Eugeniusza IV, ale nigdy niewysłany, prawdopodobnie z ostrożności. Co zbytnio nie dziwi, ponieważ opowiada on o historii cudownego uzdrowienia pewnego nieszczęsnego brata zakonnego, który spadłszy z dachu, złamał sobie stos pacierzowy i miednicę. Zniesiono go ledwo żywego, na noszach, do Jana Carrier’a. Ten podniósł dwa palce i postawił kalekę na nogi...

Biskup Cassini poruszył się zniecierpliwiony.

– Więc on także czynił cuda?

– „Także”? – zdziwił się przeor.

Biskup puścił to pytanie mimo uszu, a Dom Jansen, obserwując go, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem Cassini nie dołącza do tych spośród swoich braci biskupów, których jakiegokolwiek nawiązanie do możliwości cudu natychmiast wprawiało w bardzo nieprzyjemny humor.

– I co dalej? – zapytał Cassini.

– Co teraz będzie dalej, ekscelencjo? Czy co się wtedy dalej stało?

– Wtedy – sprecyzował biskup.

– Dalej to były jakieś wizyty w klasztorze, sześć czy siedem w jednym stuleciu, tak było na początku, potem stawały się coraz rzadsze.

I zaczął opowiadać. Mężczyzna przychodził zawsze po zapadnięciu nocy, niekiedy w towarzystwie jakiegoś pasterza. Później nie widziano już z nim żadnych pasterzy, mężczyzna pojawiał się sam. Świetnie znał drogę, która wówczas była zwykłą ścieżką dla mułów. Pukał do klasztornej furty i przez okienko judasza przedstawiał się: „Jestem Benedykt”. Nie mówił: „Mam na imię Benedykt”, ale: „Jestem Benedykt” – i to sezamowe zaklęcie działało, bo brat furtian otwierał drzwi. Nie zawsze zresztą był to Benedykt.

Przychodził także Jakub, Mateusz z Betlejem, Piotr, Andrzej z Gibelet, Łukasz, Szymon z Hebronu, Tomasz z Cezarei, Jan z Tyberiady... Nosili imiona apostołów łączone z dawnymi biskupami w Ziemi Świętej, a przyjmowane teraz przez ludzi młodych i zmęczonych, powściągliwych w słowach, ze spojrzeniem skierowanym w głąb siebie, owiniętych w długi pasterski płaszcz, z torbą na przerzuconym przez ramię pasie i z pielgrzymim kijem w dłoni. Kiedyś przyszedł nawet jakiś Szkot z dalekiej wyspy Jona. Równie dobrze jak tę ścieżkę, wszyscy oni znali miejsce pochówku Jana Carrier'a, tu, w kościele. Zostawiano ich w spokoju, podczas mszy. Modlili się. Z czasem ich wizyty stawały się coraz rzadsze, aż w ostatnim trzydziestoleciu całkiem ustały.

Chociaż pojęcie czasu było względne, gdyż chodziło o setki lat, odwiedziny tych, którzy przedstawiali się jako Benedykt, były najczęstsze. Pierwszy, który zapukał do klasztornej furty, pojawił się około dwudziestu lat po śmierci Jana Carrier'a. Mężczyzna słusznego wzrostu, wyglądał na szlachcica okrytego płaszczem pasterza, był bardziej niż jego późniejsi następcy pewny godności swej osoby i mogło się to tłumaczyć żywym jeszcze wspomnieniem o nieustępliwym papieżu Luna, zmarłym trzydzieści cztery lata wcześniej i ciągle obecnym w powszechnej pamięci. Ten Benedykt nie był sam.

Towarzyszyła mu jakby świta, z dwoma mułami obładowanymi jakimiś kuframi zakrytymi narzutą, był mulnik, dwóch pasterzy o śmiałym spojrzeniu, ze szpadami przy boku i ktoś, kto wydawał się przebrany za wieśniaka szambelanem. Muły zaprowadzono do stajni, a szambelana ze świtą do pomieszczeń gościnnych, podczas gdy ów Benedykt, piętnasty już tego imienia – co do tego nie ma wątpliwości – został

natychmiast sekretnie przyjęty przez starego Dom Celestusa de Boigne, który wciąż był

przeorem. Nie wiadomo, o czym rozmawiali, prócz tego, że rozmowa zaczęła się o drugiej po południu. Z opinii, które wymienili, nie wyciekło nic. Skończyli w porze kolacji.

Kiedy weszli do refektarza, Dom Celestus osobiście podał mu naczynie z czystą wodą i białą lnianą serwetę, nakazał mnichom powstać i pozdrowić gościa, ale potem, zamiast usadzić go obok siebie, czego można było oczekiwać, nakazał poprowadzić go do stołu dla przygodnych gości, gdzie kilku biedaków żywionych przez klasztor posunęło się, by zrobić mu miejsce. Wszystko to miało znaczenie symboliczne. Wyznaczone zostały ściśle granice. Gościna, owszem. Także pewna forma szacunku.

Ale nic ponadto.

Gdy w dwanaście lub trzynaście lat później Benedykt powrócił, około 1470 roku, był

to człowiek prawie zupełnie wycieńczony, niedożywiony, w zdartych butach i postrzępionej pelerynie.

Żadnego ekwipunku. Nie było już mulników, kamerdynera czy szambelana ani przybocznej straży przebranej za pasterzy, ani mułów i tych tajemniczych kufrów, co do których przypuszczano, że zawierają resztki papieskiego skarbu Piotra de Luny, ocalałe z rabunku dokonanego przez wysłanników Rzymu, nieco wcześniej. Był sam. Jego torba zawierała już tylko przedmioty osobistego użytku, które jednak stawiały go jeszcze ponad przeciętnością: korporał, patenę, pięknie oprawiony mszał i niewielki rzeźbiony kielich wysadzany szlachetnymi kamieniami (biskup Cassini pomyślał o tym, który żandarmeria z Frontignan znalazła w plecaku Jakuba z Betlejem, zmarłego w Maguelone...), a także ukryty w podwójnym dnie pierścień rybaka: prywatną pieczęć zmarłego Jana Carrier'a. Dom Celestus opuścił już tę ziemię, zastąpił go inny przeor, który przyjął tę zjawę z przeszłości bardziej z chrześcijańskiego miłosierdzia niż ze względu na to, co reprezentowała. Ofiarował mu nocleg, miejsce przy stole, wsparcie, nic więcej. Mężczyzna odpoczął dwa dni i zaopatrzony w prowiant, o świcie, bez słowa ruszył w drogę. Ten Benedykt nigdy nie powrócił. Nie wiadomo, gdzie umarł. Ani żaden inny Benedykt. Zdarzało się niekiedy, że jeden z nich, u kresu sił, omal nie umarł

w klasztorze, ale zawsze jednak w końcu się dźwigał i odchodził umierać gdzie indziej, nie dopominając się o współczucie...

– Skąd ojciec wie to wszystko tak dokładnie? – spytał Cassini.

– Tradycja ustna, ekscelencjo, jest bardzo silna w Sainte-Tarcisse. Są także pewne dokumenty. Niektórzy spośród naszych przeorów lubili spisywać małe i wielkie wydarzenia z życia klasztoru. W końcu te wizyty Benedyktów lub ich przedstawicieli są dla nas żywą legendą. Wcześniej wiele się nad tym nie zastanawialiśmy. Poza tym, teraz to już nie zdarza się często. Przychodzą i odchodzą. Przyciąga ich grób Benedykta XIV.

Nawiedzanie go to ich obowiązek. Uzasadnienie ich istnienia. Nie bierzemy w tym żadnego udziału, ale nie ma żadnego powodu, żebyśmy zamykali przed nimi bramy klasztoru.

– Doprawdy? – spytał Cassini. – Nawet jeśli ten Benedykt uważa się za...?

Słowo nie padło, ale obaj pomyśleli o tym samym.

– Żaden z nich nigdy tego nie powiedział – rzekł Dom Jansen. – Żaden nigdy tego nie twierdził. Z wyjątkiem, oczywiście, tego Benedykta XV, zwanego inaczej Piotrem Tifane, którego przyjmował Dom Celestus, a któremu, pozdrowiwszy go, wskazał jego właściwe miejsce.

– A co on o tym myślał?

– Dom Celestus? Skąd się tego dowiedzieć? Nic nie zostawił w tej kwestii.

– A ty, ojcze, co o tym myślisz?

Przeor spojrział na niego tak spłoszony, że biskup parsknął śmiechem.

– Ależ nie, ojcze, proszę się nie obawiać! Schizma się skończyła. Nikt nie pyta ojca przeora o legalność obecnego papieża. Który jest fałszywy? Który jest prawdziwy?...

Sobór w Konstancji podjął dobrą decyzję, a ojciec nie jest św. Wincentym Ferreriuszem.

Chodziło mi o coś innego. Proszę sobie wyobrazić, że dziś rozmawiałem w Paryżu z komendantem żandarmerii, który podejmował, w pewnym sensie, jednego z gości, których ty, ojcze, miałeś tutaj. Czy ten Benedykt albo raczej ci Benedykci, czy, uwzględniając ich dyskrecję, sprawiali wrażenie, że... jakby to powiedzieć... że znają się na swoim fachu?

Przy kominku stał kosz z polanami drewna. Przeor wyciągnął jedno i podrzucił do ognia. Drewno było suche i zaraz stanęło w płomieniach.

– Ułomna pamięć ludzka kładzie się na tych sześciu wiekach, ekscelencjo – odparł

Dom Jansen po długim namyśle. – Mogła upiększyć te sprawy. I wszyscy ci Benedykci się pomieszali. Nie wiemy nawet dokładnie, ilu ich było. Tradycja ustna może zagubić tę nić przewodnią i wielu obdarzać tym, co było cnotą i zasługą tylko niektórych.

Uzbroiwszy się w tego rodzaju ostrożność, można jednak zaryzykować pewną ocenę ogólną, bez wątpienia dość bliską rzeczywistości. Przede wszystkim w tradycji ustnej naszego klasztoru nie znajduje się żaden negatywny sąd albo opinia na temat tego czy tamtego spośród tych gości, nic, co pozwalałoby mieć jakąś wątpliwość względem szczerości ich wiary, ich bezinteresowności, a zwłaszcza względem ich równowagi psychicznej. Nawet cienia prozelityzmu, żadnych mesjańskich ambicji, w przeciwieństwie do tych wszystkich natchnionych sekciarzy, którzy zawsze uważają się za obdarzonych Boską misją. Wydawało się, że ich jedyną rolą na tej ziemi jest trwanie.

Trwanie i przekazywanie, trwanie, żeby przekazywać. Ich pobożność także budziła podziw, tutejsi mnisi coś o tym wiedzą i trudno się pomylić. Oszuści zostaliby szybko zdemaskowani. Ich wiedza religijna, dogmatyczna czy liturgiczna nie była gorsza od naszej, ale nie to jest najbardziej zadziwiające. Nie pobierając żadnego formalnego wykształcenia, skąd ją czerpali? Zapewne przekazywali ją sobie, jeden drugiemu, podobnie zresztą jak kapłaństwo, gdyż nikt w klasztorze nigdy nie miał wątpliwości: większość z tych dziwnych gości była kapłanami. I w tej kwestii także nie da się oszukać całego pokolenia zakonników i przeorów. Oczywiście, według reguły, bez zgody władz kościelnych nie mieli prawa odprawiać mszy. Nikt z nich zresztą o to nie prosił.

Zadawali się uczestnictwem we mszy klasztornej i nabożeństwach z udziałem innych przygodnych wiernych, ale ich zachowanie, ich odpowiedzi, śpiew – zdradzały kapłańską formację lepiej, niż gdyby sami się do niej przyznali. Potwierdziło się to w dwóch znanych przypadkach, nawet nie tak dawno – jakieś sto lat temu. Pewien przeor, przejęty nagle braterskim współczuciem i ufnością, być może nazbyt romantyczną, a chyba też po prostu ciekawością... – spontanicznie zaproponował

jednemu z tych gości, by odprawił

mszę świętą w jednym z bocznych ołtarzy kościoła, ten zaś przyjął to jak rzecz całkiem naturalną. Do mszy służył nowicjusz z klasztoru, a uczestniczył w niej sam przeor, uważnie obserwujący zachowanie gościa. Sporządził później notatkę, w której podkreślił

pewne archaizmy liturgiczne, wcześniejsze od reform Soboru Trydenckiego, zastrzegł

jednak, że nie może być mowy o świętokradztwie. Dodał, że celebransa wyraźnie ożywiła swego rodzaju widzialna łaska Boża (tu biskup Cassini pomyślał

o komendancie Plassardzie, który doświadczył podobnego uczucia, rozmawiając z Jakubem z Betlejem). Mężczyzna, o którym opowiadał przeor, także nazywał siebie Benedyktem. Powrócił jeszcze kilka lat później, odprawił kolejną mszę i odszedł

o świcie, z torbą na plecach. Pozostawił po sobie silne wrażenie. Reasumując, ekscelencjo, ci przybysze wzbudzali szacunek naszej wspólnoty...

– W pewnym sensie, sami mali święci! – zażartował Cassini.

Dom Jansen milczał, a że milczenie się przedłużało, biskup obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

– Chyba ojciec nie chce powiedzieć... Ach, nie! Bardzo proszę. Proszę tylko mi nie opowiadać o żadnych cudach!

Dom Jansen uśmiechnął się mimo woli.

– Nikt nie wypowiedział tego słowa, zapewniam ekscelencję. Po prostu, kiedy stąd odszedł, kamienny ołtarz zaczął promieniować intensywnym ciepłem i niebieskawym światłem, które zdawało się wydobywać z jego wnętrza.

Biskup Cassini aż podskoczył.

– Mówi ojciec „po prostu”? Doprawdy, nic prostszego!

A czemuż jeszcze nie niebiańskie głosy? Chóry anielskie! I ojciec sądzi, że ja to kupię?

Dom Jansen przeczekał tę burzę.

– Tylko ciepło i światło, ekscelencjo.

– I długo trwało to... to zjawisko?

– Siedemnaście dni. Mój poprzednik skrupulatnie to odnotował. Dnia 14 stycznia 1886 roku, o godzinie 10.30 rano wszystko wróciło do normy. Przeor nakazał

zakonnikom przysiąc milczenie i więcej o tym nie mówiono. Zapisek ten kończy się przypuszczeniem, które pozostawiam przenikliwości ekscelencji: ciepło i światło zniknęło dokładnie w chwili śmierci Benedykta.

– I nigdy już się nie powtórzyło?

– Nigdy.

– Jeszcze jest szansa... – mruknął biskup z przygnębioną miną.

Objął czoło dłońmi, potrząsnął prawie komicznie głową, żeby podkreślić swe niedowierzenie, ale Dom Jansenowi przyszło nagle na myśl, że biskup zmusza się trochę do tego tonu, by oszukać swoje prawdziwe uczucia.

– Cóż, ojcie – ciągnął Cassini – to wszystko, co opowiadasz, ten cud, to jest takie...

śmiesznie średniowieczne. Takie... okropnie niemodne! – Ale jednocześnie zmienił się na twarzy. Był zadowolony, prawie wesoły.

– Niech Pan Bóg będzie pochwalony! – powiedział nagle.

– A teraz, ojcie, opowiedz mi o tym drugim.

– O jakim drugim?

– Chciałem powiedzieć: o tym ostatnim, o tym, którego niedawno przyjmowaliście, o którym do mnie pisałeś...

Dom Jansen wstał i wyjął z kredensu butelkę połyskującą bursztynowym blaskiem i dwie kryształowe szklaneczki wielkości naparstka.

– Dziś nie ma postu. Proponuję łyk starego armaniaku z naszego opactwa. Jesteśmy z niego bardzo dumni. Będę towarzyszył ekscelencji.

Biskup się zgodził, nabił fajkę i zapalił. Zrozumieli się bez zbędnych słów. Zdając sobie sprawę z niezwykłości tej rozmowy i jej mało stabilnego gruntu, tymi drobnymi, świeckimi gestami otwierali sobie jakby „wyjście ewakuacyjne”, które miało im pomóc zachować zdrowy rozsądek.

– To było cztery miesiące temu – zaczął Dom Jansen. – Kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Wtedy już od dawna żaden z tych gości nie pokazywał się w klasztorze. Ja nigdy nie spotkałem żadnego z nich, a mija już dwadzieścia siedem lat, odkąd złożyłem śluby w tym opactwie. W ogóle o nich nie wspominaliśmy, co najwyżej słuchając tej Przypowieści o Benedykcie, która czytana jest w refektarzu mniej więcej raz na rok, ale mówiłem już ekscelencji, że to dla nas jest legenda, piękna budująca historia podobna do tych, które opowiadają katedralne witraże. Tamta rzeczywistość się oddaliła. Spośród tych, którzy ją wcielali, tworzyli, nikt już bez wątplenia nie żyje. Może nieświadomie żałowaliśmy tego, ale przeorowie Sainte-Tarcisse, to znaczy mój poprzednik Dom Fortot, i ja, odczuli wreszcie sekretną ulgę. I wtedy nagle przyszedł, tuż przed zapadnięciem nocy.

Zapukał do klasztornej furty i powiedział „Jestem Benedykt”. Nie powiedział:

„Mam na imię Benedykt”, ale „Jestem Benedykt”. Brat furtian odruchowo pospieszył

otworzyć drzwi, nie prosząc przybysza o więcej informacji. Natychmiast mnie powiadomiono. Wiedziałem dużo o nim i o tych innych. Zapomniałem już o tym, ale wiedziałem sporo. Od razu sobie przypomniałem. Chciałem biec na furte, ale zatrzymałem się wpół drogi, zastanawiając się, dlaczego serce bije mi tak, jakby – proszę wybaczyć, ekscelencjo – jakby sam papież pukał do naszych drzwi. Wziąłem się w garść.

Wydałem rozporządzenia, żeby przybysza umieszczono w pokoju gościnnym, a potem zaprowadzono go do refektarza, gdzie uszykowałem, przy wejściu, tak jak i dla ekscelencji, naczynie z wodą i serwetę.

Tam właśnie go ujrzałem. Był stary, mocno zgarbiony, wynędzniały, bardzo zmęczony. Miał na sobie czarny, złachany, staroświecki surdut i wyglądał jak robotnik sezonowy z ubiegłego stulecia. Spojrzał na serwetę, którą mu podałem, najpierw się zawahał, ale potem wziął ją szybkim ruchem, całkiem jakby mu się to należało. To, co działo się potem, nasuwało podobne skojarzenia. Weszliśmy do refektarza. Z wyjątkiem furtiana i brata, który zaprowadził go do pokoju gościnnego, nikt z zakonników nie wiedział o jego przybyciu. Ponieważ trochę się spóźniliśmy, wspólnota była już w trakcie kolacji. Wszyscy wstali. Ekscelencja zna ciężar ciszy. Ta, która nas ogarnęła, miała wagę wieczności. Czując te wbite w niego spojrzenia, posadziłem go obok siebie. W tej chwili bracia nie pojęliby, gdybym postąpił inaczej.

Gość prawie nic nie zjadł. Trochę puree, pół jabłka. Wydawał się tak zmęczony, wyczerpany, ale tak jawnie szczęśliwy, że to szczęście odbijało się w oczach wszystkich naszych braci. Wówczas użyłem swej władzy. Skróciłem kolację. Przerwałem ostatnią lekturę i posłałem wszystkich na kompletę. Tego wieczoru poszedłem spać wściekły na samego siebie, nie chcąc zastanawiać się nad sensem tego wszystkiego, ale zarazem nie mogąc o tym nie myśleć, co nie sprzyjało zaśnięciu, ekscelencjo, a przecież nam, zakonnikom, sen jest tak skąpo wydzielany... Nazajutrz rano, na laudesach, był

w kościele, w głębi świątyni, daleko od nas, owinięty tą swoją śmieszną pasterską peleryną, oddzielony od nas jakby okopem, który sam wykopał. Wchodząc do kościoła, zatrzymałem się przy nim. Miałem ochotę go zagadnąć, ale nie wiedziałem, co powiedzieć. Czuję, że i on ma ochotę coś powiedzieć, ale nie byłem w stanie pierwszy się odezwać. Miałem wrażenie, że dzieli nas przepaść wieków, której nic i nikt nie zapełni. Wydawało mi się, że rzekł „Błogosławię cię”, chyba ugiąłem kolano. Godzinę później odszedł, zaopatrzony w nowy plecak, śpiwór, żywność i trochę pieniędzy.

Podziękował furtianowi, mówiąc, że udaje się w długą podróż, i odszedł. Nigdy nie wrócił. Sądzę, że inny już nie przyjdzie.

Cassini chrząknął poruszony.

– Żadnego cudu? – zapytał.

– Nawet najmniejszego.

– Tym lepiej! – rzucił biskup podejrzenie wesołym tonem, jakby chcąc ukryć wzruszenie. – Przynajmniej tobie, ojcze, będzie to oszczędzone.

Dużym palcem nabił fajkę, łyknął armaniaku i powiedział:

– Starania, by przeżyć, zabierają mu dużo czasu. Idzie wolno. Mogę ojcu powiedzieć, gdzie był przedwczoraj. W katedrze des Doms, w Awinionie.

– Skąd ekscelencja wie?

Biskup się uśmiechnął.

– Dom św. Atanazego, ojcze... Ten biedny człowiek zebrał przy głównej nawie i nikt nie zwracał na niego uwagi. Z upływem czasu żebracy stają się niewidzialni dla innych ludzi... Obok, trzymając matkę za rękę, przeszła jakaś dziewczynka, o twarzy zeszpeconej czerwoną plamą, tak zwanym „rumieniem”, która pokrywała połowę jej twarzy. Z uśmiechem wsunęła jakiś pieniążek żebrakowi. Potem upłynęły jedna czy dwie minuty, gdy matka z córką szły obok siebie, wracając do domu. W pewnym momencie ta kobieta spojrzała na córkę i krzyknęła: „Jakaś ty piękna, kochanie! Twój policzek! Jest całkiem gładki i biały!”...

Dziecko zaraz zawróciło i pobiegło do katedry. Żebrak zniknął.

Bóg chciał, że tam się zatrzymał. Znaczenie swojej drogi cudami nie jest najlepszym sposobem, by pozostawać niezauważonym...

Biskup Cassini uderzył dłonią w oparcie fotela:

– A trzeba, żeby przeszedł niezauważony.

– Dokąd on teraz zmierza, ekscelencjo? Czy ekscelencja wie?

– Można tylko przyjąć pewną hipotezę, ale bez wielkiego ryzyka pomyłki. Awinion to miejsce symboliczne. W pewnym sensie on pochodzi z Awinionu. Skierował się do źródeł. Od Klemensa V do Benedykta XIII było dziewięciu papieży, potem jeszcze dwóch, na wygnaniu, ale zajmowali, jako kardynałowie, pałace papieży na brzegu Rodanu. Bez wątpienia podjął swą wędrówkę. Maguelone jest zbyt oddalone, poza tym nie znalazłby tam już nikogo. Nie pójdzie do Maguelone. Jona w Szkocji jest za daleko, podróż taka przekracza jego siły i środki, zresztą tam też nie ma już nikogo, kto by go przyjął, a nawet o nim pamiętał. Sądzę, że skieruje się raczej na wschód, idąc przez te małe opuszczone biskupstwa Górnej Prowansji. Jego towarzysze pozakładali tam te swoje widmowe siedziby kardynalskie, wszyscy ci, których ojciec przed chwilą wymienił

i o których docierały do mnie jakieś informacje. Jakub z Betlejem zmarł w Maguelone, Piotr z Gibelet, Łukasz z Hebronu, Tomasz z Cezarei, Jan z Tyberiady... W Entrevaux, które kiedyś nazywało się Glandeves, w ruinach katedry Notre-Dame-de-la-Sedz, ponad trzydzieści lat temu znaleziono w zimie zwłoki jakiegoś włóczęgi owinięte w pasterską opończę. Pozostaje Senez, a może Riez, które są zresztą blisko siebie. Z tego, co mi o nim wiadomo, utwierdzi się w tym, co już wie: że jest sam. Zatem podejmie swój marsz, i jeśli Bóg doda mu sił, pójdzie aż do końca, to

znaczy...

Dom Jansen skończył za biskupa:

– Do Rzymu... I ekscelencja chce mu w tym przeszkodzić? Jeżeli jest już tak stary, tak wycieńczony... To chyba nigdy nie dojdzie?

Ta myśl wyraźnie go zasmuciła.

– Nie martw się, ojcie – powiedział Cassini. – Przeciwnie, chcemy mu pomóc.

Ojciec go widział, skrzyżował z nim spojrzenie, słyszał dźwięk jego głosu, odgadywany bardziej, gdyż nie odezwał się do ojca przeora, ale ja ufam przenikliwości ojca. Ojca zdaniem, dlaczego skierował się w stronę Rzymu, jak pielgrzym, właśnie teraz, kiedy prawie już nie ma sił, aby żyć?

Dom Jansen nie zastanawiał się długo.

– Aby tam umrzeć, ekscelencjo. Aby umrzeć przy grobie Piotra i tak usprawiedliwić swoje życie.

Miał w oczach łzy.

– Najpewniej tak właśnie rozumuje – powiedział Cassini.

– Rzym po sześciu wiekach wygnania... Jeśli taki jest jego zamiar, dorzuciłbym jeszcze i to: skoro schizma przetrwała tak długo i skoro jedyny, ostatni depozytariusz tej równoległej sukcesji apostołskiej chce, umierając w Rzymie, dokonać aktu poddania się Rzymowi, to jest to a fortiori powód do radości. „Jesteś prawdziwym papieżem”, powiedział Wincenty Ferreriusz do Benedykta XIII, gdy ten schronił się w Aragonii ze swymi ostatnimi kardynałami. „Jesteś prawdziwym papieżem, ale teraz trzeba się poddać...”. Rzec się dokona.

Było coś dwuznacznego w tym oświadczeniu, jakaś wątpliwość, która w ustach wysokiego funkcjonariusza papieskiego, jakim był biskup Cassini, musiała zastanawiać.

Dom Jansen, zaskoczony, zaryzykował ostatnie pytanie:

– Czy Ojciec Święty wie o istnieniu Benedykta?

Biskup Cassini udał, że nie słyszy. Wyraził chęć udania się na spoczynek. Przeor poprowadził biskupa do jego pokoju lodowato zimnymi korytarzami opactwa. Wbrew wszelkim obawom pokój jednak był ogrzany.

Nazajutrz biskup Cassini wrócił do Rzymu.

Awinion, 1398

Geoffroy Le Meingre, zwany „Boucicaut”, szambelan króla, syn i brat marszałków Francji, pan na Boulbon, Etaramon i innych warowniach Prowansji, pozbawiony większych skrupułów awanturnik – dzierżył w imieniu króla Karola VI miasto Villeneuve-les-Avignon. Jego chorągiew wojenna powiewała nad Zamkiem św. Andrzeja wspólnie z proporcem królewskim. To jego wielki dzień. Wreszcie rzuci swe zgraje na to bogate, pływające się w zbytku miasto po drugiej stronie Rodanu. Tego ranka, 1 września 1398 roku, na moście Saint-Benezet pojawili się dwaj królewscy komisarze w swych rozpoznawalnych szatach, w eskorcie uzbrojonych strażników; poprzedzał ich herold, dmący w srebrną trąbkę. Zatrzymali się przy kaplicy św. Mikołaja. Zbudowana na drugim przęśle mostu, stanowiła granicę miasta. Zebrał się tłum.

Emisariusze Boucicauta, wysłani z pierwszymi promieniami słońca, rozpowszechniali na targowiskach i rynkach ważne nowiny. Wokół robi się cicho. Herold rozwija pergamin z wielką pieczęcią królewską i z wysokości konia, ponad wpatrzonymi w niego twarzami czyta donośnym głosem, słyszalnym w ostatnich szeregach, w dwóch bliźniaczych wieżyczkach głównej bramy miasta, gdzie czuwają aragońscy łucznicy:

– Zgodnie z postanowieniami i opiniami synodu Kościoła francuskiego, zebranego w Paryżu z woli króla Karola, szóstego tego imienia, nakazane jest, co następuje...

Obwieszczono „zawieszenie posłuszeństwa”. Nie dołączając na razie do papieża w Rzymie, Francja nie uznaje odtąd papieża z Awinionu. Zawieszona zostaje wszelka jego władza na całym obszarze królestwa. Nie będzie więc mógł pobierać dziesięciny ani innych dotychczasowych należności, a jego poborcy będą usunięci z wszystkich biskupstw. Wszelkie tytuły nadań i wszelkie beneficja, udzielone mu od chwili intronizacji, są anulowane.

Zatwierdzenie elekcji klasztornych należeć będzie odtąd do biskupów. Nie wolno mu udzielać inwestytury kanonicznej nowym biskupom ani gromadzić ich wobec swej osoby. Nie może nic.

Wytworzono wokół niego próżnię. Edykt królewski nakazuje przy tym wszystkim duchownym poddanym króla Francji opuścić bezzwłocznie Awinion, o ile nie chcą utracić swych beneficjów, a cudzoziemcom w służbie papieża Luny rozwiązać z nim umowy, traktaty i inne porozumienia oraz natychmiast opuścić miasto pod groźbą wygnania z królestwa i konfiskaty dóbr. Tak głosem swego herolda przemawia król; zwracając dumnie konie, jakby wyzywająco, komisarze królewscy powracają galopem do Villeneuve, pozostawiając oniemiały tłum, który po chwili zaczyna szemrać, a wieść lotem błyskawicy rozchodzi się po całym mieście, dobiegając aż ufortyfikowanych bram pałacu des Doms, gdzie papież w swej prywatnej kaplicy właśnie skończył celebrować mszę. Tam, wewnątrz murów obronnych, na dziedzińcu „służebności kardynalskich”*[*

były to rezydencje kardynałów, bardziej przypominające umocnione domy niż wytworne pałace.] krząta się już służba między kufkami, torbami podróżnymi, pakami, tłumokami, pośród licznych mułów i uwijających się wokół nich mulników. Kardynałowie wydali już rozporządzenia. Jak szczury przygotowują się do opuszczenia statku. Ludzie w czerni zemścili się. Uniwersytet Paryski zdegenerował francuskie duchowieństwo, oszukał

ksiąząt, nadużył zaufania biednego, szalonego króla, który wskutek tej intrygi teologów uznał, że ma także władzę nad duszami swych poddanych, a świecka nieomylność przeważa nad kwestiami

religijnymi. Teraz król jest we Francji papieżem! Ten drugi, prawdziwy, Benedykt XIII, papież Luna, rządzi już tylko w swoim pałacu.

Doszła i do niego ta wiadomość. Udał się po mszy do swej papieskiej komnaty ozdobionej gustownymi freskami, przedstawiającymi winnice, kwiaty, wieśniaków, wiejskie dzwonnice – nic, co przypominałoby ruiny, przemoc i nienawiść Rzymu.

Przygotowano posiłek: ciasto miodowe i szklanka wina z jego winnicy w Graveson.

Jedząc, czyta jakąś pobożną książkę. Nie okazuje zmartwienia. Patrzy przez okno na milczący, bezradny i przerażony tłum zgromadzony przed pałacem. Otwiera szeroko drzwi, pokazuje się na balkonie, kreśli w świeżym powietrzu poranka potrójne błogosławieństwo i woła silnym głosem do tysięcy awiniończyków, także żegnających się znakiem krzyża w odpowiedzi na słowa błogosławieństwa: „Nie lękajcie się...”.

Potem wraca do swej komnaty, gdzie schodzą się najwierniejsi z wiernych, najbliższy doradca Wincenty Ferreriusz, nadworny lekarz Franciszek de Arana i siostrzeniec, Rodrygo de Luna, komendant niewielkich oddziałów papieskich.

– Nieważne! – mówi do nich nieomal wesoło. – Święty Piotr nie był mniej papieżem przez to, że nie słuchano go we Francji.

Mija już czwarty rok nieustępliwej walki. Czwarty rok, odkąd nieuczciwość i podstępne działanie przeciwników zmuszają go do walki tą samą, godną pogardy bronią, jakiej używają wobec niego, papieża, jedyne legalnego papieża, jedyne Namiestnika Chrystusowego na ziemi. Wysłał poselstwa do wszystkich władców Europy... Udzielił dyspensy zezwalającej na ponowne małżeństwo wszystkim tym książętom, którzy na to nie zasługiwali... Potwierdzał uzurpowane lenna... Przyrzekł

kapelusze kardynalskie, opactwa, siedziby arcybiskupie całej, tak niegodnej, królewskiej paranteli, posłał nawet własnych teologów, by podjęli się jego obrony wobec – niech mu Bóg wybaczy – podstępnych doktorów z Uniwersytetu Paryskiego! On, który ma być niewzruszoną opoką, ileż to razy musiał się uginać, dawać do niewzruszoną opoką, ileż to razy musiał się uginać, dawać do zrozumienia, że skłonny jest rozważyć cesję, jeśli ten drugi, w Rzymie, zrobi tak samo, i jeszcze dyskutować warunki, a nawet posyłać dwa razy emisariuszy (niech i to Bóg mu wybaczy) do Tomacelliego, który uważa się za papieża Bonifacego IX! Oto przed czym musiał uginać się ten nieustępliwy, wielki starzec, kłócąc się z tym drugim o „obediencje”, jakby byli dwoma parszywymi psami walczącymi o kość. Gdy o tym pomyśli, dłonie w czerwonych rękawiczkach się zaciskają. Ośmielono się zażądać od papieża, by sam zakwestionował swą legalność!

Tego nigdy nie wybaczy! Czy zażądano by od Boga, by zaprzeczył własnej Boskości?

I tak oto trwał w oblężeniu, z władzą papieską ograniczoną do murów awinionskiego zamku, kiedy jego kardynałowie przeszli na stronę wroga, za wyjątkiem tych pięciu Hiszpanów i Włochów... I dobrze, tym lepiej! Nie potrzeba już tych wszystkich zgniłych kompromisów, tego podwójnego, kłamliwego języka, podstępnych uników. Jest papieżem i pokaże to światu!

Zacznie właśnie od tego, że będzie się więcej pokazywać: w towarzystwie swego kuzyna Rodrygo, z mitrą na głowie i palium na ramionach, dokonuje inspekcji murów miasta. Zamknięto wszystkie bramy, a blanki, wieże, odcinki murów między bastionami obsadzono obrońcami dobranymi spośród tych, którzy pozostali wierni papieżowi, a są zdolni do noszenia broni: służących, posługaczy, halabardników, szlachty awiniońskiej, rzemieślników, nawet duchownych; wspierają ich trzy setki aragońskich łuczników; ale i tak słaba to załoga do obrony tak długich murów. Boucicaut zniszczył i splądrował całą najbliższą okolicę, by zapłacić z góry najemnikom, którzy zgromadzeni teraz pod głównymi bramami obrażają słowami i obscenicznymi gestami „heretyka” i „patarena”, tego „fałszywego Piotra od księżyca i słońca”. Z wieży Filipa Pięknego, u wylotu mostu, po drugiej stronie Rodanu, zgraja kardynałów francuskich w czerwonych pelerynach obramowanych gronostajem obserwuje szyki najemnego żołdactwa kupionego za ich denary, a rzuconego teraz przeciwko temu, którego sami niedawno wybrali... Są tam kardynałowie Piotr de Thury, Jan de la Grange, Hugon de Saint-Martial, Idzi de Malesset, Jakub de Vergy i inni, łącznie z kardynałem de Saluces, który jako pierwszy na konklawe oddał głos za papieżem Luna... Brakuje kardynała Jana de Neufchatel, najbardziej zajadłego. Ten kazał pozostałym udzielić sobie tytułu kapitana miasta Awinion, zarządcy miasta w imieniu Świętego Kolegium.

Odziany w purpurę, w kolczudze pod szatą, z mieczem na pasie i buławą w dłoni, konno, w eskorcie zbrojnej straży dowodzi artylerią: wydaje rozkaz palby katapultom i bombardom, kieruje machinami oblężniczymi i ruga saperów, którzy się spóźniają z ładunkami prochowymi. Ulewa kamieni, pocisków i kul spada na mury. Zraniony w ramię papież krwawi. Opatrują go. Do tłoczących się wokół niego mówi silnym, spokojnym głosem:

– Nie dzisiaj mi jeszcze pisane ani jutro, długo jeszcze. Umrę bardzo stary i umrę papieżem.

Jakże trafne proroctwo! Piotr de Luna żył jeszcze bowiem przeszło ćwierć wieku, dożywając dziewięćdziesięciu dziewięciu lat, a w tym samym czasie w Rzymie, Pizie i Konstancji pochowano pięciu papieży!

Dwa tygodnie później, 15 września, sytuacja stała się rozpaczliwa. Lud obrócił się przeciwko swemu papieżowi. Splądrował magazyny ziarna i oliwy, załadował do worków dobytek ostatnich lojalnych kardynałów, kardynała Salvy, arcybiskupa Pampeluny, kardynała Buyła i kardynała Ammanatego, którzy uratowali skórę tylko dlatego, że w porę chronili się do pałacu silnie strzeżonego przez Aragończyków.

Ludność Awinionu kochała swych papieży; świadczą o tym piękne pieśni. Przynajmniej takie wrażenie sprawiała przez prawie całe stulecie, ale w trudnych chwilach daremnie spodziewać się po tłumie rzeczy wielkich i wzniosłych. Najczęściej zdradza słabych dla silnych, pominąwszy już to, że Prowansalczyki zasadniczo nie są stworzeni na bohaterów. Groźby zagłodzenia miasta, miotane przez królewskich komisarzy i to wiarołomne oświadczenie francuskich kardynałów, kwestionujące legalność Benedykta XIII, odwróciły od niego lud prowansalski. Zdradzano wszędzie. Strażnicy milicji miejskiej oddawali klucze do bram. Kardynał de Neufchatel uroczyście wjeżdża do miasta, dzierżąc uniesiony wysoko w górę czerwony kapelusz z czarnymi frędzlami niczym wojenną chorągiew. Tłum wiwatuje bezwstydnie: „Niech żyje Święte Kolegium!”. Wraz z Neufchatelem i jego brudnymi, cuchnącymi najemnikami weszła do miasta także dżuma. I on pierwszy umrze na

dżumę, płacąc sprawiedliwą cenę za swoją zdradę.

Dnia 22 września zastępuje go Boucicaut, który osobiście staje na czele najemników, pod sztandarem królewskim powiewającym na wietrze. Niecierpliwi się. Dziewczęta całują rycerzy... Miasto należy do niego. Tylko zamek jeszcze nie kapituluje. Boucicaut podsuwa się aż po wysokie mury samej fortecy papieskiej, grożąc oblężonym, pewny siebie. Władczym tonem żąda od Rodryga de Luny, który pojawia się na blankach wieży, gdzie dowodzi obroną i gdzie powiewa złoty proporzec ze skrzyżowaną papieską tiarą i półksiężycem, by oddał klucze od twierdzy i wydał na jego łaskę pięciu kardynałów: niech zaręczą głową za poddanie się Piotra de Luny. Nie był nawet tak uprzejmy, by powiedzieć „papieża” lub „Jego Świątobliwości”, lub użyć innej grzecznościowej formy. Dla niego sprawa jest już skończona.

Odpowiada mu z murów grad strzał i kanonada artylerii. Bombardyny papieskie otwierają ogień. Wkrótce pałac spowija siwy dym. Papież nie modli się w swej kaplicy, jak jaki gałgan, który zdawałby się już tylko na pomoc Boską. On też jest na murach, z białymi infulami swej mitry rozwiewanymi przez podmuchy mistralu. Dodaje otuchy artylerzystom. Obiecuje im odpuszczenie grzechów i inne bardziej doczesne rekompensaty. Wokół Boucicauta padają ludzie. Jego koń staje dęba. Zarządza więc odwrót i ucieka razem ze swoją świtą, ścigany ze szczytów murów nieprzyzwoitymi epitetami w dialekcie aragońskim, odnoszącymi się do jego matki i jej dziewictwa...

Następuje regularne oblężenie. Boucicaut zarządza budowę umocnionych, drewnianych platform oblężniczych oraz prawdziwej reduty z murami i fosami. Zamyka dostęp do ulic barykadami, zajmuje okoliczne domy, z których wypędza mieszkańców.

Jego najemnicy obsadzają dachy tych domów, aby ustawiać tam katapulty i miotacze kamieni. Łucznicy zajęli pozycje na wieżyczkach zdobytych już kardynalskich pałaców.

Jeśli chodzi o sprzęt oblężniczy i ludzi, przewaga oblegających jest miażdżąca wobec dwustu pięćdziesięciu ludzi garnizonu papieskiego, w większości Hiszpanów, ale jest tam także trochę Włochów, pięciu Niemców, sześciu Anglików czy Gaskończyków i...

siedmiu Francuzów.

W przeciwieństwie jednak do oblegających są to ludzie zaprawieni w walce, dowodzeni przez roztropnego kapitana, który nie patyczkuje się z dyscypliną, podczas gdy bandy Boucicauta grabią i piją, opróżniają jedną po drugiej piwnice Awinionu.

Straże na murach zmieniane są co osiem godzin i wzmocniane patrolami, które obchodzą mury dniem i nocą. Pięciu kardynałów w kolczugach, w wysokich butach, z kołpakami kolczug przymocowanymi do czerwonych kapeluszy sprawuje nieustanny nadzór. Jest to Kościół walczący, muskularny, stawiający czoło niebezpieczeństwu z podniesioną głową, niezbyt skłonny nadstawić drugi policzek.

Imponująca jest też wysokość i potęga murów papieskiej fortecy, przytłaczającej miasto swym ogromem, nie do zdobycia, chyba że zdradą.

Jest wreszcie on sam. Niezlomny papież Benedykt XIII. Powiedział do Wincentego Ferreriusza, swego spowiednika: „Wytrwam aż do śmierci”, a ten święty człowiek zaaprobował jego decyzję. Słowa te obiegły cały pałac. Przyjęto je z uznaniem.

Grzmi więc papieska artyleria; dwanaście potężnych kolubryn o czarnych paszczach, zamówionych wielkim kosztem w hiszpańskich odlewniach. Odpowiada jej artyleria oblegających, równą ilością zięjących ogniem luf, użyczonych przez króla kardynałowi de Neufchatelowi, który osobiście nią dowodzi, podczas gdy papież, na murach dodaje odwagi własnym celowniczym. Dziwny to pojedynek, w którym kardynał i papież strzelają do siebie z dział ku większej chwale Pana Boga! Papież zyskuje przewagę.

Pociski kardynalskie ledwo sięgają murów.

Papieskie natomiast, przeciwnie, przerzedzają szeregi oblegających i sieją panikę w całym mieście.

Boucicaut próbuje podstęp. Wysyła trzech totumfackich kardynałów, Malesseta, Thury’ego i Salucesa, aby zaproponowali negocjacje. Spotkanie ma miejsce w siedzibie Salucesa, który dzięki zdradzie zachował swe dobra. Benedykta XIII reprezentują kardynałowie Buyl, de Salva i degli Ammanati: szybko się orientują, o co chodzi.

Rozmówcy po prostu próbują ich przekupić! Nie takiej oferty oczekiwali. Papiescy wysłannicy mają wszelkie prawo wybrać jednak walkę, co też dumnie oświadczają.

W drodze powrotnej, na rozkaz szalejącego z wściekłości Boucicauta, dwaj z nich, Hiszpan i Włoch, zostają aresztowani.

Odarci z peleryn, kapeluszy i insygniów, w obciętych nad kolanami szatach obwożeni są po całym mieście jako rozpustnicy, opluwani, wygwizdywani, obrażani; w końcu zostają wtrąceni do lochu w zamku de Boulbon. Jedynie kardynał Buyl zdołał

umknąć i wrócić do pałacu.

Próba nocnego szturmu po rynnach fortecy też nie przynosi skutku. Jednak było gorąco. Było ich pięćdziesięciu, uzbrojonych po zęby i mieli wedrzeć się rynną prowadzącą do pomieszczeń kuchennych, dowodzeni przez miejscowego Judasza, dawnego papieskiego kuchmistrza. Siekiery, młoty, cęgi, nie zapomnieli o niczym, nawet o linach do wiązania jeńców, workach na pieniądze, które spodziewali się znaleźć, o chorągiewkach ozdobionych burbońskimi liliami, aby obwieścić zdobycie pałacu.

W kuchni zasiedział się jednak pewien kuchcik, w porę ich spostrzegł.

Krzyki, trąbki, dzwon alarmowy. Uprzedzono papieża. Łucznikowi, który go zawiadomił, rzucił:

– Wracaj do walki! Należą do was!

Rezultat: pięćdziesięciu więźniów.

Obleżenie ugrzęzło, mija październik, listopad, grudzień, styczeń... Miny, płonąca smoła, wrząca oliwa, palone wapno, grad kamieni – całe wyrafinowanie ówczesnej techniki militarnej okraszone, jakby dla zachowania wysokiego poziomu, delicjami rodzącej się właśnie artylerii. Na stole papieża jada się wróble, na stołach żołnierskich koty i psy. Pije się wodę z winegretem. Nie ma już wina, warzyw. Trochę zboża, to wszystko. Morale jest wspaniałe.

I powoli odwraca się los.

Najpierw kardynał Jan de Neufchatel spada z konia. Nie upadł elegancko, jak dumny rycerz zaskoczony kaprysem szlachetnego wierzchowca. Spadł jak worek, zwałił się głupio na ziemię, bez duszy. Rozebrano go z kolczugi, aby mógł odetchnąć, rozcięto nożem sznurowadła wysokich butów odkrywając wielką, siną plamę, która widniała w pachwinie jak wyrok. Wiarołomny kardynał padł na dżumę jako pierwsza ofiara jej długiej litanii. Codziennie wozy braci pokutnych, w szarych habitach, z maskami zakrywającymi twarze aż po nozdrza, zbierają po mieście do pięćdziesięciu zwłok i palą je na wyspie Barthelasse, nad którą wznosi się czarny, smrodliwy dym. Zwracając przerażone oczy ku obleganemu zamkowi papieża, lud Awinionu zaczyna zadawać sobie pytanie, czy tam, wysoko, w schronieniu tych murów, to nie papież Benedykt XIII wstrzymuje swymi rękami w białych rękawiczkach wszelką obietnicę Boskiego zmiłowania? A może przekleci są jego przeciwnicy? Były to czasy, gdy wierzono mocno, gdy więź człowieka z Bóstwem cechowała porażająca oczywistość. Pojawiły się i inne znaki. Ognisty język w poprzek Rodanu, który oświetlił następnie pałac, rozjaśniając go błyskawicami i grzmotami. Chociaż nie strzelała żadna kolubryna, jakaś kula strzaskała sztandar z liliami Burbonów, powiewający nad jedną z kardynalskich wież. Bogobojna mniszka z klasztoru św. Katarzyny miała wizje krzyża pochylonego nad pałacem papieskim jak wielkie opiekuńcze skrzydło...

Ludowa chorągiewka raz jeszcze obraca się na wietrze... Jego Świątobliwość Benedykt XIII błogosławi lud! Osiemnastu francuskich kardynałów zaczyna także zadawać sobie pytania. Czy aby znowu nie znaleźli się po niewłaściwej stronie?

Majestatyczny cień Piotra de Luny straszy ich nocami. Nie obawiają się o swe dusze, lecz o swe dobra. Papież Luna im tego nie zapomni...

Na rzece, od strony Arles, słychać dźwięki fanfar. Przy zamku Trinquetaille zakotwiczyło piętnaście galer podeślanych przez Marcina, króla Aragonii, który nagle przypomniał sobie, że Benedykt XIII był kardynałem-prymasem jego królestwa. Galery oczekują przyboru wody na Rodanie, by oddać się na usługi papieża i przywrócić rozum kardynałom, biednemu, szalonemu królowi Francji i zaślepionej ludności Awinionu.

Potem swój miecz na usługi obleżonego papieża oddaje również król Karol Andegaweński, który akurat wraca z Neapolu utraconego wskutek intryg rzymskiego papieża. W Comtat wybuchają bunty.

W Sault w imię papieża formuje się oddział złożony z pięciuset zbrojnych. Wówczas wysuwa się przed szereg niezastąpiony kardynał Saluces. To on pierwszy pojmuje, w jaką zapędzili się pułapkę. I oto ten małoduszny purpurat, po prawdzie bardziej tchórz niż zdrajca, śpieszy do papieskiego pałacu, by przed innymi ukorzyć się przed papieskim tronem.

Jeszcze niedawno odcięty od świata, papież Luna z kamienną twarzą przygląda się temu starcowi, który obcałowuje jego stopy, dłonie, twarz... Po nim przychodzą kardynałowie Malesset, de Thury, de Vergy i kilku innych. Przychodzi, mniej zdegenerowany niż paryski, uniwersytet z Tuluzy, potem uniwersytety z Angers i Orleanu, wreszcie Gerson, ten wielki Gerson doradza królowi restytucję posłuszeństwa.

Kastylia, Nawarra i Szkocja pierwsze powracają do papieża Luni. Sam Karol VI, podczas jednego z rzadkich nawrotów jasności umysłu, wysłał swego posłańca z serdecznym listem.

Jednak Uniwersytet Paryski czuwa. Wbrew Gersonowi, nie ustąpi. Obleżenie pałacu będzie wznowione, zaopatrzy się oblegających. Zaprzestanie się atakowania fortecy.

Papież może przyjmować, kogo zechce, komunikować się ze światem zewnętrznym, ale nie może opuścić pałacu. Czuwać ma nad tym kordon oddziałów królewskich.

Utrzymane zostaną dotychczasowe barykady.

Jeden papież w Awinionie, drugi w Rzymie. Który jest prawdziwy? Który fałszywy?

I tak umiera ten wiek. Nadchodzi nowy. W Rzymie Piotr Tomacelli, który uważa się za papieża Bonifacego IX, ogłasza rok 1400 rokiem świętym. Cóż za wyzwanie!

Benedykt XIII modli się w swej kaplicy. Wszystko zaczyna się od nowa. Jest gotowy znowu zjednoczyć świat chrześcijański.

Pozszywać te kawałki szaty... Dwóch papieży to obraza dla Boga. Potrząsa gniewnie głową. Podnosi oczy na monstrancję, w której białe lśni hostia, którą konsekrował.

Jest tylko jeden prawdziwy papież.

On nim jest.

Podjął decyzję. Cóż znaczą obietnice królów? Cóż znaczą grymasy książąt, płaszczenie się kardynałów? Ponieważ papież jest biskupem Rzymu, więc gdy tylko odzyska wolność – najedzie Rzym!

Między Awinionem a Senez, 1994

Podczas swej długiej włóczęgi mężczyzna tylko raz przekroczył Rodan. Było to bardzo dawno, gdy udał się do Glandeves, zimą, zamknąć oczy swemu staremu towarzyszowi. Po powrocie, aby się utrzymać, pracował jako drwal w Cevennes, a potem nie opuszczał już wzgórz Causses, gdzie zwykle przebywał i gdzie przyjmowało go jeszcze od czasu do czasu kilka domów naznaczonych tym znakiem. Przypomniawszy sobie o Awinionie. Nietrudno było tam trafić, mając za przewodnika imponującą budowlę pałacu i złoconą statwę Dziewicy, wieńczącą katedralną wieżę.

Pomyślał ze współczuciem o małej dziewczynce z paskudną plamą na policzku, która obdarzyła go tak pięknym uśmiechem.

Teraz powinien już wyjść z miasta, iść na wschód, ku wschodzącemu słońcu. Jeśli chodzi o krainę, którą musiał teraz przebyć – do Riez miał osiem dni drogi, do Senez cztery kolejne dni – pamiętał tylko nazwy wiosek, niczym słupki kilometrowe na trasie jego podróży. Te wszystkie wskazówki otrzymał od Piotra z Gibelet, który odbył niegdyś trzy takie podróże ze swej siedziby w Senez aż do Levezou, zanim woda pochłonęła ich kaplicę, a także do Rodez i nawet do Aleth, z okazji sakry Jakuba z Betlejem, tej nocy, gdy zaskoczył ich żandarm w ruinach katedry. Gibelet wskazał mu także kilka przyjaznych miejsc na odpoczynek, kilka spośród, prawdę powiedziawszy, coraz mniej licznych gospodarstw czy domostw, gdzie ci, którzy szli przed nim, zatrzymywali się w drodze, pewni, że dostaną nocleg, posiłek i będą przyjęci z szacunkiem. Ale mężczyzna nie robił sobie złudzeń. Dziś czasy się zmieniły. Jakkolwiek obcy był temu światu, nie był przecież ślepy. A wszystko, co widział wokół, odrzucało go, odpychało, odbierało mu poczucie sensu istnienia.

Opuściwszy miasteczko Montfavet, szedł przez betonową pustynię, pośród gigantycznych, krzykliwych znaków czasu, i okrytych kurzem jałowych ogrodów. Nic nie wskazywało, że znajdzie gdzieś to ocienione miejsce, o którym mówił mu Gibelet, że będzie tam oberża pod wezwaniem pewnego świętego; dostrzegł tylko tabliczkę na narożniku obskurnej kamienicy: plac św. Siffreina...

Tu właśnie, w Montfavet, poczuł się bardzo samotny. Kupił sandwicza w piekarni, mapę drogową w kiosku i samotnie ruszył w dalszą drogę, usiłując sobie przypomnieć, od jak dawna nie widział już Gibeleta...

Teraz droga przechodziła ponad podwójną wstęgą autostrady.

Stał chwilę wsparty o balustradę wiaduktu, z pustką w sercu, rozmyślając o wieku, w którym żył. Ogłuszający hałas gniótł mu serce i ścisnął skronie, nieustanna fala pojazdów i ciężarówek, które mijały się i wyprzedzały w sześciu rzędach pod jego stopami...

Jakiś chłopak o bystrym, inteligentnym wejrzeniu stanął obok niego; przechylił się przez balustradę, ledwo dotykając nogami ziemi.

– Śmierdzi, coś obrzydliwego – powiedział. – Czy tam są ludzie?

– Jacy ludzie? To ci się nie podoba?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie zrozumiesz...

Mężczyzna poszukał wzrokiem małej kapliczki wzniesionej ku czci św. Jakuba i oznaczonej „muszlą” pielgrzymów do Compostelli. Kiedyś zrobił tam sobie odpoczynek Gibelet. Ale nie zauważył niczego podobnego w okolicy, tylko te hangary składów towarowych i magazyny, parkingi zatłoczone samochodami otaczające olbrzymie sklepy, których nie wieńczyła żadna wieża. Zniknięcie tej kapliczki przynajmniej uchroniło ją od zatury w obojętności, a już prawie od sześciu wieków, odkąd

umilkł tutaj głos Benedykta, nikt już nawet nie próbował skruszyć tej obojętności...

Chłopak wycelował w przednią szybę olbrzymiej ciężarówki i zaraz uciekł, wywijając trzymaną w ręku procą. Z dołu rozległ się ogłuszający pisk opon, potem metaliczne odgłosy uderzeń zapowiadające nieszczęście i śmierć. Obrócony w poprzek drogi wielki tir, prawdziwy moloch drogowy, odbił się od bariery i zbierał teraz swój ofiarny trybut. W niemal regularnych odstępach dwudziestu sekund kolejne pojazdy uderzały jeden w drugi, musiało być ich z pięćdziesiąt, aż wreszcie ów wąż samochodów znieruchomiał. Trzaskały drzwiczki. Z tej magmy wyłaniały się postaci ludzi ogłupionych sytuacją. Wył jakiś pies. Chłopak z procą nawet się nie obejrzał. Oddalał się lekkim krokiem, z rękami w kieszeniach. Mężczyzna uczynił w powietrzu znak krzyża.

– To dziecko nie jest winne, Panie – powiedział.

Potem ruszył w dalszą drogę.

Gdy policja sporządziła bilans tego karambolu, z którego, nawiasem mówiąc, wyszli bez szwanku arcybiskup Awinionu i jego sekretarz, zauważono, że spośród dobrej setki uczestników wypadku nikt nie zginął w tej masie żelastwa i tylko osiem osób zostało lekko rannych. Co do kierowcy ciężarówki, który także wyszedł cało, zeznał, że kamień uderzył w przednią szybę na wysokości jego oczu i że stracił panowanie nad kierownicą.

Nazajutrz prasowe tytuły głosiły: „Montfavet. Cud na autostradzie A-7”. Cud... – to tylko takie określenie. Nikt nie wyobrażał sobie w istocie, nawet arcybiskup Awinionu, że ów cud zmobilizował dobrą setkę aniołów stróżów na wezwanie pewnego starego człowieka, który przypadkiem tamtędy przechodził...

Kilka godzin później, przekroczywszy Isle-sur-la-Sorgue, mężczyzna zszedł na wiejską drogę, która wiodła skrótem wprost na wschód. Na drodze, z której właśnie zszedł, ciężarówki mijały go tak blisko, że prawie go muskały, i czuł, jak chwieją nim podmuchy idące od tych mastodontów. Jakaś furgonetka minąwszy go, zatrzymała się.

Kierowca wychylił się z kabiny.

– Dokąd wędrujecie, dziadku?

Stary człowiek uśmiechnął się mimo woli. Głos brzmiał przyjaźnie. Miał zaśpiew z tych stron. Łamał jego samotność. Toteż odpowiedział:

– Do Rzymu...

Kierowca gwizdnął przez zęby:

– Do Rzymu? Pieszko?

Przyjrzał mu się uważniej. Poczciwiec nie wyglądał na zwykłego wędrownego robotnika. Zresztą od dawna nie było już wędrownych wyrobników, najwyżej włóczędzy o mało zachęcającym wyglądzie, ze spuszczonego wzrokiem, często z psami równie brudnymi jak oni. Nigdy się nie zatrzymywał,

nawet gdy podnosili kciuk. Tym razem jednak przyhamował, machinalnie, bez zastanowienia. Sam się zdziwił. Spędzając pół

dnia na drogach przy rozwózce chleba do okolicznych wiosek, stał się nieufny.

– W porządku, ojczulku, ale przecież i tak tam nie dojdziecie przed wieczorem, do tego swojego Rzymu! Jeśli chcecie, podrzucę was kawałek. Wracam do siebie, do Saint-Pantaleon. Widzę, że ledwo już powłóczycie nogami, a piechotą zabrałoby to wam jeszcze co najmniej dwie godziny drogi.

To prawda, stary człowiek już ledwo powłóczył nogami. Z każdym krokiem z coraz większym trudem odrywał stopy od ziemi i z każdym krokiem ten wysiłek stawał się coraz bardziej nie do zniesienia, coraz bardziej bolesny. W głowie mu huczało, jakby roiło się tam tysiące much, serce w piersiach waliło urywanymi uderzeniami, kilka razy już prawie tracił równowagę i musiał odpoczywać, wsparty o jakiś murek, drzewo, słup.

Usiąść na skarpie i odpocząć chwilę? Z tym ciężkim plecakiem? Obawiał się, że już nie będzie miał siły się podźwignąć. Nie, musi przecież iść, iść aż do nocy... Dni stawały się zbyt długie na ten niewielki zasób sił, którym jeszcze dysponował.

Piekarz tymczasem wysiadł ze swej furgonetki.

– No, niech pan wsiada. Wezmę ten plecak. Pewnie nie czuje pan nóg.

Dokąd jechał ten dobry Samarytanin? Jaką wioskę wymienił?

Zdaje się, że Piotr z Gibelet, mówiąc o drodze z Levezou do Senez, wspominał jakiś przyjazny postój w Saint-Pantaleon... Ale to było kiedyś, może czterdzieści lat temu, w innej epoce, gdy tego dobrego Samarytanina nie było pewnie jeszcze na świecie.

Inny świat, inna epoka, która od dawna nie była już jego epoką...

W furgonetce usiadł po prawej stronie, zamknął oczy i zaczął się modlić w duchu.

Samarytanin przy kierownicy nie przestawał mówić:

– Nad sklepem mam niewielki pokoik. Będzie się tam panu dobrze spało. Jutro rano muszę jechać na drugą stronę Apt. Podwiozę pana. Zaoszczędzi pan spory kawał drogi.

Nazywam się Raoul Jourdan. A pan?

– Jestem Benedykt – odpowiedział Benedykt.

Wiatr zmienił się na przeciwny. Wieje teraz słabo z północnego wschodu, ale z wystarczającą siłą, by zaczęły powiewać flagi i chorągwie na rufach i na dziobach galer. Na dwunastu statkach papieskiej armady wciągnięto wielkie łacińskie żagle, dotąd zrolowane wzdłuż jedynej rei. Dla galerników to chwila wytchnienia. Ludzi, którzy przysnęli z żelazem na stopach, budzi się później gwizdkami. Spluwają wówczas w dłonie i chwytają za długie wiosła – trzech mężczyzn na każde wiosło, sto wiosła na każdym statku. W czerwonych beretach, z nagimi torsami wydzielają silny zwierzęcy zapach, przed którym panowie z zabudowanej części rufowej bronią się, paląc w żelaznym koszu silne wonności. Najgorszy element Morza Śródziemnego: portowe wyrzutki, szubienicznicy. Kawalerowie z zakonu św. Jana Jerozolimskiego, obarczeni zadaniem uzbrojenia i wyposażenia papieskich galer, opróżnili za pomocą szeroko otwartej sakiewki więzienia na Rodos, na Malcie, w Genui, Pizie, Livorno. Na maszt admirałskiego statku wciągnięto czerwoną chorągiewkę, wskazującą tempo wiosłowania.

Dolce voga, łagodne tempo.

Jeszcze nie rozpoczęła się walka. Na pokładzie każdej galery rozbrzmiewa bęben szefa galerników, którego uderzenia dyrygują rytmem tej wspaniałej ludzkiej maszyny: trzech tysięcy wiosłarzy pochylających się najpierw ku dziobowi, zapierających się stopami o ławy przed sobą, a potem odchylających się energicznie ku tyłowi, napinając mięśnie pod ciężarem zagarnianej wody.

Jego Świątobliwość nie doglądał rekrutacji galerników, ale zabronił używania bicia.

W czasie odbijania od brzegu w Marsylii kazał rozdać po sztuce srebra każdemu wiosłarzowi, a potem ich pobłogosławił, zarówno chrześcijan, jak i mahometan, co wszyscy przyjęli szalonym wrzaskiem na jego cześć.

Jest ciepło, łagodny schyłek lata. W ładowniach zapasy żywności i broni, oraz oddziały najemników aragońskich, bretońskich, prowansalskich, neapolitańskich. Statki mkną na fali przyływu.

Cztery z Genui, cztery z Pizy, cztery wystawili joannici. Poza własnymi chorągwiami, wciągnęły na maszty rufowe wielką żółtozłotą flagę z papieską tiarą ponad półksiężycem. Właśnie zauważono tuż nad horyzontem, nieco ku północy, wierzchołek góry Bignone nad San Remo. Benedykt XIII siedzi w fotelu na mostku kapitańskim, pod prowizorycznym baldachimem. Ma obok siebie Ludwika II Andegaweńskiego, króla Neapolu i Sycylii, sędziego Aymara de Freslon, generała galer joannitów, kardynała de Salvę, arcybiskupa Pampeluny, kardynała Buyla i trzech innych kardynałów wybranych spośród tych nielicznych, którzy nigdy nie zdradzili, a także byłego kanclerza Uniwersytetu Paryskiego Piotra d'Ailly, którego zrobił biskupem Cambrai, i innych biskupów i opatów z prawem do mitry, kapitana d'Alfera, komendanta gwardii aragońskiej, który zastąpił papieskiego siostrzeńca Rodryga de Lunę, strzegącego pałacu w Awinionie, wreszcie tłum młodych kawalerów zakonu św. Jana, którzy wpatrują się weń z nabożnym podziwem. Jest także Wincenty Ferrerius w białym habicie dominikańskim. On sam wystarczy za całą flotyllę galer, za dziesięć flotyll i, sto nawet!

Zrobi, co zechce z tym soborem! Nikt się nie oprze jego słowom. Mówi tylko po hiszpańsku, ale przecież, kiedy się modli – wszyscy go rozumieją. Samym swym oddechem leczy chorych i przywraca do życia umierających. Jak Chrystus, by nakarmić tłum, który przyszedł go słuchać, rozmnożył chleby.

A poza tym jest skromny i dobry. Ludowa opinia kanonizowała go już teraz. Jego obecność u boku papieża czyni sprawę prostą i jasną: nie istnieje żaden inny papież, tylko Benedykt XIII.

Sędzia de Freslon pokazuje ręką horyzont:

– Góra Bignone, Ojciec Święty. Italia. Jeszcze dwadzieścia godzin i będzie Genua.

„A po Genui – Piza, a potem Rzym”, myśli papież. I uśmiecha się. Wręcz śmieje się młodzieńczym śmiechem. Wkrótce skończy osiemdziesiąt lat.

– Bóg nie przestał mnie wspierać i porzucać, na zmianę, jakby chciał mnie wypróbować. Ale ta próba chyba się kończy – konkluduje radośnie.

A potem zwraca się do Ludwika Andegaweńskiego:

– Panie, cóż uczyniłeś z moją brodą?

– Pieczołowicie ją zachowałem, Ojciec Święty.

Papież znów się uśmiecha, potrząsa głową. Bawi go ta odpowiedź.

– To nie jest aż tak ważne, mój synu. Moja broda to nie relikwia. Po pierwsze, jeszcze nie umarłem. I nie jestem święty, daleko mi do świętości.

Ta historia z brodą obiegła cały świat chrześcijański. Była długa, biała, symboliczna.

Jako więzień Awinionu postanowił, że nie zetnie jej, dopóki nie odzyska wolności.

Musiał czekać całe cztery lata. Cztery lata pozornych negocjacji z ciemnymi, obłudnymi typami z Uniwersytetu Paryskiego, wysłannikami papieża z Rzymu, z tymi –

najbardziej podstępny i najbardziej niebezpieczny – dwoma królewskimi wujami, którzy rządili w jego imieniu, książętami de Berri i de Bourgogne. Cztery lata przekonywania francuskich kardynałów, że wypowiedzenie posłuszeństwa ich zrujnuje, bo ich beneficja wpadną w ręce króla. Cztery lata zwodzenia wszystkich, ukrywania swych myśli, hamowania własnego gniewu. Abdykować?

Dawał wykrętne odpowiedzi. Ponieważ tego od niego żądano, zgadzał się, oczywiście, rozważyć taką ewentualność, pod warunkiem, że ten drugi, w Rzymie, będzie skłonny postąpić podobnie. Zgoda tylko pod tym warunkiem. Jego emisariusze spotkali się z wysłannikami Rzymu, w Savone czy Livorno. Rozmowy się przeciągały, zwłaszcza że Tomacelli w Watykanie przyłgął do bezprawnie zagarniętego tronu jak ślimak do skały. Zatem, po co jakiś sobór? Zbiorą kardynałów z dwóch kurii i obarczą ich zadaniem zerwania z ciągłością... Benedykt XIII krzywi się, zdaje się długo zastanawiać, pozwala przypuszczać, że w istocie, chociaż niechętnie, rozważyłby może, czy nie zaakceptować tego rodzaju rozwiązania, jeśli już żadne inne nie wchodziłoby w rachubę, by pozszywano tę Chrystusową szatę... A prywatnie wybuchał gniewem:

– Za kogo oni biorą Namiestnika Chrystusa? Myślą, że mogą unieważnić postanowienie Ducha Świętego? Tam jest tron Piotrowy, gdzie ja jestem! Nawet na wygnaniu, nawet w lochu, nawet nędzny jak sam Łazarz, nawet odtrącony przez całą ziemię, przez Boga, nigdy nie ustąpię!

I rokowania zostały podjęte. Trwało to cztery lata. Cztery lata obłudy i udawania. Aż do 11 marca 1403 roku, kiedy to zbieg rozmaitych okoliczności umożliwił jego oswobodzenie. Do Awinionu przybyli posłannicy aragońscy, wierny kardynał

z Pampeluny zawitał do Arles ze znaczną partią rycerzy, Ludwik II Andegaweński usadowił się w swej fortecy de Chateaufort, wreszcie kapitan Robert de Braquemont został wysłany z pięćdziesięcioma zbrojnymi przez księcia Orleanu pod pretekstem zmiany gwardii królewskiej, blokującej dojścia do pałacu. Spisek? Nie całkiem, już prędzej Opatrzność, która zebrała tych wszystkich ludzi w jednym miejscu i czasie, bez uzgodnień między nimi. I tym razem decyzja podjęta została bez namysłu. Co więcej, tamtej nocy posnęli też wartownicy na blokujących pałac barykadach...

Papież przebrał się za mnicha, kryjąc twarz i brodę pod kapturem i habitem kartuza.

Chcąc dochować papieskiego zwyczaju, wedle którego przed podróżującym papieżem noszą Przenajświętszy Sakrament, powiesił sobie na szyi małe puzderko z Hostią wyjętą z monstrancji w jego prywatnej kaplicy. Zabral też z sobą ten ostatni list króla Karola VI.

Już wolny, potrafi mu o nim przypomnieć. Przechodząc długimi korytarzami fortecy, dotarł do otwartych drzwi, które niegdyś prowadziły do katedralnego prezbiterium.

Drzwi te zostały zamurowane, ale ludzie Braquementa przebili je ponownie. Ci, którzy pozostali w pałacu, ucałowali papieską dłoń, potem stopy. Towarzyszyli mu jedynie jego lekarz, Franciszek de Arana, i kapitan aragoński d'Alfera.

Noc była jasna, gwiazdzista, typowa noc prowansalska. Wyszli po prostu głównym wejściem; Braquemont i jego ludzie eskortowali papieża aż do jednego z budynków służebnych, nad samym brzegiem Rodanu, gdzie rezydowało poselstwo aragońskie. Był

tam konetabl Jaime d' Aragon, reprezentujący swego pana, i szlachta księcia Orleanu.

O świcie podstawiono barkę obsadzoną przez czternastu mnichów z opactwa Montmajour, którzy wiosłowali z wprawą, wyśpiewując radośnie jutrznię. Barka spłynęła Rodanem, potem wzięła kurs na Durance. Gdy ujrzano fortecę Chateaufort, barka przybiła do brzegu. Oczekiwała tu ich mała armia, czterystu zbrojnych rycerzy, dowodzona osobiście przez kardynała z Pampeluny w czerwonym kardynalskim kapeluszu, zbroi i haftowanej komży. Dosiedli koni. Mimo swego wieku Piotr de Luna dobrze trzymał się w siodle. Ławnik z Chateaufort, imieniem Julian, przytrzymał mu strzemień.

Krótką galopada przysporzyła papieżowi samej radości, jego długa biała broda powiewała na wietrze... Tak wjechali do miasta. Było to 12 marca, w dzień św.

Grzegorza. Biły dzwony. Ludność utworzyła szpaler, na kolanach. Na murach łucznicy z Andegawenii

salutowali mu dłońmi w skórzanych rękawicach.

W tamtych czasach wiedzano, jak się maluje epickie obrazy w olśniewającym świetle wiary. Benedykt XIII zwierzył się Ludwikowi II Andegaweńskiemu:

– To najpiękniejszy poranek w moim życiu... Chciano mi rozkazywać. Chciano mnie uwięzić. Odzyskując wolność, odzyskuję ją dla większej chwały Boga.

Tam właśnie, w apartamentach królewskich, ma miejsce owa scena z brodą, do której papież uczynił potem tę aluzję na mostku kapitańskim swojej galery. Zdjął mnisi habit, przywdział ponownie szaty papieskie i poprosił Ludwika II, aby przysłał mu swego balwierza, zwanego Lepicard od nazwy jego rodzinnej prowincji.

I gdy włosy tej imponującej brody opadały na białą chustę, Jego Świątobliwość śmiał

się, zachwycony. Myślał o normandzkich najemnikach najętych przez kreatury z Uniwersytetu Paryskiego; ci byli najbardziej nieprzejednani, często trzymali straż na tych awiniońskich barykadach i znieważali go, grożąc pośród wybuchów szydlerczego śmiechu, że pewnego dnia pochwycą go i ogolą mu tę capią brodę; myślał o biskupie Cauchon i innych biskupach normandzkich, podchwytyjących tę fanfaronadę, upowszechniając ją potem w całym Paryżu w wierszykach i piosneczkach.

– Widzę zatem – mówi papież, gdy balwierz uwija się wokół niego – że ci Normandczycy to pospolici kłamcy, ponieważ przysięgali mi nie raz, że ogolą mi brodę, a tymczasem zajmuje się tym pewien Pikardyjczyk.

Była to jego jedyna zemsta. Jego Świątobliwość puścił to w niepamięć. Nawet tym Normandczykom udzielił amnestii. Pikardyjczyk dostał dwadzieścia sztuk srebra, a król Ludwik II zabrał zawinięte w delikatne płótno cenne siwe kęпки włosów, symbol niewoli i upartego oporu Benedykta XIII.

Wreszcie przyплыw morza!

Papież Luna nie był człowiekiem, który łatwo gardził innymi, choć miał tysiąc okazji, by okazać usprawiedliwioną pogardę.

Cóż myśleć o kardynale de Giffone, jednym z najgorszych oszczerców, który ukorzył

się przed nim w błocie, dosłownie, na ulicy, we własnym mieście, oskarżając się przed tłumem, że ciężko zgrzeszył? Pogarda... Papież Luna przebaczył. Co myśleć o kardynałach Malesset, de Thury, de Vergy, de Saluces, którzy po dwukrotnym już poddaniu się i błaganiu o przebaczenie – złamali potem słowo i walczyli z nim, a teraz znów pośpieszyli do Chateaurenard, bijąc się w piersi? Pogarda... Papież Luna przebaczył. Co myśleć o wszystkich tych miastach pontyfikalnych w Prowansji, co zapomniały o swych licznych zdradach, obelgach, polowaniu na wiernych papieżowi Lunie i często ich mordujących, i które teraz w radosnych procesjach, z półksiężycem na sztandarach, z radcami miejskimi, konsulami i notablami manifestują swoje oddanie?

Pogarda... Papież Luna przebaczył. Co myśleć o dobrym Awinionie, który po stu latach świetnego rozwoju, syty, piękny, wzbogacony przy ośmiu papieżach, obrócił się przeciw dziewiętemu, rabując jego dobra, zabijając, miotając obelgi, a który teraz co prędzej posyła swego posłańca do fortecy Chateaufort z kluczami do miasta na poduszce, w dowód wierności? Pogarda... Papież Luna przebaczył, ale jednak nieufny już i zdecydowany nigdy więcej nie postawić tam swej nogi.

Wierni sobie pozostali tylko dwaj królewscy wujowie, książęta de Bourgogne i de Berri, nieprzejednani wrogowie Benedykta. Źle skończyli. Odzyskawszy na jakiś czas rozum, Karol VI ze swą radą przywrócił obojętność papieską. Ustępując wobec wymowy Gersona, doktorzy z Uniwersytetu Paryskiego przytaknęli i pochowali się w swych dziurach, czekając lepszej okazji.

Potem papież Benedykt XIII wyruszył w podróż po ziemiach należących do Ludwika II Andegaweńskiego, który był także księciem Prowansji; odwiedza Beaucaire, Tarascon, Orgon, Salon, Berre... Wszędzie wita go entuzjazm ludności, hołdy duchowieństwa, płaszczenie się notabli...

– Czemu miałbym im wierzyć? – rzekł bez złudzeń do lojalnego kardynała z Pampeluny, który jechał obok niego. – Że król Ludwik nie zmieni zdania, że król Karol nie ustąpi ponownie tym panom z Paryża, że księżę Orleanu nie przestanie mnie popierać na radzie królewskiej, że wszyscy ci ludzie, którzy mnie otaczają, nie zaprą się mnie raz jeszcze? Dopóki nie będę w Rzymie, gdzie jest grób św. Piotra, nie skończy się ta obraza Boska...

– A ich obietnice? – cokolwiek retorycznie zapytał kardynał.

Tłum krzyczał: „Niech żyje Jego Świątobliwość papież Benedykt!”. Rozkładano dywany przed jego koniem. Z okien padał deszcz kwiatów.

– Ludwik obiecał, to prawda. Włożył swoje ręce w moje i przyrzekł mi dozągoną wierność. Lecz cóż miałbym przyrzec mu ze swej strony? Że zaakceptuję pomysł

zwołania soboru, by położyć kres rzymskiej schizmie! Król Karol obiecał, on także.

A do czego musiałbym zobowiązać się w zamian? Wiesz dobrze, eminencjo, że potwierdzę wszystko, co uczyniono beze mnie przez te cztery lata nieposłuszeństwa: mianowania biskupów, wybory opatów, przejęcia beneficjów, nominacje poborców dziesięciny! Księżę Orleanu obiecał, to także prawda. Ale cóż ja mu obiecałem, na jego żądanie? Powiadomić świat chrześcijański, że jestem gotów się wycofać, jeśli dobro Kościoła będzie tego wymagać, bądź w przypadku śmierci lub złożenia urzędu przez tego, co zwie się w Rzymie papieżem! Czy jestem Namiestnikiem Chrystusowym tylko dlatego, że tak postanowił król Francji, Neapolu, księżę Orleanu czy inny władca na tej ziemi? Mam podporządkować sprawy Boskie doczesnym względom? Niczego nie obiecałem! Nie mam do tego prawa!

Rzeczywiście, to było sedno rzeczy. Prywatnie często do tego powracał.

– W Rzymie, mój drogi i jedyny przyjacielu – powiedział do kardynała z Pampeluny

– wszystkie te pytania nie będą już stawiane...

Aby odzyskać Rzym, potrzebował jakiejś bazy, jakiejś pewnej przystani, sojuszników, pieniędzy. Król Ludwik zaproponował mu Marsylię: z jej skałą górującą nad portem, fortecą, czarnymi blankowanymi murami, potężnymi budynkami klasztornymi i trzystoma zakonnikami, równie dobrze przygotowanymi do kolubryn i kusz, jak do Boskiej służby. Opactwo św. Wiktora na dwa lata stało się siedzibą papieżstwa, a położony u jego stóp port miejscem bezustannej krzątaniny mijających się statków: poselstwa przybywały jedne po drugich, nawet z dalekiej Szkocji przy płynęła jakaś dziwna łódź, najeżona po bokach tarczami, z załogą przypominającą stado wilków odzianych w baranie skóry; z pokładu zszedł z godnością, poprzedzony przez dwóch dudziarzy, wysoki, suchy, kanciasty mnich, który przedstawił się jako przeor z Iony, na pół mitycznego klasztoru zagubionego na jakiejś mglistej wyspie, na północnych krańcach znanego wówczas świata.

Nazywał się Falkirk. Taka wierność, przybywająca z tak daleka, wywołała łzy w oczach papieża. Falkirk został kardynałem, czego wyrazem był otrzymany od papieża czerwony kapelusz z czarnymi frędzlami. Falkirk kazał go zawiesić wysoko na maszcie, obok bandery, a Marsylia długo jeszcze słyszała ciągnące się za bruzdą odpływającego statku ostre, jęklive dźwięki pibrochs, szkockiej kobzy. Znacznie później, kiedy papież Luna znów był sam, obleżony w Peniscoli i porzucony przez wszystkich, kontemplując morze i przywołując wspomnienia, czasem pytał: ale gdzie jest kardynał z Iony? Co porabia? Dlaczego nie przybywa?"...

Kilku kardynałów zmarło: Neufchatel, powalony dżumą, d'Aigrefeuille, Wilhelm de Chanac, zaprzysięgli wrogowie papieża Luni, wielka ulga. Niestety! Także kardynał de La Grange, ten, który przywołał do porządku „małego biskupa z Bari”. Inny dołączył do papieża Tomacelliego w Rzymie, ale już bezpowrotnie, zmęczony ciągłą zdradą. Modląc się o szczęśliwą rękę, Benedykt XIII mianował jeszcze, poza kardynałem z Iony, pięciu wybranych spośród tych, którzy służyli najlepiej: Jana Flandrina, Antoniego de Chalanta, Piotra d'Ailly, Piotra Ravata, biskupa z Saint-Pons, i Włocha Ludwika Fieschi, arcybiskupa Genui, kosztownego gwelfa, który zmieniał obozy za brzęczącą monetę.

Szczęśliwa ręka? Przy końcu drogi nie zostanie mu ani jeden.

Po załatwieniu spraw kurii, pora na kasę. Była pusta. Galery, korsarze, żołnierze, kolubryny, ekwipunek, za wszystko trzeba było zapłacić. Daremnie obiecywał, że w Rzymie wynagrodzi ich stokrotnie; wierzycciele grymasili, a i joannici nie pracowali za darmo. Dziesięcina spływała fatalnie. Papiescy poborcy spotykali często na swych terenach dawnych poborców królewskich, którzy nabrali brzydkich obyczajów.

Wypowiedzenie czy wznowienie posłuszeństwa papieżowi – to był zawsze niezły interes.

Papież był zmuszony przykręcić finansową śrubę. Nie zostało to dobrze przyjęte pośród duchowieństwa. Lud też zaczął szemrać.

Ten rzymski papież przynajmniej był daleko i dlatego mniej kosztował.

Pożyczkodawcy żydowscy i weneccy bankierzy stali się nieprzejednani. Część skarbów wywieziona

z Awinionu gdzieś „wsiąkła”. Na szczęście pozostała Aragonia, wierna ojczyzna Piotra de Luny. Miasta, organizując pomoc, wypruwały sobie żyły, a król Marcin udzielił kredytu na dwieście tysięcy złotych florenów.

Nareszcie zatem flota gotowa do odcumowania. Wspaniale!

Tymczasem dla zmylenia przeciwnika papież Luna ukrył się za gęstą zasłoną dyplomatycznego dymu. Wyprawił czterech kardynałów do Rzymu, by kontynuowali rokowania. Po co negocjować, skoro jedyny uprawniony następca św. Piotra nie chce ani trochę ustąpić? Po to, aby ten drugi, na Watykanie, musiał odgrywać rolę tego „złego”.

To podstawy dyplomacji. I Tomacelli, oczywiście, zaczął wrzeszczeć jak obdzierany ze skóry, odmawiając wszystkiego, co mu proponowano: spotkania dwóch papieży i dwóch kardynalskich kolegów, zobowiązania każdego z kolegów, że gdyby umarł

którykolwiek z tych dwóch papieży, to nie wybiorą następcy, zdając się w pewnym sensie na Boski wybór. Spotkanie zamieniło się w wymianę złości, papież Tomacelli oznajmił, że nie musi już się cackać z tak jawnym heretykiem, jak Piotr de Luna, który będzie do końca życia gnić w więzieniu, na co kardynałowie Benedykta XIII odpowiedzieli, że przynajmniej ich zwierzchnik nie może być oskarżany o świętokupstwo. Zostali wypędzeni z audiencji, zelżeni przez rozjuszoną Jego Świątobliwość, a potem czterej kardynałowie wylądowali w lochu, w wilgotnych piwnicach Zamku św. Anioła pod strażą papieskiego siostrzeńca, Antonella Tomacelliego, który zażądał od nich dziesięciu tysięcy florenów za uwolnienie.

Nieźła sumka...

Zrządzenie Boskie? Nazajutrz, 1 października 1404 roku papież, który przybrał imię Bonifacego IX, Piotr Tomacelli, wyzionął ducha. Nie wiadomo, co go zabiło. Gniew?

Kamienie w nerkach? Trucizna? Jak to zwykle bywało, Rzym ogarnęła pożoga.

Gwelfowie rzucili się na gibelinów, ród Colonnów na ród Orsinich, powstałi baronowie, lud chwycił za broń i grabił – i w tej anielskiej, sprzyjającej refleksji atmosferze jedenastu kardynałów Bonifacego, zamknawszy się na konklawe pośród wrzasków tłumu i dymu pożarów, wybrało, nie tracąc czasu, kardynała z Bolonii, Cosima Miglioratiego, sławnego, jak powiadano, swoimi cnotami. Nadliczbowa Świątobliwość przybrała imię Innocentego VII i, jak inni, przysięgła, że zrzeknie się urzędu, gdy zaistnieją warunki do zjednoczenia, do czego wzywał jako dobry apostoł...

Trzeba było wszystko rozpoczynać od nowa. Ożywiły się dwory europejskie. Były już zmęczone tą walką papieży, która trwała od dwudziestu sześciu lat. Uwolnieni z Zamku Św. Anioła po zapłaceniu okupu, czterej kardynałowie Benedykta ponownie nawiązali negocjacje, łamiąc sobie zęby na tym Innocentym, równie upartym i butnym, jak jego poprzednik Bonifacy. Właśnie wtedy zbuntował się Rzym. Jeden siostrzeniec przepędził drugiego, teraz bowiem święte miasto wpadło w ręce Ludwika Miglioratiego, który sprawował władzę w imieniu swego wuja, Innocentego VII. Wszyscy ci siostrzeńcy, chciwi, żądni zysku, rozpustni defraudanci byli złymi duchami rzymskich papieży...

Ten natomiast przeszedł samego siebie. Jedenastu urzędnikom magistratu poderżnięto gardła i połała się krew. Ach, jakaż piękna okazja dla rabunku! Bogactwo Rzymu dla rzymian! Watykańskie archiwa rozrzucone po całym mieście, caprioni i ich dzielnicowe milicje wyrywają sobie, z bronią w rękę, bogate kardynalskie rezydencje i resztki papieskiego skarbu, wyrzucanego z okien na plac św. Piotra, przy wtórze radosnego wycia motłochu... Nowy papież, przerażony, uciekł do Viterbo, dwadzieścia mil na północny zachód od Rzymu, gdzie galopem pognęła za nim cała jego kuria.

– Wspaniałe nowiny! – docenił te wiadomości w Marsylii Jego Świątobliwość papież Benedykt. – Pan Bóg dokonał wyboru.

Każdego dnia przybywało nowych pasażerów z Italii, gdzie liczni baronowie i panowie, wystraszeni rzymską anarchią, porzucali papieża Miglioratiego dla sztandaru z półksiężycem. Gabriel Visconti w Livorno i Pizie, księżę sabaudzki w Nicei, marszałek Boucicaut, który trzymał Genuę w imieniu króla Francji i któremu miasto to się poddało, otwierając swe pałace i magazyny. Ludwik Orleański, księżę de Bourbon też nie poskąpił

poparcia. W Paryżu, póki co, chorągiewka królewska nie zmieniała kierunku, wskazując ciągle drogę do Rzymu zwolennikom papieża Luni. Wreszcie pod sklepienia opactwa św. Wiktora, w lipcu roku 1405 wkroczył wysłannik królewski, Piotr le Verrier, doręczyciel pisma od Karola VI zezwalającego wyraźnie wszystkim poddanym, duchownym i świeckim, jeśli tak chcą, towarzyszyć Jego Świątobliwości papieżowi Benedyktowi XIII wracającemu na swą rzymską stolicę apostolską.

Osiem dni później papieska flota odcumowała.

Morze jak oliwa. Wieje lekka bryza. Galery pod żaglami. Ich wielkie latarnie rufowe tworzą na wodzie płonący różaniec. Czyste niebo, widna noc. Sternicy prowadzą wedle gwiazd. Kiedy wschodzi księżyc, wszyscy na pokładzie go obserwują. Chudy rogalik, ledwo wzeszły, jego dwa koniuszki skierowane na zachód: księżyc w nowiu. Z tym widokiem pod powiekami zasypia papież Luna, wyciągnięty w ubraniu na łóżku pod baldachimem na tylnym mostku, za zasłoną z rozpiętego płótna, owinięty w swą czerwoną kapę. Na pokładach zarządzono ciszę. Przykuci do ław galernicy śpią, mając twarde drewno wiosła za poduszkę.

Niektórzy, podpierając głowy ramieniem, rozmawiają ze sobą, wypowiadając słowa, których nikt nie rozumie, we wszystkich językach świata. W ciemności, jeszcze z otwartymi oczami, Benedykt się modli. Wszystkie te podłości, podstępny, fałszywe obietnice, wszystkie te kłamstwa, nędzne manewry, niegodne matactwa... – wyspowiadał

się z nich Wincentemu Ferreriuszowi, który śpi obok, owinięty w swój dominikański habit. Otrzymał rozgrzeszenie. Chudymi palcami przesuwa paciorki różańca.

To bardzo wygodne – rozgrzeszenie. Jednak wcale nie czuje się lepszy. Cały ten kosztowny, roztraczony przepych, ten roztrwoniony Piotrowy denar, ten strumień datków z całego chrześcijaństwa rzucony na żer możliwych tego świata, a to, co z niego pozostanie, będzie dla maluczkich, by kupować ich nędzne sumienia... Wincenty Ferreriusz go rozgrzeszył. Pozostaje „tylko” wytłumaczyć się Bogu. Pod tym bladym księżycem, który ledwo oświetla morze, oko w oko z niepokojem. I cóż to jest, ta historia Chrystusowego Namiestnika na ziemi? Czy nie jest to po prostu pycha człowieka, który z

pontyfikatu na pontyfikat puszy się, sądząc, że przeobraża się od tej chwili w apostoła Piotra? A jeśli doczesny Kościół jest tylko tą rozdętą pychą, ściekiem wszelkiej próżności? Papież Luna przymyka oczy. Samotny, biedny, opuszczony, tak powinno być, jak Chrystus na Golgocie. Przewraca się na swym twardym łóżku. Nie do niego należy zrywać tę ciągłość. Został tutaj postawiony. To jego przeznaczenie. Panie, niech się stanie wedle Twej świętej woli... Tupot nagich stóp na pokładzie. Zmiana wachty. Papież zasypia.

Obudzono go o świcie. Widać Genuę. Biją bębny dowódców wioślarzy, potem przyspieszają rytm. Chorągiewka zielona: mezza voga, średnie tempo. Ci ludzie na wioślarskich ławach jednak cierpią. Ale nie byłoby właściwe, żeby papież przybył do Italii, ciągnąc się na szarym końcu. Honor Boga... Później, wchodząc na redę, dwanaście galer wciąga wiosła, jak ptak, który zwija skrzydła, i płynąc siłą rozpędu jedna po drugiej dobijają w doskonałym porządku, a łańcuchy kotwiczne szorują w kluzach. Chmara małych skut zaraz otacza galery. Rozpoczyna się wyładunek.

Z brzegu dobiegają dźwięki trąbek i bicie dzwonów, które odpowiadają sobie, z dzwonnicy do dzwonnicy.

Jest tam kardynał-arcybiskup Fieschi, który zapłacił za to wszystko. Papież przemierza miasto rozradowany. Procesja uwielbienia! Na czele idą opaci w mitrach z wszystkich klasztorów Ligurii, duchowieństwo genueńskie, miejskie cechy... Potem pięciu kardynałów na koniach, za nimi kompanie zbrojnych w służbie Benedykta XIII i joannici, kroczący za sędzią de Freslonem. Dalej dwunastu akolitów ze świecami w dłoniach eskortuje białą mulicę niosącą Przenajświętszy Sakrament. Wreszcie, na koniu, pod baldachimem, Jego Świątobliwość papież Benedykt XIII, mający po bokach, idących pieszo, po prawej – dożę Genui, po lewej – marszałka Boucicauta i króla Ludwika II; z tyłu zamyka ten orszak magistrat odziany na biało...

Jedność. Uwielbienie... Nie potrwają długo. Nigdy się nie powtórzą.

Tymczasem wszystko układa się dobrze. Lud tłoczy się w świątyniach, by słuchać Wincentego Ferreriusza. Kardynał Piotr d'Ailly, były kanclerz Uniwersytetu Paryskiego, znów razem z duchowieństwem i teologami północnej Italii. Jego argumenty mają swoją wagę. Przekonuje. Nikt nie wątpi: antypapieżem jest ten w Rzymie, ten żaloszny Cosimo Migliorati, który teraz koczuje w Viterbo. Zainstalowawszy się w pałacu doży, Benedykt XIII wie dzie życie suwerennego władcy. On, który miewał na kolację szklanke mleka i kawałek chleba, urządza teraz wystawne bankiety, traktuje po królewsku feudałów, biskupów, kapitanów, notabli, posłańców, którzy powracają potem do siebie obładowani podarunkami. Kasy są puste, ale honor Boga... A później... Później zamek z kart papieża Luny zaczyna się chwiać.

Pierwszą kartą, która się przewraca, jest Piza, ostatni postój floty papieskiej w drodze do Rzymu. Piza przyłączyła się do papieża Luny. Visconti obiecał Florencję. Piza i Florencja, ogień i woda! Wojna między tymi dwoma miastami dojrzewała od dawna.

Teraz wybucha, niweczając wszelkie rachuby. Odtąd droga na Rzym jest odcięta. Później niecierpliwi się wierny Ludwik II.

Cały ten bałagan na północy opóźnia jego plany. Jego interesuje Południe, piękne królestwo utraczonej

Sycylii, obecnie w rękach innego uzurpatora, Władysława de Duras.

Zajęcie Rzymu urządziłoby go. Święte Miasto posłużyłoby mu jako trampolina, z papieskim błogosławieństwem. Zmienia plany. Nie chce już dłużej czekać. Zabierając ze sobą połowę floty, którą przecież sfinansował, zostawia papieża i Genuę, sam wdaje się w walkę.

W samej Genui sytuacja też się pogarsza. Papież nie może już płacić swym najemnikom, którzy biorą sobie zapłatę od ludności.

Wyjawszy Aragończyków i kawalerów z zakonu św. Jana, kompanie rozformowują się, urządzając prawdziwe sabaty na przedmieściach, gwałcąc kobiety, rabując zakony.

Właśnie w ich szeregach znajdują się pewnego ranka pierwsi zmarli z poczerńniętymi twarzami i twardymi jak drewno, zeszywniałymi kończynami.

Do Genui wkracza dzuma. Nie wymknie się jej żadna dzielnica, żadna warstwa społeczna. Daremnie otoczono pałac kordonem, dzuma przedostała się do środka.

Najpierw poraziła kardynała z Pampeluny i papież długo opłakiwał tego prawdziwego przyjaciela. Obecnie codziennie umiera ktoś z jego otoczenia. Grabarze przebiegają wszystkimi ulicami miasta. Zapalają stosy. Ci, co jeszcze żyją, szemrzą. Czyżby papież Luna przynosił nieszczęście? Trzeba uciekać.

Uciekają co sił we wioślach. Na pokładach sześciu pozostałych galer, na ławkach wioślarskich, gdzie coraz więcej wolnych miejsc, bo kolejne trupy wrzucane są do wody

– tym razem papież musi przyzwolić na bicz, by pobudzić tych, którzy się ostali z wioślarskiej osady. Flota kieruje się do Marsylii, prowizorycznej siedziby papieskiego rządu. Żegluj widoczna z brzegu, z portów miast, do których Benedykt chciał przybijać, by umacniać ich wierność. Dzwonnice milczą, porty opustoszały.

Widać czarne dymy stosów, wznoszące się wysoko w niebo, tworzące czarne chmury. Gdy wiatr wieje od lądu, odór jest nie do zniesienia. Savone, Albegna, Imperia, San Remo... Wyprzedzając papieskie galery, dzuma znaczy swój ślad na całym wybrzeżu liguryjskim. Potem dymy stają się coraz rzadsze, wreszcie nagle znikają. Także na pokładach galer śmierć się zmęczyła.

Flota cumuje u stóp skał Monako. Grimaldi, który tu rządzi, jest marionetką Genui, podporządkowaną francuskim zachciankom.

Forteca wysyła łódkę, która dostarcza wodę, świeżą żywność.

Oficer przekazuje sędziemu de Freslon zakaz dobijania do brzegu i wręcza mu dokumenty, które czynią papieża, zwycięzcę spod Genui, więźniem morza.

Zebrał się wokół Jego Świątobliwości, pod baldachimem na kapitańskiej galerze.

Jest sędzia z zakonu św. Jana, kardynał d'Ailly, kardynał Piotr Ravat, kardynał de Chalant, kardynał

Flandrin, wszyscy czterej z nowej nominacji, resztką pozostała ze Świętego Kolegium, jeśli nie liczyć Szkota, dwóch Hiszpanów i Genuńczyka, którzy zaszyli się w swych diecezjach, podobnie jak trzech Francuzi, w których lojalność można było powątpiewać.

Wincenty Ferreriusz czyta listy. Pierwszy sprzed trzech tygodni.

Powalony apopleksją, ten, który mienił się papieżem rzymskim Innocentym VII, Cosimo Migliorati, oddał duszę Bogu zaledwie po dwóch latach pontyfikatu. Zrządzenie Boskie? Bez skutku.

Dziwiesięciu kardynałów nie zwlekało. 18 listopada 1406 roku wybrali innego starca, Angela Correra, weneccjanina, łacińskiego patriarchę Konstantynopola, który przybrał

imię Grzegorza XII.

Elekcja się przeciągnęła. Dobra wiadomość? Czy suwerenowie staną teraz pod sztandarem z półksiężycem? Wcale nie. Odtąd odmawiają dokonania wyboru między dwoma papieżami. Jeśli trzeba będzie, narzucą sobór. A król Francji?

W Luwrze chorągiewka obróciła się raz jeszcze. Szymon de Cramaud, doradca królewski, jeden z tych „świetnych umysłów” Uniwersytetu Paryskiego, anty-Gerson, przeniósł na papieża Benedykta tę nienawiść, jaką darzył Klemensa VII. Mija już dwadzieścia pięć lat, jak zabiega o kardynalski kapelusz, lecz ani Rzym, ani Awinion się nie kwapił, by go nim uhonorować. Bierze więc teraz rewanż, na dwóch zajednym zamachem. Który jest fałszywym papieżem? Który prawdziwym? Jego zdaniem to kwestia przebrzmiała. Obaj są fałszywi. Ten trzeci będzie prawdziwy, ten, którego wybierze sobór powszechny. Tak uchwalił Uniwersytet Paryski, za namową Piotra Cauchona oraz biskupów burgundzkich i normandzkich. Wincenty Ferreriusz odczytuje to postanowienie skonsternowanym towarzyszom: „... Że powinno się zwołać sobór powszechny w celu zreformowania Kościoła w tym, co dotyczy władzy zwierzchniej i jego członków; że dokona się powszechnego zawieszenia posłuszeństwa, nie uznając za papieża ani Piotra de Luny ani Angela Correra; że Kościół gallikański, korzystając ze swych dawnych wolności, zarządzany będzie zgodnie z prawem powszechnym, jak to miało miejsce podczas pierwszego wypowiedzenia posłuszeństwa...”.

I król Karol VI to podpisał, on, który tyle obiecał...

Z wyjątkiem pałacu w Awinionie, którego pilnuje papieski siostrzeniec Rodrygo, opactwa św. Wiktora w Marsylii oraz Aragonii i Nawarry – papież Luna nie może już liczyć na nikogo.

Stracił swego najwierniejszego przyjaciela we Francji: księżę Orleanu został

zamordowany. Armaniacy powstają przeciw Burgundczykom: królestwo pogrąża się w długiej nocy. Pozostaje mu Wincenty Ferreriusz, który u jego stóp, z dłońmi w jego dłoniach, odnawia swój hołd. Pozostają mu także te galery. Przez cztery lata będzie się tułał z portu do portu, prowadząc negocjacje, zrywając je, gdy zaczną go ograniczać, pojawiając się tam, gdzie go nikt nie oczekuje, rzucając na kolana jakieś miasto, które już nazajutrz jego odrzuci. Tylko na morzu nikt nie

kwestionuje papieża Benedykta.

Z zabudowanej rufy swej galery codziennie je błogosławi.

Papież morza. Tak go teraz będą nazywać.

Watykan, 1994

Poranne rzymskie słońce rozświetlało przez jedyne okno niewielkie biuro; okno wychodziło na ogrody, naprzeciw anten Radia Watykan, na ostatnim piętrze, z tyłu pałacu rządowego.

Skromne rozmiary tego pomieszczenia pozostawały w odwrotnym stosunku do władzy i autorytetu wysokiego papieskiego funkcjonariusza, który zajmował je od czternastu lat, wcześniej tu przychodząc i czuwając do późna. Pomieszczenie wyposażone było w kserograf, komputer z kodem i baterię małych ekranów telewizyjnych, połączonych z odbiornikiem satelitarnym Radia Watykan. Dwa wygodne fotele dla gości, stół i jeszcze jeden fotel, obrotowy, stanowiły całe wyposażenie tego wnętrza. Było to biuro biskupa Cassiniego. Żadna tabliczka na drzwiach nie wymieniała jego nazwiska ani funkcji, której na próżno by szukać w roczniku papieskim, a ta widniejąca na drzwiach

– „Doradca Kongregacji Nauki Wiary”, jednego z wielkich ministerstw Watykanu –

pozostawała w dość luźnym związku z zakresem jego kompetencji. Jego upodobanie do pozostawiania w cieniu sprawiło, że uchylił się od przyjęcia godności kardynalskiej, którą chciał mu powierzyć Ojciec Święty; zadawała się tytułem, który otrzymał w wieku lat trzydziestu – biskupa inpartibus Zerracudum.

Z pochodzenia weneccjanin, teraz już prawie siedemdziesięcioletni Cassini kierował

podległą wyłącznie jemu służbą, która nie miała nawet oficjalnej nazwy i nie zatrudniała żadnego formalnego personelu, niemniej jednak dysponowała na całym świecie siecią informacyjną, która budziła zazdrość najpotężniejszych rządów naszej planety.

Najdobitniejszym potwierdzeniem jego rangi była lista tajnych numerów telefonicznych, z którymi mógł się w każdej chwili połączyć ze swego kodowanego aparatu, w tym prywatny numer Ojca Świętego, który osobiście podnosił słuchawkę – przywilej, którego nikt nie mógł lekceważyć w dobrze poinformowanym środowisku kurii rzymskiej i którym cieszyło się nie więcej niż pół tuzina prałatów. I to właściwie wszystko, co wiedziano o biskupie Cassinim, poza wspomnieniem pewnej jego eskapady, przed czterdziestoma laty, do oazy Zuwara, w Libii, dawnego rzymskiego Zerracudum, wkrótce po uzyskaniu święceń biskupich, w Rzymie, osobiście z rąk papieża Piusa XII.

Ta przygoda objawiła pewne rysy jego charakteru, które potem starał się przezornie usunąć w cień zapomnienia. Tak więc później wspomniano już tylko jako swego rodzaju legendę niezwykłą mszę

tego Don Kichota wiary, którą odprawił on o świcie w ruinach konstantyńskiej katedry w Zerracudum, jego katedry, pośród osłów i kóz pogryzających trawę między resztkami kolumn, zaledwie kilkaset metrów od obozowiska nomadów.

Jego szaleńcza ucieczka jeepem poprzez pustynię ku granicy tunezyjskiej i pościg wyjących hord uzbrojonych po zęby Beduinów bywały niekiedy przedmiotem przytłumionych, pełnych podziwu komentarzy młodych, podległych mu księży. Ale tacy młodzi księża, zdolni docenić owo „szaleństwo”, stawali się coraz rzadsi w Watykanie, gdyż przyjęto niegdyś, że „dwie inne wielkie religie Księgi”, wedle uświęconego zwrotu, powinny być raz na zawsze wyłączone spod obowiązku ewangelizacji, i że wspólne odniesienie do Abrahama chroni je przed wszelkim upokarzającym prozelityzmem.

Sprawa ta została więc wyciszona przez kancelarię watykańską i nawet nie przedostała się do prasy.

Po powrocie zmyto tylko głowę młodemu biskupowi, zarzucając mu niewczesne upodobanie do męczeństwa, co nie było prawdą: potwierdziła to jego ucieczka, starannie przygotowana, która się powiodła. Nie miał nawet najmniejszego zamiaru tam umierać; pragnął jedynie odprawić pewien święty obrzęd, łączący go z początkami chrześcijaństwa. Traktując go jak niecierpliwego oficera, który wykazał się bohaterstwem, przekraczając jednak otrzymane rozkazy, za co karze się go miesiącem ścisłego aresztu, ale nagradza krzyżem zasługi – Pius XII spotkał się z nim w cztery oczy, wysłuchał zachwycony opowiadania o ekstrawaganckiej kampanii libijskiej, uścisnął go, pobłogosławił, nakazał, by na razie pozwolił o sobie zapomnieć i w tym celu przeniósł go do pośledniejszej nuncjatury...

Jeden z małych ekranów telewizyjnych w biurze Cassiniego ożywił się. Potem następny i jeszcze jeden. W zbliżeniu kamer lądował biały samolot z papieskim emblematem. Sieci telewizyjne RAI, CNN, NBC transmitowały przybycie papieża z oficjalną wizytą do Wenezueli. Z innych kamer filmowano powstrzymywany przez uzbrojonych żołnierzy tłum na obrzeżach lotniska.

I znów ujęcie płyty lotniska, gdzie właśnie znieruchomiał lądujący samolot. Straż honorowa, generałowie, prałaci w sutannach haftowanych czerwienią. Przytrzymując się prawą dłonią poręczy, papież schodzi powoli, krok po kroku, z trudem, ze schodków.

„Jak bardzo jest zmęczony!” – myśli Cassini, patrząc ze wzruszeniem na tę wysoką postać, obecnie przygarbioną, z przerzedzonymi już siwymi włosami, z wyraźnie drżącą jedną ręką...

Ileż setek tysięcy kilometrów już przemierzył, ileż męczących dni, wyczerpujących, długich ceremonii na wypełnionych stadionach pod upalnym słońcem, ile bezsennych nocy, iluż rozmówców, których trzeba było przekonywać, aby zszywać kawałki tej szaty?... Oto chwila, na którą wszyscy czekają, a której najbliżsi się obawiają, dlatego wszystkie telewizyjne kamery skoncentrowały się na tym jednym punkcie płyty lotniska, gdzie papież przykłęka, potem pochyła, podpierając się dłońmi, i całuje rozgrzany beton

– z pokory, z szacunku dla przyjmującego go kraju; symboliczny gest, który papież uparcie powtarza podczas każdej nowej podróży, za każdym razem z coraz większą trudnością, bo przecież musi się potem podnieść i wyprostować. Pomagają mu, podtrzymują, jednak widok ściska serce. Potem

przemowy, uściski dłoni, przywitania, błogosławieństwa. Teraz papież zajął miejsce w tej ruchomej witrynie z pancerną szybą, zwanej papamobile, eskortowanej przez policjantów na motocyklach, która pozwala zbliżyć się do wielkich tłumów po obu stronach alei, wiwatujących i obserwujących przejazd tego nierealnego, żywego posągu, ubranego na biało, który ożywia się, by im błogosławić...

Zamyślony Cassini naciska przycisk i ekrany gasną. Koniec wieku wymaga tego rodzaju spektakli.

Dlaczego zresztą Kościół katolicki miałby rezygnować z tego nadzwyczajnego zwielokrotnienia przekazu, świadczącego wobec całego świata i wobec dziesiątków milionów istot ludzkich o niemal cudownym promieniowaniu tego człowieka, zupełnie samotnego w swym szklanym pojeździe, jednak prowadzonego Bożą ręką? Jednocześnie Cassini nie mógł się powstrzymać i nie pomyśleć o innym samotniku, prawie nikomu nieznanym, idącym teraz właśnie gdzieś drogami Prowansji, zostawiającym ten sam ślad.

Odezwał się biurowy mikrofon:

– Ekscelencjo, ojciec Włodzimierz.

– Proszę powiedzieć, żeby wszedł.

Do rządowego pałacu w ogrodach watykańskich nie wchodzi się jak do młyna.

W portierni, w sekretariatach i w przedpokojach czuwają zastępy siostrzyczek przypominających blade pielęgniarki w lakierowanych bucikach na płaskich obcasach, w szarych spódnicach i pończochach. Na swych posterunkach niektóre zyskały nadspodziewaną władzę. Niegdyś bezpieczeństwa pałacu strzegli Szwajcarzy i straż szlachecka. Idąc z duchem czasu, Paweł VI zniósł straż szlachecką, choć nic nie kosztowała, bo zadawała się samym tylko zaszczytem, z kolei jego następca, z braku środków, zmniejszył oddział Szwajcarów o połowę. Cassini zadawał sobie niekiedy pytanie, czy z powodu tak słabego naboru męskiego, kiedyś, ku ogólnemu zaskoczeniu, nie nałożą mitry na głowę którejs z tych świętych niewiast. Niedawno, z rozbawieniem, wyciął z gazety kilka fotografii kobiet biskupów amerykańskiego Kościoła episkopalnego, odzianych dość ekstrawagancko niczym jakaś papieżyca Joanna.

Rozległo się pukanie.

– Proszę wejść – powiedział.

Przybysz był młodym człowiekiem, wysokim, atletycznej budowy, narodowości litewskiej; ubrany był w przepisowy, czarny garnitur, ale miał rude włosy, co było niedopuszczalne. Zaskoczyło to w każdym razie Cassiniego, że ksiądz tak rzucający się w oczy mógł się zajmować tak poufnymi zleceniami.

Rudzielec usiadł w fotelu i bez żenady wyciągnął swe długie nogi.

– Dziękuję, że ojciec przybył tak szybko – powiedział Cassini.

Zastanawiał się, czy włączyć ekrany telewizorów, ale zrezygnował. Wiedział, co dalej nastąpi.

Przepelniony, wystrojony stadion w Caracas zostanie przemieniony w liturgiczny teatr, w którym ów człowiek, wyszedłszy ze swej szklanej klatki, zostanie ofiarowany tłumom jak cudowny podarunek.

– Ekszelencja podkreślił, że sprawa jest pilna – odparł rudzielec. – Wilno nie jest już daleko od Rzymu. Podskoczyłem pierwszym samolotem.

Wyrażał się jak spadochroniarz. Biskup Cassini pomyślał o tych wszystkich niespodziewanych posiłkach, które „doskoczyły” ze Wschodu, z Litwy, Polski, o młodych ludziach, którzy nie zadawali zbyt wielu pytań...

– Pilna, pilna... – powtórzył. – To się jeszcze okaże. Gdy się zastanowić nad początkami tej... sprawy, to wydaje się, że jest ona pilna już od ponad sześciu wieków.

A tymczasem wszystko się toczy bardzo powoli...

Ojciec Włodzimierz zaczął szybko kojarzyć. Rok 1994 minus sześćset lat lub coś koło tego – zatem sprawa, o której mówił Cassini, musi tkwić korzeniami w przełomie XIV i XV wieku, w bolesnym dla Kościoła okresie, najbardziej mrocznym, być może, w każdym razie nie mniej mrocznym niż ten, który zdawał się rysować na horyzoncie XXI wieku. Zachował jednak swe myśli dla siebie i czekał cierpliwie, gdyż biskup nie dokończył, pogrążony we własnych myślach, które, co ciekawe, wywołały lekki uśmiech na jego ustach, rodzaj wewnętrznego rozradowania, które brało się bardziej z wzlotu serca niż zwykłej zawodowej przyjemności. Wreszcie Cassini podjął temat.

– Historycznie rzecz biorąc, nie chodzi o żadnego szarlatana.

Ojciec już zgadł. To ciąg dalszy, który zdaje się niepojmowalny, i to, co o nim wiadomo, jest tak wątle, jak cieniutka, ledwo widoczna nić, przechodząca przez tak niewiele rąk, ale obciążona tak wielkim ładunkiem uczuciowym, takim jakimś skokiem w irracjonalność, że można to rozważać jedynie... można rozważać tę sprawę jedynie z najwyższą ostrożnością. Nazywamy ją „dossier Benedykta”. Pod tą nazwą zresztą znalazłem ją w tajnych archiwach...

I zaczął mówić, co wie o tej sprawie, dopuszczając do głosu zarówno emocje, których doświadczał, jak i głęboki sens, który dostrzegał w swoim odkryciu. Teraz z kolei ojciec Włodzimierz pogrążył się w rozmyślaniach.

– Rozumie więc ojciec – zakończył swą opowieść biskup – dlaczego ojca wezwałem.

Benedykt chce dojść do Rzymu.

Dotknął dna swojej samotności. Być może jest u kresu wiary i niewykluczone, że z tego właśnie powodu podjął tę podróż, by zdjąć z siebie i zdać komu innemu ciężar, którego nie ma już sił dźwigać, a który jemu został przekazany i który uważa za święty.

Jest człowiekiem starym, wyczerpanym, zmęczonym. Nie ma doświadczenia w tym nowym świecie. Może zachorować, umrzeć na poboczu drogi, jak niektórzy z jego poprzedników. Ale on jest ostatni w sztafecie. Po nim nie ma już nikogo. Wie o tym. Nie jest martwą gałązką Kościoła. Ale źródłem jego żywotnych soków jest już tylko Rzym, który musi go przyjąć. Trzeba, żeby doszedł do Rzymu.

Dlatego pomożemy mu. Dlatego ty, ojcze, mu pomożesz.

Rudzielec się zgodził. Ta misja od razu przypadła mu do serca.

– Musimy zachować tajemnicę – kontynuował Cassini – starać się, by sprawa nie wyszła na jaw. Nawet Via Ovido będzie o tym wiedziała tylko tyle, ile trzeba, by zabezpieczyć logistykę niezbędną dla tego przedsięwzięcia. Już ich uprzedziłem. Dadzą, o co ojciec poprosi, bez zbędnych pytań...

Via Ovido, w Borgo, o rzut kamieniem od Watykanu. To tam, pod numerem 33

znajduje się Dom św. Atanazego, oznaczony małym drewnianym krzyżykiem i wygrawerowaną tabliczką. Ze swym zamkniętym ogrodem uchodzi za jeden z tych skromnych domów gościnnych, których tak wiele w Rzymie dla przyjezdnych duchownych, z tą jednak różnicą, że ten akurat podlegał wyłącznie biskupowi Cassiniemu i że jego drzwi otwierały się tylko dla osób starannie wybranych, dobranych i powołanych przez niego, duchownych lub świeckich, zwykle młodych, milczących, o wypróbowanej wierności i niewzruszonej wierze, w której imię pozwalali sobie, w koniecznych przypadkach, ad majorem Dei gloriam, przekraczać niektóre granice bez zbyt skrupułów. Nie było jednak wśród nich wielu jezuitów. Zwątpienie i zamęt posiały tyle spustoszenia w szeregach synów Loyoli, że ich przysięga posłuszeństwa papieżowi prowadziła najczęściej do zdrady w imię jakiejś prawdy wyższej, przyswajanej sobie wedle własnego widzimisię.

Spora część biskupów – „zniewieściałe mitry”, wedle złośliwego określenia pewnego pisarza katolickiego, dobrze zorientowanego w sprawach tego pontyfikatu – wystrzegała się Domu Atanazego jak zarazy. Wszędzie tam, gdzie silną ręką zaprowadzano ład duchowy, kanoniczny czy dyscyplinarny, dopatrywano się dyskretnego uczestnictwa wysłannika Watykanu z narybku św. Atanazego. Pewien amerykański arcybiskup na przykład, znany w mediach ze swej ostentacyjnej obrony wyświęcania kobiet i prawa księży do życia seksualnego, nagle zamilkł i zniknął na zawsze w pewnym klasztorze.

Robota bez pudła. Doceniono specjalistów. Ale Dom św. Atanazego miał na koncie również osiągnięcia innego kalibru, takie jak uwolnienie sędziwego, osiemdziesięcioletniego biskupa Diolo z Sudanu, uwięzionego i torturowanego przez fundamentalistów muzułmańskich... Starzec, powróciwszy do Rzymu, ledwo żywy padł

w objęcia papieża, który niedługo potem go beatyfikował. Wielki wyczyn. Jeszcze subtelniejszy był przygotowany przez Via Ovido błyskawiczny kontratak w sprawie autentyczności całunu, którego nikt już nie uznawał za prawdziwy, poczynając, naturalnie, od arcybiskupa Turynu w swej własnej osobie, który bardzo miękko, tylko dla zachowania pozorów, bronił jeszcze jego autentyczności. Prawda została ocalona, a ci, którzy kwestionowali tę relikwię, zdemaskowani: udowodnione zostało sztuczne

„odmładzanie” całunu i fałszowanie wyników badań, a tłumy wiernych ponownie ruszyły do Turynu, do kościoła św. Jana, gdzie odnotowano nawet kilka cudów, które zostały przezornie utajnione: Dom św. Atanazego nie lubił trąbić o swych zwycięstwach po wszystkich dachach.

Wśród innych, bardziej rutynowych zadań, zlecano mu rozmaite akcje doraźne: przesyłkę specjalnych

funduszy, „ukierunkowanie” jakiejś kurii, eskortę papieża.

Pensjonariusze Via Ovido stale się zmieniali. Doboru ludzi dokonywano pod kątem konkretnych zadań, a wymiennosc kadr była regułą: po wykonaniu zadania wszyscy wracali tam, skąd przybyli: do swoich klasztorów lub parafii, nigdy na orbitę władzy lub na salony nuncjatur.

„Modlitwa i pokora, nie powinniśmy rozsmakowywać się w tym zajęciu” –

powtarzał młodym rekrutom Cassini, choć sam ćwiczył się w tym od czterdziestu lat z upodobaniem smakosza.

Rudzielec był wyjątkiem. Cassini sam dbał o jego formację i powierzał mu różne zadania częściej niż innym.

– Czy mógłbym prosić, ekscelencjo, o sprecyzowanie kilku punktów?

– Oczywiście.

– Najpierw sprawy techniczne. Tożsamość, wsparcie, fundusze, swoboda działania, środki ostrożności...

Cassini znów zapalił fajkę.

– Będzie ojciec działał pod własnym nazwiskiem: wielebny ojciec Włodzimierz Nykas ze Zgromadzenia Oblatów Najświętszego Sakramentu. Dam ojcu paszport dyplomatyczny, wedle którego przebywa ojciec w Watykanie jako attache nuncjatury.

Przedyskutowaliśmy to z kardynałem R. Nie będzie podwójnej tożsamości.

Zważywszy cel tej misji, a zwłaszcza wysoce symboliczną osobę i charakter tego, który jest jej celem, uznaliśmy, że nie godzi się, by występował ojciec w przebraniu, jak pierwszy lepszy tajniak, wykonując podejrzanе zadania. Na spotkanie tego starego człowieka posyłam więc bez wątpienia naszego najlepszego agenta, ale przede wszystkim kapłana Kościoła katolickiego, i to z misją bardziej duchową niż doczesną.

A to znaczy, że będzie ojciec miał wsparcie nie tylko materialne czy moralne. Przede wszystkim będę się za ciebie modlił, ojcie Włodzimierzu, i nie ja jeden...

Uczył jednocześnie gest, który mógł oznaczać: tam, wyżej też się będą za ojca modlić. Wyżej znajdowały się prywatne apartamenty papieża.

– To oznacza także – kontynuował biskup – że w przypadku niepowodzenia albo gdyby sprawa narobiła szumu i dostała się następnie do mediów, nie będziemy jej dementować.

Przeciwnie, stawimy jej czoło, z wszystkimi konsekwencjami, jakie stąd wypłyną.

Powiemy prawdę. Czy umrze, czy będzie żył, czy przybędzie do Rzymu, czy nie, Rzym nie zdradzi tego starca, który należy, być może, do naszych wielkich świętych. Ale proszę mi wierzyć, nie decydujemy się na to łatwo i to druga część twojej misji, ojcze: na wypadek, gdyby sprawa się upubliczniła.

Oby nie, mój Boże! Oby nie!

– Rozumiem, ekscelencjo – powiedział rudzielec. – Ale chyba nie ma w tej historii niczego kuszącego dla prasy. Benedykt nie jest Marcinkusem. Nie da się z tego wykroić żadnego skandalu. Nie ma nic kompromitującego...

Kardynał Marcinkus, loża P-2, Michel Sindona, doradca finansowy Pawła VI, Roberto Calvi, którego znaleziono powieszzonego pod mostem w Londynie, krach Banco Ambrosiano, sprawa, która dla służb biskupa Cassiniego stała się twardym orzechem do zgryzienia. Niełatwo było sobie z tym poradzić...

– Z pewnością – odparł Cassini – Ale proszę się zastanowić, ojcze Włodzimierzu.

Przyjmijmy, że jakiś dziennikarz sprytniejszy od innych stworzy sobie dossier, dossier Benedykta, mówiąc dokładnie, z odniesieniami historycznymi, nazwiskami, datami, dość wiernym portretem naszego... wędrowca, może nawet zrobi mu zdjęcia, opíše jego trasę, cel podróży, bo pewnie wykryłby i to. Mamy natychmiast efekt kuli śnieżnej.

Dziennikarze rzucą się do nogawek nieszczęsnego Benedykta. Media, jak się za coś zabiorą, sajak jeźdźcy Attyli. Tam, gdzie przejdą, świętość nieprędko wzrośnie...

I po chwili zastanowienia dodał:

– Wiem. Jest jeszcze łaska Boska. Nie jesteśmy sami.

– Z łaską czy bez, będę czuwał – powiedział ojciec Włodzimierz.

– Na to właśnie liczę – rzekł Cassini. – We Francji, podobnie jak we Włoszech nie będzie miał ojciec żadnych trudności w kontaktach z władzami. Właśnie wracam z Paryża. Gdyby z jakiegoś powodu musiał ojciec wykroczyć poza granice legalności, niech ojciec ma świadomość, że nie ruszą ojca.

– A sprawy techniczne? – przypomniał rudzielec.

– Nieograniczony limit wydatków. Nasz samochód na francuskiej rejestracji będzie czekał na ojca na parkingu lotniska w Nicei, jutro rano, po przybyciu samolotu rejsowego Alitalii. Dalsze instrukcje znajdzie ojciec w tej kopercie, także kilka fotokopii dokumentów z dossier Benedykta. Proszę przestudiować te dokumenty przed wyjazdem, a potem je zniszczyć. Z Francji może ojciec do mnie telefonować na numer, który ojciec zna. Telefon w samochodzie ojca wyposażono w urządzenia zagłuszające, nikt nie podsłucha. A teraz, Włodzimierzu, gdybyś zechciał mi powiedzieć, jak ty to widzisz?

Ojciec Włodzimierz pomyślał chwilę.

– Czy czas bardzo nagli? – zapytał. – Bo nawet jeśli przyjmujemy, że ma jeszcze dość sił, by dojść do Rzymu, to idąc pieszo, w jego wieku, może wędrować całymi tygodniami, o ile nie miesiącami. A jeśli całkiem opadnie z sił? Czy po sześciu wiekach oczekiwania, ekscelencjo, możemy go opuścić?

– Myślałem o tym – odparł Cassini – Może ten czas jest nam policzony.

Nacisnął przycisk i wszystkie ekrany się ożywiły.

Stadion w Caracas był przepelniony. Nieprzeliczony, gęsty las nagich ramion wzniesionych do góry i machających do papieża. Jak na meczach piłkarskich, w poszczególnych rzędach co i rusz podnosi się i opada ludzka fala, przebiegająca wokół

trybuny wielkiej, owalnej niecki przegrzanego stadionu. Kamery pokazują zbliżenia.

Tysiące młodych ludzi, piękna tropikalna rasa, urodziwa, piętnastoletni chłopcy, a już mężczyźni, dziewczęta o bujnych kształtach, z długimi, rozpuszczonymi włosami, wszyscy w nieskazitelnie białych T-shirtach, powielających na tysiącach młodych torsów oblicze tego, który właśnie do nich mówi. W połowie wysokości jednej z dwóch dłuższych trybun wznosi się obszerne podwyższenie, gdzie pod baldachimem chroniącym od słońca zasiada Ojciec Święty przed baterią mikrofonów, pochylony, z tekstem homilii lekko drżącym w dłoniach spoczywających na kolanach, jakby nie miał

już sił podnieść go na wysokość oczu. Musi się więc pochylić, aby czytać. Przybył do Caracas, by skierować swe słowa do wenezuelskiej młodzieży. Mówi po hiszpańsku.

Mówi o dobru i o złu. Mówi, że nie należy tworzyć własnych, prywatnych reguł

moralnych. Że sumienie każdego człowieka jest wolne, że w tym jego godność, że Kościół uznaje je, ale żeby mieć właściwy osąd, trzeba w swym sumieniu poznać prawdę o człowieku. Mówi, że tylko Chrystus objawia tę prawdę. Przypomniał Ewangelię według św. Jana: „Prawda was wyzwoli”... – podczas gdy w różnych częściach tej betonowej niecki stadionu rozlega się skandowanie: Li-ber-tad! Li-ber-tad!, a powstająca i opadająca fala stale przebiega wokół stadionu. Wtedy papież woła: Basta! „Dosyć!”, uderzając dłońmi w kolana, i kontynuuje homilię wyczerpanym głosem, a gigantyczne stadionowe głośniki niepokojąco wzmacniają ten zmęczony, łamiący się głos. Wreszcie szacunek przeważył i staje się cud, raz jeszcze, bo oto ten stary człowiek sam podporządkował sobie ten tłum, podczas gdy rysy jego twarzy, widoczne na ekranie w wielkim zbliżeniu, ujawniały krańcowe zmęczenie, a jego wzrok – siłę jego wiary...

Gdy skończył przemawiać, Cassini wyłączył ekrany.

– Za każdym razem jest mu coraz trudniej – powiedział.

Po krótkim milczeniu wrócił do tematu ich rozmowy.

– Odpowiadając na twoje pytanie, ojcze: sądzę, że musimy się bardzo śpieszyć.

A przynajmniej próbować przyspieszać bieg rzeczy. Ojcu Świętemu zależy na... na rozwiązaniu tej sprawy. Mnie zaś zależy, by go nie zawieść. – Zaraz jednak się poprawił:

– Żeby ich nie zawieść, ani jednego, ani drugiego.

– Dobrze – powiedział rudzielec z zapalem – W końcu liczba rozwiązań jest ograniczona. Samochodem to kwestia dwóch dni. Uniknie całej tej niepotrzebnej mordęgi, szumu autostrady, całego tego próżnego zgiełku, wydaje mi się, że tak byłoby najlepiej. Przyjechalibyśmy do Rzymu nocą. Dyskrecja zapewniona. Ale jak mu to wytłumaczyć? Jak mu to zaproponować? Scenariusz: rozpoznaję go idącego poboczem jakiejś drogi, gdzieś od strony...

– Senez, bez wątpienia od strony Senez – odpowiedział biskup.

Ojciec Włodzimierz mówił dalej:

– Więc rozpoznaję go. Zatrzymuję samochód. Wsiadam. Podchodzę do niego.

I właśnie: jak się do niego zwracać? Wasza Świątobliwość? Ojciec Święty? Samo „Ojciec”

to chyba zbyt zdawkowe. Czy powinienem uklęknąć? Pocałować go w dłoń? Czy nawet w stopę, jak to czyniono w jego czasach? A gdy mnie pobłogosławi, to mam się przeżegnać? I zostanę schizmatykiem?...

Było to dość dziwne ujęcie sprawy. Cassini się uśmiechnął:

– Z pewnością nie schizmatykiem. Z całym szacunkiem, nie żądamy tego od ojca.

Zresztą, to nie ojciec dokona wyboru. Jeśli mam wierzyć memu staremu przyjacielowi, Dom Jansenowi, który przyjmował go w swoim opactwie, to będzie ojciec wiedział, jak się zachować, zanim ojciec cokolwiek postanowi i sam będzie ojciec tym zdziwiony.

A jak się do niego zwracać? Myślę, że wystarczy mówić „Benedykcie”. On sam mówi:

„Jestem Benedykt”.

– Dobrze – powiedział rudzielec. – Jest Benedyktem. A ja, czy mam mu powiedzieć, kim jestem? Kto mnie posyła? I dlaczego? Mam powiedzieć: „Ojciec Święty, przysyła mnie do ciebie Ojciec Święty, jedziemy do Rzymu”?

Cassini znów się uśmiechnął.

– Słowa niewiele znaczą. Proszę mu powiedzieć prawdę.

– Uwierzy mi?

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. To człowiek, którego nie można oszukać, i on o tym wie.

– Świetnie. Powiem mu prawdę. On mi uwierzy. Potem otworzę drzwiczki, wrzucę do środka jego skromny bagaż i w drogę? A jeśli odmówi? Przecież chyba go nie porwę?

– Oczywiście, że nie! – odparł wesoło biskup. Potem, poważniejąc, dodał: – Ale z pewnością będzie chciał najpierw lepiej ojca poznać. Przejdzie z nim ojciec kawałek drogi pieszo. Ten człowiek jest od dawna samotny. Samotność jest jego jedyną towarzyszką. Może przyjdzie na niego taka chwila, i będzie chciał się zwierzyć, tam, na poboczu drogi. Ojciec mu pomoże. Może będzie szczęśliwy, że z ojcem porozmawia?

Ojciec jest księdzem. On także...

Ojciec Włodzimierz milczał. Potem spytał:

– On naprawdę jest księdzem? To znaczy, prawdziwym księdzem?

– Co do tego nie ma żadnej wątpliwości – odpowiedział biskup. – Sukcesja apostolska poszła inną drogą, ale była kontynuowana bez odstępstwa od wiary. Bez względu na schizmę, trwającą wieki, święcenia Benedykta i jego towarzyszy były całkowicie przepisowe. Jest ojca bratem. Naszym bratem.

– Ale czy on jest... – To słowo uwięzło mu w gardle.

– Czy jest papieżem? To ojciec chciał powiedzieć? – wyręczył go Cassini. – Lub raczej: czy jest papieżem, chociaż my mamy naszego? Czy jest antypapieżem wobec naszego papieża? Nie mogę ojcu odpowiedzieć tak, jak wcześniej, ale z tego, co o nim wiem, on nie pretenduje do tego, już nie. Umieszcza się we wspólnocie Kościoła w jakiś inny sposób, któremu nie można nic zarzucić. Ciągłość apostolska jest zachowana. Nikt temu nie może zaprzeczyć. Od Urbana VI w Rzymie i Klemensa VII w Awinionie, którzy zostali wybrani przez to samo kolegium kardynalskie, ciągłość ta jedynie się zdublowała i nikt spośród teologów czy historyków, nawet jeszcze dzisiaj próbujących rozciąć ten węzeł gordyjski, nie jest w stanie stwierdzić z całą pewnością, że Urban był

prawdziwym papieżem, a Klemens fałszywym. Przeciwnie, podobnie jak kiedyś Wincenty Ferreriusz, dziś skłaniano by się raczej do uznania legalności Klemensa VII i jego następcy Benedykta XIII, ale to tylko czysta spekulacja i, Bogu dzięki, nie zmienia niczego w dzisiejszym porządku spraw. Nasz papież jest prawowitym papieżem. Tego możecie być pewny, ojcie Włodzimierzu. Ale ten drugi jest jego cieniem, jego kopią, jego zagubionym odbiciem. Kardynałowie Urbana VI wybrali po jego śmierci innego papieża. Kardynałowie Klemensa VII, ze swej strony, zrobili tak samo. Potem każdy z tych dwóch nowo powołanych papieży mianował swoich kardynałów, co było równie naturalne jak to, że władca płodzi dzieci, by zapewnić następstwo tronu. Potem ci kardynałowie, po śmierci uznawanych przez siebie papieży, wybrali dwóch kolejnych papieży i tak to się toczyło. I nikt już nie mógł tego powstrzymać, tego pontyfikalnego bliźniactwa...

– Sobory – zauważył ojciec Włodzimierz. – Piza. Konstancja.

– Sobory, owszem. Próbowwały. Piza się nie liczy. To była prawdziwa katastrofa: trzech papieży zamiast dwóch! Ale Konstancja? Aby z tym skończyć, starano się uwierzyć w jej legalność, w

słuszność przyjętych tam metod. Lecz czy pośród tych trzech papieży, którzy złożyli urzędy lub których zmuszono do abdykacji postanowieniami soboru w Konstancji, aby wybrać czwartego – nie było przynajmniej jednego legalnego papieża? Jakim prawem sobór w Konstancji przywłaszczył sobie władzę najwyższą, władzę samego papieża? Właśnie dlatego Benedykt XIII tak bardzo się opierał. Pan Bóg czuwał. Cień Benedykta przeżył. A raczej cień jego cienia, ten, który ojciec ma dowieźć do Rzymu... A, muszę jeszcze ojca uprzedzić: ten cień czyni cuda.

– Cuda?! – wykrzyknął ojciec Włodzimierz, spostrzegając ze zdumieniem, że oznajmienie tego faktu sprawiło Cassiniemu wyraźną radość.

– Cuda – potwierdził Cassini. – Rozsiewa je, ot, tak, i nawet chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Pierwszy w Awinionie w katedrze. Jakaś dziewczynka z czerwonym liszajem na twarzy. Miałem nadzieję, że na tym poprzestanie. Ale potem znów to zrobił.

Będziemy musieli się do tego przyzwyczaić. Na szczęście, nikt go z tym nie łączy. Stał

się cud, on jest już daleko, kto podejrzewałby starego włóczęgę? Zresztą dziś mało kto wierzy w cuda. To już tylko pojęcie ze słownika, a nie kwestia wiary, nawet dla jawnych cudów szuka się za wszelką cenę innego, racjonalnego wyjaśnienia. Czy zauważył

ksiądz, że dziękczynne wota stają się coraz rzadsze w naszych kościołach? Wystarczy spojrzeć na daty. Od przedwojnia jest ich coraz mniej, a od lat sześćdziesiątych – prawie całkiem znikają. W średniowieczu była to rzecz powszednia na drogach do Compostelli, Jerozolimy czy Rzymu. Nazywano to cudami pielgrzymów. Tryskały źródła na postojach, w miejscach najbardziej jałowych. Wody rzek opadały przed pielgrzymami, tworząc wygodny bród do przejścia.

Wieśniacy, którzy wyzbyli się swych nędznych zapasów, by nakarmić Wędrowców, odkrywali nagle, zrzędzeniem Opatrzności, skrzynie pełne chleba i worki pełne soli.

Gawędziarze zapewne musieli wiele upiększać, ale czemu wątpić we wszystko?

Benedykt jest pielgrzymem na drodze do Rzymu. Kontynuuje tę tradycję. Papież Pius X także czynił cuda. Śmiał się. Żartował z tego: „Cuda? – powiadał. – Jak gdybym nie miał nic lepszego do roboty!”. Prawie tłumaczył się z tego, nakazywał wszystkim tajemnicę. Już wtedy świtały czasy niedowiarstwa. Jednak te cuda się wydały i, jak ksiądz wie, został kanonizowany w 1954 roku, zaledwie czterdzieści lat po śmierci. Nie miało to miejsca od czterech wieków, od św. Piusa V. A teraz, proszę, ten Benedykt.

Papież Benedykt...

Cassini przerwał, zamyślony. Z półprzymkniętymi oczami pykał fajkę.

– Ojciec Święty wie o nim? – zapytał ksiądz Włodzimierz.

Biskup, wciąż zamyślony, tylko skinął głową.

– I cóż o tym myśli? – nie dawał za wygraną ojciec Włodzimierz.

Biskup Cassini postukał w klawiaturę i ekrany znów się ożywiły. Wciąż stadion.

Papież celebruje mszę. Koncelebruje dwustu kapłanów i trzydziestu biskupów, poinformował komentator. Wszyscy w ornatach, z dłońmi wysoko podniesionymi w górę podczas modlitw, wprost przed telewizyjnymi kamerami, co wywołuje nieco teatralne wrażenie. Cassini zaczął się zastanawiać, czy skutek kadrowania, czy raczej eksponowania decorum, a nie sacrum tego miejsca, uroczystość nie nabrała nieco sztucznego charakteru. Nadeszła chwila konsekracji; dwieście głosów odmawiających słowa modlitwy na ofiarowanie zagłuszyło nieco patetyczny i drżący głos papieża.

Cassini odczuł jakby wewnętrzne niezadowolenie. Zdarzało mu się wiele razy służyć do mszy Ojcu Świętemu, w jego prywatnej kaplicy. Podczas konsekracji obecność Chrystusa stawała się wręcz namacalnie rzeczywista... Jednak tutaj, na tym stadionie, można by powiedzieć, papież dawał tym tłumom – siebie, aby cudownie zaświadczyć o Przeistoczeniu niejako wbrew tym, którzy go otaczali, zagłuszając swymi głosami i przygniatając swą obecnością, próbując wejść w jego rolę: papieża, zwierzchnika Kościoła katolickiego i pierwszego ofiarnika w świętej ofierze mszy... Głos komentatora, metaliczny i telewizyjny, był tylko zwykłym głosem, pospolitym, dalekim od Golgoty.

– Co on o tym myśli? – powtórzył Cassini. – Nie zadałem mu tego pytania.

A gdybym je zadał, nie odpowiedziałby mi.

Potem, wrywając się z zamyślenia i powracając do swobodniejszego tonu, wysypał popiół z fajki do popielniczki, powiedział wesoło:

– Włodzimierzu, Ojciec Święty nie obawia się konkurencji!

Rudzielec zamachał rękami. Wcale nie chciał tego sugerować.

– Widzę, że się rozumiemy – powiedział Cassini. Teraz już nie palił. Skrzyżował

ręce na piersiach. – Prostota Benedykta, jego pokora, bieda, naiwność, samotność, ta jego funkcja pontyfikalna, skromna jak wówczas, kiedy to apostoł Piotr, także całkiem sam, błąkał się po drogach Cesarstwa bez wielkiej nadziei na to, że będzie wysłuchany... Piotr był początkiem. Benedykt wyobraża swoisty koniec, który jednak coś zapowiada.

Wszystko to głęboko wzrusza Ojca Świętego. Swym najbliższym powiedział, że nadejdzie dzień, gdy nauka Kościoła zostanie jednomyślnie odrzucona, ponieważ będzie nie do pogodzenia z przyjętą moralnością i postępową religią. Powiedział, że Kościół

katolicki będzie rozrywany, a jego wielkie rzesze poddadzą się bez walki. Powiedział, że opinia międzynarodowa, której już się sprzeciwił bez powodzenia, będzie chciała sobie podporządkować papieża, jego lub jego następcę, że jakiś synod uzna to za konieczne w świetle jakiegoś nowego odczytania Ewangelii i papieżowi nie pozostanie już nic innego jak opuścić Rzym i zniknąć, jak Benedykt. I iść dalej, jak Benedykt. Obaj są tułaczami.

Cassini wskazał gestem dłoni telewizyjne ekrany.

– A to – powiedział – jest wbrew pozorom tylko tego przykładem.

Piza, 1409

Rozpacz. Tragedia. Komedia. Przerazenie. Bufonada... Szata Chrystusa rozdarta na strzępy... Zdradzają, mordują, zaprzędają się, przekupują, oszukują, kłamią, przysięgają i łamią przysięgi, nienawidzą, obrzucają się kalumniami, kłają dłoń, którą jeszcze wczoraj całowali, wzajemnie się zniesławiają...

Gdyby nie było to tak zasmucające, gdyby nie prowadziło do buntu, czyż to nie byłaby pyszna bufonada – to widowisko z trzema papieżami, jednym w Tortosie, w Katalonii, drugim w Pizie, trzecim błakającym się gdzieś w okolicach Sieny, w Italii, a każdy z tiarą na głowie, z częścią papieskiego skarbu w swych kufrach, z kluczami św.

Piotra w szafie? Świat chrześcijański ma oto trzech papieży jednocześnie, stale ekskomunikujących się wzajemnie, ich wzajemnym wyklinaniem rozbrzmiewa cała Europa, i są trzy Święte Kolegia chciwych kardynałów i są trzy równoczesne synody, z których każdy utrzymuje, że posiada prawdę, jeden w Pizie, drugi w Perpignan, trzeci w Cividale, i na każdego z trzech papieży przypada kawałek tej szaty, rozdartej na trzy nierówne części, czyli podzielonej na trzy obediencje: papież Luna, Benedykt XIII, który rozbroił swe galery i zakotwiczył w Tortosie, ma Aragonię, Kastylię, Nawarrę, Szkocję, Armaniak, hrabstwa Fox i Rodez oraz kilka zapadłych biskupstw w Prowansji, jak Senez, Riez i Glandeves; Angelo Correr, papież, który był w Rzymie, a teraz jest w Sienie i nosi imię Grzegorza XI – dzierży królestwo Neapolu i Sycylii, Palatynat, Wenecję i trzy lub cztery włoskie miasta; wreszcie temu trzeciemu, dopiero co wybranemu w Pizie, Piotrowi Filargosowi, kardynałowi z Mediolanu, który przyjął imię Aleksandra V, przypada Francja, Anglia, Portugalia, większa część Italii i Niemiec i prawie cała reszta Europy. A zatem lwia część tej szaty dostała się temu nędznie urodzonemu Kreteńczykowi, który kocha grekę, łacinę i dobre wino i który jest tylko zwykłą marionetką w rękach kardynała z Bolonii, Baltazara Cossy, złego ducha soboru w Pizie...

Trzech papieży.

Jeden prawdziwy i dwóch fałszywych? Dwóch prawdziwych i jeden fałszywy?

Trzech prawdziwych? Trzech fałszywych?

Trzydziestu kardynałów. Dziewiętnastu związanych z papieżem w Pizie, to znaczy czternastu, którzy zdradzili Grzegorza XII, i pięciu, którzy zdradzili Benedykta XIII; sześciu innych przebywa w Tortosie, pięciu pozostałych w Sienie. Którzy są prawdziwi?

Którzy fałszywi? Przebiegłym teologom, którzy roją się wokół niego jak muchy, nasłani przez sobór w Pizie, papież Benedykt XIII dowodzi, że gdyby była wątpliwość, jak go zapewnniają, co do legalności pontyfikatu, to ta wątpliwość nie dotyczyłaby jego, on właśnie nie podpada pod ten zarzut,

gdyż jako jedyny z kardynałów, a nawet spośród tych czterech papieży, których po kolei wybierano przeciw niemu – on jeden został

mianowany kardynałem przez ostatniego papieża sprzed schizmy, Grzegorza XI, co czyniło z niego, Piotra de Luny, jedyne i wyłączne depozytariusza ciągłości apostołskiej. I gdy podnosi na końcu ten właśnie argument, wytrąca wszelkie argumenty odzianym na czarno wysłannikom soboru, i zamyka im usta, stawiając pytanie: skoro sobór złożył z urzędu dwóch papieży, wybranych przez kardynałów uznanych za niegodnych tego tytułu, to jaka byłaby legalność trzeciego papieża wybranego przez tych samych kardynałów? Argument pozostaje bez odpowiedzi, przyprawiając o ból głowy władców chrześcijańskich i pograżając w ponurej wściekłości większość prałatów zebranych w Pizie, zdecydowanych wreszcie z tym skończyć...

Nie patyczkują się.

Najpierw regulują swe rachunki z nieszczęsnym Grzegorzem XII. Przebywa w Rzymie, co stanowi znaczący atut. Trzeba zatem tak to urządzić, żeby go wygnać z Rzymu. Nic łatwiejszego. Uzbrojone bandy ciągle trzymają miasto w szachu, ich caprioni sprzedają się temu, kto da więcej. Złoto najbogatszego kardynała z Bolonii wygania cały ten śliczny świątek na ulice i oto Jego Świątobliwość Angelo Correr zostaje przepędzony, tuła się po gościńcach jak włóczęga: od Rzymu do Sieny, od Sieny do Cividale we Friouli, małego miasteczka zależnego od Wenecji, z którego sam pochodzi i które może dlatego pozostaje mu jeszcze wierne. Właśnie stąd kontratakuje, zwołując synod. Oczywiście, uważa się za prawdziwego papieża. Ma ku temu powody, dobre czy złe, gdyż Kościół przyzna mu później rację, wpisując go, chętniej niż jego konkurentów, na oficjalną listę jako dwieście pierwszego papieża rzymskiego. W Pizie przygotowuje się po cichu wielką paradę. Bierze to na siebie kardynał z Bolonii. Do jego obozu przechodzi czternastu kardynałów, którzy zdradzają Grzegorza XII. Gdy złoto i perswazja nie wystarczają, stosuje się inne środki. Kardynał de Roye z Reims w drodze do Cividale wpada w zasadzkę: strzała z kuszy trafia prosto w serce. W opustoszałej katedrze w Cividale nie ma już prawie nikogo, synod Grzegorza XII spełza na niczym, a że nieszczęścia chadzą parami, Wenecja zadaje mu litościwy cios: wypowiada posłuszeństwo. Pozostaje mu już tylko ucieczka, w przebraniu, ze swymi ostatnimi pięcioma kardynałami i powrót do Sieny, gdzie miejscowy podesta, należycie, bo sówicie przekonany przez kardynała z Bolonii, niczym dobry apostoł obiecuje mu azyl i bezpieczeństwo pod warunkiem, że już stąd nigdzie nie wyjedzie. Śliczny manewr.

W ten sposób Jego Świątobliwość Angelo Correr nie będzie w stanie odpowiedzieć na pilne zaproszenie synodu i stawić się o czasie w Pizie. Jeden wyeliminowany.

Benedykt XIII jest bardziej nieustępliwy.

On także zwołał swój synod, do Perpignan. Główna nawa kościoła nie jest zatłoczona; wyłożona dywanami i brokatem, oświetlona setkami świec, gromadzi jednak stosowny wachlarz prałatów i opatów, głównie Hiszpanów, kilku Sabaudczyków, kilku z Lotaryngii, którzy musieli przemierzać królestwo Francji w przebraniu, stosując najprzeróżniejsze środki ostrożności, lecz nawet ten mnich szkocki, istny diabeł, dotarł aż tutaj, reprezentując Falkirka, kardynała z Iony. Widać puste miejsca. Zauważa się nieobecnych. Nie ma kardynała Buyla, kardynała Flandrina, kardynała de Chalanta, nawet kardynała d'Ailly – ci dołączyli do soboru w Pizie. Brakuje także Gersona, ale Wincenty

Ferreriusz jest na miejscu. Jego współbraci, dominikanów jest wszędzie pełno i w całym mieście chwalą papieża Lunę. Jest wreszcie aparat władzy, co także nie jest bez znaczenia, w osobach sześciu kurialnych kardynałów. Jest Przenajświętszy Sakrament na białej oślicy, eskorta szlachty i żołnierzy, papieski stolnik niosący chorągiew z półksiężycem, wielki skarbnik, kamerdynerzy, sławny spowiednik papieski, którym jest właśnie Wincenty Ferreriusz oraz jałmużnik Jego Świątobliwości, zamykający ten orszak i rzucający w tłum pełnymi garściami monety. Wysłannicy z Pizy mogą się teraz przedstawić. Będą zdrowo przyjęci! Cóż to za synod, który pozwala sobie wzywać papieża?

Czy w Pizie zapomniano, że jedynie papież zwołuje synody?

Impas jest całkowity.

W Pizie zatem trzeba rozpocząć kanonadę przeciw papieżowi Lunie. I znów pojawia się Szymon de Cramaud, patriarcha in partibus Aleksandrii, tak stary, że nikt już nie wie, ile ma lat, ale nienawidzić dobrze go konserwuje. Próbował niedawno upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, ale się nie udało. Teraz już nie chybi.

To on bierze na siebie zadanie poprowadzenia ofensywy, wspomagany przez niezastąpionego biskupa Piotra Cauchona. Przemawia w imieniu Uniwersytetu Paryskiego, który jest najwyższym autorytetem moralnym i religijnym w tym okresie, gdyż król Francji jest szalony, a dwóch fałszywych papieży nie tworzy jednego prawdziwego. Z jego ust tryskają strumienie potworności: Piotr de Luna jest mordercą.

Gwałcąc immunitet kościelny, kazał powiesić duchownych bez sądu. Jego wędrówka znaczone jest szubienicami. Natomiast oszczędza heretyków. Dobija targu ze złymi duchami. Ma na swe usługi dwa demony, zamknięte w małej walizeczce, którą zawsze nosi przy sobie. Gdy wstępował na tron papieski, kazał odszukać księgi magiczne.

Znalazł dwie w Hiszpanii, a trzecią u Saracenów. Aby poznać przyszłość oraz to, co o nim mówią, umieszcza przed snem jedną z tych ksiąg pod poduszką. Po jego pośpiesznej ucieczce z Nicei odkryto nawet jedną taką księgę w jego łóżku...

I to skutkuje! Synod połyka to wszystko, razem z haczykiem i wędką. W pizańskiej katedrze Campo Santo między wieżą a baptysterium zasiada czwórka patriarchów, dwudziestu dwóch kardynałów, dwunastu arcybiskupów, dwudziestu czterech biskupów, zastępcy czternastu arcybiskupów i stu dwóch biskupów, osiemdziesięciu siedmiu opatów, między innymi z Clairvaux, Citeaux, Lerins i Camaldoli, zastępcy dwustu dwóch innych opatów, czterdziestu jeden przeorów, wśród których są przeorowie z Grande-Chartreuse i Saint-Barthelemy z Genui, przełożeni generalni karmelitów, dominikanów, franciszkanów, augustianów, jest również Dom Bonifacy, brat św. Wincentego Ferreriusza, zwabiony tutaj podstępem; jest wielki mistrz z Rodos z asystą szesnastu komturów, przeor generalny rycerzy Grobu Chrystusowego, prokurator generalny Zakonu Krzyżackiego, wysłannicy uniwersytetów z Paryża, Tuluzy, Orleanu, Angers, Montpellier, Bolonii, Florencji, Krakowa, Wiednia, Pragi, Kolonii, Oksfordu, Cambridge i kilku innych, delegacje kapituł stu kościołów katedralnych, wreszcie trzystu doktorów teologii, tworzących czarne i zwarte stado; a że tę wstępną kanonadę poprzedziły intensywne przygotowania dyplomatyczne, są także ambasadorowie króla Francji, Anglii, Portugalii, Czech, Sycylii, Polski, Cypru, książąt Burgundii, Brabancji,

Lotaryngii, Bawarii, I Pomorza, Brandenburgii, Turynii i prawie wszystkich księstw niemieckich, poza ambasadorami króla węgierskiego, szwedzkiego, duńskiego i norweskiego, którzy popierają jeszcze, chociaż już słabo, papieża Grzegorza, a wkrótce dołączą do Pizy; słowem, to największe zgromadzenie osób namaszczonych lub pomazanych, jakie kiedykolwiek widział świat chrześcijański, zarazem największe zgromadzenie przedstawicieli większości suwerennych władców Europy, wspaniałe świadectwo niechybnej obecności Ducha Świętego w katedrze pizańskiej. I to właśnie prześwietne zgromadzenie połyka bez zmruczenia oka te niewiarygodne bzdury, które wygłasza z wysokości swego tronu patriarcha Aleksandrii na zmianę z arcybiskupem Pizy!

Podnoszą się nieśmiało jakieś głosy sprzeciwu. Jednak wobec tak niepojętej jednomyślności nawet ci nieliczni mówcy nie podważają rzekomych faktów, lecz domagają się jedynie, by przedstawiono świadków lub przynajmniej wymieniono ich nazwiska.

Zgłasza się tylko jeden... – dziekan kapituły katedry w Tours.

To, że Piotr de Luna nosi w kieszeni woreczek, w którym trzyma dwa demony – to jego wymysł. Potwierdza. Nigdy w życiu nie spotkał papieża Luni, ale nikt ani myśli go o to spytać, podobnie jak nikt nie zadaje sobie trudu, by dowiedzieć się, czy aby świadek nie ma we własnej kieszeni ciężkiej sakiewki, ciężkiej od złotych monet kardynała z Bolonii, które ten szcudrze rozdaje.

Ujawszy silną ręką to zgromadzenie, arcybiskup Pizy kończy, zapraszając wszystkich

– celem poznania liczby i nazwisk świadków – na konsultacje w sprawie aktu oskarżenia, który złożono u karmelitów, co, ma się rozumieć, nigdy nie nastąpi. Nigdy nie odnaleziono tego dokumentu.

Sprawa jest ułożona. Powód zatwierdzony. Wyeliminowano drugiego!

Dnia 5 czerwca 1409 roku, wyłożywszy przyczyny, dla których zwołano sobór generalny w Pizie: że żaden papież nie został powołany, że sobór otrzymał zadanie, w imię łaski Boskiej, położyć kres tej schizmie... – patriarcha Aleksandrii, Szymon de Cramaud odczytuje sentencję ostateczną. To najpiękniejszy dzień w jego życiu, zwieńczenie piętnastu lat nienawiści. Mając obok siebie po prawej stronie patriarchę Antiochii, a po lewej patriarchę Jerozolimy, wobec tego liczego zgromadzenia, w imieniu świętego soboru ogłasza Piotra de Lunę i Angela Correrę – którzy uważają się za rzekomych papieży pod imionami Benedykta XIII i Grzegorza XII, a którzy odmówili wspólnego stawienictwa w Pizie – heretykami i schizmatykami, uznanymi za winnych zbrodni wiarołomstwa, bezbożności – w postaci złamania ślubów kościelnych –

konszachtów mających na celu oszukanie chrześcijan i podtrzymywanie schizmy, i jako takich uznaje się ich za pozbawionych urzędu, z którego zostają od zaraz złożeni. Potem de Cramaud odczytał jeszcze wezwanie do całego Kościoła, zobowiązujące, pod karą ekskomuniki, do nieuznawania wyżej wymienionych za papieży, do anulowania ich ostatnich nominacji kardynalskich oraz wszystkich potępień, jakie obydwaj ogłosili.

Nie tracono czasu.

Dnia 26 czerwca tego samego roku dziewiętnastu kardynałów rozpoczyna konklawe w katedrze

pizańskiej, pilnie strzeżonej staraniem wielkiego mistrza szpitalników.

Zwietrzywszy już uchybienia formalne, trzech kardynałowie powstrzymują się od udziału w konklawe i co prędzej powracają do swych diecezji.

Wielkim elektorem tego synodu, deus ex machina, jest kardynał z Bolonii, Baltazar Cossa, który dorobił się fortuny na piractwie, grabiąc na Morzu Śródziemnym: nie jest on ani księdzem, ani biskupem, i pracuje na własny rachunek. Jego czas jeszcze nie nadszedł. Ale jest już bliski, wie o tym. Nie należy zbyt wcześnie ujawniać swych zamiarów.

– Wskazuję jako papieża i biskupa Rzymu – oświadczają, otwierając głosowanie –
naszego brata Piotra Filargosa, kardynała z Mediolanu.

Filargos to ten mały, nic nieznaczący Kreteńczyk, który jako dziecko żebrał na ulicach Candii, który mówi po grecku i łacinie, lubi dobre wino i całą swą fortunę zawdzięcza Viscontim z Mediolanu, którzy zrobili sobie z niego posłusznego kardynała-arcybiskupa. Jest uprzejmy, układny, bardzo pobożny, zwłaszcza po wypiciu, wrażliwy na zmienne wiatry obracające polityczną chorągiewką. W tym wyschłym strumieniu kardynałów znalazł komfortowe schronienie pod protekcją kardynała Baltazara Cossy.

Cossa przemówił. Kardynałowie zagłosowali. Mały Piotr Filargos zostaje jednomyślnie wybrany papieżem. Jest zachwycony. Zrywając z tymi wszystkimi Bonifacjami, Klemensami, tymi Grzegorzami, Benedyktami i Urbanami, którzy dręczą świat chrześcijański, on przyjmie imię Aleksandra V. Gdy ubierają go na białą, pije swoją miarkę „soave”. Biją z całych sił w dzwony: w Pizie, potem w Paryżu, Londynie, Krakowie, Kolonii i we wszystkich stolicach europejskich, z wyjątkiem Hiszpanii, która pozostaje wierna Benedyktowi XIII, oraz Sieny, gdzie trwa jeszcze uparty Grzegorz XII.

Jego Świątobliwość Aleksander V nie okaże się złym papieżem. Jego kardynałowie nie będą mieli nawet czasu, by go zdradzić. Chociaż nic tego nie zapowiadało, dziesięć miesięcy i siedem dni później, 3 maja 1410 roku, Aleksander V leży na łożu śmierci.

Krótko przed śmiercią wzywa do siebie swych kardynałów, wygłasza do nich piękne przemówienie po łacinie i oddaje ducha w cierpieniach, prawdopodobnie otruty... Stało się to w Bolonii, gdzie podejmował go kardynał Cossa.

Ledwo wybrany, już znika. Wiadomość ta nadchodzi do Tortosy, gdzie Jego Świątobliwość Benedykt XIII rozmyśla i rachuje: ma osiemdziesiąt sześć lat i grzebie już trzeciego antypapieża.

Zrządzenie boskie? Czemu nie? Znika tak, jak się pojawił: za sprawą Baltazara Cossy, pirata, który teraz właśnie zostaje wybrany nowym papieżem. Odbywa się to 17

maja 1410 roku w Bolonii; tego dnia o świcie wyświęcono go na księdza, rankiem otrzymał sakrę biskupią, a już w południe obwołano go papieżem pod imieniem Jana XXIII.;

Tak wykończono trzeciego.

A Szymon de Cramaud uzyskuje wreszcie zapłatę za swe usługi: wspaniały czerwony kapelusz kardynalski z czarnymi frędzlami. Kardynałem zostaje także, ale za to po raz drugi, „wierny” Piotr d’Ailly, którego wcześniej mianował Benedykt XIII, ale tamtą nominację unieważnił sobór... D’Ailly będzie odtąd, z podobną zresztą wiernością, kardynałem Jana XXIII...

Ma dużo szczęścia papież Cossa, przynajmniej w pierwszym roku swego pontyfikatu. Przy braku duchowości, z której jest całkowicie wyzuty, posiada bezbłędny węch polityczny, instynkt wyrafinowanego oszusta oraz bystry, zdecydowany umysł, co przejawia się w absolutnym braku skrupułów.

Ma okazję: Rzym jest do wzięcia.

Dwie wrogie armie obozują u jego bram. Są na rozkazach dwóch królów, którzy używają tego samego tytułu króla Neapolu i Sycylii. Pierwszy, Władysław de Duras, sprawuje tam faktyczną władzę, podczas gdy drugi, Ludwik II Andegaweński, król na wygnaniu, konkuruje z nim, stojąc na czele całkiem pięknej kolekcji kondotierów.

Chociaż ma liczebniejszą armię, Duras postawił na złego konia. Chcąc zdobyć święte miasto, które prawnie należy do papieża, pomylił chorągwie. Wzniósł tę Grzegorza XII, papieża ze Sieny, teraz wygnanego do Rimini nad Adriatykiem, dokąd przeprowił się, opływając w nieprawdopodobnych okolicznościach galerą cały „włoski but”. Wielki błąd, którego nie przegapił papież Cossa. I oto Jan XXIII dosiada konia, odnajduje swą prawdziwą naturę wojownika, galopuje drogą do Rzymu w kompanii awanturników wszelkiej maści, jakich tylko udało mu się zebrać, i rzuca się, zaraz po przybyciu, w objęcia Ludwika II Andegaweńskiego. Błogosławi kondotierów, rozdaje pontyfikalne chorągwie i bez reszty angażuje się w tę rozgrywkę w imieniu dwóch papieży i dwóch królów! Armie Władysława uciekają i Jego Świątobliwość Jan XXIII, rozpromieniony, ciągnąc za koniem klatkę na kółkach z uwięzionym legatem Grzegorza XII, wkracza do Bazyliki św. Piotra w Rzymie, mając przy boku Ludwika Andegaweńskiego.

Potem, w imię polityki równowagi, zdradza zbędnego już sojusznika i ogłasza królem Neapolu Władysława de Duras, ale to już inna historia.

Ma w ręku Rzym. Jest papieżem.

W rzeczywistości nic się nie zmienia. Jeden papież w Rzymie: Jan XXIII. Drugi, zapomniany, w Rimini: Grzegorz XII. Trzeci w Tortosie, w Hiszpanii: Benedykt XIII. Który jest fałszywy?

Który jest prawdziwy?

Rzym, 1994, Ales, 1687, La Chaise-Dieu, 1739, Rodez, 1813, Fontainebleau, 1813, Sneem, Irlandia, 1969

Powróciwszy na via Ovido, ojciec Włodzimierz zagłębił się w dossier Benedykta.

W stosunku do tego, co usłyszał od biskupa Cassini, wiele z tych dokumentów było niczym brakujące ogniwa łańcucha.

W końcu, z wyjątkiem opowieści Dom Jansena o rzadkich i nieco już zmitologizowanych wizytach w opactwie Sainte-Tarcisse, nic tak naprawdę nie potwierdzało istnienia tych wszystkich Benedyktów przed pojawieniem się ostatniego.

Okres między połową XV wieku a połową XX wieku był jak ciemny tunel, którego nie rozjaśniał nawet płomień stosów obracający w proch ten ostatni zastęp spóźnionych wiernych, wiernych Benedyktowi. Ostatni spaleni żywcem z jego powodu, Jan Trahinier

– który był z pewnością kardynałem Benedykta XV – oskarżony o herezję poszedł na stos razem z całą swoją rodziną na rynku w Rodez, 25 maja 1467 roku. Odtąd nic. Tylko jakieś płomyczki, niczym krótkie rozbłyski w głębokiej nocy, które gasną zbyt szybko, by uchwycić sens i naturę faktów.

Pośród tych dokumentów był na przykład datowany na marzec 1687 roku, w Alee, raport pana de Marillac, pułkownika jednego z regimentów dragonów marszałka de Vilars, adresowany do ministra Louvois. Obok innych informacji, dotyczących działań policyjnych i zastraszających prowadzonych w Langwedocji przeciwko protestantom po odwołaniu edyktu nantejskiego, które to działania historia zachowała pod nazwą dragonad, znajdowała się relacja pułkownika Marillaca o tym, jak jeden z patroli przyprowadził dziwnego ptaszka „który nie był protestantem – jak to określił – ale także chyba nie katolikiem”. Mężczyzna ten został schwytany podczas obławy przeczesującej góry Fage, między Le Vigan a Alee, w kaplicy maleńkiej wioski Bouras, gdzie, jak się wydawało, obrał sobie miejsce pobytu. Podawał się za pasterza, co się potwierdziło. Tak zresztą wyglądał, a i jego odzienie cuchnęło capem; wszystko więc wskazywało, że jest wieśniakiem, ale jego sposób wyrażania się i wiedza, zwłaszcza w przedmiocie wiary, wynosiły go ponad stan pasterski. Powiedział, że nazywa się Benedykt, a że przesłuchujący go oficer domagał się dalszych szczegółów, odpowiedział ze swego rodzaju wyniosłością i wielką godnością: „Jestem Benedykt, to wystarczy”. Przeszukano jego torbę i wśród przedmiotów codziennego użytku – nóż, miska, drewniana łyżka, nici... – znaleziono także nieduży mszał, patenę, kielich i czerwoną stułę, te ostatnie starej roboty. Ponieważ oskarżono go, że ukradł te przedmioty, wyjaśnił, że jest księdzem i że przedmioty te należą do niego, ale dalszych wyjaśnień odmówił. Oficer, wzruszony, jakby wbrew zleceniom odesłał go do pułkownika Marillaca, który z kolei sam go przesłuchał, także bez większego sukcesu; był pod wrażeniem zachowania tego człowieka i uznawszy, że jest w tym jednak jakaś tajemnica, której wyjaśnienie przekracza jego kompetencje, wsadził go do dylizansu w asyście dwóch dragonów i odesłał do kościelnego trybunału arcybiskupstwa w Lyonie. Po czym umył ręce i na tym kończył się ten raport. Notatka Cassiniego wyjaśniała, że protokół przyjmowania więźniów do królewskiego więzienia Sainte-Victoire w Lyonie zawierał pod datą 22

kwietnia 1687 roku wzmiankę o uwięzieniu niejakiego „pana Benedykta”, pasterza, z podkreśloną adnotacją: „zachować w tajemnicy”. Żadnej daty zwolnienia czy zgonu.

Innym zaskakującym dokumentem był pewien list Jana Soanena, biskupa jansenisty z Senez, datowany na listopad 1739 roku, kilka miesięcy przed jego śmiercią w La Chaise-Dieu, w Owernii, gdzie

przebywał na wygnaniu, osadzony w wyznaczonej rezydencji po wypędzeniu go z jego diecezji w 1727 roku za uporczywą odmowę podporządkowania się zarządzeniom bulli Unigenitus. List adresowany był do niejakiego kanonika Blancarda, jak się wydaje, kuzyna i księdza w służbie księcia de Saint-Aignan, przebywającego w Rzymie, ambasadora króla Ludwika XV przy Jego Świątobliwości papieżu Klemensie XII. List nie był wesoły: „Traktują mnie bardzo źle, mój drogi przyjacielu. Żadne już wsparcie nie dochodzi do mnie z diecezji, którą mi odebrano.

Karmią podle. W tym kraju, gdzie zresztą przez sześć miesięcy w roku pada śnieg, skąpią mi drewna na opał i moje stare kości całkiem się zastały. Trzęsę się z zimna.

Dozwalamy na niewiele odwiedzin, poza spowiednikiem, prawdziwie świętym mnichem z sąsiedniego klasztoru, którego jednak niezbyt lubię i rzadko korzystam z jego usług. Jednak uchylono interdykt, co pewnie nie jest ci wiadome. Mogę więc na nowo odprawiać mszę, w asyście pewnego zasmarkańca ze wsi, który ledwo liźnął łaciny. To moje jedyne oparcie. Przez resztę czasu czytam, modlę się, śpię, tak, niekiedy zdarza mi się zasnąć w tym zimnie. Zbliżam się do śmierci. Z mojej słonecznej diecezji dochodzą mnie od czasu do czasu jakieś wieści. Więcej niż miesiąc temu przybył ktoś stamtąd.

Dzięki zgodzie, jeden Bóg wie, jak uzyskanej od wielbnego przeora tego klasztoru, od którego zależy moja egzystencja, ten ktoś mógł dotrzeć aż do mnie. To prosty człowiek, poza tym bardzo młody, ubrany bez gustu, po wiejsku, ale o dobrych manierach i bardzo głębokim, z wnętrza płynącym wejrzeniu, które wcale nie pasowało do jego wyglądu.

Nosił chrześcijańskie imię – Mateusz, z dodatkiem jednej z tych dawnych nazw pochodzących z Ziemi Świętej, o których już nikt nie pamięta: Gibelet. Mateusz z Gibelet. Jeszcze w 1300 roku istniało w Palestynie dogorywające już wtedy biskupstwo o tej nazwie. Pomyślałem o moim biskupstwie w Senez, od którego Jego Świątobliwość papież się odciął, tak jak odciął się od Port-Royal, Utrechtu i tak wielu sprawiedliwych, którzy godnie służyli Kościołowi Chrystusa. Mężczyzna ten powiedział mi: »Panie, wasza diecezja jest w dobrych rękach«. Zdziwiony, zapytałem, w czyich to rękach, bo wiedziałem, że arcybiskup z Aix mianował tam administratora apostolskiego, którego działalność ograniczała się do grabienia beneficjów. Odpowiedział mi: »W moich.

Niedawno odprawiłem mszę w katedrze...«. Gdy zdziwiłem się, że było to możliwe, dodał: »W nocy«. Nie bardzo zrozumiałem. Wówczas opowiedział mi o tym, w którego imieniu działa, a które to imię nie było mi nieznane, krąży jeszcze na powierzchni pamięci, pośród ludu, po drugiej stronie Rodanu, i które niegdyś oznaczało stos dla tych, którzy przy nim trwali. Nieżyjący już biskup Aleth, w Langwedocji, Mikołaj Pavillon, który był moim mistrzem, opowiadał mi kiedyś o tym z żalem w głosie. Papież potępił

nas obydwu. Byliśmy jak sieroty... Ten mężczyzna, który mówił, że nazywa się Mateusz, jakby czytał w moich myślach. Wyciągnął ze swej torby stułę, założył ją sobie na szyję i powiedział do mnie: »Ten, który mnie posyła, błogosławi ci«. I ja, Jan Soanen, złożony z urzędu biskup, heretyk, któremu przebaczone, ani tego pragnąc, ani się zastanawiając, ani nawet myśląc – padłem na kolana przed nieznanym, by otrzymać jego błogosławieństwo, a wieczorem wzruszony, bliski śmierci, zasnąłem spokojnie na swym sienniku.

Wolałbym, mój drogi przyjacielu, aby to wsparcie przyszło do mnie z Rzymu.

Porządek rzeczy nie został zachowany. To tajemnica, która będzie mi, być może, wyjaśniona tam wyżej, gdzie odnajdziemy się, ty i ja, by wrócić do tej rozmowy.

Ściskam cię z całego serca w imię naszego Pana Jezusa Chrystusa”.

Odręczna notatka Cassiniego stwierdzała, że mimo poszukiwań nie udało się ustalić jakiejś wiarygodnej więzi, dowodu spotkania lub korespondencji między Mikołajem Pavillonem, jansenistycznym biskupem Aleth, a tym nieuchwytnym Benedyktem, który objął się gdzieś po drogach Langwedocji. „Co do Bożej łaski – pisał Cassini – mieli tę samą koncepcję: nie jest ona dana każdemu, ale obydwaj wiedzieli, że są nią naznaczeni...”.

Inne dokumenty wydawały się niezbyt wiarygodne. Sam Cassini to podkreślił, ale zarazem dodał, że są jednak jakimś śladem – również w tych bliskich już nam czasach –

owej dziwnej, uporczywej obecności. Przykładem obławy w departamencie Aveyron, a zwłaszcza w Levezou, wapiennych górach Comtal i Severac, w grudniu 1813 roku, które na rozkaz ministra policji Savary’ego prowadziły dwa szwadrony cesarskiej żandarmerii, przeczesując dokładnie wioski i samotne, oddalone kaplice, szałas pasterskie, grotty i inne naturalne kryjówki w poszukiwaniu rekrutów, którzy coraz powszechniej ukrywali się w tych stronach przed poborem (por. „Biuletyn Towarzystwa Historyczno-Archeologicznego w Rouergue”, nr CXLIV, 1933). Zatrzymywano także pasterzy i wieśniaków, którzy przekroczywszy wiek poborowy, nie musieli się ukrywać; doprowadzano ich do prefektury w Rodez, gdzie pewien wysłannik z Paryża, po cywilnemu, zapewne funkcjonariusz tajnej cesarskiej policji, przesłuchiwał ich, grzecznie zresztą, każąc na ogół opowiadać, czym się zajmują, z czego żyją, z kim się kontaktują...

Wysłuchiwał uważnie, a potem odsyłał ich, uznając, że są tymi, za których się podają, czyli dzielnymi, nieokrzesanymi, niepiśmiennymi obywatelami Cesarstwa. Jeden z nich został zatrzymany na dłużej.

Umiał czytać i pisać po łacinie równie dobrze jak po francusku i wypowiadał się z wielką łatwością. Okazał się byłym adwokatem, którego dotknęły jakieś osobiste nieszczęścia. Kiedy jednak udowodnił swą tożsamość, został zwolniony, a poszukiwania toczyły się gdzie indziej.

I właśnie tejże zimy 1813 roku – dopowiadał biskup Cassini w swej notatce – Jego Świątobliwość papież Pius VII, po wygnaniu z Rzymu przez oddziały francuskie najpierw uwięziony w Savone, został potem siłą przewieziony do Fontainebleau w eskorcie cuchnących winem i potem dragonów, mających za zadanie zastraszyć go, osłabić jego zdolność oporu. Cesarstwo toczyło swe ostatnie bitwy z całą Europą. Ale Napoleon wciąż budził strach.

Postanowił narzucić papieżowi nowy konkordat, nie do przyjęcia, który wyjmowałby Kościół francuski spod władzy papieskiej i poddawał go wyłącznie cesarskiej woli. To stare marzenie Kościoła gallikańskiego... Papież Pius VII zdecydowanie odmówił.

Cesarz nie dawał za wygraną, czego rezultatem były twardsze warunki aresztu w pałacu

naszpikowanym agentami, udaremniła łączność ze światem, nieustanne groźby... W końcu chory, wyczerpany, samotny, pozbawiony większości swych kardynałów i poddany naciskom francuskich prałatów papież zgodził się podpisać nowy konkordat. Nazajutrz jednak się wycofał, wysyłając długi list do Cesarza, który stracił

panowanie nad sobą i ogarnięty jednym z swych słynnych napadów furii, wtargnął do Fontainebleau, w długich butach do konnej jazdy, w swym szarym pułkownikowskim płaszczu i kazał obstawić pałac gwardyjską żandarmerią, i powyłamywać wszystkie bramy i drzwi...

Rozmowa była burzliwa, Napoleon wydzierał się na papieża w obecności poblądłych i milczących kardynałów, ale tym razem papież nie ustąpił.

To właśnie wówczas Cesarz, z rękami w kieszeniach, wykrzyczał wprost w twarz papieżowi tę dziwną groźbę: że jemu, Napoleonowi, cesarzowi Francuzów, który stworzył siedmiu królów i obalał całe królestwa jednym kiwnięciem palca, nie sprawiłoby żadnej trudności obalić krzywoprzysiężnego papieża i natychmiast ustanowić nowego, a zresztą nie byłoby z tym żadnego kłopotu, bo ten nowy papież już istnieje, gotowy zasiąść na tronie św. Piotra, który prawnie mu się należy... Zdania były urywane, pomieszane, francuski przeplatał się z narzeczem korsykańskim, sens tej groźby był

przesadny, słowa zniekształcone i grubo ciosane wściekłością Cesarza, który przestał się kontrolować, trwało to dość długo – ale, co ciekawe, Cesarz nie powrócił już do tego punktu, jakby uznając, że za daleko wybiegł myślami, jak również nieliczni świadkowie tej sceny starannie unikali później najmniejszej nawet do niej aluzji, albo dlatego, że nie wzięli tych słów poważnie, kładąc je na karb cesarskiej wściekłości, albo dlatego, że woleli o nich jak najszybciej zapomnieć jak o nieprzyjemnej tajemnicy, którą spycha się na samo dno pamięci. Jeden z obecnych wszakże, kardynał Da Silva, młody sekretarz Piusa VII w Fontainebleau, wiele o tym później opowiadał. Zwierzenia te zostały zebrane niemal przypadkowo przez jednego z tych bezbarwnych, poważnych historyków, których Akademia Francuska produkowała tak obficie, a których potomność nie doceniła, hrabiego d’Haussonville, ambasadora Napoleona III przy Stolicy Apostolskiej, który w 1870 roku opublikował w wydawnictwie Michel Levy Freres dzieło zatytułowane *L’Eglise romaine et le Premier Empire*. Do tego właśnie dzieła odwoływał się Cassini, nadmieniając przy okazji, że skromny i pracowity autor stanowi gwarancję, że w jego pracy nie ma krzty fantazji. Biskup, który skojarzył tę cesarską groźbę z policyjnymi obławami żandarmów w departamencie Aveyron, zaznaczał na koniec, że imię Benedykta nie zostało wymienione i można to traktować jedynie jako hipotezę.

Ostatni dokument jeszcze bardziej zbijał z tropu. Odnosił się do pewnej rozmowy prywatnej, którą biskup Cassini odbył w latach Siedemdziesiątych z hrabią Aleksandrem de Marenches, w pewnym sensie – swym francuskim odpowiednikiem. Szczegóły, rzecz jasna, nie zostały nigdzie spisane. Chodziło o sprawę dobrowolnego udania się generała de Gaulle’a na wygnanie do Irlandii, na pięć tygodni w maju i czerwcu 1969 roku.

Niewiele wiadomo o tym wyniosłym usunięciu się wielkiego wodza do Kerry, na Heron Cove, o jego melancholijnych spacerach wzdłuż pustych plaż, uwiecznionych na pewnym zdjęciu. W Irlandii de Gaulle pisał *Memoires d’outre tombe*, słuchał radia, uczestniczył w łacińskich mszach, które

proboszcz z sąsiedniej wioski Sneem odprawiał

na prostym stole w salonie małego hoteliku, ale nade wszystko gorzko przeżywał swą porażkę. Wymykały mu się rzadkie zwierzenia, jak na przykład to, poczynione w obecności radcy ambasady Bitarda: „Zranili mnie w maju 1968 roku, a teraz mnie dobijają. Jestem już martwy...”. Trapił go smutek gwiazdy, którą odtrącono. Odmawiał

wszelkiej łączności z Francją, nawet od najwierniejszych z wiernych nie przyjmował

telefonów. W miarę jak zbliżała się data wyboru jego następcy, coraz bardziej posepniał.

Jednak pewnego czerwcowego poranka hrabia de Marenches zdołał się jednak do niego dodzwonić. I usłyszał w słuchawce głos znużonego wodza. Po wymianie zdań na różne tematy zapanowała dłuższa cisza, a potem generał powiedział: „Ach, Marenches, Marenches... Czy odnaleziono Benedykta?...”.

Hrabia de Marenches nie powiedział Cassiniemu nic więcej, poza tym, że to zaskakujące pytanie dziwnie przypominało inne pytanie, które w przededniu swej śmierci zadał Ludwik XVI komisarzom Konwencji: „Czy są wieści z Perugii?”. Było to, konkludował Cassini, jakieś splątanie losów...

Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami ojciec Włodzimierz wrzucił te dokumenty do niszcarki w biurze przy via Ovido. Nazajutrz opuścił Rzym.

Awinion, 1411, Konstancja, 1415

Chociaż koniec jest bliski, w 1411 roku, drugim roku pontyfikatu, szczęście raz jeszcze uśmiecha się do Baltazara Cossy, dawnego pirata, papieża pod imieniem Jana XXIII. Z wyjątkiem Hiszpanów, sprzyjają mu królowie i książęta całej Europy, swego poparcia udziela mu także nowy cesarz niemiecki, Zygmunt. Większość krajów chrześcijańskich uznała jego wybór. Spośród dwóch rywali jeden jest już wyeliminowany z walki, Grzegorz XII: w Sienie, skąd nie może się ruszyć, swe papieskie zwierzchnictwo sprawuje już wyłącznie nad kościołami tego miasta. Ten drugi, Benedykt XIII, lepiej znosi ciosy, ale nikt nie wątpi, że wezmą go na przetrzymanie. Jeden po drugim opuszczają go ostatni kardynałowie. Wystarczy określić cenę, potwierdzić kardynalski kapelusze i zwrócić beneficja. Król Ferdynand Aragoński, w którego pałacach gości Benedykt, jeszcze go wspiera, ale coraz słabiej.

Król bombardowany jest poselstwami, które wręcz oblegają jego łóżko, bo Jego Wysokość jest bardzo chory. Jest także ten szatański święty mnich, Wincenty Ferreriusz, ze zgrają nawiedzonych kaznodziejów, uwijających się jak w ukropie i wychwalających papieża Lunę po wszystkich rynkach Aragonii i Kastylii. Trzeba go będzie przeciągnąć na swoją stronę. Jego cena nie jest jednak tej samej natury, co tamtych. Nie gustuje w purpurze. Posyłają więc do niego innych świętych mężów, by go przekonali, oferują mu wielki kraj do ewangelizacji, kraj na jego miarę, bo ogarnięty wojną i wydany na pastwę żołnierstwa, Bretanię. Na razie odmawia, ale w końcu ustąpi. Król Ferdynand, mnich Wincenty – to tylko kwestia czasu. Jest jednak jeszcze Awinion.

Bo chociaż papież Cossa trzyma Rzym, brakuje mu jeszcze Awinionu i jego pałacu, tego rozbrzmiewającego dzwonami miasta, które też jest potężnym symbolem, a zwłaszcza brakuje Cossie tego, co pozostało jeszcze w skrzyniach z niezmiernego bogactwa zebranego przez dziewięciu papieży, którzy przez stulecie tutaj mieli siedzibę.

Chorągiew z półksiężycem powiewa na wieży Gache, broniącej zwodzonego mostu fortecy, urągając ludności, która w swej masie dołączyła do Jana XXIII. Znow rozpoczyna się wojna papieży. Potrwa siedemnaście miesięcy. Za Benedyktem XIII opowiadają się: Rodrygo de Luna, jego siostrzeniec, dowódca Awinionu, człowiek nieprzekupny oraz de Villaloba, biskup z Maguelone, legat. Trzon tej obrony stanowi czterystu aragońskich łuczników. Na reszcie oddziałów nie mogą polegać.

Za Janem XXIII i królem Francji stają: de Randon, pan z Joyeuse, dowodzący oblegającą armią i kardynał de Thury, legat, pięknoduch, wybitny umysł... Mianowany kardynałem przez Benedykta XIII, zdradził go, potem poprosił o wybaczenie, żeby znow zaraz zdradzić; cztery razy przechodził od jednego papieża do drugiego... Rzec by można

– stary znajomy. Podczas pierwszego oblężenia Awinionu bez najmniejszego wstydu paradował na czele najemnych oddziałów Boucicauta w towarzystwie innych wiarołomnych kardynałów.

Jednak okoliczności się zmieniły. Rodrygo de Luna i jego Aragończycy walczą teraz z dziesięciokrotnie liczniejszym przeciwnikiem, a papież nie jest już z nimi, na murach, gdzie osobiście celował z kolubryny i błogosławił swym artylerzystom. Nowe wiadomości spadają jak nieszczęścia. Carpentras, które niedawno poparło Benedykta, wraz ze swym biskupem przeszło na stronę Jana XXIII, co nie dziwi w przypadku tego miasta drobnych kupców, sklepikarskich szczurów. Dobrzy ludzie z Carpentras wyspecjalizowali się w ciskaniu z katapult zamiast pocisków baryłek napełnionych nieczystościami, by szerzyć zarazę pośród obleżonych; rozbijały się głucho na dachach domów i wewnętrznych dziedzińcach pałacowych, rozsiewając smród jakby końca świata. Nieczystości zbierały po całym mieście kobiety i dostarczały na mułach pod mury, po czym ekskrementy Carpentras czarną ulewą spadały na papieską fortecę. Wojna papieży zamieniła się w wojnę bakteriologiczną. Dodawano też trującej mikstury sporządzonej na bazie arszeniku i siarki z domieszką mleka, z przeznaczeniem dla pałacowych szczurów i psów, którymi żywili się oblężeni. W Mallemort-de-Comtat wylądowały posiłki, stu dwudziestu łuczników przybyłych morzem z Katalonii dobiło do prowansalskiego nabrzeża, ale zostali zdradzeni przez ludność i wydani w ręce żołnierzy kardynała de Thury. Kaci tego legata nie próżnują. Każda próba dostarczenia do obleganego pałacu żywności karana jest śmiercią. Ścina się tyle głów, ile tylko można.

W Tortosie papież ekwipuje ostatnie już swoje galery i wysyła na pomoc siostrzeńcowi.

Na Rodanie jednak, na wysokości Arles, przeciągnięto łańcuchy, które zmusiły galery do zawrócenia z drogi pod gradem strzał z łuków i kusz siejących śmierć pośród załóg. Papież morza przegrał tę bitwę. Tylko dwie fortece jeszcze się bronią: Oppede i Malaucene. Trzeba rozważyć kapitulację.

De Villaloba, biskup z Maguelone, legat Jego Świątobliwości Benedykta XIII w Awinionie przykłada wreszcie brylant swego pierścienia na woskowej pieczęci traktatu, który narzucił mu Thury. Małymi etapami, lękając się o swe życie, powraca do swej katedry zagubionej między niebem

a morzem, pośród słonych stawów. Tam umrze i tam zostanie pochowany. Rzymscy papieże każą mu płacić za jego wierność Benedyktowi XIII. Jednym pociągnięciem pióra wykreślą potem Maguelone z listy biskupstw.

Siedziba biskupstwa zostanie przeniesiona do Montpellier. Zwiedzający dziś katedrę depczą chodnik z kamieni grobowych, z pozacieranymi herbami papieskimi i rzymskimi cyframi. HIC ISSA ANDREA DE VILLALOBA EPI, AN D MCDXXXIV Na tej samej posadzce, szukając sensu swego przeznaczenia, pasował się ze sobą także Jakub Dolonne, urodzony 3 czerwca 1916 roku w Caylar, zmarły w Maguelone 17 października 1988 roku, który podpisywał się „Jakub z Betlejem” i uważał się za biskupa Aleth i Maguelone...

Dnia 22 listopada 1411 roku Rodrygo i jego Aragończycy opuścili Oppede i Awinion: zachowali wolność, broń, oddano im honory. Popłynęli barką do Tortosy, bo tam papież Luna bardzo potrzebował tej zbrojnej pięści. Ci, którzy przeżyli oblężenie Awinionu, byli jego ostatnim szańcem. Odtąd już od nikogo nie otrzyma pomocy. Nie ma już swych papieskich państw ani szczątkowej kurii, z której uciekła większość jego kardynałów.

Wszystkie jego ruchy są kontrolowane, krępowane, w jego władzy pozostaje już tylko forteca w Peniscoli, położona na skalistym cyplu na północy Aragonii. Gdy Rodrygo i jego ludzie przybyli do Tortosy, papież wysłał ich, by wzmocnili załogę tej twierdzy, wyposażyli ją w artylerię, urządzili tam mieszkania, garnizon, kaplicę na miarę bazyliki papieskiej, by zbudowali cysterny na wodę, wzniesli spichlerze, stajnie, kuźnię, zbrojownię, by ufortyfikowali port i nabrzeża. Wygnano go z Awinionu. Zamknięto drogę do Rzymu. Wygnano go z Genui, Nicei, Monako, Marsylii. Wie, ile są warte przysięgi książąt i pokłony ludu. Wie, że będzie wygnany także z Tortosy. Więc się przygotowuje...

Z Francji przychodzą jednak wiadomości, które łagodzą rozgoryczenie. W Armagnac i Rouergue władza w jego imieniu ksiądz i żołnierz, Jan Carrier. Wreszcie na zamku Malaucene, gdzie powiewa półksiężyc, kapitan Bernardon de Serres odmawia wydania zamku i złożenia hołdu Janowi XXIII. Oblężenie trwa więc dalej. Potrwa trzy lata. Gdy Bernardon de Serres padnie w walce, wyzwanie podejmie młoda wdowa, jej dwóch szwagrów i jej jedenastoletni syn. To on w marcu 1414 roku, gdy garnizon będzie już unicestwiony, a matka i reszta rodziny umrze z głodu, podpisze kapitulację i odda swój miecz w ręce kardynała-legata. Prawdziwa lekcja wierności. Dzieciak ledwo trzymał się na nogach, ale jego spojrzenie piorunuje kardynała. Kardynał Thury spuszcza wzrok. Nie przebaczy mu. Wtrąci go do więzienia, aby tam dokonał żywota.

Dziecko także nosiło imię Bernardon. Gdy Jego świątobliwość Benedykt XIII dowiedział się o tej śmierci, on, który miał serce z żelaza, rozplakał się i spędził noc na modlitwie. Nazajutrz, a była to niedziela, podczas uroczystej sumy, zebrawszy swą kurię, ogłosił go błogosławionym. Ten akt nigdy nie został przez Kościół uznany i nikt o nim nie pamięta. Błogosławiony Bernardon de Serres, obrońca wiary, nie figuruje w kalendarzu liturgicznym. Żaden modlitewnik nie zachowuje go w pamięci.

Requiescat in pace...

Uchybienie zasadom było tak wielkie, jak papieski pałac w Awinionie, jak Bazylika św. Piotra! Tak wielkie, że zapytywano, jak to się stało, że ojcowie soborowi w Pizie, bez wątpienia upojeni swą wszechwładzą, wyniośli i nadęci, nie zauważyli tego przed pamiętnym rokiem 1414. Kto właściwie zwołał ten sobór w Pizie w 1409 roku? Nikt i wszyscy. Ta myśl wisiała w powietrzu, po prostu. Cały świat ją podchwycił, królowie, książęta, kardynałowie, biskupi, kanonikat, teologia, uniwersyteckie nudziarstwo, wszyscy bardzo podekscytowani, bardzo ożywieni – ale któż ich zebrał razem? W tym samym czasie papież Benedykt XIII zwoływał ich na sobór w Perpignan, papież Grzegorz XII – na sobór do Cividale, ale żaden z tych dwóch papieży, mniejsza już o to, który z nich był prawdziwy, a który fałszywy, nie wezwał ich na sobór do Pizy, żaden z nich nie obwieścił otwarcia soboru w Pizie zgodnie ze zwyczajem przyjętym w Nicei w roku 325. Uczestnicy soboru w Pizie zwołali się sami, zapominając – z pychy, lekkomyślności, za podszeptem ambicji – o tej podstawowej prawdzie, która teraz wybuchła im pod stopami jak mina: że tylko papież ma władzę zwoływania soboru, że dopiero legalnie zwołany sobór staje się władzą nadrzędną wobec papieża – to już inna historia (w naszych czasach dyskutowana na przykładzie Soboru Watykańskiego II, który wymknął się, jak szalona machina, chwalebnyim intencjom nieszczęsnego Pawła VI...).

Tak więc ojcowie soborowi powrócili z Pizy w swe strony mocno ogłupiali. Ich sobór nie jest wart funta kłaków. Obecnie wszyscy zgadzają się co do tego. Usunięcie Grzegorza XII: nieważne! Usunięcie Benedykta XIII: nieważne! Wybór Aleksandra V i Jana XXIII: nieważny! Tego ostatniego nikt nie żałuje.

Bardziej rajtar i pirat niż papież, wiarołomny okrutnik i sybaryta... – papież Cossa zraził do siebie wszystkich. Ale jak z tego wybrnąć? Jeśli upierać się przy tej drodze, którą obrano w Pizie, należałoby zwołać kolejny bezprawny sobór, który zdejmie z urzędu tych trzech papieży, aby wybrać jeszcze jednego, i w ten sposób będzie jednocześnie czterech papieży, dlaczego nie pięciu, idąc tak dalej, albo sześciu? Istna inflacja papieży. Otchłań...

Wówczas wkracza na europejską scenę Jego Wysokość Zygmunt Luksemburski, król Węgier, król Czech, król Rzymian, cesarz niemiecki, dwudziesty czwarty następca Ottona I na elekcyjnym tronie Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, człowiek poważny, inteligentny, lubiący przepych, umiarkowanie dobry chrześcijanin, który wypełni pustkę powstałą w chrześcijaństwie wskutek demencji króla Karola VI.

Królestwo Francji, od czasu zabójstwa księcia Orleanu rozdierane między Armaniaków i Burgundczyków, wydane na pastwę rozbójniczych band i politycznych frakcji –

przypomina postaw sukna szarpany na strzepy. Bliska jest klęska pod Azincourt, która przypieczętuje los francuskiego rycerstwa. Gdy Francja i jej król wypadli z gry, spojrzenia wszystkich, wszystkie nadzieje kierują się ku cesarzowi Zygmuntowi – niech on ocali świat chrześcijański z chaosu!

Zygmunt wszystko zrozumiał. Nie popełni tych samych błędów. Nie wpadnie w te same pułapki. Sobór? Naturalnie. Nie ma innego rozwiązania. Ale sobór odpowiednio ekumeniczny i w sposób ważny zwołany przez papieża. Bezdiskusyjnego papieża. Czyli którego? Jest trzech. Ten ze Sieny i ten z Tortosy nie reprezentują zbyt wielu. Trzeba zdać się na tego trzeciego, papieża Cosę, Jana XXIII, który pod swoim sztandarem gromadzi przynajmniej dziewięć dziesiątych chrześcijaństwa, bardziej z rozsądku niż z przywiązania. Czy ten papież jest prawdziwy, czy fałszywy, nie ma

większego znaczenia dla cesarza Zygmunta, bo zresztą tak naprawdę nikt tego dobrze nie wie. Tak czy owak, aby zwołać sobór, ten obecny papież, choć paskudny, jest wręcz nieodzowny.

Trzeba jeszcze tylko, by zaakceptował ten pomysł.

Rusza konna dyplomacja. Cesarz zalewa Europę swymi posłańcami, którzy galopują od dworu do dworu, od biskupstwa do opactwa. Dwór francuski nadstawia uszu, potem przyłącza się do tego projektu przeświadczony, że jego koń, Jan XXIII, zostanie w efekcie jedynym i wyłącznym papieżem. To samo usiłują wmówić Jego Świątobliwości, nieufnemu Baltazarowi Cossie, jego kardynałowie, którzy lżą jak z nut.

Wszystkich tych kardynałów cesarz ma w kieszeni, nawet tych Grzegorza XII i Benedykta XIII, czyli dwadzieścia trzy eminencje – gdyż cesarz scala teraz pod swą władzą terytoria trzech obediencji. Każdy z nich ma szansę – jedną na dwadzieścia trzy –

że będzie przyszłym papieżem, i to podsyca ich ambicje. Jedna szansa na dwadzieścia trzy to szansa nie do pogardzenia, pielęgnują ją, pieczą w sercach. Cesarz daje do zrozumienia, że ten i ów nie byłby mu niemiły, a może tamten... Ale najpierw trzeba się raz jeszcze uwolnić od Grzegorza i Benedykta, a zwłaszcza od tego żołdaka Jana XXIII!

Kłamstwa, oszustwa, fałszywe obietnice, pomada i kadzidło – jego drodzy kardynałowie, którzy zawdzięczają mu wszystko, teraz zapamiętałe go podgryzają. Z kolei papież Cossa połyka haczyk wraz z wędką. W styczniu 1414 roku posłańcy Jego Świątobliwości ruszają w drogę, wioząc bulle zwołujące sobór.

Sobór ma zebrać się w Konstancji, w Cesarstwie. Otwarcie naznaczono na wigilię Bożego Narodzenia – 24 grudnia 1414 roku.

Po Pizie – Konstancja. Ten sam przepych, ale jeszcze większy tłum. Osiemnaście tysięcy duchowieństwa wszelkich narodowości, posługujących się jednym wspólnym językiem – łaciną; wielka gromada królów, książąt, diuków, cesarskich elektorów, margrabiów, ambasadorów – w tym jeden Grek wysłany przez basileusa Konstantynopola, tej drugiej chrześcijańskiej stolicy, która ma przed sobą jeszcze czterdzieści lat życia – a wszyscy są przeświadczeni, że ten sobór odbędzie się jak należy. Gdyby przypadkiem w to wątpili, naprostuje ich przekonania uroczyste przybycie cesarza Zygmunta, wieczorem 24 grudnia, widowisko o porażającym wręcz przepychu.

Nieprzebrany tłum wita jego statek. Mroźna noc błyszcząca tysiącami pochodni.

Rycerze zakonni w paradnych zbrojach, z narzuconymi czarnymi kapami z białymi krzyżami, eskortują swego władcę, który idzie pieszo pod baldachimem, witany na placu przed katedrą przez dwudziestu trzech kardynałów; potem procesja prowadzi go do prezbiterium katedralnego, gdzie wznosi się tron papieża Cossy pod baldachimem, a obok niego drugi tron, na tej samej wysokości, ale z baldachimem nieco niższym, na którym za chwilę zasiądzie cesarz. Wbrew temu znakowi podległości wszyscy wiedzą, kto jest prawdziwym rozgrywającym w Konstancji. Germańska liturgia imperialna wyparła rzymską, która trafiła w niewłaściwe ręce. Cesarz przywdział ornat diakona, włożył na powrót swą koronę i wstąpił na podwyższenie, niczym kapłan. Nikt przedtem nie widział ani nie słyszał, a i

potem nie zobaczy ani nie usłyszy cesarza, w koronie, śpiewającego Ewangelię Narodzin Pańskich w obecności Jego Świątobliwości papieża, celebrującego uroczystą mszę...

Dwa dni później wszyscy już zrozumieli. Na sesji otwierającej sobór kardynał Piotr d'Ailly zadaje pierwsze ciosy. Nikogo nie dziwi i nie oburza, łącznie z nim samym, że mianowany został przez Benedykta XIII, którego następnie porzucił, aby wybrać papieża Cossę, i że przygotowuje się teraz do kolejnej zdrady.

Wychwala pobożność Zygmunta, jego gorliwość w ochronie tego soboru, co każdy tłumaczy sobie, inpetto, jako ledwo skrywane potwierdzenie, iż mówi w imieniu cesarza.

Padają następnie aluzyjne słowa, bez konkretnego wskazania, wielokrotnie powtarzane, pod adresem papieża, który nie został mianowany, a którego wszyscy uznali, „pewnego papieża, którego ambicja wprowadziła do tego sanktuarium niewłaściwymi drzwiami, który źle żył i źle zarządzał Kościołem, wywołując skandal niegodnym zachowaniem”.

Jeśli chodzi o zwolenników papieża Cossy, jeśli jeszcze tacy w ogóle byli wśród włoskich prałatów, Piotr d'Ailly rzuca im przynętę, mówiąc, że sobór ma prawo i obowiązek podejmować decyzje, którym wszyscy chrześcijanie, łącznie z papieżem, będą musieli się podporządkować.

Odtąd wszystko idzie gładko. Wystarczają trzy miesiące, by przywieść papieża Cossę do ostatecznego upadku. Dnia 20 marca 1415 roku, wykorzystując turniej rycerski, który ściągnął do Konstancji całą niemal szlachtę Zachodu, starzec przebrany w wieśniaczy strój przeszedł pieszo przez bramę Kreuzlingen i spokojnie się oddalił, trzymając za rękę dziecko, służące mu za przewodnika.

Spędził noc u rybaków, nie odkrywając swej tożsamości, a rano wsiadł na statek odpływający do Schaffhouse nad Renem, gdzie znajdował się zamek księcia austriackiego, który był jego zwolennikiem. Stamtąd zbiegły papież Cossa pisze listy: do regentów Francji, do księcia Burgundii, do księcia Berri, do księcia Orleanu. Usiłuje grać rolę króla Karola VI przeciw Zygmunтови, ale ta gra dyplomatyczna nie trwa długo.

Zygmunt zabiera się za księcia austriackiego. Jedno zmarszczenie brwi i Austriak się ugina. Szczęki pułapki się zaciskają. Papież Cossa uciekł: sam się potępił. Sobór natychmiast to wykorzystał, by obwieścić, że jego władza pochodzi od samego Jezusa Chrystusa i że każdy, nawet papież, zobowiązany jest go słuchać, gdy idzie o wiarę i jedność.

Jan XXIII jeszcze wierzga. W strzeżonej rezydencji, we Fryburgu Bryzgowijskim, obiecuje abdykować, ale stawia warunki, chciałby dostać jakąś kość, jakiś dożywotni wikariat nad Italią, na przykład, i miejsce w pierwszym rzędzie wśród innych kardynałów. Za późno.

Zawieszony w swych papieskich funkcjach 14 maja 1415 roku, złożony z urzędu 29

maja, uznany winnym świętokradczego zabójstwa swego poprzednika Jego Świątobliwości Aleksandra V, i medyka, który mu dopomógł w zbrodni, oskarżony o niemoralność, tyranie, ambicje, wiarołomstwo i inne sprawy mniejszej wagi -

Jego Świątobliwość Jan XXIII nie protestuje. Uznaje wyrok. Zrzeka się. Zamknięty w głębokim lochu, zrzuca swą świątobliwość w szatni upadłych papieży, by wdziac więzienne łańcuchy, których nie zdejmie przez trzy lata. Baltazar Cossa, dawny pirat Morza Śródziemnego, który był papieżem pod imieniem Jana XXIII, pozbawiony zostanie nawet swego kardynalskiego czerwonego kapelusza z czarnymi frędzlami.

To jeden.

Czy to był ten fałszywy? Czy ten prawdziwy? Nieważne. Pora na następnego.

Biedny Angelo Correr, papież Grzegorz XII, niewiele znaczy wobec Zygmunta.

Wypędzony z Rzymu, błakający się po Italii, wypchnięty do Sieny jak jakiś zawadzający bagaż, z którym nie wiadomo co robić – ten łagodny i pobożny człowiek pogrążył się w melancholii. Wysłannikom cesarskim, traktującym go z pogardą, odpowiada godnym i smutnym tonem, że dymisja nie może być mu narzucona, ale że podejmie taką decyzję we właściwym czasie i dobrowolnie. Dla formalności zwołuje sobór, lichy maskujący to osamotnienie, i wobec dwunastu biskupów oraz swych ostatnich czterech kardynałów, najpierw uroczyście potwierdziwszy legalność swej władzy papieskiej – którą Kościół

później oficjalnie uzna – zrzeka się pontyfikatu 4 lipca 1415 roku.

Jego kardynałowie zachowują wszystkie swoje funkcje, beneficja i godności, a on sam zostaje mianowany biskupem Porto z dożywotnią legacją papieską w Ankonie oraz prawem zajmowania miejsca bezpośrednio za przyszłym papieżem, czego odmówiono Janowi XXIII.

Na łożu śmierci, dwa lata później, gdy jego następca nie był jeszcze wybrany, powie tylko: „Nie poznałem świata i świat mnie nie poznał”...

To już dwóch.

Pozostaje trzeci, najbardziej nieustępliwy, nieprzejednany, Benedykt XIII. W swym pałacu w Tortosie, w Katalonii, przyjmuje wiadomość o zrzeczeniu się papieskiej godności przez dwóch rywali, papieża Cossę i papieża Correra jak dar opatrności; tym większy, że jego zdaniem, zdaniem Piotra de Luny wybranego w 1394 roku, dwadzieścia jeden lat wcześniej, pewnego swych praw, swej legalności, swego pierwszeństwa – odtąd nikt już nie może wątpić, że to sam Bóg postanowił oczyścić mu drogę i że Kościół ma już tylko jednego papieża, Jego Świątobliwość Benedykta XIII, jego właśnie! Powalenie tego nieustępliwego starca, co zamierzył Zygmunt, by zamienić przeszłość w tabula rasa, nie będzie przyjemnym zadaniem. Cesarz wie o tym. Wyczekuje. Tym razem będzie negocjował osobiście.

Spotkanie naznaczono w Perpignan, na wrzesień 1415 roku.

Dnia 6 lipca tego samego roku w Konstancji, tuż przed wyjazdem cesarza i w jego obecności zginął na stosie Jan Hus, a płomienie, które go pochłonęły, rzucają jakieś mroczne światło na manowce tego

soboru. Cóż bowiem głosił Jan Hus, ksiądz katolicki i rektor praskiego uniwersytetu? Otóż, że papież jest omylny, że może stać się antychrystem, gdy jego dekrety nie są zgodne z Pismem Świętym, i że każdy jest tego sędzią we własnym sumieniu i duszy. A co głosił sobór w Konstancji, po soborze w Pizie? Również to, że papież jest omylny i że może być jako taki usunięty, gdyż właśnie dlatego usunięto na soborze dwóch papieży i nie ociągano się z tym trzecim –

wcale nie zajmując się dociekaniem, który jest fałszywy, a który prawdziwy i w ogóle nie uwzględniając zasadniczego faktu, że pośród tych trzech jeden był jednak prawdziwy.

Wielka schizma zachodnia, o której sądzono, że kończy się w Konstancji – dopiero się zaczynała. Szata Chrystusowa już się rozdarła. Wkrótce zapalą się inne stosy, na których zginą ostatni zwolennicy Benedykta XIII i jego widzialnych następców. Potem przyjdą Luter, Kalwin i wojny religijne.

W Konstancji stanie pomnik Jana Husa na miejscu jego męczeństwa.

Reformacja jest córką soboru w Konstancji, ale to już inna historia...

Perpignan, 1415

Piotr de Luna ma dziewięćdziesiąt jeden lat.

Rozgrywa swą ostatnią partię, ale stracił wszystkie główne atuty. Nie uznaje go już Kastylia, Francja, Nawarra, a król Ferdynand Aragoński, chory i bliski śmierci, u którego jest gościem, w pałacu królów Majorki, w Perpignan – też wybrał własną drogę.

Wielkimi krokami, z ogromnym orszakiem nadciąga cesarz Zygmunt. Towarzyszy mu cztery tysiące rycerstwa oraz czternastu biskupów i przeorów delegowanych przez sobór.

Przed wyruszeniem z Konstancji kardynałowie pobłogosławili cesarza, by upewnił się, że łaska Boska nad nim czuwa. Władza doczesna i duchowa. Podczas jego przemarszu nikt nie ma co do tego wątpliwości. Książęta, diukowie, hrabiowie i baronowie witają go na granicach swych państw i seniorii, dołączają do jego świty. Miasta zakwitają flagami, biją dzwony.

Wieśniacy na poboczach dróg padają na kolana. Niemal każdego dnia do pałacu królów Majorki przybywają galopem kurierzy, zdając sprawę z tego cesarskiego przemarszu. Dnia 13 sierpnia cesarz jest już w Nicei. Dnia 30 sierpnia staje w marsylskim opactwie św. Wiktora, gdzie miejscowi mnisi przepychają się, by uzyskać przebaczenie za to, że niedawno udzielali schronienia antypapieżowi. Dnia 9 września, w Maguelone, biskup Andrzej de Villaloba, który był legatem Benedykta XIII w Awinionie, ratuje honor. Wysłał na spotkanie władcy swą kapitułę, ale sam się nie zjawia. Bezużyteczny gest. Biskup Villaloba już się nie liczy i jego kanonicy przestają go uznawać. Dnia 13 września cesarz Zygmunt jest w Narbonne, Cztery dni później w Canet.

W Perpignan spodziewają się go 19 września.

Piotr de Luna czeka w swoim pałacu.

Ze swym siostrzeńcem Rodrygiem raz jeszcze sporządza listę tych, którzy dochowują mu wierności. Czterech kardynałów, wszyscy Hiszpanie. Piąty, ostatni –

Francuz, kardynał Piotr Ravat, biskup Saint-Pont, który był z nim na galerze, gdy uciekał

z Genui – teraz pognał rzucić się do stóp cesarzowi. Któż pozostał? Po prawdzie, niewielu: kilku biskupów, z Saragossy, z Tarragone, arcybiskup Barcelony, opat z Montserrat, Dominik de Bonnefoi, przeor z Chartreuse de Montalegre.

– A Jona? – pyta papież Luna. – Czy są wieści z Jony? Dlaczego nie ma kardynała Falkirka?

Rodrygo de Luna ma ściśnięte gardło. Starzec często zadaje to pytanie. Powraca ono w jego ustach jak symbol. Falkirk był najwierniejszy. Falkirk nie mógł go opuścić.

Pewnego dnia jeszcze dobiegną od morza te przejmujące dźwięki granej na kobzach melodii, a z łodzi wysiądzie kardynał Falkirk...

– Przybędzie, Ojciec Święty, przybędzie. Pewien Bretończyk zawiózł mu Twoje wezwanie...

Rodrygo kłamie. Nie chce pogłębiać starego człowieka.

Żaden posłaniec nie wyjechał z Perpignan do Szkocji. Nie ma już Bretończyków w służbie papieża. Ani Prowansalczyków, ani Francuzów. Ani Sycylijczyków, ani Awiniończyków. Wszyscy zdezerterowali. Obliczanie sił nie trwa długo. Papieżowi Lunie zostało już tylko trzystu aragońskich łuczników, mała gromadka osobistych służących, kilku rycerzy z zakonu św. Jana skupionych wokół sędziego z Gerone, a spośród książąt – tylko książę Jan IV d'Armagnac, książę z Comminges i Rodez. Jest wreszcie i Wincenty Ferreriusz.

– Jak się dziś miewa brat Wincenty? – stale dopytuje się papież Luna. – Czy posłano mu mojego medyka?

Bo ten święty człowiek musi leżeć w łóżku. Są nawet obawy o jego życie. Zamilkł

jego głos, który przysparzał papieżowi Lunie tysiące wiernych. Powaliła go choroba, gdy modlił się w katedrze w Perpignan. Wyczerpanie, wiek – ma już sześćdziesiąt pięć lat –

a do tego wszystkiego ciągle, wielkie zmartwienia, to też bez wątpienia ma wpływ, te właśnie, które trwają i trwają...

Przeniesiony do celi przeora dominikanów – odpoczywa tam w ciszy.

– Medyk nie został przyjęty, Ojciec Święty – powiada Rodrygo. – A oto odpowiedź

brata Wincentego: „Proszę podziękować papieżowi, ale nie uleczy mnie doczesne lekarstwo.

W czwartek znów wygłoszę kazanie”.

– Będzie mi go jutro brakowało – mówi Piotr de Luna.

„Jutro”, czyli 19 września. Kiedy przybędzie cesarz Zygmunt i wysłannicy soboru, Jego Świątobliwość Benedykt XIII będzie sam.

Teatr. Miasto tonie w słońcu. Lud syci się spektaklem. Stary papież, obarczony wiekiem, osaczony w pałacu, i młody, tryumfujący cesarz. Pan Bóg jest z jednym i z drugim. Pan Bóg jeszcze nie zdecydował. Ta scena rozegra się na dwa głosy. Trzeci głos, św. Wincentego Ferreriusza, jest już tylko szeptem w czterech ścianach klasztornej celi.

Czy Pan Bóg może się mylić? Czterdziestu paziów ustawiło się rzędem przed głównym wejściem do pałacu królów Majorki. Rozbrzmiewa głos złotych trąbek pośród cesarskich chorągwi. Dla podkreślenia uroczystego charakteru tego dnia odbywają się walki na kopie, turnieje rycerskie... Jest obecny cesarz, w całym swym majestacie. Przed pojedynkiem z samotnym starcem roztacza całą swą potęgę, jakby jednak istniała jeszcze pewna wątpliwość, o której ów cesarski przepych nakazuje właśnie zapomnieć. Cesarz obficie śniadał. Drób, ryby, owoce, wina z Katalonii i Aragonii serwowali mu nabożnie rycerze króla Ferdynanda.

W pałacowej sali posłuchań zasiadł na tronie papież Benedykt XIII, w czerwono-złotej pontyfikalnej stule, w purpurowym berecie z oblamowaniem z gronostajów; czeka w bezruchu. Słyszy dźwięk tych trąbek, tupot kroków.

– Miejsce! – woła herold. – Miejsce dla Jego Wysokości Cesarza Rzymskiego Narodu Niemieckiego!

Papież Luna zwraca się do Rodryga:

– Proszę, otwórz bramę.

Teatr. Pan Bóg trzy razy zapukał. Ilu ich jest, w tej sali posłuchań, tłoczących się zwartą masą za Zygmuntem, a przed małą gromadką skupioną wokół pontyfikalnego suwerena? Liczba, siła, moc... U stóp tronu puszy się czternastu prałatów oddelegowanych przez sobór: pewni siebie, zuchwali, impertynency, pełni pogardy.

Nieco wysunięty przed nich, sam naprzeciw papieża, ich faworyt – cesarz Zygmunt.

Jego Świątobliwość Benedykt XIII patrzy na niego mrocznym wzrokiem, bez pobłażania czy miłosierdzia.

– Wielce pobożny ojczcie... – zaczyna cesarz; aprobujący szmer idzie po sali.

W oczach papieża Luni zapala się błysk gniewu. Nie w ten sposób mówi się do papieża, nawet gdy się jest cesarzem niemieckim! Dla wszystkich, wieśniaków czy królów, papież jest Ojcem Świętym. Ten afront jest świadomy. Papież się opanowuje. Ciąg dalszy cesarskiej przemowy bardziej już respektuje konwenanse. Co zaś do istoty sprawy... Już od dwudziestu jeden lat ten starzec słyszy

powtarzane w kółko to samo rozumowanie, od czasów swej elekcji w Awinionie, w 1394 roku. W tym długim okresie zmarło już trzech papieży, w Rzymie, w Pizie, dwaj złożeni zostali z urzędu, a wszystkich tych pięciu przeciwstawiano jemu. Czy ten sąd Boży nie wystarcza? Po co te pokrętnie wywody, do których znów powrócono? Te po stokroć powtarzane argumenty, po stokroć odrzucane, które cesarz snuje, ów wątek kłamstw i przewrotności? Że sumienie, honor, obietnice, przysięgi zobowiązywałyby go teraz – gdy nie ma już żadnej racji, by się przed tym wzbraniać – aby uczynił wreszcie to, względem czego wcześniej, być może, miał pewne szczególne powody, by zwlekać... Że Grzegorz i Jan, jego dwaj przeciwnicy, zostali już swe urzędy, spełniony więc został warunek, pod którym przysiągł postąpić podobnie... Że pokój chrześcijan, po tym wszystkim, zależy już tylko od niego... Że po trzydziestu ośmiu latach schizmy, zgryzot, rozpacz jest jedyną przeszkodą na drodze do zjednoczenia, spokoju i szczęścia chrześcijaństwa... Że Kościół wyciąga do niego ręce z tej otchłani nieszczęść, w której się pogryzł i z której on może łatwo go wydobyć, opuszczając dobrowolnie ten tron, z którego i tak zostałby zdjęty siłą...

Papież Luna słucha w milczeniu. Ledwo rzuca okiem na dokumenty zrzeczenia się, podpisane przez Grzegorza i Jana, które cesarz przyniósł ze sobą. W jaki sposób ma to dotyczyć jego? Pomyłono go z tymi dwoma?

Cesarz tymczasem prawie skończył.

– Nie oczekuj, wielce pobożny ojcze – mówi – że śmierć, której jesteś przecież bliski, nie wydrze ci pontyfikatu. Wówczas jednak okryje twoje imię wieczną niesławą i wstydem. Jako że pozostaje ci tak niewiele czasu, lepiej przeto odstąpić, zrezygnować, z gwarancją nieśmiertelnej chwały...

Ta przemowa, rozpoczęta afrontem wobec godności papieskiej, a zakończona afrontem wobec jego wieku, pobudziła w starcu wolę walki. Papież Luna odpowie. Głos mu nie drży.

Ustały wrogie szmery. Słuchają go w ciszy, a przede wszystkim ze zdumieniem, bo oto ten surowy człowiek się uśmiechnął! To wzmianka o jego rychłej śmierci wywołała ten uśmiech.

– Ależ moja chwila jeszcze nie nadeszła – rzekł ze złośliwym błyskiem w oczach. –

Wiem, że będę jeszcze żył długie lata...

A jeśli mówi prawdę? Wysłannicy soboru wymienili szybkie, skonsternowane spojrzenia. Osiągnąwszy tę drobną satysfakcję, papież Luna mówi dalej. Żadnego „Sire”

czy „Wasza Wysokość”. Mówi tylko: „Moi ukochani synowie”. Nie zwraca się do cesarza ani do soborowych prałatów, ani do kogokolwiek na tej sali, gdzie każdy życzy mu zguby, ale do całego świata chrześcijańskiego, do historii, do potomności. Obok niego na poduszczyce jego kardynałowie położyli tiarę; teraz wkłada ją na głowę, aby każdy wiedział, kto mówi. I będzie mówił siedem godzin, po łacinie. Przez siedem godzin będzie przedstawiać z pasją, żarem i gwałtownością niewzruszoną wiarę w swą legalność. Nie broni się, gdyż wie, że ma rację. Nie jest to więc mowa obrończa, ale przypomnienie. Jego rozumowanie kieruje się nieubłaganą logiką: on jest prawdziwym papieżem. Nawet powątpiewając w to – nie sposób zaprzeczyć, że w obecnym stanie rzeczy to nie on podtrzymuje tę schizmę, ale w sposób oczywisty czyni to zgromadzenie w Konstancji, gdyż obaj

pozostali pretendenci już ustąpili i to on obecnie jest jedynym papieżem. Niech go uznają, a schizma ustanie, bo nie ma już innego kandydata; jeśli natomiast zgromadzenie w Konstancji przystąpi do elekcji, znów będzie dwóch papieży i schizma się odrodzi. Kto zresztą miałby prawo wybrać papieża – bez względu na to, kto miałby nim zostać – jeśli nie właśnie on? Czyż spośród wszystkich żyjących kardynałów nie jest on tym jedynym, który powołany został przez Grzegorza XI jeszcze przed schizmą? Czyż to nie on jeden, z tego właśnie tytułu, zachowuje ową apostolską legitymizację? Nikt i nic nie mogłoby przeszkodzić mu wybrać się samemu po raz wtóry, a nawet, gdyby temu przeszkadzono, nie zmieniłoby to faktu, że tylko on zachowuje władzę mianowania własnego następcy na tronie Piotrowym. Niech więc uznają go papieżem i niech z tym wreszcie skończą, bo on j e s t papieżem...

Archiwa Watykanu zachowały zapis tego niezwykłego przemówienia-rzeki, dołączonego później do dossier Benedykta. Gdy kardynał Piotr Orsini, biskup Benewentu, został papieżem w roku 1724 i postanowił ku powszechnemu zdumieniu przyjąć imię Benedykta XIII, specjaliści w papieskim otoczeniu rzucili się nerwowo na ten tekst, aby powynajdywać w nim argumenty, które po trzystu latach usprawiedliwiłyby to, co wszystkim wydawało się teraz drugim potępieniem (i w jakim celu, czy to pierwsze nie wystarczało?) papieża Piotra de Luny, papieża, który nosił imię Benedykta XIII. Daremny trud. Ten tekst wytrzymał. Był jakby z betonu. Całe pokolenia specjalistów od prawa kanonicznego połamały sobie na nim zęby. Podobnie było w 1958

roku, kiedy to – niemal dokładnie z tych samych powodów – ekshumowano dossier Benedykta, by je gruntownie przeczesać, a to dlatego, że wybrany papieżem stary kardynał Angelo Roncalli, patriarcha Wenecji, postanowił pofatygować się pięć wieków wstecz, by egzorcyzmować pewne papieskie imię, opatrzone numerem „dwadzieścia trzy”, imię niefortunnego Cossy, wybranego przez sobór w Pizie – Jana XXIII. Jak gdyby nagle przypomniano sobie w Watykanie, w samym środku XX wieku, że ten stary rachunek ze średniowiecza nie został jeszcze całkiem uregulowany...

Papież Luna skończył mówić. Pobłogosławił tłum. Wszyscy się przeżegnali – jak tego uniknąć? – i jeszcze bardziej go za to znienawidzili. Sala posłuchań pustoszała w ciszy. Cesarz odwrócił się na pięcie. Wycofał się do swego namiotowego obozu. Nie ujrzy już więcej papieża Luny. Dał mu pięć dni na bezwarunkową kapitulację, w przeciwnym wypadku sobór z Konstancji ogłosi złożenie go z tej godności i ekskomunikę. Każdego ranka nakazuje doręczać mu posłania, które brzmią coraz bardziej władczo, podkreślając cesarskie zniecierpliwienie i gniew. Odpowiedź się nie zmienia. W Perpignan atmosfera robi się coraz cięższa. Między Niemcami a Aragończykami mnożą się incydenty. Na ulicach toczą się już walki. Rycerze z zakonu św. Jana przechodzą na stronę przeciwnika. Ich wielki mistrz zapłacił za to życiem, zabity w pojedynku przez Jana d’Armagnaca, który ledwo zdołał uciec i schronić się w swych dobrach, pozostawiając papieża Lunę jeszcze bardziej osamotnionego.

Nadchodzi wreszcie ten czwartek. Wincenty Ferreriusz dotrzymał słowa.

Zapowiedział, że wygłosi kazanie w pałacowej kaplicy podczas uroczystych nieszpórów w obecności papieża, książąt, kardynałów, licznych poselstw. Ten wierny z najwierniejszych, on, który czyni cuda, ten święty, którego wszyscy czczą jak Europa długa i szeroka – czy jeszcze raz odwróci opinię tego tłumu, wszystkich tych dygnitarzy, tych prałatów? Podtrzymują go pod rękę, gdyż sam ledwo może ustać. Krok po kroku trzeba mu pomagać wejść na ambonę. Twarz ma białą jak kość słoniowa. Wznosi wychudłe ręce:

– W imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego...

Niezbyt dobrze go słyszeć. Jego głos brzmi prawie jak szept.

Wszyscy natężają słuch. Ale jaki dziwny początek!

– Wzywam was, moi bracia – mówi – abyście żarliwie szukali Boga i dążyli do doskonałości, która uczyni was bardziej pożytecznymi dla ludzi. Wzywam was, abyście idąc do Boga, czynili to z czystym sercem, bez obłudy, gorliwie praktykując cnotę, by drogą pokory dojść do chwały majestatu...

Wszyscy popatrują po sobie. Dokąd zmierza? Ferreriusz kontynuuje:

– Niewinność i doskonałość, do których zobowiązuje nas prawo Boskie, wymagają, oprócz wyzbycia się wszelkiego grzechu i wszelkiej skazy, również pełni cnoty. To właśnie oznacza przykazanie, by kochać Boga całym naszym sercem, całą duszą i z wszystkich sił. Pomyślcie o tym, moi bracia, a ujrzycie swą słabość i pojmiecie, jak wiele jeszcze dzieli was od doskonałej czystości. Ale to wywoływać może skutek tylko w takiej duszy, która odczuwa, jak wielkiej doskonałości żąda Bóg od każdego stworzenia, i która, z tego właśnie powodu, stara się z poświęceniem wypełniać wolę Boską...

Przerywa na chwilę, jakby zbierał siły, potem zwraca się ku papieżowi, który słucha go, siedząc nieruchomo na swym tronie, z rękami na kolanach:

– Gdyż Bóg żąda od każdej istoty stworzonej wypełniania z poświęceniem (powtarza to słowo: z poświęceniem) wolę Boską...

Wszyscy już zrozumieli. Wincenty Ferreriusz porzuca papieża, którego bronił ponad dwadzieścia lat. Stara się to ubierać w słowa pełne najwyższego szacunku i synowskiej miłości, lecz przez to jego mowa staje się jeszcze bardziej jasna: porzuca go.

W imię woli Boskiej potępia jego upór. Namawia go do wspaniałomyślności, do ofiary podyktowanej miłością do Boga.

– Ojciec Święty – mówi – bez słowa skargi towarzyszyłem ci przez całą tę drogę, która jednak teraz prowadzi już do – nikąd. Wola Boska wyraziła się w Konstancji. Nie mógłbym dłużej opowiadać się po stronie Waszej Świątobliwości bez obawy, że sam oto stałem się schizmatykiem.

Padło to słowo. Jak podpalony lont obiegnie całe miasto, wywoła wrzenie aż w Katalonii, w Aragonii, w Kastylii, biegnąc od wioski do zamku, od kościoła do kościoła. W tamtych czasach bezwzględnej wiary to słowo w ustach Ferreriusza poraża prostych ludzi. Gdy wielcy tego świata się od niego odsuwali, lud szedł za papieżem Luną. Ale to słowo dzieli już na zawsze.

W sali panuje martwa cisza. Papież jest trupioblady. Bez słowa wstaje i opuszcza swe miejsce. To, co usłyszał, się nie liczy. To tylko kolejna zdrada. Już wygnał ją ze świadomości.

Nocą, nie czekając, aż przeszkodzą mu w tym cesarskie oddziały, wyrusza do Canet i wsiada na

pokład swej ostatniej galery.

Święty Wincenty Ferreriusz nie ujrzy już papieża Luny. Jadąc na osiołku, w otoczeniu swych mnichów wyruszył do Bretanii. Umrze tam w 1419 roku, w Vannes, cztery lata przed papieżem Luną...

Noc jest jasna. Wiosła uderzają w wodę. Na niebie pośród tysięcy gwiazd błyszczą półksiężyc. Na pokładzie papieskiej galery trwa odliczanie. Łucznicy, służba, dwunastu księży i biskupów, czterech kardynałów – przynajmniej wśród nich nikogo nie brakuje.

Sternik oczekuje rozkazu papieża.

Kurs na południe, ku Peniscoli.

Między Awinionem a Senez, 1994

W tym dniu, jak co tydzień, piekarnia była nieczynna; był to jedyny ranek, gdy Raoul Jourdan mógł się wyspać, zamiast wstawać o czwartej do pierwszego wypieku. Teraz siedział w kuchni, popijał kawę, jadł chleb z masłem i rozmyślał o swym dziwnym gościu. Dlaczego właściwie wczoraj się zatrzymał? Dlaczego zabrał tego starca do samochodu? Jakim odruchem się kierował?

I dlaczego teraz na stole ustawił drugą filiżankę, położył białą serwetkę, naszykował

konfitury, miód, kubek ciepłego mleka, cukier, czysty nóż i koszyk świeżo pokrojonego chleba? Obrzucił stół baczny spojrzeniem, po czym otworzył lodówkę i na drugim talerzu ułożył szynkę i szwajcarski ser. Jego żona skwitowała to dziwne zachowanie uprzejmym wzruszeniem ramion.

– Co ci przyszło do głowy? Nawet go nie znasz.

– Powiedział, że ma na imię Benedykt i idzie do Rzymu...

To było wczoraj, w furgonetce, potem Benedykt już prawie się nie odezwał. Na obiad zjadł talerz zupy i kawałek chleba. Gdy potem piekarz zaprowadził go do pokoiku na górze, Benedykt powiedział tylko: „Dziękuję”.

Jourdan nie dowiedział się niczego więcej. Ale tego ranka, nasłuchując odgłosów z piętarka i zastanawiając się, czy aby nie pora obudzić gościa, usłyszał cichy głos, jakby starzec rozmawiał sam z sobą. Zastukał w drzwi raz, drugi, bez odpowiedzi. Nadal słyhać było głos mężczyzny, jakieś niezrozumiałe, melodyjne słowa. Może staruszek majaczy? Może nie ma po kolei w głowie?

Już poprzedniego dnia, kiedy zabrał go z drogi, wyglądał kiepsko, wydawał się u kresu sił. Otworzył zatem drzwi i zajrzał do wnętrza pokoiku. Pościel leżała złożona na łóżku. Otwarty plecak stał na podłodze. Mężczyzna zwrócony tyłem do drzwi, teraz już w milczeniu porządkował na małym stoliku jakieś przedmioty, które po kolei chował do puzderek wyłożonych czerwonym aksamitem. Również koloru czerwonego był szeroki szal z wyświeconego materiału o widocznym splocie, owinięty wokół

szy, opadający na sweter i – co Jourdan spostrzegł, gdy mężczyzna się odwrócił – mający dwa rozszerzające się ku dołowi końce, haftowane złotą, wyblakłą już nicią, sięgające kolan mężczyzny.

Jourdan wymamrotał jakieś przeproszające słowa, dodając, że śniadanie jest już gotowe, i zamknął drzwi.

Gdy stary człowiek zszedł do kuchni, Jourdan powstał.

– To wszystko dla mnie? – zapytał Benedykt.

– Od wczoraj nic pan nie jadł. Pomyślałem, że będzie pan I głodny.

– I miał pan rację, jestem głodny – powiedział Benedykt, siadając na ławie i błogosławiąc stół gestem, który wcale nie zdziwił piekarza, ponieważ został uczyniony tak naturalnie, jakby szło o coś zupełnie oczywistego.

Benedykt wypił pół filiżanki kawy, posmarował masłem cienką kromkę chleba, obłożył ją plasterkiem sera, nałożył sobie łyżeczkę konfitury, a potem miodu, o którym powiedział, że jest wyśmienity, i na koniec wypił łyk mleka, starając się przez grzeczność skosztować wszystkiego, co było na stole.

– Nie jestem przyzwyczajony do takich uczt – oznajmił z uśmiechem. – W moim wieku apetyt mija i tak jest lepiej. Ale czy pan wie, że już od dawna nie zostałem nigdzie tak ugoszczony?

– Skąd miałbym wiedzieć? – odrzekł Jourdan. – Jednak to prawda, że w dzisiejszych czasach niechętnie się otwiera drzwi nieznanemu.

Starzec skrzyżował ręce na stole. Skóra i kości. Zmęczenie wyostrzyło mu rysy.

Zapadnięte oczy nadawały mu dziwnie zamyślony wygląd.: – Kiedyś wcale nie było tak bardzo inaczej niż dziś – powiedział. – Przez ponad pięćset lat, za wyjątkiem pewnego klasztoru i kilku domów w Rouergue, skąd pochodzę, większość drzwi się przede mną zamykała.

Piekarz spojrzał na niego, nie rozumiejąc. Pięćset lat? Staruszkowi mąci się w głowie...

– Przez pięćset lat – powtórzył starzec. – Inni, przede mną, przeżywali to samo.

Piekarz słuchał go. Był człowiekiem niewykształconym, który nie miał większego pojęcia o religii – pełno dzisiaj takich we Francji – ale ten słabo skrywany żal za tym, co było, a czego już nie ma, wystarczył mu, by się zorientować, że tajemnicze słowa starca dotyczą w jakiś sposób spraw Bożych.

– Jestem gotowy – rzekł starzec. – Wyruszymy, kiedy pan zechce.

Zgodnie ze swą obietnicą, że dowiezie tego staruszka na drugą stronę Apt, dobry Samarytanin nadrobił prawie sto kilometrów, przez Manosque i Moustiers-Sainte-Marie.

Przejazd przez miasteczko Riez nie wyrwał starca z milczenia. Miasteczko Riez, budząc się tylko latem, łagodnie chyliło się ku upadkowi. Biskupstwo było już tylko wspomnieniem. W pałacu biskupim mieściło się teraz merostwo, a katedra sprowadzona do rangi zwykłego kościoła parafialnego, świadczyła o ubóstwie wiary. Od Bernarda z Cezarei, pasterza na wyżynach Riez, Benedykt nie miał znaku życia od... Próbował

sobie przypomnieć. Od dwudziestu lat? Od trzydziestu? Prawie wieczność. Nie ma co się zatrzymywać. Lepiej spróbuje odnaleźć Gibeleta, w Senez.

Nieco później dotarli do wioski Castellane, biorącej swą nazwę od potężnego rodu w Prowansji, z którego za papieży awiniońskich pochodziło wielu biskupów Senez. Tam właśnie obrał niegdyś swą siedzibę Jan Soanen. Powietrze było ciepłe i lekkie, jak często w tych stronach o tej porze roku.

– Czy jesteśmy daleko od Senez? – zapytał Benedykt.

Jourdan sprawdził na mapie.

– Pieszko? Dobre trzy godziny.

– Proszę mnie tu wysadzić – powiedział Benedykt. – Dalej muszę iść pieszo.

Podnosząc klapę furgonetki, piekarz wy dostał plecak i pomógł go założyć starcowi.

Potem wyjął z kieszeni kopertę i podał mu ją niezgrabnie.

– Jest tu parę groszy – mruknął jakby zawstydzony swoim postępkami. – Niech pan nie śpi na dworze, lepiej wynająć pokój. I niech pan je. Tu jest mój numer telefonu i nazwisko. Gdyby mnie pan potrzebował...

– Potrzebowałem pana – powiedział Benedykt. – Niech panu Bóg błogosławi.

Wsadził kopertę do plecaka i ruszył drogą ku Castellane.

Kiedy piekarz wracał do domu, zatrzymał się w przydrożnym barze na sandwicza i szklaneczkę różowego wina. Gdy otworzył portfel, żeby zapłacić, zauważył tkwiące na swoim miejscu banknoty, które przed wyjazdem włożył do koperty, aby podarować swemu pasażerowi. Osiem banknotów po sto franków. Przeliczył je. Poczerwieniał na twarzy. Czy był aż tak roztargniony, że dał starcowi pustą kopertę? Nie sądził. Jeśli chodzi o pieniądze, które zarabiał z takim trudem, nie mylił się nigdy. Poza tym doskonale pamiętał. Z całą pewnością włożył te banknoty do koperty, kopertę zaś zakleił.

Zamyślony wrócił do samochodu. Ta zagadka długo nie dawała mu spokoju...

W Castellane był dzień targowy. Benedykt kupił chleb, ser, oliwki, potem przysiadł

na ławce i wyjął składany nóż. Szybko się posilił i napił wody z fontanny. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Z sympatią przyglądał się krzątaniu na placu, tym wszystkim ludziom, którzy przechodzili od jednego straganu do drugiego, przysłuchiwał się nawoływaniom kupców, patrzył na kobiety, które z

portmoneką w dłoni i koszykiem na ramieniu ucinają sobie w słońcu długie pogaduszki. Z pobliskiej szkoły wysypał się tłum dzieci. To było życie. Pierwszy raz doznał takiego uczucia, jakby wyszedł z długiego tunelu i wynurzył się na światło, jakby rozbłysk szczęścia. Ale był tak bardzo zmęczony.

Ten ostry ból w piersiach, chwilami z bólu niemal tracił świadomość. Tymczasem na rynku zaczęto demontować stragany, metalowe rurki, objając się o siebie, wydawały z siebie dziwnie radosny dźwięk. Ponownie spakowano towary i wkrótce na pustym placu pozostały już tylko porozrzucone papiery, unoszone przez lekki wiaterek, podfruwające jak ptaki.

Benedykt powłóczył się trochę po miasteczku. Nad brzegiem Verdon trafił na małą oberżę z pokojami do wynajęcia, otoczoną ukwieconym ogródkiem, gdzie znajdowały się drewniane stoły i ławy. Zapytał o cenę, a wobec podejrzliwego spojrzenia właścicielki wyciągnął dwa banknoty i od razu zapłacił. Poszedł do swego pokoju, zdjął plecak, wyciągnął przybory do pisania, zamknął drzwi na klucz i znalazł sobie miejsce w ogrodzie, gdzie nikt mu nie przeszkadzał. Przewracał jedną po drugiej kartki w notesie, pokryte już jego drobnym, ściśniętym pismem i podjął pisanie. Pisał przez całe popołudnie, przerywając tylko po to, by uporządkować myśli i zatemperować ołówek...

Ołówek biegł po papierze: „Smutna litania... Gdy kardynał z Rodez i Saint-Etienne, Jan Carrier, został wybrany na Stolicę Piotrową jako Benedykt XIV, miał nie więcej niż kilkuset wiernych ściganych przez królewskie oddziały. Bogu dzięki, poznano przynajmniej miejsce jego śmierci: w zaprzyjaźnionym klasztorze, na wapiennych wzgórzach Lanhac, w 1437 roku. Jest tam pochowany w krypcie i każdy z jego trzydziestu dwóch następców mógł modlić się na jego grobie. Ta radość, która dana była każdemu z nich przynajmniej raz, jak mnie, stanowiła jedyne światło oświecające ich istnienie.

Nikt nie wie, gdzie spoczywają pozostali. Piotr Tifane, kardynał z Tyberiady, który został wybrany na Stolicę Piotrową jako Benedykt XV, zmarł z wyczerpania na poboczu drogi w Aubrac, podczas tej strasznej zimy roku 1470. On jeszcze nie był zupełnie sam i jego ostatni towarzysze wykopali mu grób, by ustrzec jego zwłoki przed wilkami.

Daremnie szukałem tego miejsca. Co do innych, kiedy tak patrzę w siebie i myślę o powodach ich śmierci – chyba to beznadzieja przeniosła ich na tamten świat. Umierali z braku nadziei. Pan Bóg wybaczył im ten grzech za ich wierność.

Nie mogli już dłużej się błąkać i nawet mój poprzednik, święty człowiek, którego znaleziono martwego w pasterskim szałasie i którego wóz śmieciarzy wrzucił do zbiorowej wiejskiej mogiły... Nikt nas nie zawiadamiał o ich śmierci. Po prostu podczas wielkanocnego spotkania posłaniec przyniósł nam ten klucz i tę pieczęć...

Zachowałem tę pieczęć, która należała do papieża Jana Carrier'a, ale nie mam już tego klucza. Rozstałem się z nim. Nie reprezentował już niczego. Niegdyś otwierał drzwi naszego kościoła, maleńkiej kaplicy w głębi doliny Levezou. Co pięć lat na Wielkanoc, i to od czasu Benedykta XV, tam właśnie zbierali się nasi towarzysze samotności, kardynałowie z Betlejem, Hebronu, Tyberiady, Cezarei, Gibelet i ten z Iony, Falkirk, który nigdy nie przybył, ale o którym przechowywaliśmy wspomnienie, my i te kamienne stalle z herbami Szkocji. Mianował nas Benedykt, potem każdy z nas pochylił się i ucałował jego stopę. Nie zmieniliśmy tych form, które przetrwały od czasów papieża

Luny, bo były jedynym sposobem, by w tym osamotnieniu, w jakim się znaleźliśmy, okazać Benedyktowi ten szacunek, bez którego byłby już tylko takim samym nędzarzem, jak my wszyscy. Gdy Benedykta już nie było, a ten klucz i ta pieczęć przypadły nam, odprawiliśmy mszę za zmarłych i obecni kardynałowie wyznaczyli spośród nas jego następcę. W ten sposób mianowano mnie, ponad czterdzieści lat temu. Spędzaliśmy nasze dni na modlitwach, śpiewaliśmy chwałę Panu, z niepokojem i zwątpieniem w sercach. Wymienialiśmy także wiadomości. Obliczaliśmy naszych wiernych i tych, których uczyliśmy, aby mogli zastąpić każdego z nas, gdy nadejdzie ta chwila. To obliczanie szybko się skończyło, dwadzieścia lat temu, gdy było nas już tylko dwóch, ja i Gibelet, z pustymi rękami, bez uczniów i bez nikogo, kto mógłby podźwignąć krzyż.

Wtedy pojąłem, że wszystko się skończyło. Nie wiem, czy Gibelet jeszcze żyje, a nasza kaplica została zatopiona...”

Pisał bez wysiłku. Miał poczucie, że każde słowo, każde odnalezione imię, każde wspomnienie wydobyte z pamięci łączy go z papieżem Luną.

„Mieliśmy swoich męczenników – pisał dalej. – Kardynał z Cezarei, Jan Langlade, kapłan Kościoła katolickiego, który został wybrany na Stolicę Piotrową pod imieniem Benedykta XVI, był łamany kołem na placu miejskim w Mediolanie, wiosną 1499 roku.

Przy każdym uderzeniu, które łamało mu golenie i ramiona, wołał: „Dziękuję, Panie!” z tak wielką radością w głosie, że tłum zebrany wokół miejsca kaźni czynił znak krzyża, a rozchodząc się, mówił między sobą, że zabito świętego. Carrier dziękował za tę śmierć, bo to wielkie szczęście umrzeć i wreszcie poznać sąd Boski, jedyne potwierdzenie wierności. Potem wszystko pogrąża się w mroku nocy. W miarę jak mijały wieki i zbliżały się nasze czasy, ci świadkowie stawali się coraz rzadsi. Pewien Benedykt został skazany na galery, oskarżony o zamiar kradzieży naczyń sakralnych, gdyż złapano go w nocy w katedrze w Rodez. Zginął dzielnie na galerniczej ławie pod Lepanto. Inny Benedykt został uduszony sznurem w lochu więzienia w Lyonie, gdzie został

w tajemnicy wtrącony w 1688 roku przez pewnego mnicha-wizytatora więziennego, celowo delegowanego z Rzymu przez Inkwizycję. Nazywał się Mateusz Lamothe, a przed swą desygnacją na papieża był kardynałem z Betlejem, tak jak ja; został

schwyty podczas polowania na protestantów w pobliżu Arles. Ostatni Benedykt, który umarł z tego samego powodu, popełnił ten błąd, że ogłosił to wszystko wprost z ambony katedry Notre-Dame w Rodez, pewnej niedzieli 1815 roku, podczas mszy, wymieniając publicznie imię papieża Jana Carriera i wyliczając całą sukcesję apostolską Benedyktów.

To był Łukasz Arsepain, wcześniej kardynał z Hebronu. W przeciwieństwie do większości z nas, pochodził z miasta: był adwokat, który wszystko porzucił, aby dołączyć do nas.

W Rodez mieszkał przy ulicy du Bose, w tym samym Domu Benedykta, który –

w owym czasie już przewiewany przez wiatr, opuszczony przez dawnych właścicieli i zrujnowany wojnami Cesarstwa – był niegdyś domem Jana Carriera. Dlatego opowiadano, że to pomieszało mu w głowie. Zatrzymany, nie stawiał oporu i doprowadzony został do zakładu dla obłąkanych, gdzie

postanowił umrzeć, odmawiając przyjmowania pokarmu, a gdzie opiekowali się nim inni nieszczęśliwi obłąkani, darząc go do końca szacunkiem i względami, których poza tymi murami zawsze był

pozbawiony. To właśnie tego milczenia nie potrafił znieść.

Milczenie i samotność były zawsze naszym losem. Po co być tym, kim się jest, jeśli nikt o tym nie wie? Więc wykrzyczał to głośno, zapominając, że ta prawda nie miała już sensu dla wspólnoty żywych. Szalenciec – mówiono. Władze podkreślały, że już w pewnym raporcie żandarmerii cesarskiej, z którą miał do czynienia, określono go jako szaleńca, i bardzo szybko zapomniano o nim... A potem...”.

Stary człowiek policzył na palcach i podjął pisanie.

„Brakowało nam wszystkiego, ale żyliśmy długo. W ostatnich dwóch wiekach było nas zaledwie ośmiu. Był Piotr Delanger, i Morin, kardynał z Tyberiady, który miał na imię Franciszek. Jakub de Mayol i Dionizy Salvant. On umarł daleko od Francji.

Pewnego dnia powiedział swym towarzyszom zebranych w Levezou: „Wyruszam do Iony, chcę się dowiedzieć...”. Falkirk, kardynał z Iony: sięgając wstecz pamięcią, nikt sobie nie przypominał, by kiedykolwiek otrzymał od niego wiadomość. Stał się dla nas jakby tajemnicą wiary. Nie należało tego sprawdzać. Każdy wysupłał sakiewkę i Benedykt wsiadł w Bordeaux na węglowiec, który powracał do Szkocji, do Glasgow.

Nigdy już nie powrócił.

Czy się czegoś dowiedział, nie wiemy. Na szczęście. Dla nas kardynał Falkirk z Iony istnieje... Pozostaje czterech. Felicjan Toulet, także święty człowiek. Nieznane jest miejsce jego śmierci, ale znamy godzinę i datę: 14 stycznia 1896 roku, o godzinie 10.03

rano, dokładnie w chwili, gdy dzwon katedry w Rodez zaczął bez pomocy kościelnego wydzwaniać żałobę. To prawda, że jednak od czasu do czasu Pan Bóg dawał nam znak, tylko dla nas zrozumiały, ale to był już ostatni znak. Później się chyba nami znudził.

Marek Lolive i Hieronim Gascar odeszli w ciszy. Ich śmierć nie wywołała więcej fal na powierzchni chrześcijaństwa niż kamyczek wrzucony do oceanu. Teraz nadeszła moja kolej.

Nie zadaję już sobie pytania o sens tego wszystkiego. Wypełniłem wolę Boga. Ale w tym czasie nie byłem ślepy. Żyłem długo i widziałem, jak zmienia się świat. Są pewne sprawy, o których mi wiadomo. Dlatego właśnie muszę iść do Rzymu. Przed upływem pięćdziesięciu lat, być może nawet wcześniej, dwie siły przeciwstawiają się Rzymowi i papież przypomni sobie o losie papieża Luny i jego trzydziestu dwóch następców, którzy nie pozostawili żadnego śladu na tej ziemi...”.

Zapadał wieczór. Gdy skończył pisać, poskładał te kartki papieru, zapisał ich pewnie z dwadzieścia, wsunął je do koperty, której brzeg starannie zakleił i wypisał na niej długi adres: zajął całą powierzchnię koperty. Potem wszedł do oberży, zjadł kolację, ledwo dotykając zawartości talerza.

Był jedynym gościem w tym hoteliku. Właścicielka nadskakiwała mu i obsługiwała go z serdecznym uśmiechem. Zaraz potem położył się spać i zasnął mocnym snem, co nie zdarzyło mu się od dawna, a obudził się wczesnym rankiem.

Potrzebował pięciu godzin, by dotrzeć do Senez. Droga pięła się pod górę. Co chwila musiał przystawać, wyczekując, aż bezładne bicie serca przestanie boleśnie rozsadzać mu piersi. Około dziesięciu kilometrów za Castellane w lewo od szosy odchodziła boczna, wiejska droga, prowadząca do wioski Senez, której dzwonnica wkrótce pojawiła się na horyzoncie w otoczeniu stromych pagórków. Przeszedł przez mostek nad strumieniem.

Mężczyzna za kierownicą czarnego samochodu z dwoma antenami, stojącego u wjazdu do wioski, koło cmentarza, obserwował go przez lornetkę.

Peniscola, Aragonia, 1417

Skąła na morzu, między Castellón a Vinaroz. Jak ręka wysunięta w morze, między fale. Wąska łacha piasku, nie do przebycia przez większą część roku, łączy tę ufortyfikowaną skałę z wybrzeżem. Od najdawniejszych czasów, tonących w mrokach historii, strategiczna baza: Fenicjanie nazywali ją Tyrichae, Kartagińczycy Akra Leuke.

Hamilkar i Hannibal, także prowadzący wojny z Rzymem, utrzymywali tu swoje garnizony. Templariusze siedzieli tutaj ponad sto lat, była ich bazą wypadową do rabowania wybrzeży Afryki, i utrzymali się jeszcze długie lata po rozwiązaniu zakonu przez Rzym i egzekucji Jakuba de Molaya. Nie jest to miejsce pokoju. Słychać tu wieczny huk fal, rozbijających się u podnóża murów obronnych. Nie jest to miejsce pokory.

Wieża obronna wznosi się jak wyzwanie, a dialog z Bogiem pojmowano tu tylko jako rozmowę potęgi z potęgą. Prawdziwy las wystających z wody skał, ostrych jak miecze, uniemożliwia dostęp od morza. To miejsce nie do zdobycia przez wojsko, można je wziąć tylko głodem lub zdradą. Potrójny pas murów obronnych z bastionami, reductami, wieżyczkami dla wartującej straży, potężne wieże, chroniące się wzajemnie, pionowe, gładkie mury z otworami strzelniczymi dla artylerii i łuczników, a od strony lądu jedyny port, ogromny, z podnoszonymi kratami bram, zwodzonymi mostami i fosami, równie najeżony obronnymi fortyfikacjami, jak zamek. Gdyby ktoś chciał

oblegać tę twierdzę, mógłby wylądować z wojskiem jedynie na tym piaszczystym skrawku półwyspu, wprost pod kulami bombardyn i kolubryn papieskiej artylerii. Jest wreszcie mały, wąski port otoczony skałami, zupełnie niedostępny dla obcych, którzy nie znają tego przejścia. Kilka białoniebieskich domów, przyciśniętych do siebie w najniższej części półwyspu zamieszkują rybacy: ludzie twardzi, czarniawi, zawsze bosy, niepiśmienni, zabobonni, agresywni, gniewni oraz duszą i ciałem oddani papieżowi Luna.

Peniscola: schronienie.

Tu zainstalował się Jego Świątobliwość papież Benedykt XIII po opuszczeniu Perpignan. Na

szczyt wieży obronnej powiewa chorągiew z półksiężycem i tiarą ponad skrzyżowanymi kluczami.

Gdy papież postawił stopę na ziemi tego półwyspu, wysiadając ze swej galery wraz z czterema kardynałami, kamerdynerem, lekarzem, garstką księży i biskupów, służbą i łucznikami – pobłogosławił rybakom, którzy powitali go radośnie, i powiedział: „Tu, gdzie ja jestem, jest Kościół Chrystusowy”. Niewiele się przejmując tymi prałatami, książętami i królami zebranymi w Konstancji wokół cesarza Zygmunta, którzy przegłosowali złożenie go z urzędu, kiedy już ani jeden głos nie rozległ się w jego obronie; niewiele go obchodzi, że nie uznaje go już za papieża żaden naród chrześcijański, że jego duchowa i doczesna władza ma zasięg strzały wypuszczonej z tej obronnej wieży; nieważne też, że zdradził go Wincenty Ferreriusz i że wyjeżdżając z Perpignan, przepowiadał mu: „Żołnierze zagrają w pelotę twoją głową”; to wszystko nie ma znaczenia, gdyż on jest papieżem Benedyktem XIII, jedynym legalnym następcą papieża Klemensa VII, wybranym w Fondi w 1378 roku, pochodzącym wprost od Piotra w apostołskiej sukcesji dwustu jeden poprzedników, a nikt nie ma prawa przeciwstawiać się woli Chrystusa i Jego wikariusza na ziemi. Dla niego to Rzym jest osamotniony.

Anatema na każdego, kto temu przeczy!

I tutaj, podobnie jak w pałacu w Awinionie, nazwał swe apartamenty „Rzym”. Sam zadawała się skromnym pokoikiem w wieży, z dwoma wąskimi oknami wychodzącymi na morze, gdzie spędza swe najspokojniejsze chwile na medytacjach, kontemplując horyzont. Papież morza wspomina swe statki w rozwiniętym szyku, Marsylię, Niceę, Genuę... Załadować by się na tę ostatnią galerę i podbić Rzym, sprzątnąć go sprzed nosa tym heretykom z Konstancji... – to już tylko marzenie. Ciągłe do niego wraca, gdy po przebudzeniu siada na niewygodnej kamiennej ławeczce strzelniczej przy oknie, owinięty w swą czerwoną kape, podczas gdy na horyzoncie mijają się w oddali kolorowe żagle tych rybaków, którzy zmieniają warty na morskich granicach jego włości.

Natomiast sale, w których podejmuje gości, przeciwnie, wyrażają całą powagę, z jaką traktuje godność pontyfikalną. Dla chwały Boga obnosi swe bogactwo. Przedsiónek i salę posłuchań ustrojono więc gobelinami przedstawiającymi sceny biblijne; należą do papieskiego skarbu uratowanego z awiniońskiej klęski, podobnie jak papieski tron, tiara św. Sylwestra stojąca na czerwonej poduszeczce w smudze światła padającego przez witraż, drewno z prawdziwego krzyża oprawione w złoto i szmaragdy, przechowywane w relikwiarzu z górskiego kryształu i połączanego srebra, ozdobionym wieżyczkami –

wygląda jak mała katedra – który lśni na głównym ołtarzu zamkowej kaplicy, nie licząc już imponującej liczby kufców napełnionych klejnotami, sztabkami złota, monetami, medalami, wszelkiego rodzaju cennymi przedmiotami, złożonymi w jednej z tych tajemniczych piwnic, które templariusze wykuli w skale, dochodząc aż do poziomu morza. Tylko papież ma klucz. Nie powierza go nikomu.

Nie jest to z jego strony skąpstwo. Ten skarb nie pozostaje bez związku z tą złością, jaką żywią wobec niego kardynałowie z Konstancji, gdyż w rezultacie to on czerpie teraz dywidendę z ich zdrady. Otrzymał ten skarb od papieża Klemensa VII. Musi tylko przekazać go swemu następcy, a galery znów popłyną na podbój Rzymu...

Jest wczesne popołudnie.

Papież Luna właśnie zjadł obiad – galaretkę owocową, kilka łyżeczek konfitury, suchary wypiekane na miodzie, popił szklanką mleka. Za dwie godziny oczekiwani są posłańcy soboru w Konstancji i twierdza przygotowuje się do ich przyjęcia, ściśle według ceremoniału awiniońskiego, aby całe chrześcijaństwo wiedziało, że nawet na wygnaniu z Rzymu papież Benedykt XIII nie przestaje być papieżem. Kapitan Rodrygo de Luna wydał dyspozycje.

Posłańcy wejdą do pałacu przez kancelarię, gdzie pracują sekretarze i mnisi kopiści.

Przejdą wielką galerią – również obwieszoną gobelinami – przez bibliotekę do kaplicy i tam zostaną powitani; potem zostaną zaprowadzeni do sali posłuchań przez przedsionek, gdzie sprawdzone zostaną ich listy uwierzytelniające, i tam poproszeni zostaną, by przysięgli na Ewangelię, że nie ukrywają broni. Na wewnętrznym dziedzińcu zamkowym najemnicy w skórzanych hełmach na głowach polerują włócznie.

Rozłożono czerwony dywan – niczym most nad brukiem twierdzy. Na murach stoją łucznicy, których hełmy błyszczą w słońcu.

Dwustu kuszników zajęło pozycje i lustruje półwysep, a nieco przed nimi, na granicy tego państwa, defiluje mała papieska kawaleria dowodzona przez Rodryga de Lunę; garnizonowy trębacz zajął miejsce na szczycie wieży obronnej, gdzie powiewa pyszna chorągiew, dźwięki trąbek zastępują system łączności.

W swej niewielkiej komnacie przygotowuje się także papież Luna. Ma przy sobie balwierza, pokojowca, zakrystianina, kamerdynera. W ceremonialnych szatach i ornatach jego chuda i ascetyczna postać wygląda jak udekorowany pomnik, w których tak się lubują Hiszpanie, obnosząc je z czcią podczas procesji.

Podają mu na aksamitnej poduszce jego pierścienie. Wsuwając je na palce, papież mówi cicho:

– Według św. Jana państwo Boże otacza szmaragdowa tęcza.

Ma trupioblada twarz. Kamerdyner daje znak balwierzowi, który z pudełeczkiem pomad w rękę przydaje trochę różu jego wychudłym policzkom. Papież coraz bardziej przypomina swój pomnik. Wreszcie Dominik d'Alava, kamerdyner, spina pod szyją papieską kapę złotą broszką, prawdziwym cudem sztuki grawerskiej, wykonaną jeszcze przez złotnika Karola Wielkiego, na której widnieją symbole czterech ewangelistów.

Papież ciężko wzdycha:

– Jeszcze niedawno, w Awinionie, Marsylii, Genui ubierał mnie Wincenty...

Wincenty Ferreriusz... Rana jeszcze się nie zagoiła.

– Proszę zapomnieć o jego wiarołomstwie, Ojczy Święty – mówi kamerdyner. –

Tutaj każdy służy Jego Świątobliwości z wiarą i wiernością.

– To prawda – przytakuje papież. – Wincenty oddał mi ostatnią przysługę: zdradzając, zdemaskował wszystkich moich fałszywych przyjaciół.

Kamerdyner milczy, w jego oczach pojawia się jakiś błysk, ale szybko gaśnie.

Benedykt XIII nie wypił jeszcze do końca swego kielicha gorzkości.

Przez otwarte okno słysząc głosy trąbek, którym odpowiada ta, ze szczytu wieży.

Zbliżają się wysłannicy soboru. Patrząc, jak nadjeżdżają drogą pomiędzy wydymami, Rodrygo de Luna blednie.

Ogarnia go gniew. Gdyby go papież posłuchał, odesłałby ich natychmiast tam, skąd przychodzą, z mieczem przy plecach i z szatami obciętymi nad kolanami, dla pośmiewiska. Oczywiście jako posłowie są eskortowani przez żołnierzy nowego króla Aragonii, Alfonsa V, ale do tego poselstwa specjalnie wybrano ludzi niskiego stanu.

Żadnych kardynałów, żadnych biskupów, nawet nie opatów, tylko dwóch zwykłych mnichów, brodatych i brudnych! Dwóch braciszków, których spojrzenia lśnią pychą i złośliwością. Jednak forteca robi wrażenie i pocą się na myśl o wilgotnym lochu, w którym mogą wylądować, gdy już przekażą posłanie. Peniscola fascynuje ich niejako potężna twierdza, ale jako portret Piotra de Luny, tajemniczo wyrzeźbiony w tym kamieniu i obciosany dla wieczności.

Trzeba przyznać, mają silne nerwy. Kapitan Rodrygo drwi sobie z nich, ale nie robi to na nich wrażenia. Zgrzytają łańcuchy zwodzonego mostu, rozchylają się ciężkie, żelazne skrzydła bramy. Mnisi łypią ponuro na klucze św. Piotra i półksiężyc Luny, przymocowane na frontonie bramy, podczas gdy trąbki oznajmniają ich przybycie do zamku. Jego główny dziedziniec ma kształt podkowy, otwartej w stronę morza. Wzrok na próżno szukałby tam granicy, kresu. Posuwają się teraz między dwoma rzędami najemników w hełmach, wyglądających tak, jakby zaraz mieli się na nich rzucić i żywcem rozszarpać; potem idą niekończącymi się schodami, z twarzami równie posępnymi jak te zamkowe podziemia, obawiając się w każdej chwili, że jakiś sztylet ugodzi ich w plecy; wstępują wreszcie na taras nad apartamentami papieskimi. Kopiści nawet nie podnoszą oczu znad swych pergaminów. Na widok gobelinów w wielkiej galerii posłowie krzywią się z niesmakiem. W Konstancji kardynałowie i biskupi gustują w ewangelicznej prostocie. Taka moda. Szybko im przejdzie.

Przesuwa się przed nimi jakaś krata, krata zamkowej kaplicy. Mówiono im o niej jeszcze w Konstancji, i o tym relikwiarzu, który sam w sobie wart jest fortunę! Jednak przyklękają, szukając wzrokiem pośród tej masy złota szczątków prawdziwego krzyża.

Modlą się, a eskortujący ich najemnicy niecierpliwą się i postukują drzewcami włóczni. Trzęsąc się ze strachu, powstają. W ten sposób ich nie wezmą!

Pozostaje sień. Jest zapełniona, ale panuje tu lodowata cisza.

Chociaż przysięgają na Ewangelię, i tak zostają dokładnie przeszukani, jakby nie dowierzano ich przysiędze. Pewien biskup łaskawie wyjaśnia:

– Już dwukrotnie usiłowano dokonać zamachu na życie Ojca Świętego. Po raz pierwszy zrobił to pewien wysłannik soboru w Pizie, drugi raz poseł od rzekomego papieża Jana XXIII...

Nie były to zresztą ostatnie zamachy.

Wreszcie otwierają się drzwi sali posłuchań. Światło wczesnego popołudnia wpada do przestronnego pomieszczenia. Dziesięciu biskupów siedzi na taboretach, a czterej kardynałowie otaczają papieża siedzącego na tronie, z tiarą na głowie, ze stopami obutymi w czerwone trzewiki, opartymi na połączanym podnóżku i wystawionymi do protokolarnego pocałunku. Dwaj zakonnicy posłowie, naradziwszy się uprzednio, składają mu ten hołd.

Gdyby tego nie zrobili, krzepka dłoń Rodryga de Luny siłą przygięłaby im nosy do posadzki. Powstając, napotykają posępny i znużony wzrok papieża Luny. Czują się nieswojo. Papież ma dziewięćdziesiąt trzy lata. Hieronim de Santa Fe, jego medyk, stoi czujnie za nim, wypatrując najmniejszych oznak słabości.

– I oto kruki soboru! – odzywa się papież ostrym tonem.

Ton został nadany. Starszemu z dwóch mnichów nie brakuje odwagi.

– To prawda, jesteśmy krukami – odpowiada hardo. – Ale jeśli jako kruki przybyliśmy aż tutaj, to dlatego, że poczuliśmy ścierwo.

Kardynałowie z oburzeniem zrywają się z miejsc. Biskupi się żegnają. Rodrygo wyciąga miecz, a najemnicy ze straży robią kilka kroków naprzód, mamrocząc gniewnie pod wąsami, że trzeba raz na zawsze zrobić porządek z tymi klechami. Papież wyciąga rękę w uspakajającym geście.

– Zostawcie ich – mówi. Po czym suchym tonem zwraca się do posłów: – Mówcie!

Czytajcie wasze posłanie! A zaraz potem odjeżdżajcie.

Przy stole skrybów, gdzie ich umieszczono, z pół tuzina ubranych na czarno notariuszy – także przysłanych z Konstancji – gorączkowo notuje każde słowo. Zapis tego posłuchania znalazł się w dossier Benedykta. Starszy z dwóch mnichów, Dom Lambert, wyciąga spod habitu rulon skóry i czyta: – „W imieniu soboru w Konstancji...”

Co on tam opowiada! Papież uderza dłońmi w poręcz swego tronu.

– W Konstancji nie ma Kościoła, jest tutaj! – woła. – W Konstancji nie ma papieża.

Jest tutaj. Tutaj jest arka Noego. Potop pochłonie przekłętą dzieło soboru. A my, tutaj zgromadzeni, będziemy zbawieni.

Notariusze zapisują jego słowa. Jest w nim siła. Prorokuje.

Już niedługo nastanie reformacja, na nowo rozdzierając świat chrześcijański...

– „W imieniu soboru w Konstancji...” – kontynuuje odważnie Dom Lambert...

Następuje cała litania: od upomnień, dekretów, po ubliżające wyroki zawierające anatemy i oskarżenia o herezję. Godzinna lektura. Droga krzyżowa. Nie ma nikogo w tej sali, kto by nie cierpiał w głębi duszy, nawet ten, co dziś jest wierny, a jutro zdradzi, nawet ten mnich – posłaniec soboru – który, mimowolnie wzruszony majestatem i osamotnieniem Benedykta, usiłuje na koniec swej lektury złagodzić jej najboleśniejsze fragmenty. Nie robi tego ze strachu, ale z odruchu chrześcijańskiego miłosierdzia, także z rodzącej się, być może, w mrokach duszy wątpliwości. Wielka i piękna scena, bardzo ludzka. W rzeczywistości jednak nic nowego w stosunku do poprzednich poselstw, za wyjątkiem terminu: papież Luna ma stawić się osobiście, w ciągu najbliższych stu dwudziestu dni w Konstancji, przed obliczem soboru i tam zostanie złożony z urzędu oraz uzyska przebaczenie pod warunkiem zobowiązania się, że odsunie się daleko od spraw tego świata do klasztoru, który sam sobie wybierze. Sobór nie uwzględni żadnego powodu spóźnienia, ani wieku, ani choroby. A jeśli się nie stawi, sto dwudziestego pierwszego dnia sobór ogłosi jego odłączenie od Kościoła i wykluczenie ze wspólnoty wiernych.

W śmiertelnej ciszy, która teraz zapadła, wszyscy pojmują, że papież jest bez szans.

Gdyby kogut miał zapać po trzykroć, nie znalazłby się ani jeden duchowny w tej sali, który by nie rzekł: „Nie znam tego człowieka”...

Wówczas Dom Lambert odszedł od oficjalnego tekstu i uznał za stosowne dorzucić coś od siebie. Gra przecież swoją życiową rolę. Miałby się ograniczać, akurat teraz, gdy sprawa została już przesądzona, przynajmniej w duchu, przez obecnych tu księży, biskupów i kardynałów? Jednak się wzruszył. Czy to z udawanego, czy ze szczerego wzruszenia, nawiązując do nakazanej papieżowi podróży do Konstancji, przywołuje przypowieść o powrocie syna marnotrawnego. Nie poprzestaje na tym: podaje przykład dwóch innych rywalizujących papieży, którzy przecież podporządkowali się soborowi!

Z wysokości papieskiego tronu pada wtedy piorunująca odpowiedź:

– Kramarstwo! Wśród tych oszustów, wymieniających fałszywe monety, któż jest złodziejem, a kto ofiarą? Ci książęta i duchowni, którzy kryją ten fałsz, czy nie są jeszcze bardziej podli? Chrystus nigdy nie dał apostołom władzy sądenia Piotra. Ci, którzy się zebrali w Konstancji, spłoną w piekle.

Ściśnięci w ławkach skrybowie notują, bojąc się podnieść oczy. Wszystko to będzie odczytane w Konstancji. Papież wie o tym. I mówi dalej:

– Czemu miałbym liczyć się z tymi książętami Kościoła, z tymi kardynałami, których sam mianowałem, z tymi królami i władcami, których sam rozgrzeszyłem z występków ciała i dumszy? Ukażę bezceństwa i kłamstwo tych hipokrytów. Zdemaskuję tych, którzy oskarżają mnie – oskarżają Chrystusa. Jak sobór ma czelność zapraszać mnie na mój własny pogrzeb?

Potem wypowiada zdanie, które jak strzała przebiegnie przez wieki i ugodzi w samo serce Rzymu:

– Sobór w Konstancji nakazał spalić tego, który głośno i mocno oświadczył, że człowiek w stanie grzechu śmiertelnego nie może być królem, kardynałem ani papieżem.

Uczestnicy tego soboru sądzą mnie, ale sami nie chcą być sądzeni. Być może dlatego skazali Jana Husa na stos, żeby nie musieli sami na ten stos wstąpić, ale dla nich ogień już płonie w piekle...

W sali posłuchań wszyscy wstrzymali oddech, walcząc z pokusą zdrady. Piotr de Luna wstał. Zmierzył wzrokiem dwóch osłupiałych mnichów.

– Wasza misja skończona – powiedział. – Przekażcie soborowi odpowiedź papieża Benedykta XIII.

Mnisi wycofują się tyłem, a za nimi ów zastęp pobladłych notariuszy, ledwo żywych ze strachu, co rozwesela najemników, którzy eskortują ich, przygadując po aragońsku:

„Jazda, szybciej, kruki!”. Kruki myślą już tylko o tym, by ujść z życiem. Muszą teraz przejechać całą Francję, ogarniętą anarchią po klęsce pod Azincourt, w tym państwa księcia Armagnac, gdzie nowy biskup Rodez, Jan Carrier trzyma silną ręką diecezję w imieniu papieża Benedykta XIII. Papież morza zyskał tam nowy przydomek: „papież Armaniaków”.

Zamykają się bramy Peniscoli. Papieża trzeba podtrzymywać pod rękę, jest wyczerpany. Aby uprzedzić omdlenie, medyk wrzuca jakieś zioła do koszyka z żarem i podaje jakąś miksturę.

Potem papież udaje się do swych apartamentów i czterej kardynałowie sądzą, że jego godzina jeszcze nie wybiła.

Odroczenie. Odroczenie na sto dwadzieścia dni.

Na ripostę nie trzeba długo czekać. Tym razem Konstancja nie raczyła już przysłać poselstwa, choćby w osobach najpośledniejszych mnichów. Sobór zaczyna debatować nad wyborem nowego papieża, dla zebranych tam tysięcy prałatów Benedykt XIII już nie istnieje, po prawdzie, nigdy nie istniał. Od swego starego przyjaciela, arcybiskupa Saragossy, papież dowiaduje się o miążdzącym wyroku, który wydano. Wysłannicy synodu i cesarza dostarczają go do najdalszych zakątków Europy, aby był odczytywany i ogłaszany we wszystkich kościołach: Piotr de Luna uznany został notorycznym i niepoprawnym heretykiem, pozbawiony wszystkich tytułów, rang, zaszczytów, beneficjów i funkcji, wykluczony z Kościoła rzymskiego i odcięty jako martwa gałąź od wspólnoty apostolskiej. Wszyscy wierni, gdziekolwiek by byli, zwolnieni są z posłuszeństwa względem niego, również ze wszystkich ślubów i zobowiązań. Wreszcie zabrania się wszystkim, pod karą ekskomuniki, uznawać go za papieża oraz udzielać mu pomocy lub ochrony...

Ledwo zakończono lekturę tej sentencji, gdy przybiegł pośpiesznie papieski siostrzeniec Rodrygo de Luna z wiadomością, że oddziały króla Aragonii zajęły pozycje u podstawy przylądka, a galery wyszły w morze. To nie oblężenie – to blokada. Do twierdzy będzie się wpuszczać tylko wóz ze słodką wodą i mąką, ale w skąpych ilościach, a i to w drodze łaski króla Alfonsa, który jednak przypomniał sobie, że Benedykt XIII był kardynałem z Aragonii. Goście będą zawracani. Co do

duchownych czy świeckich, którzy chcieliby wyjechać z Peniscoli, będą mogli to zrobić, ale tylko podpisawszy pod przysięgą akt odstąpienia od Piotra de Luny, i bez możliwości powrotu.

Wiadomość szybko obiegała zamek. Zapanowała śmiertelna cisza. Słysząc tylko uderzenia fal rozbryzgujących się o skały i łopotanie na wietrze papieskiej chorągwi, zatkniętej na szczycie wieży. Nagle obiega zamek cicha wieść: Jego Świątobliwość opuścił swe pomieszczenia. Z tiarą na głowie, mając po bokach diakonów, wchodzi na taras i tam, obracając się tyłem do lądu i ludzi, stojąc na krawędzi muru, twarzą do bezkresnego widnokregu błogosławi morze, kreśląc wychudłą dłonią trzykrotny znak krzyża.

Jest szósta po południu.

Jest to błogosławieństwo Urbi et orbi, przywilej papieża. Będzie to robił każdego dnia o zachodzie słońca. Każdego dnia przez prawie siedem lat...

Nie dziwi go to, co dzieje się potem. Przyjmuje to do wiadomości z najwyższą obojętnością. Dnia 28 października 1417 roku w Konstancji ten świat chrześcijański, który potępił go, wybiera sobie nowego papieża. Obyczaje rzymskie nic się nie zmieniły.

Colonna czy Orsini? Jednak Colonna, który przyjmuje imię Marcina V. Sposób wyboru raczej dziwny. Nie mając zaufania do lojalności dwudziestu trzech kardynałów różnych obediencji, mimo że przecież wystarczająco dowiedli giętkości kręgosłupa, sobór dodał im trzydziestu wybranych prałatów, z każdego narodu, wedle ich przynależności do określonej strefy wpływów możliwych ówczesnego świata. To już nie jest konklawe, to ONZ. Polityka bierze górę nad religią. Doczesne znaczy więcej niż wieczne.

Głosy tych dwudziestu trzech kardynałów osłabiono zatem głosami dodatkowych trzydziestu elektorów wyznaczonych przez biskupów, co stało w całkowitej sprzeczności z zasadą konklawe i tradycją Kościoła rzymskiego. Tego nigdy nie było w przeszłości i później też się nie zdarzy, bo już wkrótce uznano, że ojcowie-doradcy soboru w Konstancji przekroczyli swoje uprawnienia. Ale jurysprudencja istnieje. Nie ma wątpliwości, że w obecnym XXI wieku, podczas tego czy tamtego soboru, ktoś sobie o tym przypomni, oczywiście „dla dobra chrześcijaństwa”.

Papież Marcin szybko pojął możliwe następstwa. Ledwo go wybrano, a już czynił, co w jego mocy, by potwierdzić i przywrócić prymat papieża nad soborem. Ale to już inna historia...

Zatem świat chrześcijański dążył do jedności – za wszelką cenę, nie oglądając się na niesprawiedliwość wyroku wydanego na papieża Benedykta XIII. Powrót Marcina V do Rzymu wywoływał entuzjazm na trasie jego przejazdu i rzucał tłumy na kolana. Opuścił

Konstancję eskortowany przez czterdzieści tysięcy rycerzy. Po drodze, od dzwonnicy do dzwonnicy, biły wszystkie dzwony, tworząc jakby nieprzerwany szpaler dźwięku.

Na brzegu Renu, gdzie przesiadał się na statek, pozdrawiały go płonące pochodnie.

Potem jechał przez Berno, Genewę, Mediolan, Mantuę, Florencję, przez wiele miast i wiosek, które

masowo wychodziły mu naprzeciw i opóźniały ten tryumfalny marsz.

Mają wreszcie papieża, nie chcą go puścić. Spowolnienie marszu w istocie odpowiada mu. Bo, oczywiście, rody Colonnów i Orsinich w Rzymie już rzuciły się na siebie i papież z rodu Colonnów musi teraz wykazać się najwyższą dyplomacją, aby poskromić porywczosć swych zwolenników.

Wreszcie 30 września 1420 roku, chowając miecze do pochew, jego orszak wkracza do Świętego Miasta. Skończyła się wielka schizma zachodnia. Tak w każdym razie zdecydowali historycy, odnotowując już tylko gwoli pamięci ten uparty opór Benedykta XIII na jego warownej skale.

W Peniscoli życie toczy się dalej. Blokada nie popuszcza, ale jej ogniwa przepuszczają podstawowe produkty i nawet niektórych gości, przebranych za wędrownych kupców, dostarczających papieżowi Lunie wieści od jego zwolenników.

Dezercja poczyniła duże wyłomy w załodze twierdzy. Spośród czterech ostatnich kardynałów jeden umarł, trzech pozostałych uciekło, dołączając do Marcina V w Mantui, w zamian za potwierdzenie ich kardynalskich tytułów, beneficjów i restytucję ich dóbr.

Papież Luna zadawała się obrzucaniem ich anatema w każdy Wielki Czwartek. To jedyna broń, jaka mu pozostała; czasem, zwłaszcza gdy wspomina, zawiedziony, swą dawną flotę wojenną, swoje armie, swą nieistniejącą już doczesną potęgę – ta broń wydaje mu się śmieszna. Oprócz Jana Carrieria w Rodez i Falkirka w Jonie, co do którego upiera się, że nadal żyje – pozostał mu wierny tylko jeden biskup, Sanchez de Munos, który schronił

się w Peniscoli. Większość duchownych zdradziła, prócz Dominika d'Alvy, kamerdynera. Na swych stanowiskach pozostali tylko najemnicy aragońscy i garstka domowej służby. Co do rybaków z wioski – nadal oddani są mu duszą i ciałem. Kto jest prawdziwym papieżem? Kto fałszywym? Dla nich to pytanie nie istnieje. Benedykt niekiedy przechadza się pomiędzy nimi. Ogląda rybackie sieci.

Bada palcami solidność ich splotu, bo jest już prawie ślepy, przebiera oczka sieci, jak paciorki różańca.

– Piotr był rybakiem z Tyberiady – mówi. – Ja jestem następcą Piotra. Nigdy się nie zaprę.

Kogo chce przekonać? Do kogo tak naprawdę skierowane są te słowa? W Rzymie je usłyszano. Nadszedł czas morderców...

Peniscola, Aragonia, 1424-1429

Illueca, Aragonia, 1813

Głowa, ramię, dłoń: jeden morderca w trzech osobach. Głowa nakazała tę zbrodnię, ramię ją przygotowało, dłoń ją popełniła.

Głowa jest w Rzymie.

Po czterdziestu latach zamieszania, intryg, anarchii, po siedmiu papieżach w dwóch, a nawet w trzech rywalizujących papieństwach, po dwóch soborach, niemal jeden za drugim, z których pierwszy był nieważny, a drugi bardzo wątpliwy, po tym okresie nieustannego wtrącania się większości książąt europejskich w sprawy Kościoła –

ogromne zadanie czeka na papieża Colonnę, Marcina V. Przede wszystkim musi przywołać do posłuszeństwa te tysiące prałatów i duchownych, którzy po soborach w Pizie i Konstancji sami uznali się za kolegialny zarząd chrześcijaństwa, a wobec nowego papieża usiłowali zachować jak najwięcej władzy; następnie musi uwolnić się spod opieki licznych władców, którzy narzucili sobór w Konstancji i sądzili, że mają stąd jakieś prawa wobec Rzymu. Szło więc, krótko mówiąc, o przywrócenie prymatu papieża.

Ale wszyscy nabrali już złych przyzwyczajęń i nie chcą niczego w nich zmieniać.

W tych sporach o władzę papież Colonna najczęściej ustępuje lub się wycofuje. „Kto cię zrobił papieżem?” – odpowiadają na wszystkie jego pretensje. On zaś nie ośmiela się zerwać ze swymi dotychczasowymi zwolennikami z obawy, by ktoś nie przypomniał mu z ukrytą pogrózką w głosie: nie jesteś jeszcze jedynym papieżem. Kastylia, Aragonia, Szkocja przyłączyły się, ale bardzo niechętnie. W Armagnac trzeba było użyć siły.

Jednak Peniscola trwa nadal. Król Alfons Aragoński odmówił zbrojnej interwencji.

Przygotowuje się do podboju południowej Italii, gdzie domaga się Neapolu i Sycylii, więc jest rad, że ma pod ręką jednego papieża, na wypadek gdyby ten drugi, w Rzymie, był wrogi jego zamiarom. Dopóki więc oddycha papież Luna, dopóty papież Colonna nie może spać spokojnie.

Rozkaz przyszedł z Rzymu. Nikt się o tym nie dowie. Ramię uda, że nie wie, co nakazała głowa.

Ramię to kardynał Alammano Adimari, jeden z najsurowszych oskarżycieli Benedykta XIII w Konstancji. Marcin V wynagrodził to, mianując go legatem w Awinionie. Adimari ma plan. Wie już od szpiegów, jak odżywia się papież Luna, że często sięga po ciasto na miodzie i paszteciki zapiekane w konfiturze. Przywołuje swego aptekarza i skarbnika, pobiera dwadzieścia tysięcy złotych florenów oraz zestaw rozmaitych proszków arsenikowych i realgaru wraz z przepisami dozowania i natychmiast wyrusza w drogę.

Trzeba jeszcze uzyskać zezwolenie na wjazd do Peniscoli.

Król Alfons jest nieufny. Zależy mu na tym Jego” papieżu. Król obozuje ze swoimi oddziałami na obrzeżach Barcelony. W całej okolicy słychać dźwięki fanfar. Każdego dnia przybywają nowe posiłki. Zbliża się chwila załadowania wojska na okręty. Czekają już tylko na pomyślny wiatr. Przyjmuje legata w namiocie.

– W przededniu tak wielkich zdarzeń (legat czyni aluzję do wyprawy na Neapol) Jego Świątobliwość

papież Marcin V odstępuje od żądania od Waszej Wysokości zbrojnej interwencji przeciw zbuntowanej Peniscoli...

Zaskakuje ten umiarkowany ton. Te rzymskie psy zazwyczaj nie puszczają tak łatwo swej ofiary, a ten tu, kardynał Adimari, jest jednym z najgorszych. Wszyscy pamiętają, że to on wraz z biskupem Cauchon prowadził w Konstancji nagonkę na Benedykta.

Tymczasem cóż on mówi? Co proponuje? Że Piotr de Luna, jeśli się podporządkuje, będzie przywrócony do wspólnoty wiernych, wyniesiony do rangi prymasa Hiszpanii i dziekana Świętego Kolegium! Że obierze siedzibę, gdzie zechce, a jego zwolennicy zachowają tytuły i beneficja! Że ten skarb papieski, którym włada, zachowa do końca życia! Król słucha, nie dowierzając.

Skoro już podporządkował się papieżowi Colonne, nie może lekceważyć tego, kto przybywa z Rzymu.

– A czego Jego Świątobliwość żąda w zamian?

Legat odgrywa komedię: czyż jego słowa są propozycją handlową?

– Ależ niczego – odpowiada z godnością. – Niczego poza tym, co przecież już ma miejsce, a mianowicie podporządkowania się duchownych i świeckich tego królestwa decyzjom świętego Kościoła katolickiego...

Król Alfons jest już myślami gdzie indziej. Jego flota jest gotowa do odcumowania...

Jego wojsko już go przyzywa... To przecież jeszcze dzieciak. Szuka dla siebie roli równej wielkim tego świata. Marzy mu się potęga i szlachetność, a właśnie „szlachetny” to jego królewski przydomek.

– Nikt bardziej ode mnie nie pragnie ostatecznego wygaszenia schizmy – oświadcza legatowi. – Ale jak przekonać papieża Lunę? Nie przyjmie pańskiego poselstwa, a szacunek, jaki wobec niego żywię, zabrania mi zmuszać go do przyjęcia tej wizyty.

Kto więc przekáže mu te propozycje?

Legat kłania się nisko, aż do ziemi:

– Tylko Wasza Wysokość może to zrobić.

Pułapka jest zastawiona. Im większa, tym lepiej zadziała.

Buntownik nigdy się nie podda. Nikt tego głośno nie przyzna, ale wszyscy to wiedzą.

Rzymowi zaś chodzi tylko o to, by dostać się do pałacu. Król Alfons chce dostarczyć swemu kronikarzowi materiału na wzniosły, pierwszy rozdział: wyruszając na podbój Italii, król Alfons Szlachetny stara się położyć kres schizmie. Będzie to również inspiracja dla dam dworu do wyszywania pięknych motywów na gobelinach, które ozdobią ściany sali tronowej.

– Niech więc tak będzie – mówi król. – Ja wyślę posłów.

Poprowadzi ich Leonard de Caballeria, królewski faworyt, wraz z dwoma aragońskimi rycerzami; wszyscy są oddani papieżowi Lunie. Kardynał Adimari zaciera ręce. Przed nimi z pewnością otworzą się bramy fortecy. Czwartym posłem, tym, który przemówi w imieniu Rzymu i legata, nazaczył król jakiegoś przeora z Saragossy, imieniem Alquezar. Ma swe kontakty w Peniscoli i przedstawia się jako zwolennik Benedykta. Legat się zgadza. Dziesięć tysięcy florenów i obietnica bogatego opactwa sprawiają, że przeor Alquezar zmienia swoje przywiązanie. Proszek, fiołki, śmiertelna receptura, sakiewka z dziesięcioma tysiącami złotych florenów, obietnica biskupstwa, udzielenie In blanco przez przewidującego legata odpustów zupełnych – przeor chowa to wszystko do kieszeni. Wszak nie rewiduje się posłów...

Głowa. Ramię. Pozostaje znaleźć dłoń.

Przeor Alquezar ma już pomysł. W każdym człowieku jest jego krzywe, lustrzane odbicie, zdrada stoi naprzeciw lojalności, często zdrajcami zostają właśnie ci najwierniejsi. Wystarczy podać im powód. Kto cieszy się zaufaniem papieża Luni? Jego kamerdyner, Dominik d'Alva. Kto ma dostęp do papieża cały dzień i całą noc? Dominik d'Alva. Kto czuwa nad przygotowywaniem jego posiłków? Kto podaje mu te konfitury, te ciasteczka miodowe, te syropy? Lojalny kamerdyner, Dominik d'Alva. Papież, zgodnie z przewidywaniami, odrzucił wszystkie te rzekome propozycje Rzymu: „Nigdy się nie zrzeknę!”. Przeor przyznał słusność, ale zwlekał. Zasugerował, by kancelaria zredagowała stosowną odpowiedź i, zyskawszy w ten sposób na czasie, nocą, w jednej z pustych cel tego opuszczonego przez szczury statku, spotkał się w tajemnicy z kamerdynerem. Te dziesięć tysięcy florenów, to biskupstwo, to udzielenie odpustów –

wszystko świetnie, ale brakuje głównego argumentu, którego potrzebuje każdy dobrze urodzony zdrajca, by uciszyć sumienie: przekonania o słusności zdrady, poczucia spełnienia świętego obowiązku.

– W ten sposób, ukochany bracie, ocalisz chrześcijaństwo – powiada przeor.

Deo gratias! Ecce homo. Głowa nakazała. Ramię przygotowało. Dłoń spełniła.

Szczypta proszku w ciasteczkach, zmieszana z miodem, dodana do konfitury...

W niewielkim pokoju głównej wieży, gdzie, siedząc przy oknie, papież jak co dzień kontempluje zachodzące nad morzem słońce, wierna i lojalna dłoń podaje mu kolację.

Potem starzec modli się długo i zasypia...

O drugiej nad ranem papież jest umierający. Usłyszano, jak krzyczy z bólu, i strażnicy wszczęli alarm. Huczy wiatr. Morze jest wzburzone. Leje jak z cebra. Forteca zdaje się wypływać na pełne morze jak dryfująca arka. Na murach obronnych, w długich, mrocznych korytarzach i na schodach głównej wieży rozbrzmiewają nawoływania, wszyscy chcą wiedzieć, co się dzieje.

Niektórzy padają na klęczki. Obudzono papieskiego medyka, Hieronim de Santa Fe przypada do wezłowania starca. Przepędza zebranych, zamyka drzwi i rozpoczyna walkę ze śmiercią o życie papieża, która potrwa osiem dni.

Hieronim de Santa Fe jest Żydem. Jest uczniem i spadkobiercą najszlachetniejszych Żydów hiszpańskich. Nawrócił się kilka lat wcześniej, w Tortosie, kiedy papież Luna zwołał tam sobór poświęcony odkupieniu Żydów i kiedy to na apel Wincentego Ferreriusza tysiące spośród nich przyjęły chrzest. Benedykt XIII był papieżem Żydów.

Od tamtego czasu nie było takiego drugiego. Może to jakieś światełko w tajemnicy jego przeznaczenia...

Bez zbędnych skrupułów kładzie się na ciele papieża. Ciśnie całym sobą, aby pot i skóra oddały truciznę. Masuje mu serce, powoduje wymioty, okłada nagie ciało gorącymi okładami wywołującymi poty. To bardziej sposoby kataru, które w tamtych czasach prędeż zresztą uznano by za czarną magię i mogłyby zaprowadzić na stos, gdyby nie chodziło o medyka papieża. Pan Bóg przeciw Diabłu. Kwestia wiary. Ciało papieża wydało truciznę, ale sam papież jest jak szkielet, wstrząsany konwulsjami.

Hieronim spowija go w chusty: papież wygląda jak dziecko w pieluszkach. Medyk przykładła ucho do piersi, nasłuchuje, czy serce bije. Łazarz zmartwychwstaje. Papież żyje!

Nie będzie żył długo. Wiek, cierpienie... Zyskał rok życia.

Wykorzystując powstałe zamieszanie, mordercy się wymknęli.

Rodrygo de Luna rzucił ich śladem resztki swej kawalerii. Papiestwo reguluje rachunki. Będzie to już ostatnia manifestacja siły.

Dwaj mężczyźni zostali pochwyceni. Przeor z Saragossy zapłacił za zdradę życiem, hiszpańskim sposobem: garota. Zbrodnicza dłoń, Dominik d'Alva, sprowadzony do twierdzy i postawiony przed obliczem papieża, wybłagał przebaczenie. Zamknięty w lochu, uratował życie, zobaczy światło dzienne dopiero po śmierci papieża Luni; a wówczas pogna do Rzymu rzucić się do stóp papieża Colonna, by odwołał swą skrucę, upomnieć się o przyobiecane biskupstwo. Więzienne lochy w Zamku św. Anioła są niezwykle przepastne... Nie znaleziono nawet jego kości.

Bo tym razem papież Benedykt XIII umarł. Miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

W tamtych łatwowiernych czasach mówiono później, że żyłby wiecznie i tylko ta trucizna przeszkodziła...

Kilka dni przed zgonem, przeczuwając tworzącą się próżnię, Benedykt mianował

czterech kardynałów spośród duchownych ze swego najbliższego otoczenia, aby mogli po jego śmierci desygnować następcę. Mianował dwóch Hiszpanów, którzy towarzyszyli mu aż do Peniscoli, Juliana de Lobę i Jimeno Dahe, a także opata pobliskiego klasztoru kartuzów, Dom Dominika de Bonnefoi.

Czwartym został Jan Carrier, biskup Rodez i Saint-Etienne, najwierniejszy z wiernych, który walczył w tamtych stronach w imię Benedykta – posłał do niego umyślnego z wieścią o nominacji i wezwaniem, by jak najszybciej przybył do Peniscoli.

Potem, 29 listopada 1423 roku, wyzionął ducha.

Większość ówczesnych kronikarzy zgodnie uznała go za jednego z największych ludzi tego stulecia, człowieka o wyjątkowej prawości, ze wszystkimi przymiotami serca i ducha, jakich wymagała jego ranga.

I właśnie dlatego, zważywszy na tę bezlitosną wojnę, którą Rzym prowadził przeciw Piotrowi de Lunie, przeciw temu niewzruszonemu samotnikowi, ożywianemu przekonaniem o prawomocności swego wyboru, zważywszy także na sumę historycznych fałszerstw, które popełniono i których nie przestano popełniać, używając najsubtelniejszych technik, nazywanych dziś dezinformacją – cisną się liczne pytania.

Ale to już inna historia...

Papieża Benedykta XIII pochowano pod posadzką zamkowej kaplicy. Peniscola straciła duszę. Pozwolono nadal powiewać na szczycie głównej wieży tej chorągwi z półksiężycem, a kapitan Rodrygo de Luna trzyma nadal w pogotowiu garnizon, podczas gdy biskup fortecy, Katalończyk Sanchez de Munos, zaufany człowiek króla Alfonsa, mianowany przez Benedykta papieskim szambelanem, podtrzymuje fikcję żywego papiestwa, pieczętując pieczęcią papieską listy, które nigdzie nie dotrą, adresowane do diecezji-widm i opactw od dawna już uznających papieża Colonnę. Rybacka wioska opłakuje swego papieża, kobiety przywdziały czarne suknie. Kancelaria świeci pustkami.

Pozostało tam nie więcej niż tuzin mnichów kopistów, rejestrujących dezercje, którym nikt się nie sprzeciwia. W obszernych pomieszczeniach kuchennych, gdzie jeszcze niedawno jadało pięćset osób, ostatnie wierne zakonnice przygotowują już nie więcej niż sto posiłków.

Większość domowników odeszła szukać sobie innych panów. Ta nieszczęsna kamienna arka przypomina łódź wyrzuconą na brzeg. U nasady półwyspu łączącej go ze stałym lądem Aragończycy zdjęli blokadę. Peniscola nie zagraża już nikomu, Peniscola już się nie liczy. Tylko w sali posłuchań, pod awiniońskimi arrasami i przy zamkniętych drzwiach dwaj mężczyźni w szkarłatach i trzeci we fiolecie toczą niekończące się tajne narady. Ci w szkarłatach, w kapeluszach z frędzlami na głowach, co w tych warunkach nadaje im nienaturalny wygląd, to dwaj nowi kardynałowie tej kurii, Jan de Loba i Jimeno Dahe. Trzeci kardynał, Dom Dominik de Bonnefoi, nie będzie się długo ociągać i rychło do nich dołączy. Ten we fiolecie to szambelan, biskup Sanchez de Munos. Ma na szyi klucz od tajnej piwnicy templariuszy. Co do czwartego z kardynałów, Jana Carrier, nikt z nich nie życzy sobie jego obecności. Wszyscy mają nadzieję, że zostanie pojmany i zabity, zanim tu dotrze. Droga z Rodez jest długa, a Jan Carrier jest człowiekiem ściganym...

Co zamierzają ci trzej? Co postanowią, gdy dołączy do nich stary Bonnefoi?

Podczas trzydziestu lat pontyfikatu można było zarzucić papieżowi Lunie tylko jedno: wybieranie niewłaściwych kardynałów. Większość go zdradziła. Pierwsi –

podczas oblężenia Awinionu. Następni – po Pizie, po Konstancji, po Perpignan.

Stale zastępował ich nowymi i prawie zawsze się mylił. Także do tych ostatnich, za wyjątkiem Jana Carrier'a, nie miał szczęśliwej ręki. Należało mianować ludzi z żelaza, ale czy mógł takich znaleźć wokół siebie? Wiedząc o tym, bliski już śmierci, zadowolił się antyszambrującymi urzędnikami, tymi trzema starcami u kresu sił, trzema starymi politykami Kościoła, wyzbytymi już energii i złudzeń, którzy zawiesili się na nim w nadziei, że będą potem frymarczyć kardynalskimi kapelusami.

Młody szambelan wymanewruje ich z łatwością. Ten klucz, który nosi na szyi, fascynuje ich. Prawie codziennie sprowadza ich wilgotnymi schodami do samych trzewi fortecy, aż do piwnicy templariuszy, którą tylko on może otwierać. Sanchez de Munos jest panem tego skarbu. Odkrywa jedna po drugiej ciężkie pokrywy kufców.

W płomieniach pochodni iskrzą się drogie kamienie, złote i srebrne monety lśnią jak lustro wody w świetle księżyca.

I Nie mówi nic, ale wszyscy rozumieją. Skoro Rzym tyle razy proponował papieżowi Lunie zachowanie tego skarbu w zamian za abdykację, czemuż by ta obietnica nie miała objąć jego następcy?

A ten z zasobów tego skarbu wynagrodziłby swych elektorów?

Ale najpierw trzeba zostać papieżem. Potem dopiero abdykować.

Taka już jest natura ludzka, że każdy z tych trzech kardynałów już widzi się papieżem! Gotowi są już teraz, choć skarb jeszcze nie do nich należy, samą jego obietnicą kupować sobie poparcie. Ale te rachuby nie uwzględniają kluczowej w tym względzie postaci:

Sancheza de Munos. On wprawdzie nie może być elektorem, ale wszystko przewidział. I teraz, jak magik, wyciąga z rękawa list, który otrzymał niedawno, wysłany z Neapolu przez króla Alfonsa.

I cóż takiego pisze Jego Wysokość, czarno na białym, pod pieczęcią królewską, w liście doręczonym mu do rąk własnych przez pewnego neapolitańskiego kapitana korsarskiego okrętu? Że najchętniej widziałby na Stolicy Piotrowej najbardziej lojalnego spośród sług zmarłego Benedykta XIII, to znaczy Sancheza de Munos, szambelana świętego Kościoła, tytularnego biskupa Nikomedy, najbardziej odpowiedniego, najbardziej godnego *etc. etc.* Ale król Alfons już nie precyzuje, że chce przy pierwszej nadarzącej się okazji wymienić tego papieża już nie na żaden skarb, ale na potwierdzenie swych praw do królestwa Neapolu przez rzymskiego papieża Marcina V, który dotąd ma w tej kwestii jakby drewniane ucho. Wspaniała transakcja! Jak dobrze się stało, że każdy znajduje w tym interesie jakąś własną korzyść.

Trzej kardynałowie mają giętkie kręgosłupy. Zresztą gdy się ma już tylko jednego protektora,

elementarna roztropność wymaga, by poddać się jego woli.

Nie czekają więc na Jana Carriera, przeciwnie, gdyby przybył, byłoby to prawdziwe nieszczęście. Człowiek ten raczej wtrąciłby ich do lochu, niż zgodził się na tę hańbę: sprzedaż odpustów, uzależnienie się od władzy politycznej. W pośpiechu przygotowują konklawe. Nawet kapitan Rodrygo de Luna bierze udział w tej grze. Od śmierci swego wuja nie ma nic do stracenia. Przynajmniej będzie mógł nadal opłacać swych najemników. Dnia 14 czerwca 1424 roku Sanchez de Munos zostaje wybrany i przybiera imię Klemensa VIII.

Cóż za pośmiewisko... Natchniona epopeja chrześcijańska papieża Luny zredukowana do postaci tego małego człowieczka, tego zera, przystrojonego tiarą – bo, co więcej, za zgodą króla Alfonsa kazał zaraz się koronować, aby z lepszej pozycji negocjować swą abdykację – i do tych trzech tępych kardynałów udrapowanych w purpurę, do tej tandety papiestwa...

Żadna chorągiew nie powiewa na zamkowej wieży w Peniscoli.

Nikczemnik nie ośmielił się jednak wywiesić własnych barw. Nie był też na tyle zuchwały, by zastąpić herb papieża Luny wykuty na bramie zwodzonego mostu. Jest tylko niegodnym pustelnikiem w tej kamiennej muszli, do której się wślizgnął. Co do reszty spraw, zachowywane są pozory: mnisi w kancelarii i najemnicy na murach. Mijają tygodnie, potem miesiące – trzy, sześć...

I oto w samo południe pewnego grudniowego dnia 1424 roku spełnia się to, czego tak się obawiano. Na drodze wiodącej na przylądek podnosi się tuman kurzu wzbijany przez oddział jeźdźców, którzy najwyraźniej pędzą co koń wyskoczy. Na murach odzywają się trąbki. Podwajają strażę. W blanku bramy wjazdowej kapitan Rodrygo de Luna osłania dłońią oczy i liczy nadjeżdżających, którzy przegalopowali już po złotym piasku plaży, poniżej wioski. Na czele galopuje ktoś, kogo nigdy dotąd nie widział, ale kogo natychmiast rozpoznaje: wielki czerwony kapelusz z czarnymi frędzlami przywiązany tasiemką pod szyją podskakuje na szerokich barach. Kapitan cicho klnie, ale zarazem śmieją mu się oczy, bo wcale nie przepada za papieżem Munosem. Ten, który nadjeżdża, jest człowiekiem całkiem innego pokroju i to prawda, że może imponować: Jan Carrier, kardynał z Rodez i Saint-Etienne! W gołych dłoniach mocno trzyma cugle.

Czarna broda okalająca policzki podkreśla surowe rysy. Jest coś chłopskiego w tej grubo ciosanej twarzy. Prosty nos, silnie zarysowane wargi, zbudowany jak drwal. Nawet w tych czasach, gdy książęta Kościoła noszą zbroje i wyciągają miecze, nie wygląda na prałata.

To urodzony przywódca, powołany, by prowadzić żołnierzy do szturmów albo kierować powstaniem. Jego wzrok nie ślizga się po powierzchni rzeczy i ludzi, ale gwałtownie przenika na wylot.

Rybacy z wioski to wyczuwają: kobiety klękają przy drodze, mężczyźni żegnają się znakiem krzyża. Takiemu można zawierzyć. Szkoda, że to nie on jest papieżem!

Kardynałowi Carrierowi towarzyszy trzydziestu jeźdźców i spory zaprzęg mułów obładowanych skórzanymi kuframi ze sprzętem obozowym. Większość przybyłych jest uzbrojona, nawet duchowni; mają ubłocone szaty, ale dziarskie miny. Od wszystkich bije pewność siebie doświadczonych podróżników, których nie przerażają ani ludzie, ani wilki, ani przeszkody naturalne. Ich drogę z

Rodez aż tutaj znaczą ciała zabitych królewskich najemników, którzy za złoto papieża Marcina V ścigali ich całą zgrają.

Skład tych dziwnych gości uzupełnia pół tuzina duchownych z palestry kościelnego trybunału w Owernii, ubranych na czarno, w kwadratowych beretach doktorów prawa na głowach.

Lecą iskry spod końskich podków, uderzających o twarde, kamienne zbocze wznoszące się ku fortecy. Jakiś przechylający się przez mur nędznie odziany chłopczyk chce z radości ucałować rękę Jana Carriera; posępne oblicze jeźdźca rozjaśnia się, kardynał z uśmiechem sadza dziecko na koniu, za sobą. I tak wjeżdża do twierdzy.

Rodrygo de Luna wydał rozkazy. Spuszczono zwodzony most, podniesiono kratę, bramę rozwarła na oścież. Od czasów papieża Luni obowiązuje zwyczaj, że gość, nawet król, schodzi z konia i dalej idzie pieszo.

Szmer idzie przez niewielki tłumek, który zebrał się na głównym dziedzińcu: kardynał z Saint-Etienne przekroczył próg konno! Niecierpliwym gestem oddalił starego Bonnefoi, który wystąpił, aby go powitać i zaprosić do sali posłuchań, gdzie oczekuje Sanchez de Munos, w papieskim stroju, w otoczeniu swych kardynałów. Przybysz przygwaźdza spojrzeniem tego odzianego w szkarłat słuźalca. Cóż sobie wyobrażają te szkielety? Że przygnali aż od wodospadów Rouergue do tej skalistej ostrogi wbitej w morze, by składać hołdy oszustowi! Zeskakuje z konia, odwraca się plecami do purpurata, głośno nakazuje, aby nakarmiono w kuchni jego orszak, a potem, nie oglądając się za siebie, biegnie, przeskakując po cztery stopnie, do zamkowej kaplicy.

Tam, przy grobie papieża Luni, ukleknąwszy na zimnej posadzce, odmawia modlitwę za zmarłych, a potem trwa tak, jakby prowadził ze zmarłym długą, milczącą rozmowę. Ma mu tyle do powiedzenia, tyle pytań do zadania.

Spędza tam noc.

O świcie decyzja jest już podjęta, ale realizacja wymaga trochę czasu.

Przepędzając kancelaryjnych kopistów, sześciu sędziów z trybunału kościelnego zabiera się zaraz do pracy. Sprawdzają protokół z konklawe. Oczywiście, sfałszowany.

Porównują zeznania świadków, Rodryga de Luni, kapelanów, zakrystianina, trzech sekretarzy, spowiednika „Jego Świątobliwości”. Przesłuchiwani oddzielnie kardynałowie składają sprzeczne zeznania. Skrybowie notują. Strona po stronie. Powoli odsłania się prawda.

Jan Carrier nie miesza się do tego. Ulokował się w tej małej celi na wieży, gdzie mieszkał papież Luna, a którą papież Munos, dbały o wygodę, zamienił na obszerną, lepiej oświetloną komnatę; „Jego Świątobliwość” tkwi tam teraz, dygocząc ze strachu, gryząc paznokcie, grzejąc się przy płonącym dnem i nocą kominku. Jan Carrier nie jest człowiekiem, który boi się zjaw. Przeciwnie: wielki cień Benedykta XIII spowija go jak świetlisty płaszcz. Rzadko się pokazuje. Zamknął drzwi. Modli się. Wspominając papieża Lunę, obcując z jego cieniem w tej celi, gdzie zmarł po tak długiej walce, rycerz staje się mistykiem. Będzie tam przebywał jednaście miesięcy. Przez tych jednaście

miesiący ani razu nie spotka się z papieżem Munosem. Ignoruje go.

Ten zaś początkowo chciał wtrącić przybysza do lochu albo przynajmniej go przepędzić, jednak daremnie, bo dowódca fortecy odmówił wykonania rozkazu. Rodrygo de Luna i Jan Carrier toczą długie rozmowy w celi na wieży. Jeden mówi o Benedykcie XIII, o jego walkach od czasu Awinionu. Drugi słucha. Ci dwaj wojownicy się rozumieją. Kardynałowie nie są traktowani lepiej niż Munos. Jan Carrier zakazał im pokazywać się mu na oczy. Zrobi tylko jeden wyjątek dla starego Bonnefoi, który w dniu, gdy ów przyjezdny trybunał zakwestionował ważność konklawe, jedyny okazał szczerą skruchę.

Stało się to pewnego listopadowego dnia 1425 roku. Rodrygo stawia strażę przy drzwiach komnaty Munosa i dwóch kardynałów, podczas gdy w kaplicy trwają przygotowania do wielkiego pogrzebu, którego wspomnienie przechowa się w dossier Benedykta. Zimna wilgoć błyszczy na ścianach. Żywica płonąca w pochodniach rzuca migotliwy blask na grupę mężczyzn klęczących przy grobie papieża Luny. Dwaj duchowni przynoszą wielką świecę, która oświetla trzeciego, w czerni: ten odczytuje po łacinie długi dokument. Padają słowa: świętokupstwo, kontaktowanie się ze światem zewnętrznym, zastraszanie, przemoc moralna, groźby przemocy fizycznej. Miażdżące oskarżenia.

– I uznajemy świętokradczy wybór Sancheza de Munos zwałego się Klemensem VIII, za nieważny i niebyły – konkluduje notariusz trybunału.

Jednak działać trzeba szybko. Szpiedzy na żołdzie Rodryga donieśli o ruchach wojska, kilka godzin marszu od Peniscoli.

Uprzedzony o obecności w twierdzy Jana Carriera, król Alfons postanowił przyjść z pomocą swemu kieszonkowemu papieżowi.

Carrier ryzykuje, że wpadnie w pułapkę.

Powstaje z kolan. Przynoszą mu Pismo Święte, na które przysięga powiedzieć całą prawdę. Płomienie świec i pochodni drżą, w kaplicy panuje nastrój katakumb. Czy to początek? Czy koniec? Twarze zebranych promieniają wiarą pierwszych chrześcijan, skupionych ciasno wokół swego apostoła. Czy to schizma w schizmie? Długo jeszcze będzie się stawiać to pytanie. Nie mógł nie stawiać go sobie Jan Carrier. Od swych wiejskich przodków przejął owo poczucie rzeczywistości, trzeźwą ocenę tego, co możliwe. Na to pytanie odpowie. Ilu jest tu tych, którzy go teraz słuchają, przemarzniętych do szpiku kości mimo wełnianych szat i płaszczy z grubego sukna?

Pięćdziesięciu. Jego trzydziestu i dwudziestu z zamku, z Rodrygiem i starym Dom Bonnefoi, który nie może powstrzymać łez wzruszenia. Czy to początek?

Czy koniec? Ponad głowami tych pięćdziesięciu Jan Carrier zwraca się do całego świata chrześcijańskiego. Kto przechowuje prawdę? Tamci tyleż liczniejsi czy ta mała garstka? A ilu ich było u stóp krzyża, w dzień śmierci Pańskiej? Jeszcze mniej niż tych zebranych wokół grobu papieża Luny.

To właśnie mówi mocnym głosem kardynał z Rodez i Saint-Etienne. Że wybór Klemensa VIII jest równie świętokradczy jak wybór Urbana VI w Rzymie, pół wieku wcześniej. Że zabójstwo papieża Luny, z poduszczenia samego diabła, ale na rozkaz Rzymu, pogrąża Marcina V bardziej niezbicie niż jakikolwiek sobór.

Że od tej nocy, 12 listopada 1425 roku Kościół Chrystusowy nie ma już pasterza, więc trzeba go naznaczyć. Że ten obowiązek spoczywa wyłącznie na nim, gdyż jest ostatnim uprawnionym i legalnie powołanym kardynałem, wolnym od winy i niegodnych zobowiązań, ale Peñiscola nie jest stosownym miejscem dla takiego wyboru. Ta świątynia jest już zbezczeszczona sprzedajnością prałatów, zbrodnią świętokradztwa i oszukańczymi intrygami króla. Carrier oświadcza, że rozpocznie konklawe, gdy tylko powróci do siebie, do Rouergue, gdzie lasy i puszcze chronią go lepiej niż mury fortecy, ale że zna już imię świętego, który będzie wybrany i chce teraz, w obecności świadków zapisać imię tego, którego mianuje, przed którym się ukorzy, któremu ucałuje stopę i przyrzeknie wierność...

Dossier Benedykta przechowało to imię. To naprawdę był święty człowiek.

Zbliża się świt. Czas nagli. Trzeba wykorzystać tę resztkę nocy, by zmylić królewskie patrole.

– Dlaczego nie chcecie iść z nami? – pyta Jan Carrier Rodryga de Lunę.

Kapitan wskazuje na kamienną płytę z herbem Benedykta XIII.

– Jestem strażnikiem grobu, ekscelencjo. Znam papieża Munosa. Nie mogąc ukarać żywych, będzie mścił się na zmarłym.

Na głównym dziedzińcu ożywiły się ludzkie cienie. Mulnicy, przeklinając po cichu, objuczają zwierzęta. Jan Carrier, jak przystało na dowódcę, zachowuje czujność i ma baczenie na wszystko. Spozstrzegłszy z boku jakieś dwa dodatkowe muły obładowane skórzanymi workami, dziwi się:

– Nie są nasze. Czyje to zwierzęta?

– Obecnie należą do was, Ekscelencjo – wyjaśnia Rodrygo. – To skarb papieża Luny.

Z tego drugiego, tam, w piwnicy, nigdy nie korzystał.

Pożegnanie jest krótkie. Owinięto szmatami końskie kopyta, pochowano miecze i kusze, by uniknąć najmniejszego hałasu.

Z blanki głównej bramy Rodrygo spogląda w ślad za odjeżdżającą kawalkadą.

Maszerując nocą i sypiając za dnia, Jan Carrier unika wszystkich zasadzek. Skracając drogę, idzie na północ, przez Pireneje, przez Corbieres i Cevennes, wybierając strome ścieżki katalońskich łowców wilków i pasterzy, których przodkowie płonęli na stosach Montsegur. Pośród tej dzikiej ludności wielu chce mu towarzyszyć. Przyjmuje tylko najsilniejszych. Spieszy się. Ma tylko jedno pragnienie: jak najszybciej wyznaczyć następcę papieża Luny.

I Trudno dziś postawić się na miejscu Jana Carriera, wyobrazić sobie jego uczucia.

Dzisiaj wiara jest już tylko kwestią moralną.

Tamci ludzie wierzyli całym swym jestestwem. Bezużyteczne byłoby także porównywanie tamtych wydarzeń z podobnymi współczesnymi, skądinąd stukrotnie niższej rangi: forma, z której był odlany Jan Carrier, została już rozbita...

O świcie do Peniscoli dotarły oddziały aragońskie i otoczyły twierdzę.

Odzyskawszy władzę, papież Munos zemści się na najsłabszym. Za wszystko zapłaci kardynał Bonnefoi. Starzec zostaje wtrącony do lochu.

Ta komedia potrwa cztery lata. Każdego ranka Sanchez Munos przebiera się za papieża, a jego kardynałowie – za kardynałów. To ich główne zajęcie. Po mszy forteca okrywa się, jak wielką kapą, bezmierną, nużącą ciszą. Rodrygo zajmuje się zaopatrzeniem fortecy i ogranicza działania swej zbrojnej drużyny do strażowania przy grobie papieża Luny. Munos jest już tylko marionetką w rękach króla Alfonsa. Gdy ten wreszcie przestanie nim grać, będzie to koniec Klemensa VIII. Wszyscy czekają na tę chwilę. Wszyscy spodziewają się tego, począwszy od samej „Jego Świątobliwości”: widząc, że zapłata się opóźnia, obawia się, że zostanie wystrychnięty na dudka. Ma wokół siebie ledwo dziesięciu duchownych, w tym dwóch kardynałów i tego trzeciego, gnijącego w więzieniu. I wreszcie rankiem 26 lipca 1429 roku po raz ostatni pod murami Peniscoli słysząc trąbki: obwieszczają przybycie legata papieża Marcina V.

Kardynał Foix jest wpływową osobistością. Przybył prawie jako sąsiad. Towarzyszy mu liczna eskorta. Nie ma zamiaru zasiedzieć się tu zbyt długo. On także wjeżdża konno aż na sam główny dziedziniec i do sali posłuchań wchodzi w długich butach do konnej jazdy, jego kroki na kamiennej posadzce odbijają się głośnym echem. Mierząc wzrokiem oszusta strojnego w tiarę, siedzącego na papieskim tronie, każe również sobie przynieść stosowne podwyższenie i stawia tam swój fotel, na tej samej wysokości co „Jego Świątobliwość”. Teraz, w zmienionych dekoracjach, akcja toczy się bardzo szybko.

Klemens VIII trzyma się roli. Jakim nędznikiem by nie był, to przecież nie chce zepsuć swojego odejścia. Jeszcze choć kilka minut pobędzie papieżem...

I wtedy właśnie rozgrywa się owo zadziwiające widowisko: papież Munos wypowiada w nienagannej łacinie formułę ekskomuniki, którą papież Luna i on sam, wcześniej, obłożyli papieża Colonnę. Legat zniecierpliwiony wzrusza ramionami. Czy te pozory mają jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? Darujmy sobie! Darujmy sobie! Munos wstaje więc i oświadcza wreszcie:

– W sposób nieprzymuszony i dobrowolny, nie ze względu na jakiegokolwiek obietnice, lecz przez wzgląd na cześć Boga i jedność Kościoła postanowiliśmy z pomocą Boską uroczyście, słowem i na piśmie zrzec się godności pontyfikalnych.

Słowa „nie ze względu na jakiegokolwiek obietnice” wywołują uśmiech legata, ale w końcu najważniejsze, że sprawa załatwiona, zapomnijmy już o tym tu papieżu! Cóż jeszcze? Cóż chce on

jeszcze dodać? A, bullę papieską, jedyną, jaką kiedykolwiek wydał! Bullę okolicznościową. Legat się zgadza. Niech mówi dalej. Ta bulla zaczyna się zresztą całkiem niezłe: „Niezbadane wyroki Boskie, jakże tajemnicze są wasze ścieżki...”

To oczywiste, sens tych słów sięga głębiej, niż się na ogół sądzi. Bo można w końcu zapytać, z jakich tajemniczych powodów ów rzymski papież, Marcin V, uważany za jedyne i prawdziwego papieża przez całe chrześcijaństwo – za wyjątkiem Jana Carrierera

– posłał swego legata do Peniscoli z tym jednym, jedynym zadaniem: aby wymógł abdykację fałszywego papieża oraz – w dwanaście lat po swym własnym wyborze! –

pozyskał głosy tych trzech ostatnich kardynałów Klemensa VIII (łącznie z głosem biednego Bonnefoi, który ośleplszy, opuścił lochy), od których kardynał Foix odebrał

zaraz uświęconą formułę: „Mianuję naszego brata Odonne’a Colonne papieżem i biskupem rzymskim”... Czyżby jednak Marcin V uważał, że został wadliwie wybrany?

Papież Munos wyszedł tylnymi drzwiami. I – jak te figurki ze starych barometrów –

wszedł za chwilę innymi drzwiami, ubrany już w strój zwykłego biskupa. Od razu złożył

hołd legatowi. Pozostanie już biskupem, najpierw Majorki, potem Gerone, gdzie umrze w 1477 roku, nie uzyskawszy żadnego okruszka z tego skarbu, który natychmiast powędrował do Rzymu.

Sztuka odegrana. To zero już się nie liczy. Pozostaje jednak ów majestatyczny cień papieża Luny. Kardynał Foix wie, co robi.

To może nawet główny cel jego misji. Przede wszystkim zarządza, by na jego oczach i bezzwłocznie skuto z murów, poczynając od bramy głównej, wszystkie kartusze i herby, na których widnieje tiara, dwa klucze i półksiężyc. Potem, również „na jego oczach i bezzwłocznie”, każe zniszczyć papieską pieczęć Benedykta XIII, skruszyć ją tłuczkiem w moździerz, a także spalić chorągwie Luny i przetopić w piecu metalowe części uprząży papieskiej kawalerii, na których widnieje ów przeklęty półksiężyc. Nic nie umyka jego uwadze. Potem obraca swój gniew przeciw ludziom. Ostatni kancelaryjni mnisi kopiści zostają rozesłani oddzielnie do odległych klasztorów, z nakazem, by na zawsze zapomnieli o sobie nawzajem. Rozproszeni zostają także rybacy z wioski i ich rodziny, jako poplecznicy i poddani Luny. Nikt nie pyta ich o zdanie. Oddziały legata dopilnują tego wysiedlenia. Godzina na zebranie dobytku i wynocha... Byleby w Peniscoli nikt już nie pielęgnował wspomnień o papieżu Lunie.

Pozostaje grób Benedykta XIII.

Ta partia jest trudniejsza. Rodrygo i jego łucznicy nie są usposobieni do ustępstw.

Zaczynają się układy. Płyta nagrobna będzie zniszczona, ale ciało zostanie przewiezione do zamku Illueca, gdzie urodził się Piotr de Luna.

Legat wymógł, aby grób otworzono w jego obecności. W celu zidentyfikowania ciała zebrali się w kaplicy: Rodrygo de Luna, spowiednik zmarłego papieża, jego medyk, a także oficerowie króla Aragonii, którzy niedawno byli przyjmowani w Peniscoli; prócz tego było tam trochę zamkowej służby, kilka zakonnic, czterech mnichów trzymających zapalone świece oraz garnizonowi łucznicy, starzy wojacy z twarzami pobladłymi teraz ze wzruszenia. Gdy zdjęto kamienną płytę, ukazała się trumna, ciężka, ołowiana, z wiekiem przykręconym srebrnymi śrubami. Rodrygo odkręcił je po kolei. Trzeba było dwóch mężczyzn, by unieść wieko. Twarz i pierś Piotra de Luny były nakryte chustą z czerwonego jedwabiu, która w kontakcie z powietrzem natychmiast rozpadła się w proch.

Zamigotały płomienie świec i w kaplicy zapadła nagle niezwykła cisza. Oblicze papieża Luny pozostało nietknięte. Ledwo poźółkłe. Nieuchwytny uśmiech na rozchyłonych wargach zdawał się mówić: „O ludzie małej wiary...”. Dłonie miał

zaciśnięte na różańcu, jakby przez te sześć lat nie przestał się modlić. Rodrygo uklęknął, a za nim prawie wszyscy pozostali, oficerowie, notariusze. Mdły zapach wydobywający się z trumny napełniał całe sanktuarium. Tylko kardynał Foix stał nieporuszony.

– Czy zabalsamowano ciało? – zwrócił się do Rodryga.

– Na honor, nie! – odpowiedział kapitan.

Wtedy z kolei kardynał ugiął kolano i przeżegnał się. Po tylu latach waśni i walki, czyżby wypowiedział się Wieczny? Kardynał opuści Peniscolę zamyślony, też zadając sobie pytanie o te „tajemnicze ścieżki niezbadanych wyroków Boskich”. A tymczasem zwłoki papieża Luny, przełożone do zwykłej drewnianej skrzyni, przetransportowane zostaną nocą do Illueki i złożone w komnacie, gdzie się urodził, którą teraz przekształcono w kaplicę...

Rok 1813: wielki odwrót.

Armie Napoleona cofają się na wszystkich frontach. Cesarz został pobity pod Lipskiem i jego armia w odwrocie przekracza Ren. Zbliża się koniec. W Hiszpanii Wellington wyzwolił prowincje baskijskie i sposobi się do najechania Francji, podczas gdy po drugiej stronie Hiszpanii, w Aragonii, armia angielsko-hiszpańska pod dowództwem lorda Bentwicka, wspierana przez potężną flotę, szybko postępuje wzdłuż wybrzeża; Francuzi pod wodzą marszałka Sucheta wycofują się na coraz to nowe pozycje, wysadzając w powietrze magazyny. Francuzi są znienawidzeni, tak w Aragonii, jak w całej Hiszpanii. Biada patrolom, które pomylą drogę, łącznikom, którzy się zgubią, maruderom. Mnisi mordują powierzonych sobie rannych. Dziewczęta oddają się oficerom, a potem podrzynają im gardła, w jeszcze ciepłej pościeli. Pięcioletni chłopcy służą za tropicieli i szpiegów. W wioskach zza zamkniętych okiennic strzelają w plecy wycofujących się żołnierzy. Wet za wet, represje są natychmiastowe. Rozstrzeliwuje się bez sądu, pali klasztory.

Dnia 16 grudnia tego roku dowódca batalionu Renand z siódmego regimentu piechoty, komendant twierdzy Peniscola otrzymuje od generała Mesclopa rozkaz porzucenia tej placówki.

Była wspaniała w epoce galer i kolubryn, ale teraz jest już tylko pustą muszlą, zwykłymi koszarami, po których hulają wiatry, pozbawionymi jakiegokolwiek strategicznego znaczenia. Ponieważ nadciągnęły już chłody zapowiadające ostrą zimę, zziębnięci żołnierze spalili wszystko, co pozostało jeszcze z kaplicznych stalli i boazerii sali posłuchań, nie mając najmniejszego pojęcia o wielkości postaci, która była panem tych okolic cztery wieki wcześniej. Tylko dowódca batalionu Renand, były sankiulota, typ dość ograniczony, stary szabrownik opustoszałych plebani, który słyszał, jak mówił

o papieżu Lunie pewien mieszkaniec wioski, nieco bardziej rozmowny od innych, chwali się teraz każdemu, kto chce słuchać, że „śpi w łóżku zabobonu”, co zresztą jest tylko wymysłem: śpi, jak i jego ludzie, na słomie. Nie jest więc zmartwiony, że trzeba się stąd wynosić.

Nie wie i nigdy nie dowie się, że oto stał się narzędziem losu, niczym ów rzymski centurion, świadek śmierci Jezusa, przez którego spełni się proroctwo.

Ostrzał z okrętów brytyjskiego admirała Hallowella uniemożliwia odwrót wzdłuż wybrzeża. Francuzi nie mają już artylerii, by odpowiedzieć ogniem. Lepiej zaryzykować zasadzkę niż masakrę pod kulami. Będą więc wycofywać się przez hiszpański interior.

Rozkaz odwrotu wydany przez generała Mesclopa wyznaczył etapy tego odwrotu: dla siódmego regimentu piechoty pierwszym etapem jest miasteczko Illueca, o jeden dzień marszu na północ. W takich właśnie okolicznościach dowódca batalionu Renand, na czele pięciuset obdartusów pozostałych z całego regimentu, opuszcza wczesnym świtem koszary w Peniscoli i uczestniczy, nawet tego nie przeczuwając, w symbolicznym pościgu, poprzez czas i przestrzeń, po trzystu osiemdziesięciu czterech latach i po tej samej drodze – za ową trumną, którą Rodrygo de Luna i jego aragońscy łucznicy eskortowali na miejsce ostatniego spoczynku Jego Świątobliwości papieża Benedykta XIII, do jego zamku w Illueca.

Lunowie byli potężnym rodem. Bohaterami rycerskich pieśni.

Ich córki poślubiały królów. Mężczyźni bywali wodzami albo arcybiskupami, a często jednym i drugim. W XII wieku, u zarania rekonkwisty, pierwszy arcybiskup Saragossy, o nazwisku Luna, odzyskał swą diecezję z bronią w ręku. Matka Piotra de Luny była wnuczką mauretańskiego króla Majorki, Said-ben-Alhakena, który stał się więźniem króla Jaime i musiał przyjąć chrzest. Aby nie zapomnieć Majorki, posadziła w ogrodzie w Illuece granatowce i figowce, które przypominały jej pałac dziadka, a na które lubiła spoglądać z okna swej komnaty młodej położnicy. Ta właśnie komnata została później zamieniona w kaplicę w zamku odbudowanym staraniem Rodryga de Luny. W tym zamku będącym swoistym sanktuarium nikt jednak już nie mieszkał i nie było już żadnych mebli. Od monumentalnej bramy z pilastrami, zdobionej pierścieniami z brązu i złota wykutymi w Italii, okazała marmurowa posadzka wiodła przez przedpokój i korytarze do tej właśnie kaplicy. Tam zaś pośród nagich ścian znajdował się tylko prosty krzyż i ołtarz, a po środku – na drewnianym stelażu – skromna trumna z desek, trumna papieża Luna.

Gdy po całodziennym, wyczerpującym marszu siódmy regiment piechoty dotarł na nocny biwak do Illueki, był zdziesiątkowany: w stoczonych po drodze potyczkach z nieregularnymi oddziałami hiszpańskimi zginęło wielu żołnierzy. Ci, którzy przeżyli, słysząc, że będą kwaterować w zamku, wyobrażali sobie, że pouczują wokół dobrze rozpalonych kominków, wytoczą baryłki z piwnicy,

odszpuntują i poswawolą z przerażoną służbą. To, co ujrzeli, zupełnie ich załamało. Zamkowe straże pouciekały.

Ani jednego mebla, którym można by napalić w kominkach. Ani kawałka mięsa, żeby włożyć do ust. Niczego do zrabowania. Dla zdemoralizowanego oddziału w odwrocie –

istna rozpacz. Wtedy właśnie sierżant Lainiel, z wołyżerów, który wraz z trzema kompaniami przetrząsał pierwsze piętro, wychylił się z okna na dziedziniec i krzyknął:

– Panie komendancie! Panie komendancie! Jest tu jakiś gość na górze! – I zaśmiał

się: – Ale chyba dawno umarł.

Wraz z kompaniami zdjął wieko trumny i zameldował dowódcy:

– Dobrze, suche drewno. Będzie pan miał płomyczek, komendancie. – I bez skrępowań wywrócił trumnę. Kości rozsypały się po ziemi. Nie doleciał z trumny żaden mdły zapach. Ani śladu po ubraniu, nawet rozsypanym w proch. Czaszka potoczyła się jak piłka, gubiąc dolną szczękę. Renand podniósł ją i obejrzał, trzymając w dłoni. Ta scena nie miała w sobie jednak nic z Hamleta. Można by raczej pomyśleć, że Renand ogląda melony na straganie. Był nie bardziej wzruszony... Nie była to jego pierwsza cmentarna profanacja. W dziewięćdziesiątym trzecim zabawiał się już po zamkach i klasztorach.

– Kim jest ten obywatel? – zapytał drwiąco.

– Jest jakieś nazwisko na tym wieku – odrzekł Lainiel, odwracając leżącą na posadzce deskę.

Oficer przeczytał wygrawerowany na tabliczce napis: PEDRO DE LUNA Y ARAGON U ILLUECA MCCCXXIV; PENISCOLA MCDXXIII PONT.

BENEDICTUS XIII - .A MCCCXCIV-MCDXXI

Chociaż mało obeznany z rzymskimi cyframi, zrozumiał jednak resztę.

– Patrzcie no! – zawołał ze śmiechem. – Jak to się odnaleźliśmy! To przecież papież Luna z Peniscoli. Armia francuska szanuje papieży!

To mówiąc, podrzucił czaszkę w dłoniach. Pius VI, zrzucony z tronu w 1798 przez oddziały generała Berthiera i włóczony bezlitośnie od miasta do miasta jako jeńiec, pod strażą szydzących z niego mameluków, aż do Valence-du-Rhône, gdzie zmarł ze zmartwienia w 1799 roku. Pius VII, aresztowany w 1809 roku przez grenadierów generała Miollisa, został wywieziony siłą poza Rzym, przetrzymywany w Savone, a od 1813 roku w Fontainebleau...

– I do trzech razy sztuka! – pękał ze śmiechu Renand – Trzymaj! Łap! – zawołał do Lainiela.

Czaszka przechodziła z rąk do rąk, rzucali ją sobie jak piłkę.

Dossier Benedykta zawierało ich nazwiska: poza Renandem i sierżantem Lainielem było to trzech wołyżerów z siódmego regimentu piechoty: Poujol, Bruyere i kapral Aubier. Przez tę piątkę wypełniło się proroctwo św. Wincentego Ferreriusza, który rzekł

niegdyś do Piotra de Luny: „Jesteś prawdziwym papieżem, ale musisz ustąpić, bo inaczej żołnierze będą grać twoją czaszką w pelotę”.

Szybko się znudzili. Już nie grali. Śmiech zaczął brzmieć fałszywie. Noc zapowiadała się długa. Jedzenie podłe. Francja była daleko, a po drodze wrogi kraj ogarnięty powstaniem.

Czaszka potoczyła się w kąt. Kopnięto i w kąt resztki kości, najprawdopodobniej bez wielkich wyrzutów sumienia. Będzie jednak trochę ognia z tych desek i z tego drewnianego stelaża...

Dowódca batalionu Renand zginął nazajutrz. Pocisk ze sztucera trafił go prosto w głowę. Strzał oddano z tak bliska, z za żywoplotu przy drodze, że czaszka rozprysła się jak arbuz. Co do kaprała Aubiera – kilka dni później dostał się do niewoli, schwytyany w zasadzce przez nieregularny oddział Katalończyków i odtąd nie było już o nim żadnych wiadomości. Wołyżerowie Bruyere i Poujol wpadli w ręce Anglików i zostali lepiej potraktowani. Tyfus zabrał ich z tego świata, gdy oczekiwali końca wojny w pływającym więzieniu w barcelońskim porcie. Tylko sierżant Lainiel ocalał. Wtedy, gdy siódmy regiment piechoty ponosił tak olbrzymie straty podczas morderczego odwrotu, Lainiel nie wiązał losu swych czterech kompanów z tą makabryczną zabawą w Illuece, tym bardziej że oczywiście nie znał proroctwa Wincentego Ferreriusza. Po powrocie do domu, do swego poczciwego Issoudun, tylko raz o tym pomyślał. Nie żeby ten niepoprawny ateista i republikanin się nawrócił. A jednak – w roku swej śmierci, przeczuwając, że odchodzi – poszedł do księdza Crozat, prałata w Issoudun, i opowiedział mu o całej sprawie.

Ta właśnie relacja znalazła się w dossier Benedykta.

Senez, Górna Prowansja, 1994

W połowie drogi między Barreme a Castellane, pośród stromych pagórków leży to dziwne miasteczko, Senez...

Jak w tylu innych, wysoko położonych miasteczkach na południu Francji, życie tam jakby zamarło. Z dwóch tysięcy mieszkańców pozostało stu dwudziestu jeden, w tym czternaścioro dzieci, których szkole grozi zamknięcie.

Tylko w centrum miasteczka zachowało się jeszcze około czterdziestu domów.

Reszta zrównała się już z ziemią; mała Pompeja, choć obeszło się bez wulkanu, nie był

potrzebny żaden wybuch, żadne strumienie lawy. Wystarczyła planowa zagłada świata rolniczego. Od zakończenia wojny Senez straciło pocztę, kilka kawiarni, biuro notariusza, prawie wszystkich gospodarzy (za wyjątkiem jednego), warsztaty rzemieślnicze, probostwo, posterunek żandarmerii i

ranę stolicy kantonu, symbol minionej ważności. Już wcześniej, w 1790 roku, rewolucja wykreśliła miasteczko Senez jednym pociągnięciem pióra z listy biskupstw, ostatni miejscowy biskup wyemigrował, a jego kanonicy i administracja rozjechali się, by nigdy już nie powrócić.

Senez, antyczne rzymskie Sanitium – nazwa pochodziła od pewnego celtyckiego plemienia, które przyjęło chrześcijaństwo – było stolicą jednego z najstarszych biskupstw Francji. Marcellus, biskup Senez, uczestniczył w 506 roku w soborze w Arles.

Ten łańcuch nie został zerwany, tworzy go prawie dwustu biskupów, od tegoż Marcellusa po Piotra, towarzysza Karola Wielkiego, i od tego Piotra do Elzeara, od Elzeara do Ponsa, potem Jana Soanena, biskupa-jansenisty, Jana d’Oraisona, Jakuba Martina; dalej szli arystokraci: de Mouchy, de Vocance, de Volx, d’Adhemar de Castellane; linia arystokratyczna kończyła się na Rufinie de Bonnevalu, ostatnim biskupie i panu w Senez. Ich cienie są jednak wciąż obecne wśród tych niewielu żywych krzątających się jeszcze po uliczkach tego miasteczka... Wszystko bowiem, co tutaj przetrwało, stanowi ich dziedzictwo. Na niewielkim pustym placu tryska stara fontanna i stoi dom – mieściło się tu niegdyś seminarium; nieco dalej stał budynek kapituły, rezydencja notariusza apostolskiego, probostwo – a po drugiej stronie rzeki: pałac biskupi, do dziś nazywany „zamkiem”, wspaniały zabytek osiemnastowiecznej architektury, dziś niefortunnie przebudowany. Spacerując po Senez wśród panującej tu ciszy, łatwo sobie wyobrazić niegdysiejszy gwar i krzątanie; procesje z biskupem pod baldachimem, przy dźwięku świątecznych dzwonów, proboszczów z okolicznych górskich parafii załatwiających swe sprawy w miasteczku i dosiadających na oklep mułów, seminarzystów w ozdobnych kołnierzykach, gwarzących przy tej fontannie podczas przerwy w lekcjach...

Potem kurtyna opadła. Tamta sztuka nigdy już nie będzie grana w Senez.

Na brzegu rzeki, po drugiej stronie mostu wiodącego do pałacu, wznosi się katedra Notre-Dame-de-L’Assomption. Zbudowana na polecenie Karola Wielkiego, ukończona u schyłku XII wieku, raczej niewielka o czystej romańskiej formie z charakterystycznym półsklepieniem absydy i solidną, kwadratową dzwonnica – dziś katedra w Senez jest na głucho zamknięta.

Nie ma już biskupa, nie ma proboszcza i pozostało niewielu wiernych, ale wokół tej odwiecznej, bezużytecznej katedry, wśród ostatnich mieszkańców Senez, błąka się jeszcze pamięć o jego dawnym znaczeniu, pamięć, która – jak dawna wiara – przetrwała, niczym tłący się jeszcze płomień, właściwie sam żar, w którym migają jednak przebliski tamtej duszy. Mieszkańcy Senez zachowali więc swą katedrę, choć pustą. W ciągu wieków tak wielu próbowało ją zniszczyć: Saraceni, bandy najemników, hugenoci, rewolucjoniści... Najpierw mieszkańcy ją odbudowali. Topili w niej z roku na rok wielkie sumy jak na skromny budżet swej dogorywającej gminy. A potem ją zamknęli.

Zamknęli z powodu rabunku.

Nastał bowiem czas nowych barbarzyńców, nie kierujących się nienawiścią ani żadną inną namiętnością: tacy są najgorsi.

Kiedyś, jeszcze niedawno świętokradztwo miało tę zdumiewającą cechę, że winni jego popełnienia

przynajmniej sobie uświadamiali, czego się dopuścili, co samo w sobie było jakimś doświadczeniem wiary. Ci zaś, którzy niedawno obrabowali tę samotną katedrę w Senez, jak wiele innych odosobnionych świątyń we Francji, nie należą już do ludzi tamtego pokroju.

Zerwane bez skrpułów ze ścian i skradzione cztery gobeliny flandryjskie zdobiły tę katedrę od XVI wieku. Odkute dłutem od głównego ołtarza i skradzione cztery figury z połączanego drewna, wśród nich figura św. Ludwika, zostały wywiezione z kraju i sprzedane teksańskiemu czy japońskiemu kolekcjonerowi. Obecnie nowoczesny system zabezpieczeń chroni to, co jeszcze pozostało, ale za to dniem i nocą katedra jest zamknięta.

Klucz do niej ma mer miasteczka...

O tym wszystkim pan Heurtebise, sympatyczny emeryt, mer miasteczka Senez opowiedział rudemu księdzu, który pewnego ranka wysiadł z czarnego samochodu, zapukał do drzwi w chwili, gdy mer Heurtebise kończył śniadanie, i przedstawił się:

„Ojciec Włodzimierz Nykas”. Nie było niczego dziwnego w tych odwiedzinach.

Tabliczka umieszczona na drzwiach świątyni informowała, że aby zwiedzić katedrę, trzeba zwrócić się do mera, przewodniczącego Stowarzyszenia Przyjaciół Katedry w Senez, i jednocześnie zachęcała do wstępowania do tego stowarzyszenia. Mer jak to mer: czasem był w domu, a czasem go nie było, czasem miał wolną chwilę, a czasem był

zajęty, ale przeważnie jednak był na miejscu.

Lubił ją, tę swoją katedrę. Był jej panem i sługą. Mówił o niej z dumą. Miał także pewne rachunki do uregulowania.

– Nie jestem zbyt praktykujący, ale zawsze! Gdyby biskup z Digne, który nigdy nie odprawił tutaj mszy, doceniał sens symboli, nie pozbawiłby naszego miasteczka, liczącego przeszło tysiąc siedemset lat, tytułu siedziby biskupiej! W końcu jest biskupem nie tylko Digne, ale również Senez!

– Tak, również Senez – potwierdził ksiądz i dodał: – I Riez, i Sisteron, i Glandeves i Thorame. Tak właśnie w Watykanie, w oficjalnych dokumentach do dzisiaj określa się diecezję Digne. Rzym nie zapomniał. Te pięć diecezji, które zniknęły w Górnej Prowansji...

Mer zdziwił się:

– Ach, więc ojciec wie o tym?

– Wiem o tym i jeszcze o kilku innych sprawach. Leżą niejako w moich kompetencjach – odpowiedział ojciec Włodzimierz.

Po chwili zastanowienia, wążąc „za” i „przeciw”, czując instynktowne zaufanie do starego mera i zdając sobie sprawę, że prędzej czy później z pewnością będzie potrzebował jego pomocy, postanowił odkryć kilka kart.

– Nie jestem turystą. Przesłano mnie z Rzymu. Nie mogę chwilowo wyjaśnić panu wszystkiego, ale tam bardzo się interesują pańską katedrą i... – Wyjął z kieszeni watykański paszport dyplomatyczny i list polecający od sekretarza stanu, proszący cywilne władze francuskie o życzliwość dla ojca Włodzimierza Nykasa, attache nuncjatury w jego misji informacyjnej *etc.* – ... i chciałbym, żeby miał pan do mnie zaufanie. Proszę to przeczytać.

Gdy mer przeczytał i oddał mu dokumenty, ojciec Włodzimierz dodał:

– W miarę rozwoju sytuacji powiem panu więcej. Chodzi o sprawy natury duchowej.

Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję?

Mer Heurtebise był zaintrygowany i zachwycony. Podobała mu się tajemniczość związana z jego katedrą. Obiecał zachować milczenie i dodał:

– Proszę pójść ze mną, ojcze, ja ojca oprowadzę.

Trzyminutowy spacer, bo miasteczko maleńkie. Mer Heurtebise zamieszkiwał

„zamek”, a raczej trzymającą jeszcze pion część tego dawnego pałacu biskupiego, którą wyremontował własnym kosztem, usiłując przywrócić tej części fasady trochę niegdysiejszej szlachetności i dostojęstwa. Zeszli w dół aleją wysadzaną drzewami i przeszli przez mostek zbudowany jeszcze na użytek biskupa. Po drodze mer opowiadał

o Adhemarze de Castellane, którego herby na frontonie portalu potłuczono za rewolucji.

Opiekun katedry, strażnik klucza i lokator pałacu w jednej osobie – mer Senez był jakby po trosze ich dziedzicem i ta rola mu odpowiadała. Był kimś w rodzaju biskupa *inpartibus*.

W świątyni czynił honory pana domu. Katedra była dobrze utrzymana, posadzka zamieciona, ołtarz przykryty haftowanym obrusem, dwa rzędy stalli z oparciami w kształcie koźlej głowy, gdzie sadowiły się pokolenia kanoników. Zachowała atmosferę charakterystyczną dla tych zeświecczonych sanktuariów, gdzie przeszłość nie umiera i jest jakby namacalna; niewidoczna, ale obecna. Gdyby czas się cofnął i katedra znów się zapełniła, każdy znalazłby tam swe utracone przed wiekami miejsce. Mer uniósł

haftowany obrus okrywający kamienny ołtarz, odsłaniając biegnący dołem napis wykuty rzymskimi literami:

RMUS IN CHRISTO PATER DOMINUS IOANNES SOANEN EPISCOPUS

SENECENSIS ME CONSACRAVIT AN. MDCCYI. A P R DIE XIV, Jan Soanen, biskup Senez, jako jansenista wygnany w 1727 roku do La Chaise-Dieu...

Ojciec Włodzimierz przypomniał sobie fragment z dossier Benedykta poświęcony biskupowi Soanenowi, ten list, który napisał kilka miesięcy przed śmiercią, trzęsąc się z zimna, zrozpaczony:

„Traktuję mnie bardzo źle... Karmię podle... Miesiąc temu przybył

ktoś stamtąd... To prosty człowiek... Nosił chrześcijańskie imię – Mateusz, z dodatkiem jednej z tych dawnych nazw pochodzących z Ziemi Świętej, o których już nikt nie pamięta: Gibelet. Mateusz z Gibelet. Wyciągnął ze swej torby stulę, założył ją sobie na szyję i powiedział do mnie: »Ten, który mnie posyła, błogosławi ci«,.. Przypomniał sobie i o tym drugim Gibelecie, Piotrze z Gibelet, ostatnim – być może – żyjącym towarzyszem Benedykta, który, wedle biskupa Cassiniego, odbył niegdyś tę podróż z Senez do klasztoru Sainte-Tarcisse, do grobu papieża Jana Carriera... Nadszedł moment, by zadać wreszcie to pytanie.

– Drogi panie merze, wymienię panu pewne nazwisko. Proszę nie pytać, o kogo chodzi ani dlaczego się nim interesuję. Gibelet. Piotr z Gibelet. Czy to panu coś mówi?

Przysiedli w ławce na końcu głównej nawy, pod rzeźbioną galeryjką, na której Słońce i Półksiężyc, po dwóch stronach Róży o sześciu płatkach symbolizowały upływ Czasu o ludzkiej głowie, brodatej, w biskupim birecie... A może półksiężyc przypominał, iż papież Luna przeciwstawiał się w Senez słońcu papieża Colony? Bo Senez długo trzymało stronę Benedykta XIII.

– Nie, zupełnie nic – odpowiedział mer. – Nie znam nikogo o takim nazwisku.

– A gdybyśmy cofnęli się w czasie? Może przechowało się jakieś wspomnienie o jakimś innym Gibelecie, może o Mateuszu z Gibelet?...

– Też nic mi to nie mówi. W Senez nie ma więcej niż trzydzieści rodzin i nikt tu nigdy nie nosił nazwiska Gibelet.

Ojciec Włodzimierz zastanowił się przez chwilę.

– A czy... powiedzmy, w ciągu ostatnich trzydziestu lat... zdarzały się jakieś... jakieś niepożądane odwiedziny w tej świątyni?

– Ma ksiądz na myśli włamania? Owszem, to się zdarzyło. Dwa razy.

– Nie. Nie o takie wizyty mi chodzi. Raczej o kogoś bez złych zamiarów, kto niepostrzeżenie dostał się do środka, może nocą...

Mer podniósł zdziwiony wzrok.

– Przypominam sobie coś takiego – odrzekł. – Pierwszy raz wybrano mnie merem w 1965 roku. Pewnego ranka zauważyłem, że kilka przedmiotów jest nie na swoim miejscu. Jedna z sześciu świec na ołtarzu jeszcze się paliła. Zapewne ten ktoś zapomniał

ją zgasić. Używał też pięciu pozostałych, bo był воск na lichtarzach. Nie zawiadomiłem policji, bo nic nie zginęło, niczego nie zniszczono. Zmieniłem tylko kłódkę. To się nigdy nie powtórzyło, więc później o tym zapomniałem. Wtedy podejrzewaliśmy Sidonina, ale nie było go u siebie. Wrócił dopiero po kilku dniach, pędząc swoje barany z przełęczu Chasteuil. Był z niego trochę dziwak,

owszem, ale nikt się na niego nie skarżył. Zresztą z nikim nie utrzymywał kontaktów...

Ojciec Włodzimierz nastawił z ciekawością ucha:

– Sidonin?

– Piotr Sidonin – wyjaśnił mer. – Jego matka pochodziła z Senez. Dawno już wyjechała z wioski, niewiele mu tutaj pozostawiając...

Zapadło milczenie.

– On jeszcze żyje? – spytał ojciec Włodzimierz.

– Zmarł prawie dwadzieścia lat temu.

– Ile wtedy miał lat?

– Był po sześćdziesiątce. Żyło mu się ciężko, ale się nie uskarżał. Jadł byle co, niewiele sypiał, stale wędrował po górach, zawsze pieszo. Sidonin. Piotr Sidonin...

– Na tym polegało to jego dziwactwo?

Mer potrząsnął głową, sięgając do pamięci.

– Był dziwny – powtórzył. – Ale nie w tym sensie, że pomyłony. Dziwne było to, że zawsze trzymał się z boku. Niewiele o nim wiedzieliśmy i prawie go nie widywaliśmy.

On nie wychował się tutaj. Miał rodzinę gdzieś koło Rodez. Przyszedł pewnego dnia i zamieszkał w domku pasterskim, trzy kilometry stąd, na końcu ścieżki do Bilioux.

Ziemia tam kamienista, prawie ugór, odziedziczył ją po matce. Kupił kilka baranów i, ot, tak... Mówili, że w młodości był księdzem czy może zakonnikiem, a potem niby wystąpił...

– Kobieta?

– Nie. Nigdy nie słyszeliśmy, żeby miał kogoś. Żył sam. I nikt się nim nie interesował. Tego właśnie chciał. Widywano go tu i tam, na stokach tych gór. Z psem i baranami wyglądał jak postać z szopki... Pewnego ranka pies przybiegł z gór, wyjąc jak potępieniec. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że umarł. Poszliśmy go szukać, z noszami, tą ścieżką. Pochowaliśmy go jak należy, ale nie było mszy, bo ksiądz z Castellane nie chciał się pofatygować.

– Był ktoś z rodziny?

– Nikogo. I nikt się nie upomniał o spadek. Gmina na tym skorzystała.

– Znaleźliście coś w jego domu?

– Niewiele. Tylko siennik, pościel, trochę naczyń kuchennych, świece. Biednie. Dziś już nikt nie żyje w ten sposób. W blaszanym pudełku było dwa czy trzy tysiące franków.

Przekazano je do kasy pomocy w merostwie.

– I nic więcej?

– Na ścianie wisiał krzyż. Włożyliśmy mu go do trumny.

– To wszystko?

– Wszystko.

– Nie było książek? Nie było... – ojciec Włodzimierz zawahał się – Nie było innych przedmiotów religijnych?

– Ani religijnych, ani żadnych innych.

– Nie zdziwiło to was?

– Wtedy nie. Teraz, kiedy ksiądz pyta... Rzeczywiście, zostawił po sobie bardzo niewiele, nawet jak na niego. Może wiedząc, że umiera, wyrzucił inne rzeczy? A, zapomniałem. Nad drzwiami, na belce był wyryty rysunek...

Ojciec Włodzimierz wyciągnął z kieszeni notes, narysował coś szybko ołówkiem, wyrwał kartkę i podał ją merowi.

– To było to?

Mer otworzył usta ze zdziwienia.

– Dwa skrzyżowane klucze i półksiężyc, czy tak? – Ojciec Włodzimierz chciał być pewny.

– Faktycznie – przyznał mer. – Proszę księdza, czy mógłby mi ksiądz wytłumaczyć...

Ojciec Włodzimierz udał, że tego nie słyszy.

– Teraz, panie merze, jeśli ma pan jeszcze trochę czasu, proszę mnie zaprowadzić na cmentarz.

Cmentarz okolony niskim murkiem przylegał do dzwonnicy i po obu stronach głównej alejki cenne gromadził szczątki Isnardów, Heurtebise'ów, Belisaire'ów, Raffeau'ów, Hermelinów, Tartansonów... Jakiś Isnard cieszył się osobnym pomnikiem Bohatera Wyzwolenia. Grób Piotra Sidonina znajdował się na uboczu: skromna płyta z szarego granitu, oznaczona krzyżem i napisem: Tu spoczywa Piotr Sidonin, zmarły w Senez 18 lutego 1974 roku.

Ojciec Włodzimierz złożył dłonie, odmówił De profundis, Kyrie i Pater noster, a potem otworzył kieszonkowy modlitewnik, wydobyty z torby podróżnej, którą miał na ramieniu; przekartkował

książeczkę, aż znalazł rozdział dotyczący liturgii pogrzebowej; zawahał się chwilę, przewrócił jeszcze jedną kartkę i ostatecznie się zdecydował.

Przeczytał na głos:

– Da nobis, Domine, ut animam famuli tui Petro Episcopi, quam de hujus saeculi eduxisti laborioso certamine, Sanctorum tuorum tribuas esse consortem. Per Dominum nostrum Jesum Christum Filium tuum... [Wysłuchaj naszych prośb, Panie, i dopuść do grona Twych świętych duszę Twego sługi Piotra, Twojego biskupa, którego zabrałeś do siebie po trudach doczesnych zmaganiach] (modlitwa za zmarłego biskupa).]

Zakończywszy znakiem krzyża, zapytał mera:

– Uczył się pan kiedyś łaciny?

– Nie, ale co nieco rozumiałem. Po co przyjechał ojciec do Senez?

– Zaczekać tu na kogoś, kto przyjdzie z pewnością pomodlić się przy tym grobie. Na kogoś, kto jest bardzo stary, bardzo zmęczony, kto przeszedł bardzo długą drogę, całkiem jak wasz Piotr Sidonin. Panie merze, kiedy on nadejdzie, byłoby lepiej, żebyśmy byli sami, tylko on i ja, ale gdyby to było konieczne, na pewno zwrócę się do pana o pomoc.

I ostatnia już prośba: czy mógłby mi pan powierzyć na cały dzisiejszy dzień klucz od waszej katedry?

Było już prawie wpół do dziesiątej, gdy ojciec Włodzimierz powrócił do swego samochodu, który zaparkował w pobliżu cmentarza, na małym, zacienionym placu, skąd roztaczał się widok na most. Od razu wybrał numer bezpośredniego telefonu do biskupa Cassiniego w Rzymie.

– Jestem w Senez, ekscelencjo – zameldował. – Odnalazłem Piotra z Gibelet. Na cmentarzu. Nazywał się Piotr Sidonin, zmarł w 1974 roku, a urodził się około 1910 roku, w okolicach Rodez. W jego wiosce uważano go za księdza, który porzucił stan duchowny. Przyszło mi coś do głowy. Pamiętam, że ekscelencja zastanawiał się, w jaki sposób ostatni spośród nich, tak nieliczni, było ich ledwo sześciu czy siedmiu, w dodatku żyjąc tak daleko od siebie, mogli zdobywać niezbędne wykształcenie, bo przecież nikt nie odmawia im prawidłowej formacji... A jeśli zdobywali ją w jakimś seminarium?

Chciałem powiedzieć: w jednym z naszych seminariów?

– Zrozumiałem, nie traćmy czasu – przerwał biskup Cassini. – Ze względu na dramatyczny spadek liczby powołań archiwum seminariów francuskich zostały scalone w Kongregacji Duchowieństwa. Mam do nich dostęp. Będę coś wiedział za godzinę lub dwie. A co z Benedyktem?

– Jeszcze go nie ma, ekscelencjo. Nie ruszam się stąd.

Otworzył brewiarz i zaczął się modlić. To go uspokajało.

Około jedenastej zadzwonił telefon w samochodzie.

– Włodzimierz – powiedział, podnosząc słuchawkę.

– Trafiłeś w dziesiątkę, Włodzimierzu! – obwieścił głos Cassiniego. – Seminarium w Rodez, od 1932 do 1938. Piotr Sidonin otrzymał tam święcenia niższe w roku 1936, a diakonat w 1937.

Opuścił seminarium bez podania powodów w 1938, w przeddzień święceń. Reszty można się domyślić: wykształcony przez nas, wyświęcony przez jednego z nich. Z ich punktu widzenia nie ma tu żadnej nieprawości w filiacji, żadnego błędu w sukcesji apostołskiej, ostatnia deska ratunku tonących. I to zdarzyło się już po raz drugi.

Wcześniej nie potrzebowali nas. Ale trzy lata wcześniej, w 1935 roku... – Po głosie Cassiniego słyhać, że ledwo opanowuje wzruszenie. – Trzy lata wcześniej, też w Rodez i w podobnych okolicznościach, niejaki Gerard de Vallac tuż przed święceniami oświadczył przełożonemu seminarium, że musi się jeszcze zastanowić i że potrzebuje urlopu, zanim poweźmie ostateczną decyzję. Nigdy go już więcej nie widziano.

Włodzimierzu, ach, Włodzimierzu, sądzę, że to właśnie on do nas powraca. Nie zauważyłeś go jeszcze?

Ojciec Włodzimierz pokręcił soczewkami lornetki, zlustrował drogę i most.

– Jeszcze nie, ekscelencjo.

Minęła prawie godzina. Słońce przygrzewało. Piękny, wiosenny dzień. Ojciec Włodzimierz wrócił do lektury, przyłapując się na tym, że już po raz trzeci czyta ten sam werset, nie rozumiejąc treści. Zamknął brewiarz, skrzyżował ramiona na piersi, próbując się opanować. Wreszcie na drodze, tuż przy moście pojawił się jakiś człowiek; szedł

powoli, drobnymi krokami, często przystając. Zaciskając palce na lornetce, aby powstrzymać drżenie rąk, ojciec Włodzimierz obserwował go, z trudem porządkując uczucia, które nim targały: litość, szacunek, poryw serca, ale zwłaszcza zdumienie ogromną dysproporcjamiędzy tym wyczerpanym starcem, przygiętym pod zbyt ciężkim plecakiem, a niepomierną wielkością tego, co sobą reprezentował. Przez dobrą chwilę, gdy starzec wchodził na most, ojciec Włodzimierz siedział jak porażony, niezdolny do podjęcia decyzji; patrząc na tego biedaka, potykającego się niemal przy każdym kroku, czuł fizyczny ból. Dzielilo ich teraz nie więcej niż sto metrów.

„Sto metrów i sześć wieków” – pomyślał ojciec Włodzimierz.

Wziął telefon i zadzwonił do Rzymu.

– Ecce homo, ekscelencjo...

Potem wyszedł z samochodu i ruszył naprzeciw staremu człowiekowi.

– Poniosę wasz plecak, Benedykcie – powiedział.

Między przełomami rzek Viaur i Aveyron, 1429-1437 Lectoure i La Charite-sur-Loire, 1429-1430, Rouen, 1431

W ciągu następnych trzydziestu lub czterdziestu lat to właśnie tutaj zakończy się ta widzialna przygoda.

Rozmywa się samo pojęcie czasu, zacierają się twarze, tracą ostre kontury. Z trudem tylko można się zorientować, co następuje potem. Wierni Benedyktowi ukrywają się, aby ich nie rozpoznano, ale zamykają się również w sobie. Tajemnica wciąż trwa, ale coraz bardziej pogrąża się w ciszy, anonimowości, beczasowości, milczeniu, nieuchwytności.

Na powierzchnię tej tajemnicy wydostaje się jeszcze kilka nazwisk: Bernard Garnier, dziekan kapituły w Rodez, Stefan de Gan, spowiednik Jana d'Armagnac, Piotr Michel, który zostanie biskupem Tyberiady, franciszkanin Bernard, który będzie biskupem Hebronu, zwykli księża – Jan Fabre, Jan Moysset, Wilhelm Noalhac, proboszcz z Jonqueviel i Jan Farald, który zostanie kardynałem... Kilka rodzin, które doświadczą męczeństwa: Trahinierowie, Delteilowie...

Odegrają swą rolę. Przekazą dalej tajemnicę. Prześladowana wiara nie umiera, ale są to już te ostatnie związki i tropy, które dają się zidentyfikować. Po nich są już tylko jakieś sporadyczne, pojedyncze ślady, wyłaniające się raz, może dwa razy w ciągu stulecia z katakumb tego marginalnego wątku historii, w dodatku otoczone prawdziwym natłokiem wątpliwości, niepewności...

To zaciskanie się kleszczy obrazuje również geografia: teatr wydarzeń coraz bardziej ogranicza się do maleńkiego obszaru między progami rzeki Viaur a przełomami rzeki Aveyron – w XV wieku to okolica zupełnie dzika i prawie niedostępna, kraina buntowników, opornych, nieprzekupnych dusz. Taka sama jest tamtejsza przyroda.

Żadnych dróg, jedynie ledwo widoczne ścieżki. Kronika pierwszych Benedyktów przechowała również kilka nazw miejscowości z tych dzikich okolic: wioska Najac, gdzie pochwycony będzie Trahinier; wierne papieżowi Benedyktowi wioski Jonqueviel, Montou, Murat, Cadoulette; dwa zamki, z których nic już nie zostało, orle gniazda pośród skał, podobne do Peniscoli: zamek Tourene, w pobliżu Montou i zamek Jalenques, nieco dalej na północ, koło Naucelle, skąd Jan Carrier przedsiębrał ostatnie wyprawy zbrojne, nim udał się do mnichów w Sainte-Tarcisse, by umrzeć.

Ale przede wszystkim – by wybrać papieża.

Jan Carrier nie może wybrać się sam, ale jako kardynał z Rodez i Saint-Etienne, obwieściwszy uroczyste w Peniscoli, że wybór uważającego się za Klemensa VIII papieża Munosa był świętokradczy i nieważny, musi naznaczyć następcę papieża Luny.

Ale jeszcze nie naznaczył, jeszcze nie przekroczył tego progu.

Tamte czasy nie nauczyły się jeszcze rozdzielać w godności papieskiej władzy duchowej i doczesnej: papież był zarazem ziemskim władcą (nieco później Jan Carrier będzie musiał przyjąć to rozróżnienie w stosunku do samego siebie...). Póki co jednak, skoro nie ma władzy doczesnej, to nie ma papieża. Skoro nie ma państw papieskich, choćby najmniejszych – nie ma papieża. Jeszcze dzisiaj istnieje Watykan, suwerenne państwo, zdumiewający relikw polityczny tamtych czasów, zapewne nie do przyjęcia dla świata, który nadchodzi. Jan Carrier postanowił już, kto będzie papieżem. Zanim opuścił

Peniscolę, przysięgłszy na Biblię, napisał przy świadkach imię „tego, przed którym się ukorzy, któremu ucałuje stopę i obieca wierność”, a który obecnie ukrywa się w mnisim habitcie w Chartreuse de Villefranche-de-Rouergue. Ten papież nie będzie miał swego terytorium: Rzymu, Awinionu, Peniscoli – niczego; musi więc jakieś zdobyć i będzie to obszar między Viaur i Aveyron.

W drodze powrotnej Jan Carrier zatrzymał się w Lectoure, pomiędzy Lannemezan a Garonne, stolicą Jana IV d'Armagnac, księcia Comminges i Rodez. Dziwna to postać, ten książę: przez chwilę towarzysz broni Joanny d'Arc; odważny, ale niezdecydowany, zuchwały, ale zmienny, a co do religii – jest w nim ten upór wiary, który cechował

karbonariuszy. Po Konstancji i aż do śmierci Piotra de Luny – a nawet później – będzie jedynym suwerennym księciem, który sprzeciwi się Marcinowi V. Na powitanie Jana Carriera rzekł:

– Trzeba nam szybko nowego papieża!

Obaj są ludźmi walki, obaj są ludźmi wiary, dzielają te same wizje, głowy mają w chmurach, ale stąpają mocno po ziemi. Szybko dochodzą do porozumienia. Jan Carrier, który jest już legatem papieża Benedykta XIII w Rouergue oraz kardynałem z Saint-Etienne i Rodez, zostaje teraz pasowany na namiestnika Jana IV d'Armagnaca na całe księstwo Rodez. Teraz to Rodez może być Rzymem, tak samo jak Villefranche-de-Rouergue lub każde inne miejsce, twierdza lub zamek należące do księcia Armagnace, gdzie tylko spodoba się Janowi Carrier założyć stolicę apostolską dla tego papieża, który będzie wybrany! Musi tylko je zająć zbrojnie, bo księstwo roi się od nasłanych przez króla Francji żołnierzy, inkwizytorów, kaznodziejów i donosicieli w służbie Marcina V, którzy raz perswazją, raz siłą powoli urabiają ludność.

W tych warunkach Jan Carrier, który przybył do Rouergue, rozwinięwszy swą kardynalską pelerynę w chorągiew wojenną, odziany w kolczugę, z hełmem na kardynalskim kapeluszu – przetrzyma trzy lata. Towarzyszy mu gromada obdartych buntowników, włóczędzów odzianych w zwierzęce skóry, uzbrojonych w sierpy; czasem jest ich tysiąc, czasem garstka. Pojawia się tam, gdzie nikt się go nie spodziewa, zajmuje miasta w dzień targowy, błogosławi klęczący tłum albo, gdy przypada akurat niedziela, wkracza do kościoła, przepędza rzymskich księży i sam odprawia mszę, gdy jego najlepsi żołnierze, dawni najemnicy Rodryga de Luny walczą u bram z królewskimi strażnikami, uprzedzonymi przez jakiegoś zdrajcę. Udziela chrztów niemowlętom i starszym dzieciom, których rodzice odmówili przyjęcia tego sakramentu od kapłanów Marcina V.

Chrci lodowatą wodą z górskich potoków, w ukrytych parowach porośniętych rozmarynem i dziką lawendą. Często sypia w grotach, wraz ze swą eskortą, z kapeluszem kardynalskim zatkniętym na kiju wbitym w ziemię. Pije wodę źródlaną, żywi się miodem i serami dostarczonymi przez schodzących z

gór pasterzy, którzy klękają przed nim, składając tę ofiary. I wszyscy zadają to samo pytanie:

– Czy będziemy mieli szybko papieża?

Odpowiada, że ta chwila już nadchodzi. Nigdy nie sypia dwa razy w tym samym miejscu. Zawsze zwycięski, gdy się pojawia, ale stale zmuszany do odwrotu, gdy mija efekt zaskoczenia. Zrozpaczonym towarzyszom tłumaczy:

– Budujemy przyszłe państwo. Budujemy państwo Boże. Jesteśmy walczącym Kościołem. Trzeba podjąć tę walkę.

Uderzają jak drapieżne ptaki, wylaniając się nagle spośród tumanów śniegu, i rozpędzają królewskie oddziały – tylko po to, by tryumfalne bicie dzwonu w kościele jakiejś zapadłej wioski mogło oznajmić, że kardynał Rodez jest w Rouergue ciągle u siebie. Powstaje legenda, rośnie, obiega chałupy i zamki. Opowiada się, że Carrier zaklina węże i ptaki, które uprzedzają go o zasadzkach i nocą strzegą miejsca, gdzie akurat przebywa. Niemal już schwyty w pułapkę, przed świtem zawsze się wymyka i jego kryjówka okazuje się pusta. Opowiada się o cudach. Czegóż to ludzie nie wymyślają w tej wiecznie zbuntowanej krainie! Że dusze pomordowanych katarów łamią kraty w lochach, otwierają bramy wszystkich więzień... A jednak traci ludzi. Okrutni inkwizytorzy, kaci skapani we krwi nie dają żadnej szansy więźniom, którzy odmawiają odstąpienia od Jana Carrier'a. On sam powtarza zuchwale:

– Umrzeć to zwycięstwo.

Egzystencja Jana Carrier'a, utkana teraz z niebezpieczeństw, tajemnic i niedostatków

– przemienia go. Ze skarbu Piotra de Luny pozostawia już tylko to, co niezbędne, resztę rozdaje biednym i tym, którzy porzucili wszystko, by iść z nim. Kardynalska czerwona kapa jest w strzępach, kardynalski kapelusz wyblakł od deszczu i słońca. Pałace kościelne, wielkie klasztory, zasobne probostwa, papieskie przepychy – wszystko to wymiół z pamięci.

– Gdy w dzieciństwie byłem pasterzem i żywiłem się korzonkami i twardym chlebem

– mówi wesoło swoim kompanom – żyłem o wiele dostatniej niż dzisiaj, gdy jestem kardynałem. Sobór w Konstancji chciał zmienić Kościół, jednak to mu się nie udało.

Nam, tutaj, to się udaje. Dziękujmy niebiosom, że powróciły nas do ewangelicznego ubóstwa...

Te słowa naprawdę zostały wypowiedziane. Zgromadziły wokół Jana Carrier'a najbiedniejszych, tych, co to niegdyś, w czasach innych wojen, szli za Arnaudem z Brescii, Joachimem z Fiore, Bernardem Delicieux, Franciszkiem z Asyżu, którzy –

każdy na swój sposób – głosili nadejście nowego Kościoła; trzej pierwsi zapłacili za to życiem na stosie lub w lochu, czwartego uznano po śmierci za świętego. Bez wątplenia te groźne słowa Carrier'a i to garnięcie się doń biedoty wyglądającej nowego, miłosiernego papieża, tłumaczą zawziętość Rzymu i Marcina V wobec dysydentów z Rouergue.

Głównym celem Kościoła na tym terenie staje się zatem powstrzymanie tego ewangelicznego szaleństwa.

Szaleństwa Jana Carriera.

Pewnej mroźnej, bezksiężycowej nocy roku 1429 jego buntownicy zajęli Villefranche. W oszronionych lasach pękały z zimna pnie i gałęzie drzew. Zmarznięte ptaki spadały z nieba na ziemię.

Odciągnięte wcześniej pozorowanym atakiem, mniej zaprawione w walce oddziały królewskie zostały zatrzymane przez obfite opady śniegu. W czas tego iście apokaliptycznego mrozu w Villefranche, które stało się Rzymem, Jan Carrier zaczął

konklawe.

Kardynał z Rodez i Saint-Etienne ściśle przestrzega zasad.

W kancelarii klasztoru kartuzów w Villefranche notariusze ostrzą pióra i szykują pergaminy. Wszystko zostanie szczegółowo opisane: łucznicy na warcie przed bramą klasztoru, pilnujący pustych ulic na wypadek, gdyby zebrał się tłum na podobieństwo tamtego rzymskiego motłochu; nominacja dwóch strażników konklawe, którymi pod nieobecność biskupa zostali dwaj księża, Jan Farald i Piotr Michel; odprawienie mszy do Ducha Świętego, w obecności przeora, który później zapłaci za to życiem; wreszcie zamknięcie się Jana Carriera, będącego jednoosobowym Świętym Kolegium, zgodnie z zasadami konklawe, w odosobnionej celi, gdzie spędzi całą noc na modlitwach, zanim ogłosi wybór.

Ten notarialny dokument, zachowany w dossier Benedykta, zawiera te wszystkie szczegóły, ale, rzecz jasna, nie mówi nic o uczuciach, które targwały Janem Carrierem tej nocy. Nikt nie wątpi, że ważył ogrom tej decyzji. Jeszcze przed świtem silnym głosem oświadczył w swej celi:

– Mianuję papieżem naszego brata Bernarda Garniera, kapłana Kościoła katolickiego, dziekana kapituły katedralnej w Rodez.

Potem uderzył pięścią w drzwi i dwóm strażnikom, którzy przybiegli, żeby mu otworzyć, rzucił to rytualne zdanie, które rozbrzmiewało już tyle razy, i tyle razy wzbudzało radość w okrytym żałobą świecie chrześcijańskim:

– Habemus papam! Deo gratias!

W Rzymie odezwałyby się potężny głos dzwonów ze wszystkich dzwonnicy. Tutaj tylko dzwon klasztoru kartuzów zaczął bić nad zlodowaciałą okolicą cierpkim głosem: Habemus papam.

Musi tylko przekonać o tym świat.

Bernard Garnier czeka w sąsiedniej celi. To już stary człowiek, o którego upomina się już śmierć. Święty człowiek, który nigdy nie miał innej ambicji, jak tylko służyć Panu Bogu na swej skromnej placówce. Od miesiąca, odkąd ukrył się tutaj, miał sposobność rozmyślać nad przeznaczeniem, które

stało się jego udziałem. Teraz rzuca błagalne spojrzenie kardynałowi Janowi Carrierowi, który teraz ukląkł przed nim i pochylił się, by ucałować mu stopę.

– Chyba nie sądzisz – mówi do niego Jan Carrier mocnym głosem – że znasz swoje siły lepiej od Boga? Jesteś następcą Piotra. Nie lękaj się! Nie bój się! Duch papieża Luny podyktuje ci słowa i poprowadzi cię...

– Accipio...

Szeptem, ale zostało to powiedziane. Tak nakazuje zwyczaj.

Notariusze zapisują. Wszystko zgodnie z regułami, nie można sobie pozwolić na błędy formalne.

– Jakie imię wybiera Wasza Świątobliwość?

Wydaje się, że głos odpowiadającego brzmi odważniej:

– Benedictus. Benedykt XIV.

Tak więc rankiem to Villefranche staje się Rzymem. Psy gończe Marcina V odnajdują ślad. Zbliżają się królewskie oddziały.

Niektóre gromady wiernych Janowi Carrierowi dołączają do nich, wiedzione przez fanatycznych mnichów, potrząsających sztandarem Colony. Trzeba uciekać. Do niewielkiego zgromadzonego tłumu Jan Carrier mówi:

– Idźcie w świat. Rozpowiadajcie, że widzieliście i słyszeliście nowego papieża.

Będziecie świadczyć jak apostołowie między poganami.

Później Jego Świątobliwość Benedykt XIV pobłogosławił ich, w stulę Piotra de Luny na szyi, i pośród mieszających się ze sobą szlochów i okrzyków radości nakazał im się rozejść. Nieszczęśni nie ujdą daleko. Głosili nowego papieża... Obława zdwoi swą zajadłość, wysyłając schwytych na tortury i stosy. Papież Colonna grzmi. Dla Rzymu to już nie jest schizma, to herezja!

Ze szczupłą eskortą, szybko się przemieszczając, Jan Carrier znów zaszywa się w mroczne doliny, wąwozy i parowy, między przełomy, progi i wodospady rzek Viaur i Aveyron; jego ostatni aragońscy łucznicy osłaniają papieża Garniera, jego stare kości przeszywa ból przy każdym kroku osła, którego dosiada. Dossier Benedykta milczy o trasie ich odwrotu. Często zmieniają miejsca pobytu. Ale znane są imiona tych, którzy mu towarzyszyli, a których w pewnej gromadzie, pewnego wieczora Jego Świątobliwość Benedykt XIV, przeczuwając bliską śmierć, podniósł do różnych godności, odtwarzając w ten sposób wokół siebie, w całkowitym opuszczeniu i nędzy, coś na kształt kurii: Piotr Michel został biskupem in partibus Tyberiady, szambelanem papieskim; brat Bernard –

biskupem Hebronu (on zdradzi); Stefan de Gan – biskupem Cezarei (przerażony, zrzeknie się); wreszcie Jan Farald, mianowany kardynałem, tworzyć będzie z Janem Carrierem ostatnie Święte Kolegium...

Dwaj papieże. Wciąż dwaj papieże. Który jest fałszywy? Który prawdziwy?

Człowiek, który w pierwszych, pięknych dniach kwietnia 1430 roku wkracza do Rodez z wielkim orszakiem, na czele istnej armii sędziów królewskich i rycerzy, również jest duchownym-żołnierzem, tego samego pokroju, co Jan Carrier. Nazywa się Amadeusz de Talaru i jest kardynałem-arcybiskupem Lyonu, papieskim legatem Marcina V i namiestnikiem króla Francji Karola VII na wszystkie państwa i dobra księcia d'Armagnac, którego Rzym obłożył właśnie najwyższą ekskomuniką. Od stóp do głów w zbroi, wszędzie, gdzie się pojawia, nakazuje postępować przodem miejscowemu feudałowi, który dzierży wysoko na czubku lancy jego kardynalski kapelusz z czarnymi frędzlami. Umie pobudzić ludzką wyobraźnię. Postanowił wreszcie z tym wszystkim skończyć. Otrzymał z Rzymu wszelkie pełnomocnictwa i dużo pieniędzy. Sprowadził

z Lyonu mnóstwo duchowieństwa, doktorów, mnichów, z których tworzy objazdowe trybunały kościelne; przewodniczą im inkwizytorowie. Trybunały te spadają na wioski, terroryzują ludność, którą zbrojni zapędzają grupami do kościołów. „To idzie sprawiedliwość Boska!” – wołają z ambon kaznodzieje, którzy zapominają o miłosierdziu. Ta sprawiedliwość jest szybka: wyrzeczenie się albo śmierć. Większość się wyrzeka. Niektórzy odważnie umierają. Kościół Jana Carrieria i papieża Benedykta daje Bogu męczenników, zupełnie jak tamten katakumbowy, z czasów cesarza Marka Aureliusza, ale pamięć o św. Blandynie, o św. Pothinie i czterdziestu siedmiu męczennikach z Lyonu roku 177 nie skłania do refleksji bezlitosnego kardynała Talaru.

Jego pierwszą decyzją po wkroczeniu do miasta jest uznanie za „przeklętą od Boga”

byłej rezydencji biskupiej Jana Carrieria, którą dziś nazywa się Domem Benedykta.

Talaru przegnał stamtąd ostatnich księży, których wydał inkwizytorom, opróżnił ją z całego umeblowania uznanego za nieczyste i spalonego na placu przed katedrą, nakazał

skuć herby z kluczami św. Piotra i kardynalskie kartusze ostatniego legata Benedykta XIII, zamurować drzwi i okna, poznaczone teraz takimi samymi czarnymi krzyżami, jakimi znaczone domy zadzumionych. Gdy Rodez było już na jego łasce, Talaru zabrał

się za najbliższą okolicę.

Wytropił „zwierzynę”, jak na polowaniu, poprzedzony zgrajami naganiaczy.

Przyjdzie kolej i na Villefranche. W klasztorze kartuzów arcybiskup osobiście przesłuchuje zakonników. Ciężkie przesłuchania, jak to w tamtych czasach. Razem z krwią tryska prawda: wszak ściga nie jakiegoś tam kardynała, ale antypapieża!

Antychrysta! Robi ze swych rycerzy krzyżowców, każe im nakładać na kolczugi białe komże z czerwonym krzyżem zdobywców Jerozolimy. Łapać heretyków! Tu są! Tu ich mamy!

Jego oddziały podwajają liczebność. Wskutek przejścia tych świętych, piekielnych kolumn, od ognia i miecza ucierpią: Saint-Salvadou, Najac, Jonqueviel, Laguepie, Naucelle. Talaru nakazuje zamykać kościoły, cmentarze, przybijając na bramach bullę ekskomunikującą księcia-suwerena Jana

d'Armagnac, a ten dekret nie zostanie odwołany, dopóki książę się nie wyrzeknie.

Posłał do niego gońca, do Lectoure. Odpowiedź się opóźnia. Za to oczekiwanie płacą poddani księcia.

Jan Carrier umyka pogoni. Od czasu do czasu wybucha jakaś krótka bitwa na tyłach, których z poświęceniem bronią Aragończycy, a potem znów zapada cisza. Nie można przecież przeszukać wszystkich grot, puścić z dymem wszystkich pasterskich szałasów, wdrapać się na wszystkie te strome, urwiste zbocza, gdzie „krzyżowcy” czasem skręcają sobie karki, ani upilnować wszystkich tych kozich, górskich ścieżek. Przypadkiem spotykani pasterze, udając, że ustępują wobec gróźb, wskazują zgrajom prześladowców fałszywe kierunki, ale szczęki tej pułapki cały czas się zacieśniają. Jan Carrier jest już tylko uciekinierem. Żeby się szybciej przemieszczać, trzeba zostawić konie, muły i zbroje. Kardynał nie galopuje już na czele, w zuchwale rozwianej czerwonej kapie.

Idzie pieszo, ubrany w baranią skórę, z kardynalskim kapeluszem schowanym w torbie.

Ilu jeszcze jest z nim? Nie więcej niż trzydziestu; najsilniejsi dźwigają pośpiesznie sklecony drewniany tron, na którym dogorywa papież Benedykt. Wkrótce jednak trzeba będzie przystanąć...

Trzeba to sobie wyobrazić: te lata trzydzieste XV wieku w królestwie wydanym na pastwę anarchii, zbrojnych band, gdzie walczą ze sobą dwaj królowie, Henryk VI, król Anglii oraz Francji, której większą część dzierży w swych rękach – z królem Karolem VII, delfinem, którego Joanna d'Arc sprowadziła do Reims, aby został koronowany; ale Paryż, stolica, bezwstydnie oddał się Anglikom; trzeba sobie wyobrazić ten kraj, gdzie walki trwają niemal wszędzie, gdzie miasta i zamki są zdobywane i odbijane, lasy pozostawione stadom wilków, ziemie leżą ugorem, gdzie już tu i tam panoszy się głód, gdzie drogi opanowali bandyci z samorzutnych kompanii nieopłacanego żołnierstwa, rabujący dla własnego zysku. Tak jest też między Lactoure a Charite-sur-Loire, które Joanna d'Arc oblega bez powodzenia... I na tym obszarze, na przestrzeni dwustu mil, prawie ośmiuset kilometrów – trzeba wyobrazić sobie posłańca, stawiającego co dzień czoło temu wszystkiemu, wystrzegającego się wszystkiego i wszystkich, ryzykującego życie – a nawet więcej, gdyby wpadł w ręce inkwizycji – aby doręczyć list od księcia Jana d'Armagnaca Joannie d'Arc i przywieźć odpowiedź! Trzeba wyobrazić sobie niebywale pilny charakter sprawy i niebywałą wagę tego pisma, które zmusiły księcia d'Armagnaca do wysłania swego jeźdźca na taką przygodę... Oto ten list, dowód podczas procesu Joanny d'Arc. Znajduje się on w dossier Benedykta.

„Droga moja pani, są trzej współzabiegający o papieżstwo: jeden jest w Rzymie, każe nazywać się Marcinem V, na którego zgadzają się wszyscy trzej królowie chrześcijańscy; drugi w Peniscoli, który każe nazywać się Klemensem VIII; trzeci przebywający, nie wiadomo gdzie, wie to tylko kardynał z Saint-Etienne, Jan Carrier, i niewielu ludzi, którzy są przy nim, i ten trzeci każe nazywać się papieżem Benedyktem XIV... Zechciej błagać Pana naszego Jezusa Chrystusa, żeby przez swe nieskończone miłosierdzie zechciał objawić ci, który z tych trzech wyżej pomienionych jest prawdziwy i któremu mamy wierzyć, sekretnie albo jawnie. Wszyscy bowiem jesteśmy gotowi spełnić Boską wolę i sprawić radość Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi”.

Biedny książę, lichy polityk, myli obozy. Jest wielkość w tym jego uporze. Zostaje ekskomunikowany, jego poddani – czy szlachta, czy wieśniacy – są zwolnieni z posłuszeństwa wobec

niego, jego władza jurydyczna zostaje przekazana królowi Francji, kościoły jego państw są zamknięte, a wierni mu – pozbawieni sakramentów. Nie ma już wyboru. Jeśli będzie się upierał, będzie zgubiony. Dwa wieki wcześniej, podczas wojny z albigensami, inkwizycja paliła potężniejszych od niego. W Rodez kardynał-legat czeka na jego decyzję. Każdy inny na jego miejscu by się nie wahał. On przeciwnie: wykręca się, gra na zwłokę, zyskuje czas.

Nie ma żadnych wiadomości od swego spowiednika, Stefana de Gana, który poszedł

z Janem Carrierem. Nikt nie wie, gdzie przebywa papież Benedykt „i niewielu ludzi, którzy są przy nim”.

A jeśli ta niewielka liczba jest właśnie gwarancją prawdy? Książę d’Armagnac należy do tych, którzy nie polują z nagonką, nie chadzają w stadzie, których jedynomyślność tłumu napęnia niesmakiem. Oby Joanna zechciała go oświecić.

Odpowiedź Joanny d’Arc dociera wreszcie do Lectoure.

Dziwny to list, który zaważy na jej procesie. Kilka miesięcy później biskup Cauchon

– znów ten Cauchon, ta hiena soborowa z Pizy i Konstancji, ta „wybitna umysłowość”

Uniwersytetu Paryskiego! – będzie wymachiwał tym listem pod nosem pięćdziesięciu ośmiu asesorów w czasie piątego posiedzenia trybunału w Rouen. Pod Charite-sur-Loire Joanna miała inne problemy.

Król praktycznie ją opuścił. Wszędzie wokół niej czaiła się zdrada. Dezerterowały jej nieopłacane oddziały. Dwór się bawił. Joanna była coraz bardziej zmęczona. Coraz bardziej zmęczona także udzielaniem rad, odgrywaniem roli cudzych sumień, bo pisywało do niej wielu. Odczytano jej list d’Armagnaca. Jednak pod murami Charite-sur-Loire Joanna była pochłonięta zupełnie innymi sprawami. Musiała być wszędzie naraz, wzmacniać słabnące morale. Trzech papieży? Co to za historia? Byłoby więc aż trzech papieży? Czy Joanna w ogóle kiedykolwiek słyszała o tych dwóch innych, poza Marcinem V? Nie wiadomo. Posłaniec księcia d’Armagnaca ponagla ją, nie czuje się bezpiecznie w tym obozie. Czy dobrze się zastanowiła? W każdym razie dyktuje swemu sekretarzowi te słowa:

„W tej sprawie nie mogę was obecnie szczerze uwiadomić względem prawdy, dopóki nie stanę w Paryżu lub gdzie indziej, wedle możliwości. Bo teraz jestem zbyt zajęta z powodu wojny. Ale gdy dowiesz się, że jestem w Paryżu, to zaraz przyślij do mnie posłańca, a ja ci wtedy przekażę prawdę, któremu papieżowi powinieneś zawierzyć, gdy już się tego dowiem za radą mego szlachetnego i suwerennego Pana, Króla wszystkich ludzi”. I podpisuje: „Jehanne”.

I to wszystko. Dla tego listu posłaniec księcia d’Armagnaca przemierzył całą Francję i dwadzieścia razy ryzykował życie. Joanna podczas swego procesu powie, że list opatrzony był ustnym komentarzem, ale nie sprecyzuje treści tego komentarza.

Oskarżycielowi Cauchonowi, który zapytał: „Czy wątpisz, komu książę winien posłuszeństwo?”, odpowie: „Książę życzył sobie wiedzieć, kogo Bóg pragnie, aby słuchał. Nie wiedziałam, co mu rzec. Co do mnie, wierzę, że powinniśmy być posłuszni papieżowi, który jest w Rzymie”.

„Nie wiedziałam, co mu rzec”: tajemnicza sprawa w procesie Joanny d’Arc. Jeśli ona słucha papieża, który jest w Rzymie – to dlaczego w liście do księcia nie pisze tego wprost, zamiast grać na zwłokę, owijać w bawełnę, dawać do zrozumienia, że odpowie później, z Paryża lub innego miejsca, gdy będzie mogła się poinformować, a zwłaszcza

„otrzymać radę” od swego „szlachetnego i suwerennego Pana, Króla wszystkich ludzi”?

Te głosy, o których mówią tak wiele podczas tego piątego posiedzenia trybunału w Rouen, głosy św. Katarzyny i św. Małgorzaty, św. Gabriela i św. Michała, czyżby wcale nie oświecały w powyższej kwestii?

Może podzielały jeszcze niezdecydowanie szlachetnego i suwerennego Pana wobec tej obfitości papieży, a także Jego wątpliwości co do legalności wyboru Marcina V?

Niezdecydowany jest także książę. Będzie jeszcze tak się wahał trzy miesiące, potem ustąpi. W czasach, gdy poddani szli za religią swego władcy, odstępstwo d’Armagnaca pozbawi Jana Carriera oparcia w ostatnich parafiach.

Tym razem jest już naprawdę sam.

Niewielka gromadka musi się zatrzymać. Jego Świątobliwość papież Benedykt XIV

umiera. U wezgłowia czuwają jego dwaj kardynałowie, Jan Carrier, kardynał z Rodez i Saint-Etienne, i Jan Farald, kardynał z Gibelet. Spośród biskupów mianowanych przez papieża Garniera jest tam tylko biskup Tyberiady, Piotr Michel, szambelan papieski.

Pozostali zawrócili z drogi i odeszli wyrzec się swego papieża przed trybunałem legata, w zamian za obietnicę darowania życia. Jeśli dokumenty w dossier Benedykta się nie mylą, ci, którzy pozostali, znaleźli schronienie w pewnej grocie, bez wątplenia tej, która nosi nazwę „grota Gwiazdy”, ukrytej w jeżynowych krzakach, w najdzikszej części przełomów rzeki Viaur, niedaleko tego przewężenia, gdzie dziś wznosi się wiadukt kolejowy. Dwaj aragońscy łucznicy trzymali na zewnątrz straż.

I to było już wszystko, co zostało z papieskiej eskorty, wraz z półtuzinem pasterzy, ukrytych w skałach, by pilnować wejścia do wąwozu.

Papież nie odzyskał przytomności. Tak krótko żył jako papież.

Umrze, nawet nie pamiętając, że był papieżem, zwierzchnikiem Kościoła katolickiego, apostolskiego i rzymskiego. Ale Carrier myśli o tym, że za chwilę konający odzyska pamięć i pozna prawdę, przyjęty na progu wieczności dźwiękami niebiańskich trąb pozdrawiających nowo przybyłego, który stoi po prawicy Piotra, Namiestnika Chrystusowego na ziemi. Papież leży na baraniej skórze, tak chudy, że dwie poły czerwonej stuły całkowicie go przykrywają. Pochodnia słabo oświetla jego twarz, z której nie można nic wyczytać. Wyzionie ducha o zmierzchu, w ostatnim, prawie

nieuchwytnym westchnieniu. I wówczas na jego wargach pojawi się uśmiech, jakby przesłanie z Góry, co pozwoli pojąć towarzyszom, że Jego Świątobliwość papież Benedykt XIV umarł.

W grocie rozbrzmiewa żałobny śpiew na trzy głosy. Jan Carrier, Jan Farald i Piotr Michel odprawiają mszę za zmarłych.

Chrześcijaństwo nie ma przywódcy. Nie ma go też w Rzymie, gdzie właśnie zmarł

papież Colonna. Nie ma i w Peniscoli, gdzie abdykował papież Munos. Zatem Jan Farald, kardynał z Gibelet, powiada do Jana Carrier'a:

– Mianuję naszego brata Jana Carrier'a, kardynała z Rodez i Saint-Etienne, papieżem i biskupem Rzymu.

Biskup Tyberiady, Piotr Michel, pełniący obowiązki notariusza – sporządza protokół.

Dwaj Aragończycy podpisują krzyżkami.

– Accipio – mówi Jan Carrier.

– Jakie imię obiera Wasza Świątobliwość? – zapytuje Jan Farald.

– Benedictus – odpowiada Jan Carrier. I natychmiast uzupełnia: quattodecimus.

Benedykt XIV.

Tymczasem w Rzymie wybrano Gabriela Condulmera, który przyjął imię Eugeniusza IV. Wobec Boga, który spogląda na nich, jest dwóch papieży.

Który jest fałszywy? Który jest prawdziwy?

Kiedy nie udało się wykopać grobu w skalistym podłożu groty, pochowali Benedykta w głębi parowu, w piasku na niewielkiej plaży, między dwoma zakolami rzeki. Ciało było tak lekkie, że wystarczył jeden z dwóch Aragończyków, by je znieść na dół.

Nie postawili krzyża. Dzięki temu ludzie kardynała Talaru – których myśliwskie rogi już było słychać na równinie – nie zdołali odnaleźć ciała, przez co oszczędzono zmarłemu infamii stosu, który prawo legata stosowało bezlitośnie zarówno wobec żywych, jak i umarłych. Z czasem zapewne porwał je przybór potoku, wymywający piasek z plaży.

Piotr Michel i Jan Farald zginęli podczas pościgu, ale Janowi Carrierowi udało się wymknąć z obławy. Przeszedł się w okolice Rodez, gdzie miał jeszcze wiernych pośród wieśniaków i pasterzy. Także księża przyszli połączyć się z ich dawnym biskupem, który został teraz biskupem Rzymu. Mianował wtedy pięciu kardynałów: Piotra Trahiniera, z siedzibą tytularną w Betlejem, Piotra Tifane, z siedzibą w Tyberiadzie, i trzech innych, których nazwisk nie ma w dossier Benedykta – Bernarda, kardynała z Hebronu, Jakuba, kardynała z Cezarei i Jana, kardynała z Gibelet. Iona ze

Szkocji pozostał zagadką. Jakiś Falkirk, kardynał z Iony, figuruje w ostatnich dokumentach dotyczących, jako hipotezy,

„papiestwa” Benedykta XIV. Iona była wówczas kwitującym klasztorem, po śmierci Benedykta XIII niewątpliwie związanym z Rzymem. Może kilku mistycznie nastawionych zakonników, ożywianych silną wiarą tej niewielkiej gromadki i egzaltujących się tą tajemniczością, która włada wyobraźnią, uparło się przy swej wierności, separującej ich od wspólnoty? Jeden z nich mógłby nazywać się Falkirk, od nazwiska poprzedniego opata. Może wymieniano się wiadomościami? Częste podróże w tamtych czasach między Rodez i Ioną wydają się jednak nieprawdopodobne i wątek tego rodzaju przypuszczeń gubi się we mgle wieków. Dzisiaj w Ionie jedyny grób jakiegoś Falkirka, na cmentarzu przylegającym do dawnego opactwa, nie ma ani daty, ani tytułu. Wykute nazwisko jest prawie nieczytelne, co czyni dziwnie trudnym do wytłumaczenia fakt, że niekiedy znajduje się na tym grobie bukiety świeżych kwiatów.

W roku 1435 albo 1436 Jan Carrier został w nieznanых okolicznościach uwięziony w zamku de Foix. Wszystko jednak wskazuje na to, że jego strażnicy nie mieli świadomości, iż przetrzymują w lochu Jego Świątobliwość papieża Benedykta XIV.

Inaczej nie wyszedłby stamtąd żywy. Tymczasem uciekł, nawet dość łatwo. Pewnej nocy po prostu się ulotnił i znaleziono jego celę pustą. Czy duchy pomordowanych katarów zdjęły sztaby z więziennych drzwi? Czy wilki, węże i ptaki czuwały nad jego ucieczką w puszczy? Legendy, opowieści... Cudowność tworzy wiarę. W opactwie Sainte-Tarcisse, gdy mnisi w porze kolacji unoszą już rozradowane spojrzenia ku lektorowi na podwyższeniu, ten śpiewnym głosem rozpoczyna trzy razy w roku to opowiadanie, które znają na pamięć, a które stanowi część ich żywota: przypowieść o Benedykcie, pieśń pierwsza. Tedy uciekł Benedykt z Rodez, nocą, w Boże Narodzenie Roku Pańskiego tysiąc czterysta trzydziestego siódmego. Uciekał ścigany jak Jezus, górami i dolinami, od chałup i pałaców, przed herodowymi łucznikami, co ścigali go jak zgraja psów. W Rodez zapalone stosy zgubiły wielu dobrych chrześcijan, niewinnych jak nowo narodzeni.

Uciekał Benedykt zrozpaczony, tracąc wiele krwi, po trzykroć upadając na swej drodze, jak nasz Pan. Wtedy zajaśniała gwiazda na niebie, a głos spoza chmur zawołał:

«Idź za tym światłem, Benedykcie, a światło to cię wybawi». Panowie wilcy byli orszakiem Benedykta, jak również ptaki nocne, ze swym przepięknym upierzeniem i pohukiwaniem, które przepędziły łuczników Heroda, uciekających z wielką chyżością.

Po drugiej stronie góry, gdzie rozciągała się szeroka, żyzna dolina, zatrzymała się litościwa gwiazda, zalewając jasnym światłem dzwonnice ubogiego klasztoru św.

Tarsycji”...

Łucznicy zostali wreszcie odwołani, a kardynał-legat powrócił do swego pałacu w Lyonie. Dla niego sprawa była już załatwiona. Pięciu kardynałów Benedykta XIV

przebranych za pasterzy, z małą garstką wiernych, opuściło region Rodez i odeszło do Levezou, jak Mojżesz do Ziemi Obiecanej. Zbudują tam kaplicę, a potem, dowiedziawszy się o śmierci Jana

Carriera, wybiorą jednego spośród siebie, Piotra Tifanego, kardynała z Tyberiady, jako papieża i kapłana rzymskiego pod imieniem Benedykta XV.

Po nim przyjdzie Jan Langlade, który będzie nosił imię Benedykta XVI aż do śmierci w 1499 roku, pod rządami Ludwika XII.

W tym czasie w Rzymie na Stolicy Piotrowej „wymieni się” sześciu papieży w jakiejś makabrycznej sekwencji zwieńczonej obrzydliwością tego siódmego: Aleksandra VI Borgii! Mikołaj V (1447-1455), Kalikst III (1455-1458), Pius II (1458-1464), Paweł II (1464-1471), Sykstus IV (1471-1484), Innocenty VIII (1484-1492), Aleksander VI (1492-1503).

Borgia, papież Aleksander VI. Jan Langlade, papież Benedykt XVI. Który jest fałszywy? Który jest prawdziwy? Gdyby można to było ustalić, sądząc po ich cnotach...

Wówczas sprawa byłaby oczywista. Bóg to wie...

Po papieżu Langlade został wybrany Mateusz, który także przyjął imię Benedykta, a po nim było jeszcze dwudziestu dziewięciu Benedyktów.

I w ten sposób zaczęła się ta historia...

Senez, 1994

Monte San Savino, Włochy 1994

– Poniosę wasz plecak, Benedykcie – powiedział ojciec Włodzimierz. – Dokąd chcecie się udać?

– Przede wszystkim na cmentarz – odpowiedział starzec, jak gdyby było czymś zupełnie oczywistym, że właśnie w tym miejscu czekał na niego ktoś, kto odezwał się do niego po imieniu. – Jesteście księdzem, prawda? Nie jesteście tu przypadkowo. Kto was posłał na spotkanie ze mną?

Szli powoli. Ojciec Włodzimierz dostosował swój krok do kroków starca, który ledwo miał siły stawiać nogi i wsparł się na jego ramieniu, ciężko oddychając. Kiedy później myślał o tej chwili, o tej dłoni ściskającej jego nadgarstek, o tej jego obecności u jego boku, jego pierwszym wspomnieniem była ogromna wdzięczność za tyle okazanego od razu zaufania.

– Przyjechałem z Rzymu. To Rzym mnie wysłał.

– Rzym nigdy o nas całkiem nie zapomniał... – powiedział starzec.

Nie wydawał się zaskoczony. Ojciec Włodzimierz pomyślał, że w istocie, sądząc po dossier Benedykta, Rzym nigdy nie puścił w niepamięć urazy. Trup soboru w Konstancji jeszcze się ruszał.

– Mniej więcej czterdzieści lat temu – ciągnął starzec – Rzym wysłał innego posłańca do mojego

poprzednika, nie wiadomo, jak ten go odnalazł. Benedykt opowiedział nam o tym później. To był kardynał ubrany jak zwykły ksiądz. Wy nie jesteście kardynałem?

– zapytał z uśmiechem i zaraz dodał: – Nie, oczywiście, że nie. Zbyt młody. Jak się nazywacie?

– Włodzimierz Nykas ze Zgromadzenia Oblatów Najświętszego Sakramentu, attache nuncjatury przy watykańskim sekretariacie stanu.

– I to się da pogodzić? – starzec znów się uśmiechnął. – Nawet wolę, że przysłano mi kogoś młodego. Tamten kardynał miał stetryczną duszę. Przybył zaproponować nam coś na kształt targu, z mnóstwem warunków. Mieliśmy wyrzec się wszystkiego, a Rzym dałby tylko swoje przebaczenie. Przebaczenie za co? – można by spytać. Oczywiście, nic z tego nie wyszło. Nie można wyrzec się wierności. Tego ów kardynał nie mógł

zrozumieć.

Wierność nie jest, być może, celem samym w sobie i odmawiając paktowania, traci się po drodze wielu ludzi, ale po co się targować, gdy ma się prawdę? W naszym przypadku... – I zaraz się poprawił: – W moim przypadku...

Nie dokończył, a ojcu Włodzimierzowi przemknęło przez myśl, że dialektyka papieża Luny, cała i nienaruszona, przetrwała jednak wieki.

– Czy i wy chcecie mi coś podobnego zaoferować? – zapytał starzec. – Przebaczenie Rzymu?

– Nie otrzymałem żadnego polecenia tego rodzaju, zapewniam was – odrzekł ojciec Włodzimierz.

Przez chwilę szli w milczeniu przez opustoszały plac katedralny, kierując się w stronę cmentarza. Starzec przystanął na moment, by nabrać oddechu. Coraz silniej opierał się na ramieniu ojca Włodzimierza.

– Rzym, Rzym... – odezwał się wreszcie. – To ja powinienem udzielić przebaczenia Rzymowi. Czy wiecie, kim jest Benedykt? Wiecie, co sobą reprezentuje? Czy wiecie, kogo reprezentuje Benedykt?

Teraz już się nie uśmiechał. Mówił bardzo zmęczonym głosem, jakby to potrójne pytanie nie odnosiło się do nikogo innego, tylko do niego samego.

– Wiem, Wasza Świątobliwość – odparł ojciec Włodzimierz.

– Nie nazywajcie mnie tak, proszę. Nawet gdy żyli jeszcze inni, nikt z nas nie używał

tego tytułu, tym bardziej wy, teraz, gdy jestem sam... Jego Świątobliwość jest w Rzymie.

I tam chciałbym umrzeć w pokoju, obok Piotra.

Gdy podeszli do bramy cmentarza, starzec zapytał:

– Wiecie, oczywiście, kogo tutaj szukam? Wiecie, gdzie jest pochowany? Zechcecie mnie zaprowadzić? Jestem taki zmęczony.

Na grobie były kwiaty i ojciec Włodzimierz z wdzięcznością pomyślał o merze, panu Heurtebise. Były to kwiaty z jego ogrodu.

– Piotr Sidonin... Piotr z Gibelet – powiedział cicho starzec. A potem dodał: – Proszę was, pomóżcie mi uklęknąć. Sam nie dam rady, upadłbym.

Wyciągnął z kieszeni długą czerwoną stulę z wyhaftowanymi na obu końcach skrzyżowanymi kluczami, prawie już niewidocznymi, tak była zniszczona. Potem ją ucałował i przewiesił przez szyję, a ojciec Włodzimierz, podtrzymując go jak nieskończenie cenny ciężar, pomyślał jednocześnie o papieżu, o takiej samej czerwonej stule na jego szyi podczas wizyty w Wenezueli i o okrucieństwie kamer podpatrujących go w jego zmęczeniu, rejestrujących w zbliżeniu chwiejne przyklęknięcia przed ołtarzem i tak trudne potem podnoszenie się z kolan, jakby wychodził z grobu... Starzec medytował dłuższą chwilę, potem podniósł się, też z wielkim trudem i rozpoczął:

– Kyrie, eleison.

– Kyrie, eleison... – powtórzył ojciec Włodzimierz.

I następnie odmówili modlitwę za zmarłego biskupa z bardzo starą kolektą, którą ojciec Włodzimierz tego ranka ledwo znalazł w modlitewniku, a którą starzec recytował

z pamięci, z zamkniętymi oczami i złożonymi dłońmi:

– Da nobis, Domine, ut animamfamuli tui Petri Episcopi...

Gdy skończyli, Benedykt powiedział:

– Dzielny Gibelet. Prawdziwy druh. Nie widzieliśmy się jakieś pięć lat. Czy wiecie, że nigdy nie pisywaliście do siebie?...

Dziwna uwaga. Wyjaśnienie też było całkiem nierzeczywiste.

– Ziemia się obracała. Świat się zmieniał. Nie mieliśmy w tym żadnego udziału.

O czym mielibyśmy mówić, każdy ze swego kąta? Moglibyśmy także telefonować do siebie. Już trzydzieści lat temu wszędzie były te kabiny. Czemu to by służyło, takie słuchanie dźwięku naszych głosów? Żeby się dowiedzieć – czego? Używanie dzisiejszych środków łączności byłoby tylko sprowadzaniem tego, co reprezentujemy do pośmiewiska i anachronizmu. Nie chcieliśmy tego. Rozmawiały nasze dusze. Ta cisza wystarczała. Byliśmy jak rozproszone płomyczki, które widzą swe błyski w nocy, same nie będąc widziane. Gdybyśmy pozwolili dmuchnąć wielkiemu wiatrowi świata, wszystkie te drobne żywoty by pogasły. Czy to rozumiecie?

Ojciec Włodzimierz dopiero później zrozumiał sens tego, co słyszał, odtwarzając z pamięci te

wszystkie słowa, które teraz torowały sobie drogę do jego umysłu niczym pęcherzyki powietrza, przebijające się na powierzchnię spokojnej wody, świadcząc o innym, niewidzialnym istnieniu. Starzec zapytał:

– Po co tu przybyliście? Czego chcecie ode mnie? Czego chce ode mnie Rzym?

– Pomóc wam dostać się do Rzymu, nic więcej. Czyż nie tak właśnie postanowiliście?

– W istocie. A tam, kto komu wybaczy?

Ojciec Włodzimierz się zawahał. Polecenia, które otrzymał, nie zawierały odpowiedzi na to pytanie.

– Bóg, jak sądzę – odparł.

Poczuł, że ręka starca zaciska się mocniej na jego przegubie.

– A teraz, drogi ojcze Włodzimierzu, chciałbym odprawić mszę w tej katedrze. Czy sądzi ojciec, że to będzie możliwe?

– Bez wątplenia. Zajmę się tym.

Wystarczyło zrobić kilka kroków. Ojciec Włodzimierz otworzył kluczem boczne drzwi kościoła. Weszli do środka. Boczna nawa jaśniała popołudniowym słońcem. Na ołtarzu Maryi Dziewicy płonęło pół tuzina świec. To tajemnica dzisiejszych kościołów we francuskich wioskach. Są puste, często pozamykane, a zawsze płoną tam te świece i nie wiadomo, kto je zapala.

Starzec usiadł na krześle w pierwszym rzędzie. Wydawało się, że sam wypełnia sobą całe prezbiterium.

– Już od tak dawna nie odprawiałem mszy w kościele – powiedział. – Zdarzało się nam to tak rzadko, ale zawsze nocą, w ukryciu, jeśli udało mi się niepostrzeżenie wejść albo dać się tam zamknąć na noc. Biedny Jakub z Betlejem, zmarł u drzwi katedry w Maguelone... Posłuży mi ojciec do mszy?

– Nic nie stoi na przeszkodzie. Muszę coś załatwić. Zaraz wrócę.

– Proszę się pośpieszyć – powiedział starzec. – A, proszę jeszcze posłuchać: w moim plecaku jest list. Proszę go wziąć, proszę go zawieźć...

Ale ojciec Włodzimierz już się oddalał szybkim krokiem w stronę zamku. Zapukał do drzwi mera Heurtebise.

– Panie merze, ten, o którym mówiłem panu, właśnie przyszedł. Pragnąłby odprawić mszę w katedrze.

Mer podrapał się po głowie.

– Zasadniczo, wedle rozporządzenia proboszcza w Castellane, pod którego podpada katedra, potrzebne byłoby zezwolenie biskupa z Digne. Nigdy wprawdzie nie postawił tu nawet nogi, jednak to jego katedra...

– Panie merze, pomińmy formalności. Ten człowiek jest kimś więcej niż zwykłym biskupem i przychodzi do nas z bardzo daleka...

Ojciec Włodzimierz improwizował: prześladowany Kościół w dalekim kraju, wydobyty z więzienia biskup, którego ma eskortować aż do Rzymu...

– Pójdę z księdzem – powiedział mer.

Benedykt czekał na nich, bez ruchu, z plecakiem złożonym u stóp i głową opuszczoną na piersi, jakby się modlił. Ale się nie modlił, ponieważ już nie żył, zachowując na wpółotwartych wargach uśmiech papieża Garniera, z grotu Gwiazdy, sprzed tylu lat, papieża, po którym było jeszcze trzydziestu jeden Benedyktów.

Nie trzeba było zamykać mu oczu. Sam je zamknął.

Nie odezwał się żaden dzwon. Żadna czarna chmura na niebie nie przesłoniła słońca.

Nie nadleciały też zza widnokręgu ptaki, by usiąść na dzwonnicy. Nie zerwała się burza.

Nie rozdarła się żadna zasłona Świątyni i Gibelet nie wyszedł z grobu. Dała się tylko po prostu odczuć jakaś bezmierna nieobecność, a ojciec Włodzimierz poczuł się w głębi ducha tak, jakby zabrakło mu powietrza. Mer westchnął tylko: „Mój Boże! Mój Boże!”, a potem wzięli ciało za ramiona i nogi i ułożyli na ławce. Nie ważyło więcej niż ciało dziecka.

Ojciec Włodzimierz podjął decyzję.

– Panie merze, powiedziałem już panu dużo. Proszę mi i teraz zaufać. Zadzwoń z samochodu do Rzymu. Przez ten czas nikt tu nie może wejść.

Spojrzał na zegarek: wpół do drugiej. Poniedziałek 18 kwietnia 1994 roku, godzina 13.30. Samochód zaparkowany był na placu, trzydzieści metrów dalej. Włodzimierz ucieszył się, że wciąż było tutaj zupełnie pusto, jak w chwili przyjazdu. Wybrał

kodowany numer. Usłyszał głos biskupa Cassiniego.

– Tutaj Włodzimierz, ekscelencjo. Benedykt... Benedykt umarł.

Zapadła cisza. Czas niemej modlitwy, tam, w Watykanie, w anonimowym biurze, tej najkrótszej, najpiękniejszej, z tym ostatnim wersem z Libera: Requiem aeternam dona eis Domine... Później pytania: Gdzie? Kiedy? Jak? Szybkie sprawozdanie.

Potem błyskawiczna decyzja.

– Zrobisz tak, Włodzimierzu. Wrócisz tam, gdzie jest ciało i nie ruszaj go, ani ty, ani mer. Przyślę wam posiłki: Pfiffer de Pikkendorff i Bussmann. Pierwszy był kapitanem Gwardii Szwajcarskiej, drugi sierżantem, obaj są na emeryturze. Mieszkają w Lucernie.

Czasem wyświadczają mi pewne przysługi.

– Ależ Ekscelencjo, za ile oni tu przybędą! Z Lucerny!

– Za szybko mówisz, Włodzimierzu. Od wczorajszego wieczoru są w hotelu

„Bourgogne”, w Digne. Będą za trzy kwadranse, może trochę więcej.

Via Ovido nie zawodziło. Ksiądz Włodzimierz docenił to.

– Gdy do ojca dołączą, proszę mnie zawiadomić – ciągnął Cassini. – Będę miał dla ojca nowe instrukcje. Sprowadzimy Benedykta do Rzymu.

– A lekarz? Żandarmeria? Trzeba jednak stwierdzić zgon.

Nie możemy go zabrać, jak... jak złodzieje, musimy...

– Ja się tym zajmę – uciał Cassini. – Najlepsze, co ksiądz może teraz zrobić, to pomodlić się za duszę zmarłego. Czy nie po to ksiądz tam jest?

– Jeszcze jedno... Będą mnie pytać o jego nazwisko. Które podać?

– To z aktu urodzenia. Gerard de Vallac, urodzony dnia... w...

Ojciec Włodzimierz wszystko zapisał i odłożył słuchawkę.

Mer tymczasem wy dostał z kufra w zakrystii poźółkły obrus na ołtarz, cud koronkarskiej roboty, zrobiony niegdyś przez zakonnice posługujące w pałacu biskupa Soanena. Wyjaśnił to przyciszonym głosem ojcu Włodzimierzowi. Przykrył nim ciało, jakby komżą, za wyjątkiem twarzy.

– Miał jakąś rodzinę? – zapytał.

– Żadnej.

„Boże, jakaż to niestosowność” – jęknął w duchu ojciec Włodzimierz, pomyślawszy, że gdyby Benedykt był na tym miejscu, na którym mógłby być, opłakiwałyby go w tej chwili setki milionów katolików. Ale powtórzył tylko:

– Żadnej. Za wyjątkiem Ojca Świętego w Rzymie, który przygotowywał się do jego przyjęcia po tak długiej nieobecności.

Nie minęły trzy kwadranse, gdy ożywił się cichy plac w Senez. Najpierw samochód tych dwóch z Lucerny, też wyposażony w telefon. Kompetentni, szybcy, oszczędni w słowach, około

pięćdziesiątki... Pochylili się nad zwłokami, przeżegnali się, sierżant Bussmann rzucił krótkie spojrzenie na ojca Włodzimierza, zabrał dyskretnie plecak Benedykta do samochodu i zamknął bagażnik.

Tymczasem kapitan Pfiffer de Pikkendorff zajął się niezbędnymi formalnościami: zamówił pogrzeb w Digne, przyjadą za godzinę lub dwie, taryfa ekspresowa. „Niezły interes” – zażartował, bo miał także niemieckie poczucie humoru. Potem oddalił się na drugi koniec placu, wychodząc na przeciw żandarmom z Castellane; zjawił się osobiście sam szef z brygadierem, najwyraźniej zaintrygowani superpoufny teleksem, który pół

godziny wcześniej otrzymali z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wreszcie przyszła kolej na lekarza, też z Digne: Ogólne wycieńczenie organizmu i wylew krwi do mózgu, śmierć nastąpiła mniej więcej przed godziną.

– Jak się nazywał denat? – zapytał, wypisując świadectwo zgonu.

– Właśnie, jakie nazwisko? – powtórzył brygadier. – Czy zmarły miał jakieś dokumenty?

– Bez wątplenia – odrzekł ojciec Włodzimierz – ale nie szukaliśmy. Przez szacunek.

– To nie będzie konieczne – zdecydował szef, przypominając sobie ministerialny teleks.

– Zmarły nazywał się Gerard de Vallac – powiedział ojciec Włodzimierz. – Proszę wpisać, doktorze: Gerard de Vallac. Był biskupem.

Jeszcze raz dał się ponieść awanturniczemu rozważaniu: czyż papież nie jest pierwszy pośród biskupów? Czy ten papież nie był biskupem Rzymu?

– Biskupem jakiej diecezji? – spytał lekarz.

– To już nie ma znaczenia.

– A, w porządku – powiedział lekarz; podpisał akt zgonu i był wolny.

Następnie postanowiono, po sugestii Pikkendorffa, by żandarmi, za pozwoleniem mera, zamknęli wjazd do wioski, aż do odjazdu furgonu pogrzebowego, którego przybycia oczekiwano w każdej chwili. Nie było to trudne. Jedyne droga prowadząca do Senez zamieniła się chwilowo w ślepa uliczkę. Żandarmi wykonali rozkaz, nie żądając wyjaśnień. Ustawili w poprzek drogi metalową barierkę z tabliczką zakazu wjazdu „za wyjątkiem pobocza”.

Ojciec Włodzimierz wsiadł do swego samochodu i połączył się z Rzymem.

Zameldował biskupowi Cassiniemu o powziętych środkach, zdziwiony trochę tą blokadą małej wioski, przez którą nikt nie przejeżdżał.

– Jest pewien przeciek – powiedział Cassini. – I co więcej, nieźle wycelowany. To dość kłopotliwy

artykuł o reliktach papieżstwa awiniońskiego, który ukazał się w pewnym francuskim tygodniku, niby chrześcijańskim, ale wściekle antyrzymskim. Przypadek nie wchodzi w grę. Zakleiliśmy już prawie tę szczelinę, ale tekst może narobić szumu. Proszę pamiętać, co mówiłem o roli mediów. Psy być może zostały już spuszczone. Im szybciej opuścicie Senez i dostaniecie się do Włoch, tym lepiej. Czy ten karawan już przyjechał?

– Przed chwilą, ekscelencjo.

Była to furgonetka w mało pogrzebowym, szarym kolorze, z której wysiadło dwóch osiłków w blezerach, skrywających zawód karawaniarza pod wyglądem komiwojażerów.

Nie służyli śmierci, jak kiedyś, lecz ją usuwali.

– Zatem śpieszcie się – powiedział Cassini.

– A formalności, ekscelencjo? Zezwolenie na transport zwłok? Zaplombowanie trumny przed przewiezieniem przez granicę?...

– Nie będzie żadnych formalności. Będę na was czekał w nocy, muszę złapać samolot do Genui, więc powiedzmy od drugiej w nocy, na przejściu w Olivetta, powyżej Menton, po francuskiej stronie. To niewielkie przejście, czasem nocą w ogóle niepilnowane. Pojedziecie przez Sospel; trochę nadłożycie, ale za to dyskrecja gwarantowana. Nasi łącznicy z Genui dostarczą samochód. We Włoszech będziemy u siebie. Tam jeszcze jesteśmy u siebie...

Trumna była wyściełana czerwienią: podwójna skrzynia i podwójne wieko. Dwaj mężczyźni wzięli ciało i ostrożnie włożyli je do środka. Zmarłego wciąż okrywały koronki Jana Soanena. Był to wkład diecezji Senez w ten pogrzeb. Mer, pan Heurtebise, miał łzy w oczach. Gdyby znał prawdę, z pewnością spakowałby swe manatki, zamknął

swą katedrę na klucz i poszedł za papieżem Luną. Tylko bariera wieków stała na przeszkodzie. Tak samo postąpiłby każdy z nas.

Kiedy karawan przejeżdżał przez mostek, obaj żandarmi stuknęli obcasami, przykładając dłonie do daszków kepi. W ten sposób Jego Świątobliwość papież Benedykt, incognito, został uhonorowany zgodnie z protokołarnymi i republikańskimi zasadami francuskiej żandarmerii...

Posterunek graniczny w Olivetta był oświetlony jak stacja benzynowa. Na maszcie powiewała trochę wyblakła francuska flaga. Powiewała tam dniem i nocą i nikt się nią nie interesował, bo nikt już nie znał zwyczaju opuszczania flagi z zapadnięciem nocy.

Celnik drzemał w swej oszklonej kabinie. Obudził go zbliżający się szum silników; od strony włoskiej nadjeżdżała długa limuzyna z matowymi szybami, z rejestracją SCV –

czyli watykańską, o czym dowiedział się z depeszy, którą wyrzucił na biurko służbowy telefaks – z towarzyszącymi jej na motocyklach czterema karabinierami w nieskazitelnie białych hełmach. Całą grupą dyrygowała niezwykła postać w sutannie z fioletowymi guzikami, w czarnym kapeluszu z szerokim rondem o niespotykanym już nawet w Rzymie fasonie, przepasana szerokim fioletowym

pasem, z pektoralnym krzyżem na srebrnym łańcuchu. Był to biskup Cassini, biskup inpartibus Zerracudum w Libii, któremu najwyraźniej przypominała się jego młodość. Przecież na powitanie papieża Luny w jego drodze powrotnej do Rzymu nie wkłada się cywilnego garnituru rzymskiego clergymana!

Szybko przeniesiono trumnę z furgonetki do olbrzymiego mercedesa na rejestracji watykańskiej. Celnicy nie salutowali. Celnicy to nie żandarmi. Włoch nawet nie wyszedł

ze swej budki. Było chłodno. Konwój wkrótce znalazł się na zjeździe ku Vintimille i na rozgałęzieniu dróg, gdzie zaczynała się autostrada: dwaj motocykliści na przedzie, dwaj z tyłu, z zapalonymi wszystkimi światłami i „kogutami”, pośrodku mercedes z trumną, prowadzony przez zaufanego człowieka z via Ovido; w pierwszym samochodzie jechał

sierżant Bussmann, a orszak zamykał czarny pojazd ojca Włodzimierza, z kapitanem Pfifferem de Pikkendorffem przy kierownicy i siedzącymi z tyłu biskupem Cassinim wraz z samym Nykasem.

Trochę drzemki, trochę modlitwy. O świcie znaleźli się między Genuą a La Spezia. Cassini, rzuciwszy okiem na poprzedzającego ich mercedesa, powiedział uspokojony:

– No, to do pracy.

Był to samochód bez szyby oddzielającej kierowcę od pasażerów.

– Pikkendorff, pan nic nie słyszy, prawda? – rzucił biskup.

Była to bardziej sugestia niż pytanie.

– Absolutnie nic, ekscelencjo! – odkrzyknął kapitan.

Cassini mimo wszystko ściszył głos. Plecak Benedykta leżał u ich stóp. Zdjęli z wierzchu zrolowaną czarną kape, odwiązali podwieszony śpiwór, z jednej bocznej kieszeni wyjęli kawałek starego chleba, z innej – manierkę z wodą. Cassini postanowił

odesłać śpiwór ofiarodawcy, Dom Jansenowi. „W ten sposób tworzą się relikwie” –

uśmiechnął się w myślach. W plecaku znaleźli dwa używane swetry, trochę bielizny, przybory toaletowe. Ojciec Włodzimierz z zakłopotaniem obserwował biskupa, który przebierał pośród tego skromnego dobytku i dalej szukając, bez widocznego wzruszenia podawał mu do potrzymania kolejne przedmioty będące częścią intymności zmarłego.

– No i cóż! – powiedział Cassini. – Papież jest człowiekiem jak każdy inny, a ten biedny, święty człowiek jeszcze bardziej niż inni. Czy wiecie, co teraz robi Ojciec Święty? (Spojrzał na zegarek, który wskazywał 6.05). Jest teraz w pidżamie, w szlafroku i w pantoflach, i od piątej pracuje przy biurku. Dopiero za dziesięć minut przyniosą mu filiżankę herbaty, w porze oficjalnego budzenia. Trzymajcie, to was ucieszy, docieramy do sedna sprawy.

Wyjął z plecaka czerwoną stułę. Rozwinął ją na kolanach, machinalnie pogładził, jakby głaskał kota.

Potem przyszła kolej na niewielki kielich w pudełku wyłożonym czerwonym aksamitem.

Wysoki na jakieś piętnaście centymetrów, ze zwykłej cyny: bardzo stara robota.

Wnętrze kielicha kiedyś pokryte złotem, pozostały jeszcze jego ślady. Na zewnętrznej stronie natomiast znać było jeszcze miejsca, w których niegdyś wprawiono drogocenne kamienie, zachował się tylko jeden – duży rżnięty rubin, z wygrawerowanym półksiężycem, takim samym, jaki znajdował się u podstawy kielicha, powyginanej, o sześciokątnym kształcie.

„Piotr de Luna” – szepnął Cassini. Była także patena, z pewnością z tej samej epoki, w lichym stanie, dwutomowy modlitewnik rozmiaru książeczki do nabożeństwa, sfatygowany od częstego czytania, z podklejanymi stronami, wydrukowany w Rodez w 1623 roku, i wreszcie ciężki pierścień z owalną pieczęcią, na której widniał rysunek Piotra z siecią, wychylającego się ze swej łodzi, oraz inicjał z rzymskimi cyframi, B XIV, prywatna pieczęć papieża Jana Carrieria – pierścień rybaka...

– To przekona Ojca Świętego – powiedział Cassini.

Ojciec Włodzimierz aż podskoczył:

– To Ojciec Święty nie był dotąd przekonany?

– Nie, wczoraj rano jeszcze nie był. Niezupełnie. Znał dossier Benedykta. Przeczytał

je całe ze wzruszeniem. To przecież część dokumentów, które podległe mi służby przedstawiają każdemu nowemu papieżowi. Trzej poprzedni śmiali się z tego. Tylko Pius XII próbował wykonać jakiś braterski gest. Mniej więcej rok przed śmiercią, w 1957

roku, posłał pewnego kardynała do Benedykta, którego udało mi się odnaleźć w jakiejś zapadłej górskiej wiosce; rozmowa była jednak całkiem surrealistyczna, nie miała żadnych następstw. W końcu to ja otworzyłem dossier Benedykta, z własnej inicjatywy.

Ojciec Włodzimierz ledwo wierzył swoim uszom.

– Więc gdy ekscelencja wezwał mnie i gdy pojechałem do Senez, po zorganizowaniu całej operacji, Ojciec Święty nie był na bieżąco zorientowany?

– Nie był. A czy mówiłem, że był? Teraz już jest, od wczoraj. Gdy powiadomiłem go o śmierci Benedykta, zaraz mnie przyjął. Był najwyraźniej wzruszony, a znam go wystarczająco dobrze – to było szczere wzruszenie. Jednak poprosił mnie o jakieś dowody, coś, co wskazywałoby niezbicie, że istniał jakiś związek między Benedyktem a papieżem Luną. Nie miałem nic do pokazania. Podczas gdy dzisiaj... Szukaj dalej w tym plecaku, Włodzimierzu, nie mamy jeszcze wszystkiego. Mówiłeś, że wspomniał ci o jakimś liście...

List znajdował się w wewnętrznej kieszeni plecaka; była to podłużna koperta, dość gruba, opatrzona adresem zapisanym pochyłym pismem: Do katolickich władz kościelnych najbliższych miejsca mojej śmierci, prosząc o łaskę przekazania tego listu do rąk własnych Ojcu Świętemu w Rzymie Koperta

nie była zaklejona.

– Biedny Benedykt! – powiedział Cassini. – Co za naiwność! Mam doświadczenie z władzami kościelnymi. Ten list nigdy nie dotarłby do papieża.

Przez chwilę się zawahał. Potem otworzył kopertę, przeliczył kartki. Ciągle się wahał... Odczytał kilka linijek, tu i tam, wreszcie przeszedł na ostatnią, dwudziestą drugą stronę, z której odczytał ostatnie zdania: Nie zadają już sobie pytania o sens tego wszystkiego... Żyłem długo i widziałem, jak zmienia się świat. Są pewne sprawy, o których mi wiadomo. Dlatego właśnie muszę iść do Rzymu. Przed upływem pięćdziesięciu lat, być może nawet wcześniej, dwie siły przeciwstawiają się Rzymowi i papież przypomni sobie o losie papieża Luni i jego trzydziestu dwóch następców, którzy nie pozostawili żadnego śladu na tej ziemi... Benedykt Potem Cassini polizał brzeg koperty, zakleił ją, wyjął pióro i napisał na odwrocie:

„Zaklejone w środę, 19 kwietnia 1994 roku, przez Angela Cassiniego, w obecności ojca Włodzimierza Nykasa”. Podpisał i kazał podpisać ojcu Włodzimierzowi. Wreszcie spojrzał na zegarek.

– Szósta piętnaście. Ojciec Święty odprawia mszę o siódmej. Dobry moment, żeby zadzwonić.

Nie musiał sięgać do notesu. Znał na pamięć ten prywatny numer. Przedstawił się:

„Ojciec Święty, tutaj Cassini”. Rozmowa była krótka. Biskup nie wymówił imienia Benedykta, powiedział tylko: „Kielich, patena, stupa, modlitewnik, pierścień rybaka, list.

Nie ma żadnych wątpliwości”. Wysłuchał odpowiedzi, która trwała prawie minutę i odłożył słuchawkę. Przez chwilę o czymś myślał. Minę miał raczej zadowoloną. Ojciec Włodzimierz uszanował tę ciszę, powstrzymując się od pytań. Wraz z budzącym się dniem ruch na autostradzie stawał się coraz większy: sznury ciężarówek, dużo samochodów osobowych. Motocykliści na czele włączyli syreny i używali gwizdków, torując drogę temu małemu konwojowi, który pędził w stronę Rzymu.

– Ojciec Święty podejmie decyzję około południa – odezwał się wreszcie Cassini. –

Podejmie ją sam. Jeśli to taka decyzja, której się spodziewam, uprzedzi sekretarza stanu i kardynała R., bo trzeba będzie podjąć pewne środki. Zatrzymamy się w Monte San Savino, za Florencją. Jest tam opactwo, bardzo dyskretni benedyktyni. Powiedziałbym, że zdecydowanie... papistyczni. Mały odpoczynek dobrze nam zrobi. Zapowiada się długi dzień...

Cassini uprzedził przeora telefonicznie. Przybyli na miejsce po jedenastej. Był to klasztor-forteca, całkowicie zwrócony do wewnątrz. Z czterech stron wysokie, ślepe mury, bez okien.

Wielki portal i niska, dwuskrzydłowa brama, której podwoje teraz się otworzyły.

Cassini poprosił, by przeniesiono trumnę do prezbiterium kościoła. Niosło ją na ramionach dziesięciu zakonników. Nie wypadało trzymać trumny Benedykta na dziedzińcu.

Wszystkim obecnym wyjaśniono: „To pewien biskup, który wiele wycierpiał”. Opat przyklęknął.

Posiłek podano im w małej jadalni dla gości, po czym Cassini zainstalował się w biurze przeora. Znając wagę, jaką papież przykładął do punktualności, odczekał, aż minęło południe. Zadzwoił pięć po dwunastej.

– Ojciec Święty, tutaj Cassini.

Głos w słuchawce odpowiedział:

– Dziś o drugiej w nocy, w Watykanie. Proszę skontaktować się z kardynałem R.

Czeka na telefon.

I to wszystko.

Watykan, 1994

Przejmujący balet widm. Liturgia katakumb. Kardynał R. wydał polecenie zachowania milczenia.

Było trochę po drugiej w nocy, gdy konwój wjechał do Watykanu od strony via della Porta Angelica, gdzie znajduje się główna wartownia. Dwóch Szwajcarów w błękitnych mundurach zamknęło natychmiast kratę i długa limuzyna o matowych szybach przejechała powoli przez kolejne wewnętrzne podwórce, aż do Dziedzińca Belwederskiego, którego wysokie mury chronią kamienną galerię muzeów i Biblioteki Watykańskiej. O tej porze było pusto. Komendy wydawano półgłosem, ale w tej panującej ciszy były doskonale słyszalne i wykonane przez trzech sierżantów i trzydziestu halabardników w galowych żółto-niebieskich strojach, w hełmach z białymi pióropuszcami, którzy tworzyli kompanię honorową, trwając nieruchomo na baczność.

Kardynał R. był w sutannie, w towarzystwie jednego tylko kapłana. Poza gwardzistami szwajcarskimi, niewiele już osób, tylko Cassini i ojciec Włodzimierz Nykas. Uderzająca była nie tyle podniosłość tej uroczystości, co głucha, głęboka cisza bijąca z tego obrazu z innych czasów, z tej sceny odgrywanej przez tak niewiele osób, w dekoracjach zalegającego półmroku.

Ceremonia trwała krótko. Pułkownik Buhr-Langz w zbroi przepasanej białą szarfą oddał honory trumnie, która na ramionach ośmiu gwardzistów powędrowała za kardynałem R. długimi korytarzami, aż do bocznych drzwi Bazyliki św. Piotra, za tabernakulum Berniniego. Jeszcze bardziej odczuwalny stał się kontrast między ogromem tego gmachu, teraz pogrążonego w mroku, a tymi kilkunastoma maleńkimi sylwetkami, jakby płynącymi w ciszy ku jedynej oświetlonej części bazyliki, ku kaplicy Przenajświętszego Sakramentu w prawej nawie. Trumna została ustawiona na katafalku, straż się wycofała. Przygotowano ołtarz: sześć świec i bukiet białych lilii. Kardynał R., który odprawiał mszę, miał fioletowy ornat. Czekał, wraz z Cassinim i dwoma zakonnikami, nieco z tyłu, z wzrokiem utkwionym w fotelu i klęczniku pokrytych czerwonym aksamitem. Czekali. A potem przybył ów człowiek ubrany na białe. Podszedł

wolno, zmęczonym krokiem, ukląkł i objął dłońmi czoło, modląc się w tej charakterystycznej dla niego postawie. Nikt nie był w stanie wyobrazić sobie jego uczuć.

Nikt nie miał prawa sobie wyobrazić.

Cicha msza. Egzekwie mówione, nie śpiewane. W skali Bazyliki św. Piotra – niemal niesłyszalny szept. Tylko przy końcu egzekwii dał się słyszeć głos papieża. Kreśląc trzykrotnie znak krzyża nad trumną, odmówił ostatnią modlitwę, tę, która kończy się słowami: „Niech jego dusza i dusze wszystkich wiernych zmarłych, przez miłosierdzie Boskie, odpoczywają w pokoju...”.

Nazajutrz rano, po otwarciu bazyliki, trumna została wyniesiona.

Turysta, zwiedzający dziś watykańskie groty pod bazyliką, pośród grobów papieży, wielu książąt i świętych nie zwróci zapewne większej uwagi na nowy, skromny sarkofag z białego marmuru, stojący wzdłuż ściany, za grobem św. Krystyny ze Szwecji. Jedyne napis umieszczony na bocznej ścianie głosi: BENEDICTUS Jego najbliższym sąsiadem jest Jan XXIII. Jednak nie Baltazar Cossa, papież z Pizy, który był, być może, prawdziwym papieżem pod tym imieniem, ale potem stał się fałszywym papieżem, złożonym z urzędu przez sobór w Konstancji, który sam zwołał, lecz Angelo Roncalli, w pewnym sensie papież Jan XXIII bis, który także popełnił tę nieostrożność zwołania soboru, II Soboru Watykańskiego, który to sobór przeżył go i pochował.

Aneksy

KAROL V król Francji (1364-1380)

Początek wielkiej schizmy zachodniej

KAROL V król Francji (1364-1380)

KAROL VI król Francji (1380-1422)

Sobór w Pizie (1409)

Sobór w Konstancji (1414-1417)

KAROL VII król Francji (1422-1461)

JOANNA D'ARC Rouen 1431

LUDWIK XI król Francji (1461-1483)

Chronologia papieży od 1305 do 1477

KLEMENS V (1305-1316) opuszcza Rzym i przenosi się do Awinionu w 1309

Papieże awiniońscy

JAN XXII (1316-1334)

BENEDYKT XII (1334-1342)

KLEMENS VI (1342-1352)

INNOCENTY VI (1352-1362)

URBAN V (1362-1370)

GRZEGORZ XI (1370-1378) wraca do Rzymu w 1377

Papieże rzymscy

URBAN VI (1378-1389)

Bartłomiej Prignano wybrany w Rzymie BONIFACY IX (1389-1404) Piotr Tomacelli przebywa w

Rzymie INNOCENTY VII (1404-1406) Cosimo Migliorati przebywa w Rzymie GRZEGORZ XII (1404-1415) Angelo Correr przebywa w Rzymie

Papieże awiniońscy

KLEMENS VII (1378-1394)

Robert z Genewy wybrany w pobliżu Rzymu, powraca do Awinionu BENEDYKT XIII (1394-1423)

Piotr de Luna przebywa w Awinionie, potem w Pefiiscoli w Aragonii **Papieże pizańscy**

ALEKSANDER V (1409-1410)

Piotr Filargos przebywa w Pizie JAN XXIII (1410-1415) Baltazar Cossa przebywa w Pizie po Konstancji

MARCIN V (1417-1431)

Odone Colonna przebywa w Rzymie

Następcy Benedykta XIII

KLEMENS VIII (1423-1429)

Idzi Sanchez de Muflos wybrany w Pefiiscoli w Aragonii EUGENIUSZ IV (1431-1447)

BENEDYKT XIV (1429-1430)

Gabriel Condulmer

Bernard Garnier przebywa w Rzymie wybrany w Villefranche-de-Rouergue BENEDYKT XIV
(1430-1437)

Jan Carrier wybrany w Rodez

dalej aż do JANA PAWŁA II

BENEDYKT XV (1437-1470)

Piotr Tifane wybrany w pobliżu Rodez

BENEDYKT XVI (1470-1499)

Jan Langlade

Sukcesja apostolska od Benedykta XIII

BENEDYKT XIII (1394-1423)

Piotr de Luna w listopadzie 1422 mianuje kardynałów: JAN CARRIER

JIMENO DAHE

DOMINIK DE BONNEFOI który nie uznaje wyboru Klemensa VIII i wybiera papieża BENEDYKT XIV Bernard Garnier (1429-1430) który mianuje kardynałem JANA FARALDA który wybiera papieża:

BENEDYKT XIV Jan Carrier (1430-1437) który mianuje kardynałów: którzy wybierają papieża, aby przygotować połączenie z Marcinem V

KLEMENS VIII (1423-1429) który abdykuje w 1429, a trzech jego kardynałowie (na czterech) dołączają do Marcina V

PIOTR TRAHINIER kardynał z Betlejem **I III**

JAN X

JAKUB kardynał kardynał kardynał kardynał kardynał z Hebronu z Tyberiady z Gibelet z Iony z Cezarei

którzy wybierają papieżem:

BENEDYKT XV (1437-1470)

Piotr Tifane kardynał z Tyberiady I BENEDYKT XVI (1470-1499) Jan Langlade kardynał z Cezarei